

Łoś Wincenty

PARAFIJANKA

I.

Działo się to w Ujazdowie.

A Ujazdów należał do najbardziej wziętych miejscowości w kraju.

Jego położenie

tak urodą swej natury, jak i sytuacją geograficzną, ściągało nietylko chorych,

ale i tych, którzy o każdej porze roku, a więc i wśród upałów lata, szukają

zabawy w tłumach i zgiełku.

Działo się to w roku ...

A rok ten miał być szczególnie dla Ujazdowa życzliwy. Doktorzy obiecywali sobie

zjazd niebywały. Akcyonaryusze zacierali ręce, bo nadzieje ich, że Ujazdów

zajmie poważne miejsce w kraju wśród zakładów leczniczych, wydawały się coraz

bardziej uzasadnione.

Ujazdów był świetny, ale ci, co szukają dna rzeczy, malkontenci, szperający

zawsze w przyczynach i skutkach, twierdzili, iż w tym roku świetności Ujazdowa

nie należy przypisywać innym okolicznościom, jak tym,

że w poprzednim saison'ie. zaszły w nim wypadki, robiące nazwiska zakładów

leczniczych głośniejszemi, niż sława ich doktorów i cyfry uleczonych.

To, że w Ujazdowie w poprzednim sezonie umarł sławny skrzypek, u którego

doktorzy raka brali za katar żołądkowy, jak i to, że pan X., który do
Ujazdowa
przyjechał w łóżku, a z Ujazdowa wyjechał konno, pozostało tylko w
pamięci
leczących ich doktorów.
Ale za to inne zdarzenia szeroko po kraju rozbrzmiewały. W
poprzednim sezonie
trzy śliczne, ale niebogate panny wyszły w Ujazdowie zamąż, dwóch
odwiecznych
posagołowców zerwało ze starokawalerstwem, jedna pani zbiegła z
kochankiem w
świat, a jednego męża przydybała a flagranti żona. Że bohaterowie
tych wypadków
szczęśliwym trafem dla akcyonaryuszy i doktorów Ujazdowa, należeli
do sfer
szerzej w kraju znanych i zamieszkujących różne prowincye, mnóstwo
osób
dowiedziało się nietylko o Ujazdowie, ale i o tem, że w Ujazdowie
zbiera się
towarzystwo zdolne nietylko do flirtów, lecz i do romansów, do
ołtarza, lub
ucieczki.
I to jeszcze możeby nie było wyrobiło w pojęciach pewnych sfer i
ludzi tak
pochlebnego o Ujazdowie wyobrażenia.

Ale zaszedł jeszcze jeden wypadek w tym pamiętnym r. ... w którym
zakład dat
swym akcyonaryuszom / procentu dywidendy.
Hrabianka Pilawska, panna lat przeszło trzydziestu, niebogata,
nieładna, znana w
całym kraju z tego, że od lat piętnastu obiegała w zimie wszystkie
miasta, a
wszystkie wody w lecie, w swych poszukiwaniach za mężem, zjechała
w tym
pamiętnym roku do Ujazdowa.

Zjechała do zakładu leczniczego pierwszy raz w życiu, by się w nim leczyć, bo staropanieństwo zaczynało się w niej objawiać symptomatami histeryi, — i wyjechała nietylko uzdrowiona, ale z narzeczonym, i to takim którego do ołtarza doprowadziła.

Te to okoliczności, zdaniem pana Joachima, który od początku założenia Ujazdowa stale w nim szukał uzdrowienia, byty przyczyną, dla której należało się w tym roku spodziewać niebywałego zjazdu.

I właśnie o tem, siedząc na ławce pod lipą, w miejscu, będącem najlepszym punktem obserwacyjnym w Ujazdowie, rozmawiał pan Joachim ze swym znacznie młodszym towarzyszem.

Informował, objaśniał, wtajemniczał w różne właściwości Ujazdowa pan Joachim, jedna z tych figur, specjalnych zakładom le-

czniczym, pana Bonara, dopiero co nakuracę przybyłego. Pan Joachim liczył lat sześćdziesiąt, a fizyognomja jego, nie pozbawiona inteligencyi choć pospolita, mówiła każdemu wszystko, coby w niej wyczytać był ciekawym. Mówiła, że właściciel jej, po różnych burzach, a raczaj zawiejach losowych uznał, że najtaniej, najwygodniej i najzabawniej było pod schyłek schorowanego żywota, osiąść w takim Ujazdowie i zajmować się, między dwoma prysznicami, coraz nowymi ludźmi i nowemi ich stosunków plotkami, czy skandalami.

Oddał się też temu con amore i doszedł do takiej w tym względzie doskonałości,
iż sprawy Ujazdowa poślubił goręcej, niż najbardziej zaangażowany nim akcyonaryusz. W swej pieczołowitości ogarnął i bliższą okolicę, a w swej drobiazgowości lubił dociekać do dna każdą plotkę, która się o jego uszy obijała, a dotykała rayon'u raz obranego, a równą linią w trzymilowym dystansie Ujazdów obejmującego.

Wiedziano o tem w zakładzie i stary doktor, dyrektor lecznicy, pan Staromiejski, każdego nowego kuracyusza, zasięgającego odeń jakiejś informacyi, odsyłał temi słowy:

— Serce! Jest tutaj niejaki pan Joachim, stary poczciwiec, człowiek niegłupi, niegdyś

bywalec, który wszystko wie, czegobyś tylko mógł być w Ujazdowie ciekawy. On cię, serce, we wszystko wtajemniczy. On ci powie, gdzie lepszy kotlet barani, "na górce", czy "pod wystawką", on ci opowie historię każdego gościa, który kiedy o Ujazdów zawadził, on cię objaśni nawet, ile na hipotece ma długu którykolwiek z okolicznych obywateli "w trzymilowym obrębie".

Te ostatnie słowa doktor mówił z naciskiem, bo i pan Joachim na ten szczegół nacisk szczególny kładł, zapewne wychodząc z zasady, że lepiej wiedzieć mniej, a dobrze.

Tak też odesłany i Bonar, czempredzej odszukał i poznał pana Joachima. A że

saison dopiero się zaczynał, że Ujazdów jeszcze pustkami świecił a
dnie były
najdłuższe w roku i najpiękniejsze, obaj więc je spędzali wciąż ze
sobą, pan
Joachim czekając, aż nowa mu się nawinie do wybadania ofiara, pan
Bonar zaś, nie
mając nic lepszego do roboty. Trzy dni dopiero bawił w Ujazdowie, a
onegdaj, gdy
się kładł spać, zdawało mu się, że w nim się urodził, że w nim życie
spędził,
tak wszystko znał i wiedział, z takim talentem mu to wszystko do
głowy pan
Joachim pakował. A każdy prawie człowiek ma to do siebie, że go
interesują w
swych szczegółach, i te rzeczy wokoło których wypadkowo los mu się
każe raz na

całe życie obrócić, tak, jak gdyby w nich żywot, a przynajmniej kwiat
jego miał
spędzić.
Siedzieli obaj pod lipą. Pan Joachim, biorący assumpt z każdej
okoliczności, by
mówić, Bonar, słuchający z tem charakterystycznym poddaniem się, z
tą
objektywnością ludzi, ze swych kątów przerzuconych na jakiś czas w
oddzielny,
obcy im element.
Nie interesowało go to wszystko, ale miał dobrą pamięć i lubił znać
stosunki
swego kraju, tem więcej jeżeli sposób, w jaki je poznawał, nie
kosztował nic a
nic, a raczej bawił go, niż nużył. Cóż miał zresztą lepszego robić, jak
słuchać
pana Joachima? on, Bonar, wyzwany ze swej Bonarki z powodu
nerwowej choroby,

objawiającej się różnymi symptomatami, jak n. p. rodzajem furji, w jaką wpadał czasami na swoją najukochańszą żonę, poślubioną lat temu osiem z szalonej miłości. Zresztą pan Joachim bardzo dobrze go w Ujazdowie aklimatyzował, tego wieśniaka, zakochanego w swej niwie, zaskorupiałego w swych stosunkach. Słuchając go, jego wywodów i opisów, mniej myślał nad tem, co się tam w Bonarce dzieje, czy Janina daje sobie rady, pozostawiona na czele dużego gospodarstwa, czy pługi dobrze chodzą w niwie, pod pszenicę przeznaczoną, czy ekonom obchodzi się, czy żyje wogóle

bez jego codziennej wieczornej specjalnej dyspozycji. Nie myślał o tem, gdy pan Joachim mu nad uszami bębnił; było to dla niego tem lepiej, że myślenie to sprawiało mu ból, którego doktor Staromiejski szczególnie uchraniać się polecał. A ten Bonar, był to sympatyczny typ, nietrudny do odgadnięcia, nie wywijający się skalpelowi obserwatora, nie zadający mu żadnej zagadki, typ, jeden z sympatyczniejszych tej dużej warstwy społecznej, u nas jeszcze tylko istniejącej, "obywatelami" zwanej. Był to obywatel, "dobry obywatel", widziało się to z pierwszego rzutu oka i to wystarczało. Od chwili już milczeli pan Joachim i pan Bonar, zapatrzeni przed siebie jakby w punkt, jaki tworzyła altana, umieszczona w środku dużego stawu, na wysepce ad

hoc usypanej, w której właśnie w tej chwili, widać było zdala,
rozlokowywała się
orkiestra miejscowa, zaczynająca zwykle o tej godzinie swe
symfonije.

— Ale, paniemdzieju, — zagadnął, jakby się budząc, pan Joachim, —
ja już gadam
trzeci dzień.. Opowiedziałem panu, panie Tadeuszu, wszystko o sobie,
o
Ujazdowie, o wszystkim, ale pan, paniemdzieju, niceś

mi nie powiedział. Siedzimy z sobą cały dzień trzeci... ale ja nic o
panu
niewiem, prócz tego, że majątek twój się nazywa Bonarka i że leży w
Kaliskiej
gubernji.

— Ha, ha! — zaśmiał się Bonar, pokazując szereg zdrowych zębów
w młodym
uśmiechu, — cóż to, panbyś może myślał, że moje życie tak ciekawe,
jak tej pani
w żółtej budzie, lub tego starego oryginała w dżokejce? Ciekawys pan
mojego
życia? ha, ha! Myślisz, że to może podobne do tych, co tutaj ci się
nawijają od
czasu do czasu. Posłuchaj że wiec, nie długie, choć liczę lat
trzydzieści i
sześć...

— Trzydzieści i sześć, — przerwał pan Joachim — hm, hm... nie
wyglądasz pan na
tyle!

— Z górą, z górą...

— Ale nie zbaczajmy...

— I owszem, nie zbaczajmy — podchwycił Tadeusz Bonar,
opanowując jakby
ironiczny, ale na jego twarzy tylko dobroduszny i naiwnością swoją u
mężczyzny

podejrzany uśmiech. — Urodziłem się i wychowałem w Bonarce,
szkoły skończyłem w
Warszawie, kilka lat bawiłem się i jarmarkowałem po kraju. W
dwudziestym piątym
roku objąłem Bonarówkę, gdzie założyłem chmielarnię, w
dwudziestym ósmym objąłem
Bonarkę. skoro mi ojciec umarł. Postawiłem tam dom, bo się stary
walił. Na balu
w są-

siedztwie poznałem moją żonę, zakochałem się na śmierć i ożeniłem.
Nie żałuję,
choć swoją drogą i głupstwo zrobiłem, powiedziałbyś pan, panie
Joachimie, bo nie
wziąłem złamanego szeląga posagu, a miałem na Bonarówce brata i
siostrę do
spłacenia. Ale jakoś się gospodarzyło, pracowało i już ich
pospychałem.

Zamyślił się i dodał:

— Nie całkiem, nie zupełnie. Siostra jeszcze siedzi, ale spłaciło się
tyle, to
się spłaci i resztę. Ciężko bywało czasami, ale to ciotka umarła i
zostawiła
fundusik, to rozparcelowałem folwark "na wydmuchu"... Ciężko było,
ale wesoło.

Bo Janinka...

Urwał tutaj i zadumał się, by podchwycić:

— Pozna ją pan, moją żonę. Przyjedzie tu mnie odwiedzić. Osiem lat
żyjemy ze
sobą, mamy dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę; a wygląda... za
panienkę ją
biorą!

— Pańską żonę?

— Janinkę.

Zamyślił się, jakby nad tem, coby jeszcze więcej powiedzieć, coby
jeszcze jego

życie zawierało. Nie znalazł nic i dodał:

— Oto całe moje życie od a do z. Trzydzieści i siedem lat, jakby z
bicza
trzasło. Tak to sobie żyjemy. Czasem, po żniwach, lub w zimie, gdy
pszenica
dopisała, wyjedziemy na tydzień, dwa, do Warszawy, ja

się ostrzygę, wypiję kilka szampanek ze znajomymi, Janinka się
wychula u krewnych

i — jazda do domu. A w domu, jak w domu — gospodarstwo,
imieniny w sąsiedztwie,
polowanie i wint w zimie. Konna jazda...

— Żona pańska jeździ konno? — podchwycił pan Joachim.

— Broń że Boże; życzyła sobie. Gwałtownie się napraszała, ale ani
chciałem
słyszeć.

— Bo tu u nas hrabina... — zaczął cedzić pan Joachim, gdy go wtem
coś

zastanowiło, i tożsamo wrażenie udzieliło się Bonarowi Wielką aleją
wjazdową,

widoczną przez porozrzucane po piasku klomby, pędził niezwykle
ekwipaż, lśniący

i dzwoniący. Zanim zobaczyli, poznali i rozejrzeli się, break angielski,
zaprzężony czterema gniadymi końmi, ubranymi w greloty, cały
świecący się od

nowych lakierów, bronzów, nikłów i barw, mieszczący w sobie kilka
osób obojga

płci, podjeżdżał na plac, tuż naprzeciwko lipy, pod którą siedzieli.

Pan Joachim wyteżył wzrok; Bonar, jako obowiązkowy amator koni
pochłaniał

przyjemne dlań widowisko.

Czwórką powoził dżentelmen, widocznie właściciel tego ekwipażu.

Osadził konie.

Liberja z tylnego wyniesionego kozła rzuciła się, by pomagać
schodzić damom.

Wszystko to się działo pośpiesznie, z precyzją i wpra-

wą, właściwą tylko służbie wytresowanej w wielkim domu. Z pojazdu wyszły trzy

strojne damy, w jasnych letnich sukniach, zarumienione, wesołe i rozbawione.

Jedna z nich, o czarnych, wyrazistych oczach, uderzyła swą pięknnością Bonara.

— Kto to? — spytał z tą właściwą sobie naiwną, odbijającą się w głosie ciekawością.

— Zaczekaj pan, — szepnęła, jakby skupiony, pan Joachim. Obaj więc dalej obserwowali.

Damom nadskakiwał jakiś młodzieniec, niezmiernie elegancki w ubraniu i ruchach.

Całe to towarzystwo przeszło tuż pod lipą, nie rzucając nawet spojrzenia w

stronę pana Joachima i Bonara i podążyło ścieżką, prowadzącą ku środkowi parku, ku grającej orkiestrze.

— Kto to? — powtórzył jeszcze ciekawiej Bonar, zaintrygowany pierwszorzędnym wyglądem tego ekwipażu, jakby przeniesionego z Bulońskiego lasku w dzień du grand prix i tem strojnem towarzystwem.

— Zaczekaj pan — odparł znów pan Joachim, z wyteżonym wzrokiem, skierowanym w stronę kozła break'u.

Bonar za nim potoczył oczami.

Teraz z kozła schodził ów poważny mężczyzna. Bonar zrozumiał ciekawość

wytrzeszczonego spojrzenia pana Joachima.

Mężczyzna ten był niepospolitą i nie częstą do spotkania figurą.

Bardzo wysoki, wysmukły, niemal sztywny w sposobie trzymania się, przykuwał

wzrok, pierwszy raz na nim się zatrzymujący, arystokratycznością swego wyglądu,

wyrazistością swego typu, arrogancją swej fizygnomii.

— Objeżdżać krokiem!... — rozkazał woźnicy, jakby z trwogą czekającemu na ten

rozkaz, i ruszył za daleko już odbiegłem towarzystwem. Musiał przejść teraz

około Bonara. Ten też go pochłaniał. Nieznajomy ten o obliczu poważnym, niemal

smutnym i znudzonym, zaciekawiał go. Jakieś ściągnięcie dużych brwi łukowatych,

zmarszczenie pionowe czoła, przymrużenie małych, ale bystrych siwych oczu,

jakieś pogardliwe wykrzywienie ust pod małym i młodzieńczym wąsem, robiły jego

fizygnomię niesympatyczną, ale wielce interesującą.

Bonar byłby mu się długo przypatrywał, ale nieznajomy, rzuciwszy nań wyzywające

swą pogardliwością, pochodzącą z indywidualnego układu twarzy, spojrzenie,

przeszedł.

— Kto to? powtórzył Tadeusz.

— To hrabia Homel — odparł jeszcze cicho, jakby tonem przejętym, pan Joachim.

— Ale dalej? zkąd? co? taka bestya?

— Z najbliższej okolicy... Bywają tu często na muzyce...

— I pan mi nic o nich nie mówiłeś? Pan Joachim się zastanowił.

— A prawda. Nic panu o nich nie mówiłem. A ciekawa figura, paniemdzieju, ten

hrabia Homel...

Bonar był tak ciekawy, iż go to samego zastanowiło

— Nie wiem, dlaczego, — zagadnął, — ale mnie ten hrabia zaciekawił. Oryginalna

bestya! Przystojny mężczyzna, ale...

— Niesympatyczny?

— Bardzo niesympatyczny Oczy przymrużone... gęba skrzywiona...
opowiadaj pan.

Był ciekawy, co mu się rzadko zdarzało. Ale trafiało się czasem. —

Przypominał

sobie, iż go już nieraz tak zaciekawiły niektóre spotkane w życiu
figury. — A

zwykle bywali to jacyś arystokraci, jak nazywał utytułowanych, lub
wysoko się

noszących. Ten hrabia zdawał mu się do nich należeć.

— Ciekawys pan — zaczął pan Joachim swym tonem rezonującego
opowiadania.

Dopiero byłbyś ciekawy, gdybyś był widział epizod, który ja, tu, z tej
ławki,

dni temu kilka widziałem. Siedziałem sobie tak, jak dzisiaj. I tak, jak
dzisiaj

podjechał hrabia Homel. Zwykle sam powozi. Tym razem powoził
amerykanem. Zszedł

i stanął, by

się przyjrzeć koniom. Wtem coś u stangreta zauważył. Zmienił się,
poblądł, coś

ryknął i rzucił się ku niemu z taką furją, iż myślałem, że zabije tego
człowieka, który z trwogi słowa wymówić nie mógł. W ostatniej
chwili zapanował

nad sobą i oddalił się, blady, pomieszany. Ja tu siedziałem, on tu
przechodził.

Nie widział mnie, bo on ludzi nie widzi. Może hrabiów widzi.. Ale
przechodząc

około mnie, uśmiechnął się sam do siebie. Dziwny to był człowiek,
dziwny

uśmiech, ten jego uśmiech, ironiczny, pogardliwy. Czy wiesz pan, z
kogo się

śmiał?

— Z kogo? — zapytał Tadeusz

— Z siebie — odparł pan Joachim, i ciągnął. — Odtąd zmieniłem zdanie o tym hrabim. Miałem go za koronnego dumia. Wtedy spostrzegłem dopiero, że się myliłem.

— Ten uśmiech zmienił pańskie przekonanie — zapytał Bonar, teraz już więcej zaintrygowany psychologią pana Joachima, niż hrabią.

— Tak! ten uśmiech, — odparł stanowczo stary. — Ten uśmiech w sekundę po takiej furji — mówił z naciskiem na słowach, właściwym ludziom, wyjawiającym owoce pracy swego mózgu — po furji, w której, myślałem, że zabije człowieka, tu... publicznie...

— Ależ o co on się tak rozwściekł?

— O to, — czempredziej podchwycił pan Joachim, — że wasy furmana były niedostatecznie dogołone, były niegołone dnia tego...

— Żartujesz pan!

— Tak. Pytałem się furmana...

— I to zmieniło pańskie o nim przekonanie? — pytał ze zdziwieniem Bonar.

— Tak, panie.

— Mnieby to było utwierdziło w przekonaniu, — rozśmiał się Bonar, — że to koronny dureń.

Nastało długie milczenie, które znów przerwał pan Joachim:

— Dziwny to człowiek, oryginał. Nie znam go, bo on, zdaje się, znać nikogo,

przynajmniej takich jak ja, nie chce. Bywają tu często w swoim kółku. Z okolicą nie żyją. On, podobno, mówią jedni, bardzo wykształcony, pisze nawet... artysta,

kupuje obrazy. Ich dom, to ma być muzeum. Z drugiej strony, gdybyś pan słyszał,
co za herezye o nim wygadują.

— Nie żyją z nikim? — podchwycił Bonar, którego, jako rdzennego obywatela, ten rys wielce zastanowił.

— W okolicy prawie z nikim. Wszyscy są śmiertelnie na niego poobrażani. Każdemu zajechał.

— Jakże więc? to jakiś dziki człowiek? Ale że pan nie miał ochoty go poznać?
pan?

— Owszem! Gdy tu przybyłem, przedstawiłem mu się, ale na trzeci dzień mi się nie odklonił. Dobrze... Siedem lat nie znamy się. Ale teraz, teraz zdaje mi się, że hrabia nie odklonił mi się wtedy przez dystrakcję tylko... Bonar w swej naiwności ironicznie się zaśmiał.

— Już to trzeba przyznać, — zawołał, — że ci nasi hrabiowie, to po większej części narwańcy, to półdyabły weneckie!

— Z opowiadania i Homel takim mi się wydawał, Z roku na rok jednak zmieniam nieco zdanie. Oryginał, nie ulega wątpliwości, ale czy nie człowiek przytem?..

Nie wiem, ale chciałbym wiedzieć.

— Ręczę panu, że człowiek, zaglądnący pod nos furmanowi, i wpadający o to, co pod nosem u niego, w furię, nie jest człowiekiem, nad którym by się warto było zastanawiać.

— Hm... — Bąknął pan Joachim — paniemdzieju, ten uśmiech... Wstał. — Wstał i Bonar.

— Mówię panu, on się śmiał sam z siebie. A człowiek, który rzadko się śmieje, a

jeżeli się śmieje, to z siebie?.. No, chodźmy zobaczyć, co robią.

— Kto?

— No! to hrabstwo!

— Żartujesz pan! Cóż to mnie obchodzić może?

Hola! — zawołał pan Joachim, — zaczekaj pan. Będzie cię to obchodzić, jak mnie obchodzi. Nas tu wszystkich on obchodzi, począwszy od doktora, a skończywszy na stróżu. A w pięknym saisonie nie słyhać nic, tylko o nich. A jaką miała tualetę hrabina? a jaki ostatni ekwipaż hrabiego? Są ludzie, co przechodzą niepostrzeżeni, cicho, bokiem, w cieniu. Są inni, którzy idąc, zatrzymują się i zatrzymują przechodniów i zmuszają ich do zajmowania się nimi. Ten hrabia do nich należy. Nic mnie nie obchodzi, ale teraz idę, wstaję zobaczyć, co on tutaj robi. Ciekawym podchwycić coś, coby mi rozjaśniło tego człowieka: którego tu nikt nie zna, a któremu każdy czuje się w obowiązku coś przypiąć. Życie, panie Tadeuszu, w moim wieku, to tylko coś warte, jeżeli się je bierze jako studyum. Ten hrabia mię intryguje. Szli ku orkiestrze, a zarazem zbliżali się do najgłośniejszej części Ujazdowa. Pan Joachim jeszcze prawil:
— Człowiek to, zdawałoby się, pyszny, dumny, z podniesioną i przewróconą głową, zacofany w pojęciach, odludek i dziwoląg,

a swoją drogą zapewnił mnie człowiek tak znakomity, jak nasz głośny

powieściopisarz, że hrabia jest najmilszym towarzyszem, wybitną inteligencją, dużym talentem Kontrastów huk. Kontrast na kontraście. Co to? — Póldyablę weneckie! mówię panu! Szli dalej; a pan Joachim wciąż prawil — Dzieci nie mają. A jedni twierdzą, że hrabina jest szczęśliwą, inni, że jest najnieszcześniejszą. A są i tacy, paniemdzieju, — tu się nachylił do Bonara i szeptał: — którzy twierdzą, że hrabia i kobiet nie znosi! — Fin de siecle, panie! — zaśmiał się Bonar i urwał, choć chciał dalej mówić. Szeroką ścieżką w parku naprzeciw nich szło właśnie całe to towarzystwo, o którego członku mówili. Kobiety śmiejące się, hrabia za niemi w zadumie. — Jak Boga kocham, — zawołał Bonar — jeżeli mnie oczy nie oszukują, to ta niska na lewo, to moja kuzynka, jak Boga kocham! Mańcia? Pan Joachim jeszcze się nie połapał, a owa kuzynka Bonara już go poznawała, już się doń uśmiechała, już witała. — Tadeusz! — wołała szczebiotliwym, pełnym, grubawym starszej panny głosem, malutka, pulchniutka kobieta, — skądże tutaj? Czyżbym się była spodziewała! a Janinka? a...

Urwała i dopiero się spostrzegła, że całe towarzystwo przystanęło i czeka. Nie pytając, zawołała z dziwną przytomnością umysłu i płynnością głosu. — Przedstawiam wam mojego najdroższego kuzyna, Tadeusza Bonarra!. Nastąpiły uściski dłoni. W końcu dopiero poznali się hrabia i Bonar. Hrabia

sztwywny, zimny, pełen kurtuazyi, która się tak nie podobała Bonarowi,
iż sam

stracił swą naiwną i swojską naturalność.

Odwrócił się za panem Joachimem — już go nie było.

A gdy się znalazł z kuzynką Mańcią na chwilę odosobniony, szepnął
jej:

— Niepotrzebnie mnie zapoznawałaś z temi hrabiami. Wiesz, że...

— Głupyś! — odparła panna Kolońska niewymawiając i, strasznie
głupyś z twymy

parafijańskymy przesadamy. Poznaj ich, a potem pomówymy.

Hrrabina jest moją

przyjaciółką — ciągnęła z niezwykłym naciskiem na r.

— Hrabina pal dyabli, ale hrabia...

— A Homel jest najmylszym człowiekiem. Zaprzyjaźnicie się...

Tadeusz parsknął śmiechem. Onby się miał zaprzyjaźnić z tym panem
w żółtych

butach, spadających z czarnych, jedwabnych skarpetek, z tym panem
o uśmiechu

wyzy-

wająco impertynenckim, krocącym prościej od tyczki od chmielu, z
tym panem,

który zaglądał furmanom pod nosy!

Ta Mańcia była wyborną, zawsze taką samą panną — urwańcem, jak
ją nazywał. Była

wyborną ze swoją hipotezą, że on mógłby mieć co wspólnego z takim
hrabią. Cóż

ich mogło łączyć? Co? co u licha? chyba powożenie. Ale on i w takie
powożenie

nieprzyzwoicie wygolonych furmanów poprostu nie wierzył.

Spójrzył z ukosa na hrabiego i spotkał się z jego już od chwili na nim
się

zatrzymującym wzrokiem.

Dreszcz go przeszedł, jakby mu kto świdrował po duszy, po
wnętrzach, po

głębiach. Ten hrabia był arcyantypatycznym!

II

W łaźni, urządzonej z wyrafinowanym komfortem sybaryty płci męskiej, w olbrzymiej marmurowej wannie, buchającej parą, kąpał się hrabia Homel.

Było to ulubione jego zajęcie, najuroczystsza w dniu godzina, która stanowiła potrzebę jego organizmu. Olbrzymią do tej kąpieli przywiązywał wagę i twierdził, że anemiczny jego organizm jej zawdzięczał swe jakie takie "się trzymanie."

Bo hrabia trzymał się nieźle. Liczył lat trzydzieści i sześć, a nie można było większej sprawić przyjemności, jak kilka lat mu wieku ująć.

Wyglądał na mniej, a ta trwoga za każdym ulatującym rokiem i dniem, była u niego czemś niemal chorobliwym. Ztąd pochodziła nadzwyczajna dbałość o siebie, ztąd zapewne i ta kąpiel, będąca uroczystością w dniu.

Siedział w wannie, a myślące jego oblicze wyglądało zatopione w niewesołej zadumie.

Czynny jego charakter nie dopuszczał do siebie smutnych myśli, ale w wannie, jeśli go nagabnęły, to im się poddać musiał.

Dnia tego myślał o sobie; bo nie zawsze myślał o sobie. Różne interesa, różne plany przeprowadzał w wannie. Projekty niejednych romansów wannie zawdzięczały swoje urodziny.

Dnia tego myślał o sobie, a ze smutku, jakim się pokryły jego rysy,
sądziłby
można, że bolał nad sobą.
Tak, bolał nad sobą. Życie jego zdawało mu się zmarnowaniem,
czczem,
bezwartościowym, niepotrzebnym i niemiłym Dlaczego? Dlaczego
coraz częściej
nagabywały go te filozoficzne refleksje, z którymi od lat kilku
walczył? Czyżby
życie jego było zwichnięciem dlatego, że nie miał dzieci? Czyż w
talencie swym
nie mógł znaleźć celu?
Nie odpowiadał stanowczo na te pytania i powracał do przeszłości,
która mu się
wydawała przyczyną, że mu dziś było smutno, że mu wogóle było
smutno strasznie,
ile razy się nad sobą zastanowił.
Wychowany w zbytku, przygotowywany najniefortunniej do jakiejś
roli na
świeczniku, wszedł w świat, w którym ta pierwsza, nieoceniona
młodość, ten
potok, rwący szumiący, zasilany świeżymi z gór i źródeł wodami,
była dlań
jednym pasmem uciech wszelkiego

rodzaju, zaspakajających ambicję i namiętności. Bardzo przystojny
miał wielkie
szczęście do kobiet, różne do ludzi. Bardzo sprytny, umiał
wyzyskiwać jedno i
drugie. Bardzo namiętny, namiętnie brał życie w szczegółach nawet.
To go może
zgubiło...
Westchnął. Sięgnął do kranu, wpuścił do wanny strumień gorącej
wody i znowu się
zadumał, znów powrócił do swych myśli.

W dwudziestym siódmym roku życia miał już dosyć wszystkiego.
Postanowił się
ożenić dla doznania nowych, świeżych wrażeń. Dom, rodzina,
stanowisko,
fundowanie gniazda, o jakim marzyła jego ambitna głowa, ognisko
domowe, do
jakiego się rwało jego spokojne i refleksyjne usposobienie, zdawały
mu się być
celami dalszego żywota.
I ożenił się z miłości i z majątkiem. Wszystko mu się wiodło. Panna
Wanda
Opalińska liczyła się do najpiękniejszych heritierek w świecie, w
którym ją
poznał i pokochał. Kochała się w nim szalenie, nie wątpił.
Jakaś pomroka pokryła twarz Homla, jakiś smętny wyraz przymknął
jego przymrużone
oczy, jakiś uśmiech zaigrał na jego pięknie zarysowanych ustach pod
młodym,
jedwabistym wąsem
Otrząsł się, czy obudził, dopuścił do wanny wrzącej wody i znów się
zamyślił.
Mijały lata. Miłość jego stygła, a w miarę,

jak się zmniejszała, namiętności w nim coraz bardziej wrzały. Uczucie
do Wandy
której nic do zarzucenia nie miał, prędko przechodziło w pospolitą u
bardzo
namiętnych fazę, w której, jak woda w studni, zyskiwało na
głębokości, ale
traciło na temperaturze. Kochał swą żonę codzień więcej, ale się w
niej kochał
coraz mniej. A natura jego potrzebowała szumu, ujścia, ognia... Rzucił
się w wir
nieszczęśliwych interesów, pisał, stawiał, zakładał, budował.
. .
.....

I po latach dziesięciu widział, że nic nie zrobił, nic! Żony nie uszczęśliwił,
bo ta niezrozumiała jego natury i nie zgadzała się z rolą jaką jej przy sobie
wyznaczył. Majątku nietylko nie powiększył ale i nie utrzymał. W literaturze
stanowiska pierwszorzędne nie zajął...
A więc było to życie zmarnowane, bez ciepła, jakie daje miłość
gorejąca, bez
spokoju, jaki daje spokojne sumienie człowieka, głębiej
wykształconego, bez
bodźca, jaki dają obowiązki, bez celu, jaki daje potomstwo.
I, aby nie cierpieć, stworzył sobie odrębny sposób życia, życie dla
siebie,
oparte na dogadzaniu swym zachciankom, pogrążone w drobnostkach
i ubarwione
rozmaitością godzin wypełnionych drobnymi zajęciami, które podnosił
do
doniosłości missyi.

A i w tem życiu, ile razy, tak jak dziś nad sobą się zastanowił, widział,
że nie
znalazł zadowolenia. Cierpiał, cierpiał okropnie.
Czyż warto żyć, by pilnować lokai, porządku w pałacu, mycia
powozów, sprzężaju
koni, symetrii obrazów na ścianach i klombów w ogrodzie?
Czyż to mogło wypełnić życie, uspokoić wymagania odeń człowieka
jego kalibru,
głębiej czującego, głębiej myślącego?
— Ha! — westchnął — gdybym potrafił coś kochać...
— Dopuścił gorącej wody i, poruszywszy się całym ciałem w wannie,
znów się
zadumał. Hrabia był systematyk i w myślach, lubił je do końca
rozwałkować...
Gdyby potrafił coś kochać, kogoś kochać, to, wierzył, byłoby
wielkiem dla jego

natury lekarstwem. Ale co? W Wandzie drugi raz zakochać się nie
mogł. Dzieci
niemiał. I dziś byłoby na nie zapóźno.

.
.
.
.

On padł ofiarą najgłupszej instytucji, jaka istniała pod słońcem, t. j.
małżeństwa, bo instytucją je nazywał.

Gdyby, lat temu kilka, gdy ostatecznie wielkie, miłości uczucie dla
hrabiny w
nim się zatliło, gdyby wtedy nie był okuty małżeńskimi kajdanami,
byłby zapewne
się za-

kochał jeszcze... I to byłoby go ocaliło. Tę go utrzymało w statuquo
naturalnej męskości. To byłoby go uchroniło od lubij którym się
oddał, to byłoby

pochłonęło ten zbytek sił imaginacji jego, która, szukając ujścia,
rzuciła się

ku drobnostkom i rozproszyła w szczegółach banalnego żywota pana,
niepotrzebującego zabiegać dla bytu.

Tymczasem stało się inaczej. Dziś, codzień więcej, codzień potężniej
czuł się

pograżonym w czczości tego żywota, któremu jego rozum nie
pozwaliał zarzucić

fikcyjnych bóstw i ołtarzy. Zanadto wielkim był cynikiem, by znaleźć
cele w

jednych ze współczesnych missyj, zanadto wielkim cynikiem, by się
oddać

humanitaryzmowi, zanadto wykształconym i wyrafinowanym, by nie
odczuwać

strasznej próżni swych dni..

Już nie myślał, jak ze swego życia zrobić inne życie, jak przeistoczyć
świat

swych widnokręgów. Myślał nad tem, jakby swój ten odrębny
widnokrąg rozszerzyć,
aby mu było swobodniej, szerzej, mniej czczo i nudno, aby się dać
rozgrzać
jakiemuś świętemu ogniovi, któryby mu nie pozwolił analizować
każdego własnego
porywu, każdej własnej intuicyi i myśli.
Tylko miłość jedna mogła go odrodzić Ona jedna stanowczo.
Ale czy był jeszcze do niej zdolnym?

Od lat dziesięciu, od dnia, w którym poznał Wandę, to uczucie już ani
razu w nim
nie zadrgało. Od lat dziesięciu nie spotkał kobiety, dla której by jego
serce
zabiło tem tempem, którem przecież niegdyś tak często uderzało.
Dziwnie
zobojętniał dla kobiet, on, w miłości tak łatwo zapalny, on, kobiecie
wyznaczający takie potężne, olbrzymie w swych pojęciach względem
mężczyzny
stanowisko, on, epikurejczyk do tego stopnia, ii tylko w miłości
widział jedyny,
prawdziwy i naturalny cel życia mężczyzny.
A był hołdownikiem praw natury.
Czy już nie był zdolnym do tego uczucia, jedynie ogrzewającego,
jedynie będącego
źródłem tych substancyj, które stanowią mężczyznę?
Nie wiedział, bo od lat dziesięciu nie zadrgał temi fibrami, które są
objawem
mężkiej zupełności.
Czy byłby jego anemiczny, a namiętny ustrój niemi zadrgał, gdyby nie
małżeństwo,
gdyby nie te kajdany, które tak naturalnych objawów wzbraniają?
Czy byłby się może w której ze spotykanych od lat dziesięciu kobiet
zakochał,
gdyby zajęcie się to jego nie było powodem do zaburzeń domowych,
do dramatów w

łonie rodziny i ogniska domowego, które chciał mieć pogodnemi i spokojnem!?

Nie wiedział.

Ale zdawało mu się, że ożyłby, odrodziłby się gdyby się jeszcze raz zakochać potrafił.

I zanucił zwrotkę z "ptasznika z Tyrolu"

"Jeszcze raz, jeszcze raz, ptaszku mój"!

Smutny, ale rozmarzony dopuścił gorącej wody do wanny.

— Ale jakże trudnem to było — myślał dalej, — to zajęcie się jego.

Jakże zawsze

był trudnym. Głowa, ta nieszczęśliwa głowa odegrywała taką u niego rolę! Jakże

inaczej od wszystkich mężczyzn, a przynajmniej od ich większości był

skomplikowany! On potrzebował, by kobieta poruszyła wszystkimi jego strunami,

by podziałała na jego wybujałą artysty imaginację, by podbiła go intelektualnie

i fizycznie, by narzuciła się jego głowie, duszy i zmysłom...

Taką mógł znaleźć, gdy liczył lat dwadzieścia sześć, ale takiej już nie było dla

trzydziestoletniego z górą człowieka, który dziesięć tomów wypisał, poświęconych

analizie kobiety, który przeszedł przez ogień małżeństwa, który godzinami samego

siebie analizował, ot tak, jak teraz, w gorącej wannie, niezbędnej organizmowi,

złożonemu z anemicznego ciała i namiętnego mózgu w trawionej myślami czasce.

On był skończony, zużyty...

Ha! — westchnął ciężko i zabierał się do dalszej zadumy.

Ale lokaj uchylił drzwi i oznajmił:

— Już przeszło godzinę pan hrabia się kąpie.

Homel się zerwał, jakby w pełnym śnie obudzony.

— Godzinę? godzinę? Tyle razy cię prosiłem, byś mi nie pozwalał tak długo się

kapać! — zawołał z wyrzutem.

— Myślałem, że pan hrabia śpi — odparł lokaj tonem, który zdradzał jego

uprzywilejowany do pana stosunek.

— Prosiłem, byś mię w takim razie budził.

— Mówi pan hrabia zawsze — odparł śmiały Karol najpoważniej, ale z uśmiechem

enigmatycznym, — że tyle człowiekowi dobrego, co prześpi...

Homel spojrzał zrazu zirytowany. Natychmiast jednak ochłonął.

Wyskoczył z wanny

i przeszedł do gotowalni, gdzie przystąpił do ubierania się. A w ciągu toalety

rozmawiał z Karolem.

Tualeta ta nie była tualetą eleganta, ale człowieka, dbającego o siebie, o tę

czystość, będącą cechą ludzi wychowanych w angielskich zasadach porządku i

czystości. Olbrzymi stół złożony o czarnym marmurowym blacie zajmował niemal pół

pokoju, będące-

go ubieralnią hrabiego. Drugą połowę zajmowała kolosalna gdańska szafa,

rzeźbiona w czarnym dębie, nadająca temu pokojowi jakiś wygląd poważny i

staroświecki, jakąś arystokratyczną cechę minionej przeszłości.

Stół stanowił wraz ze swoim nakryciem całą meźką gotowalnię.

Pokryty był

najróżniejszymi przedmiotami, służącymi do utrzymania ciała w należyтым stanie.

Wszystkie te drobiazgi były stosunkowo olbrzymie, jakby specjalnie robione i zastosowane, do wzrostu Homla. Tak jednak nie było. Hrabia zanadto był szerokiej natury, by wchodzić w te drobiazgi. Lubił tylko wszystko duże, a żona jego ztąd twierdziła nawet, że miał "mania grandiosa". Wielkie flakony z nadnaturalnymi szczotkami ubiegały się tu o miejsce wśród puzder z brzytwami i innymi drobiazgami. Lustro stanowiła duża płyta zwierciadlana, uchwycona w niewidzialne łapy; obok niej stały dwa kandelabry ze swemi świecami, dowodzącymi, że nie były tylko ozdobą, kandelabry, będące dziełami sztuki, mogące ozdobić salon stylowy pierwszego cesarstwa, złożone z wysmukłej kolumny doryckiej, spoczywającej na piedestale z trzech misternych sfinksów. Dalej miednica, jakby wykuta w wielkiej bryle marmuru, dzban takież...

Wszystko to zdradzało w posiadaczu swoim człowieka gustu i lubownika piękna w jakimś szerokim zakresie. Nie było tu tak modnego, tak poszukiwanego "bibelotu" w właściwym słowa znaczeniu, bo popielniczkę do niedopałków papierosów stanowiła wielka wydrążona bryła malachitu, a perfumy mieściły się w cudownej srebrnej urnie o dziwnie wysmukłej, wyniosłej i wykwintnej formie. Ta ubieralnia była jakby odłamkiem jakiegoś muzeum, tyle w niej dominował zbieracz nad elegantem. Zdawałoby się iż jej posiadacz perfumował się dlatego

tylko, by uchwycić w rękę ten srebrny, prawdziwy pompejański flakon.

A ściany harmonizowały ze stylem umeblowania. Pokryte były obrazami, jak gdyby bez nich i ubierać się nie było można, jak gdyby oko właściciela tego pałacu zbyt ucierpiało, gdyby gdziekolwiek spoczęło na gładkiej banalnej ścianie.

Vis a vis krzesła renesansowego, na którym się golił Homel, wisiał portret ślicznej kobiety, od której mało co się dzisiaj różniła hrabina. Był to portret, niepospolity pędzlem, bardziej niezwykły artystycznym upozowaniem modelu i jakby zastosowaniem go do tego pokoju. Kobieta w mitologicznej zarzutce, trzymała lustro ręczne w dłoni, w

którym jakby dopiero co się przejrzała i nad wrażeniem zastanawiała. Na reszcie ścian, o ile wolnemi były od framug drzwi i okien, zakrytych ciężkimi portjerami, wisiały w nieporządku pracowni, w braku symetrii gabinetu, ale w artystycznym rozkładzie inne obrazy, zdradzające głębokiego i namiętnego miłośnika sztuki. Nad rzadkim sztychem, przedstawiającym hrabinę Kozel w postaci Dyany, wisiała kopia słynnej Magdaleny Battoniego. Pod dużym płótnem, wyobrażającym "tualetę Wenus", wisiał śliczny portret króla Stanisława Augusta w szlafroku, nieznanym nawet z reprodukcji, a nieomylnie pędzla Lampiego. I już dla harmonii miejsca, dla zasłonięcia ścian, w niekoniecznie odpowiednich

miejscach, wisały dwa kartony Andriollego, przedstawiające jakieś sceny rodzajowe, jakby ilustracje do jakichś utworów belletrystycznych. Hrabia ubierał się gorączkowo, zdradzając w tem czynnego i nerwowego człowieka, podszytego sybarytą i anemikiem. Karol dalej w swym sposobie zachowania się uwidoczniał swój stosunek faworyta do pana. Opowiadał mu różne wypadki pałacowe, zaszłe dnia tego, tajemnice stajni; robił nawet uwagi nad służbą i rzucał poglądy na rzeczy. Homel słuchał niby, ale widocznem było, iż o czem innem myślał.

Wtem dal się słyszeć dwukrotny, odległy, przeciągły dźwięk dzwonu, zwanego "gongiem"
Hrabia się zerwał.
— Obiad!—zawołał, —obiad podają. Spóźniliśmy się.
Mówił to nie z przekonaniem, jak gdyby mniej wielką przywiązywał do akuratności wagę, niżliby ją chciał wpoić w Karola.
Ubieranie się było skończone. Karol roztworzył drzwi, i Homel wyszedł, mijając dalsze pokoje. Przeszedł kilka sal, tworzących jakby przedłużenie ubieralni, tak wszędzie były z tym samym smakiem i zbytkiem urządzone, w tych samych prawidłach sztuki umeblowane. Wszędzie ściany zakrywały obrazy przedniego pendzla, przeważnie portrety stare, ale świetnie utrzymane, nadające, jak tylko one to umieją, apartamentowi tę arystokratyczną cechę. Mówiły o świetnej przeszłości w

tych murach, o pobycie tu ludzi, którzy się czuli w obowiązku
zostawiać po sobie
swe kontrefekty, którzy przechodzili przez życie, hołdując modzie,
pozując i
uśmiechając się wypogodzonymi obliczami. Może i cierpieli, ale
portrety o tem
nie mówiły, tylko odtwarzały różne wiążące się z sobą epoki,
przypominały
wiznowi dzieje, wypadki...
Wszędzie meble starożytne, ciężkie, massywne, bogate, rzeźbione,
potrzebujące
pała-

cu, któreby były ciężarem w egzystencji zwyczajnego śmiertelnika.
Wszędzie te szczegóły, zdradzające amatora-kollekcyonistę,
namiętnego miłośnika
piękna i prozepopei. Wszędzie konsolle i kolumny z wazonami i
biustami, żyrandole
kryształowe i zegary brązowe, i "Boul" japońszczyzny, i sewry,
makaty i materye
staroświeckie.
Wszędzie to wszystko, co się nieda zebrać w harmonijną całość, bez
wielkiego
talentu, który daje tylko pewne arystokratyczne poczucie piękna w
dzieciństwie
zaszczepione i od dzieciństwa kształcone.
W trzeciej komnacie Homel zastał swą żonę.
Kobieta, która swą pięknnością w Ujazdowie uderzyła Bonara, nie
dobiegała jeszcze
trzydziestej wiosny i była w rozkwicie swej urody, u zenitu
sformowanej
kobiecości.
Błada brunetka o drobnych rysach regularnych, ale nie tyle, by
zimnych —
zastanawiała wyrazistością otwartej fizyonomii i blaskiem
niezwykłym czarnych

oczu. Były to sztylety, nie oczy — mawiał Homel, gdy lat temu
dziesięć starał
się o piękną Wandę Opalińską, gdy świat cały stolicy zbiegał się do
salonów, w
których jako narzeczeni występowali. Były to i dziś jeszcze sztylety,
nie oczy
błyskotliwsze, wyrazistsze, choć się Homlowi zdawało, że przygały i
straciły
ten wdzięk,

te siłę, która go w swoim czasie przykuła, onieprzytomniła do tego
stopnia, że,
aby jej czaru stale doznawać, zapomniał o swoich co do posagu "sine
qua non"
wymaganiach.
Hrabina wydawała się dnia tego podrażnioną. Homel zaraz to
zmiarkował i,
siadając na angielskim fotelu, przy stole, zawałonym książkami o
żółtych
francuzkich publikacyj okładkach, wziął się do czytania tomu,
przepełnionego
wielkim nożem z kości słoniowej.
Była to jego książka, którą tu stale czytywał o tej godzinie, między
jednym a
drugim odezwaniem się gonga, o porze, w której często pierwszy raz
w dniu
spotykał swą żonę.
Zaledwie spoczął oczami na wierszach książki, noszącej czerwony
duży tytuł
"Confessions", hrabina go zagadnęła:
— Robisz się nieznośny, poprostu un ours. Nie widuję cię całymi
dniami, a gdy
się ze mną znajdziesz w chwili podawania obiadu, chwytasz za
książkę.
Mówiła to tonem, jakby wyzywającym burzę, jakby żądającym
odpowiedzi,

eksplikacyi.

Homel spojrział zdziwiony. Tym manewrem usiłował już oddawna
onieśmielić żonę,

występującą coraz częściej z jekiemis bezzasadnemi pretensyami.

— Wogóle, nie wiem, pogoś się ożenił, —

ciągnęła dalej hrabina, tonem zdradzającym osobę nie w ciemną bitą i
nie bojącą

się zapomnieć języka, człowiek z twojem usposobieniem nie powinien
się żenić,

chyba, że chce zrobić żonę nieszczęśliwą, comme une pierre... Hrabia
spojrział

osowiały, oniemiały ze zdziwienia, wyglądającego doskonale udaniem,
a pani Wanda

ciągnęła z odcieniem sarkazmu w melodyjnym i wibrującym
dźwięczną siłą głósie:

— Do zbierania obrazów, do hodowli koni, do musztrowania lokai,
do zaprzęgania

trójek, czwórek i piątek, żona ci nie była zupełnie potrzebną.

Powinieneś był

się ożenić z Karolem, z którym spędzasz więcej czasu, niż zemną.

— Z Karolem! — sarknął hrabia, wybuchając śmiechem, —
zapewne, ale musiałbym

być na to Neronem. To jedyny przykład w dziejach.

Hrabina, jakby się bojąc, by małżonek jej nie wpadł w ton sarkazmu,
którym

najczęściej zręcznie parował jej ciosy, podchwyciła:

— Albo z portretem! z portretem! z tym oto portretem! — wołała,
pokazując na

ścianie obraz przedstawiający upudrowaną damę z czasów Ludwika
XV.

Nastało milczenie, skoro hrabina się śmiać przestała. Homel po chwili
zaczął,

skubiąc swój miękki wąs:

— Tobie się zdaje, że małżeństwo jest niekończącą się lune de miel.
Tymczasem,
samo to nazwania miodowych miesięcy — "lune" dowodzi że czas nie
dłuższy trwają
od pełni księżyca.

— Ach! jakiś ty genialny w tłumaczeniu etymologii słów! Ale ja tu o
żadnym
księżycu nie mówię i powrotu żadnej pełni nie chcę...

— Hrabia wtrącił, ciągnąc:

— Tymczasem inaczej się dzieje. Są może wyjątki, są jacyś podobno
mężowie,
których ktoś dowcipny porównał do szwedzkich zapalek. I żałuję, że
do nich nie
należę.

— Hahaha! — roześmiała się pani Wanda swym wesołym,
wyzywającym śmiechem, w
którym grał żal wszelakoż, — zdaje mi się, iż żadną zapalką nie jesteś,
nietylko
szwedzką!

— Tem smutniej dla mnie i tem więcej też męczyć mnie muszą twe
wieczne
pretensye, że nie jestem nadskakującym, rozpalonym, wiecznie
gorejącym mężem —
amantem.

— Ach! Boże uchwaj! Do czegożby to było podobne, gdyby taki
pan, jak ty,
antykwarz nudny i zamyślony, jakiś pisarz, chciał być amantem?
Boże, uchwajże
mnie...

Hrabia, usiłując powstrzymać śmiech, znów podchwycił.

— Więc zkadże te napady ni ztąd ni zo-

wąd. Te tony sarkastyczne, te pretensye i persiflaże? Męczą mnie one.

— A żebyś wiedział, jak mnie męczą... — Co?

Hrabina nie znalazła odpowiedzi na języku i ztąd się rozgniewała naprawdę.

Błysnęła oczami i wlepiając je w twarz męża, po pauzie dopiero odparła:

— Co? Ten mąż, ten pan który jest niby mężem, a który myśli o wszystkim, tylko nie o żonie!..

— Wszakże dopiero co zastrzegałaś sobie z mej strony troskliwość, mającą coś wspólnego z troskliwością kochanka...

— Ależ bądź tylko przyzwoitym i uczciwym!

— Uczciwym?

— Czy myślisz, że nim jesteś może? Czy sądzisz, że wywiązujesz się ze

wszystkich obowiązków, skoro siedzisz na tym fotelu i czytasz "les confessions",

lub zjesz obiad, narzekając, że nie odpowiada twej kompleksy trawienia, będącej

u ciebie, jak u tej starej panny, o której dopiero co czytałam, dramatem?

Hrabia zmarszczył się. Nie lubiał, gdy dotykano fizycznych stron jego ustroju.

— Co ty chcesz odemnie? Zachodzę w głowę, co znaczą te napady...

Urwał, bo w tejże chwili dał się słyszeć japoński dzwon, oznajmujący podanie

obia-

du. I równocześnie doleciały go z salonu głosy gości pałacowych, którzy

wchodzili drzwiami od tarasu.

— Chwała Bogu! — zawołał, wstając, —

radzę ci serjo zrobić tego roku kurację w Ujazdowie. Jesteś zagrożona chorobą.

Bałbym się na twem miejscu w czasach, w których histerja jest modną.

Podbiegł do wchodzącej panny Kolońskiej i, podając jej ramię, ciągnął:

— Radzę właśnie mojej żonie kurację w Ujazdowie.

— Byłażby chorą? Wanda? la santé mème?

— Zdaje się. Robi mi sceny podobne do napadu Napoleona na Rossyę, ni ztąd, ni z owad, bez przyczyny, bez pretekstu...

— Oh! — zaśmiała się pulchna, mała, wesoła blondynka. — Czyż pan byłbyś tak głupym, by chcieć, iżby kobieta pana informowała o pretekście. To, to właśnie, co ona najwięcej ukrywa.

Znajdowali się w sali jadalnej, gdzie dalszy ciąg sceny małżeńskiej rzeczywiście

byłby nie na miejscu w dekoracyi najczystszej renesansu, na fotelach, podobnych

do konfesyonałów. Ale śliczne oczy hrabiny jeszcze rzucały pioruny. Nie znosiła tego peu de cas, jaki mąż jej

zdawał się sobie robić z jej pretensyj, tego sposobu obracania ich w żarty,

wydrwiwania ich.

Siadając zawołała:

— Jeśliby kto potrzebował kuracyi, to człowiek, który w dziewiętnastym stuleciu

każe ludziom siadać na takich maszynach torturowych, dobrych do zapleśniałych

muzeów, chowających pamiątki po waryatach minionych wieków.

Homel pobladł; jeżeli czego nie znosił widocznie, to krytyki swoich zasad i

pomysłów. Rzucając piorunujące spojrzenie na żonę, ale tonem spokojnym,

naturalnym, na który się wysiłał, bo drgało mu w głosie, zawołał po francuzku:

— Certainement! Są osoby, bardzo nieodpowiednie do stylowych mebli!

Pani Wanda poczerwieniała, bo nie miała odpowiedzi.
Nastąpiła cisza, jedzenie zupy, pozwalające pannie Kolońskiej zebrać
myśli, by
nadać inny ton obiadowi, wszczętemu wśród pocisków nieskończonej
scyssyi
małżeńskiej.

III.

Na obszernem i porządnem podwórzu gospodarskiem, wśród nowych
murowanych
budynków, wśród narzędzi rolniczych i wozów, wśród kręcących się
tu i owdzie
ludzi i zwierząt, stała młoda kobieta, wyglądająca z figury i oblicza na
lat
dwadzieścia wieku.
Ubranie jej stanowiła perkalowa, skromna, ale z kokieterią
uwydatniająca jej
wzrost wysmukły, suknia. Uwydatniała ona i cienką figurę, okrągłe
ramiona i
piękny biust. Wydawała się ta kobieta na tem podwórzu ciężkiem, jak
wszystko, co
ma styczność z ziemią, jakby zjawiskiem. Była punktem, ściągającym
wzrok,
najmniej się spodziewający tutaj spotkać uroczą i tej sfery niewieścią
postać.
Rozmawiała z mężczyzną, zgarbionym i ogorzałego oblicza, który
zbyt silnie
przypominał wszystkie cechy swej sfery, by mógł być kim innym, jak
staroświeckim
ekonomem tego majątku.

Rozmawiała z nim wykonywając jedną ręką jakieś gęsta spokojne i
tak eleganckie,

jakby mówiła w salonie do salonowca. W drugiej ręce trzymała
roztoczoną białą
dużą parasolkę, mającą ochraniać jej twarz od ukośnych promieni
opadającego
lipcowego słońca.

Ale zapomniała się i to gorące jeszcze, lecz już nieparzące,
zachodzące lipcowe

słońce pełnym snopem ciskało promienie w samo jej oblicze.

To oblicze było ślicznem, nie będąc pięknem w stylowem słowa
znaczeniu.

Nadzwyczaj młode, wesołe, naiwne, składało się z najpospolitszych
szczegółów,

nieuderzających niczem każdy z osobna. Oczy siwe, włosy ciemne,
cera biała i

świeża, nosek, uszy proporcjonalne, jak w paszporcie...

A to oblicze czarującym było i każdy się pytał, gdzie czar się gnieździ,
skoro

nie jest na każdej twarzy pospolitym gościem.

Usta nawet duże, długie, powinnyby być szpetne, gdyby rysunek ich
nie opowiadał

cudownych rzeczy o naiwnej duszy tej istoty i gdyby nie odkrywały
za każdym

uchyleniem się wszystkich przedziwnych, białych i pięknych, choć
najpospolitszych zębów.

Jakiś śmiejący się naturalną wesołością, a nie złościwością, wyraz
twarzy, coś

marzenia w oczach; dużo dobroci i zmysłów w

ustach, moc prostoty i harmonii we wszystkim, składało się na
wrażenie, jakie

robiła ta kobieta.

— Wiec wieczorem — mówiła Janina Bonar do ekonoma, —
przyjdiesz pan i powiesz

mi, co zamyślasz sobie przez te kilka dni mojej nieobecności robić.

Sądzę, iż

powrócę przed początkiem żniw; a proszę pana byś był troskliwym, byśmy się

niepotrzebowali wstydzić, gdy pan wróci.

— A pan prędko wróci? — podjął głosem troskliwym ekonom.

— Niewiem. Jadę go zobaczyć. Kuracją dobrze mu robi... Ja będę bawić

jaknajkrócej, bo się boję o dom... o dzieci.. Zresztą i tutaj...

— Niechże jaśnie pani nie zapomni się spytać, gdzie mamy siać pszenicę

czerwoną, a gdzie złożyć jęczmień...

Zamyśliła się i zmartwiła prawie.

— Jak to źle, gdy się nie wie o wszystkim. Dowiem się, byłem nie zapomniała.

Ruszyła z miejsca i ciągnęła do idącego ztyłu mężczyzny, jakby się czującego w

obowiązku przeprowadzić ją przez gumno.

— A pamiętaj pan o moich kurkach, na "Jeziorkach", by nie zdziczały, a

wierzchowiec pana, by nie schudł.. Pszenicę pod lasem trzeba najpierw żąć, a

cielę od krowy "Krasuli", chyba już odstawić... ?

— Odstaaawić...

— Ogrodnik się upije, a sad oberwą. Kaśka w kuchni nie dosiedzi. A miej pan też na kredens oko.

— Ooko...

— Po konie do stacyi zatelegrafuję. Żeby mi obora nie schudła, a cieleta, panie...

— Cieeeleeta.

Byli już u furtki, prowadzącej z gumna przez ogród do dworu, którego białe

kominy i części murów przeglądały przez luki i wierzchy gęstego i młodego

ogrodu.

Janina, z elegancją, będącą w naturze jej postaci, z lekkością kobiety jakby wiedzącej, że obowiązkiem płci pięknej jest wdzięk każdej chwili i w każdym ruchu, uchyliła furtki i znalazła się w ogrodzie. Była kontenta, ale pobudzona. Tejże nocy jeszcze miała jechać do Ujazdowa, miała zobaczyć kochanego męża, który onegdaj pisał: "Tak się, koteczko, za tobą stęskniłem, że pluń na wydatek i obowiązek i przyjedź." Musiał się stęsknić skoro tak pisał poczciwy Tadeusz, który "pluł na wydatek", by ją tylko widzieć, z którym od dnia zamążpójścia nie rozłączyła się nigdy na tak długo, jak obecnie. Bo to już od trzech tygodni bawił w Ujazdowie, a doktorzy straszili go, że go potrzymają trzy miesiące.

Miała jechać do Ujazdowa. Miała jechać cały dzień, zanim go zobaczy — Tadeusza. I Ujazdów ją nęcił. Często czytała o nim w gazetach, jak się tam bawiono, jakie miłe gromadziło się tam towarzystwo. A ona nic zgoła nie znała z tych rozrywek, za którymi przepadały jej rówieśniczki. Hrabina Wiktorya, jej sąsiadka, nie rozumiała lata bez sezonu u wód, w Karlsbadzie, w Ostendzie, od biedy w Kaltenleutgeben... A Ujazdów, to polski Kaltenleutgeben, — mówiono.

— Ale cóż ona miała się porównywać z hrabiną Wiktoryą! Ona była przecie pracownicą, obywatelką do chowania dzieci i kur, a tamta — wielką panią do zabawy.

Szła dalej wygracowanymi ścieżkami ogrodu i myślała.

— Raz rozeszła się wieść, że hrabina Wiktoryą miała romans w Karlsbadzie z jakimś Rosjaninem. Ona się wtedy dopiero dowiedziała, że w tych miejscowościach, zdawałoby się, od chorób, a nie od romansów, trafiają się mężczyźni do romansowania... Ona nigdy w żadnym Ujazdowie nie była... a hrabina Wiktoryą... Choćby nie tylko ona, wielka pani, ale Ewa, jej kuzynka co roku jeździła do Marienbadu, a Lorka co roku gdzie indziej... Dlaczegoż jej życie inaczej płynęło?

Znalazła się na rozstaniu dwóch ścieżek; jedna prowadziła do domu, druga

nawracała w głąb ogrodu. Przystanąła.

Co robić? We dworze Zygmus poszedł z boną na spacer. Mania spała z pewnością.

Panna służąca prasowała jej letnie suknie. O pakowaniu mowy być jeszcze nie

mogło. Dlaczego ona żadnego dotąd nie znała Ujazdowa?

Skreśliła na ścieżkę, znikającą w gąszczu młodej osiny i leszczyny, którą własną

ręką sadziła lat temu sześć, i myślała z oczami opuszczonymi przed siebie.

Ona była co innego. Siedemnastoletnią panienką, wychowaną starannie w domu

zamożnym, ale bez żadnego posagu, bo było ich rodzeństwa siedmioro, wziął

Tadeusz, ukochany Tadeusz, pierwszy prawie mężczyzna, jakiego lepiej poznała i

i... ostatni, Czyż od dnia ślubu widziała ona kogo, w kimby się mogła zakochać?

jak hrabina Wiktorya w tym Rosjaninie? Zresztą, romansy były rzeczą wielkich

pań, a nie takich, jak ona. Czyżby się jej mógł już kto podobać po Tadeuszu?

Przystanęła, jakby bezwiednie, i zapuściła bezmyślny wzrok w stronę, roztaczającą śliczny widok. Stała na wzgórku, a ponad wierzchy leśnej młodzieży, dobijającej się między sobą o ciepło i światło słońca, mi-

gotało cudne zwierciadło czystego stawu a za nim — szmaragd łąki. Ale ona patrząc nie widziała nic. Żywo jej w oczach stanęły pierwsze chwile

poznania Tadeusza, które lubiła sobie przypominać. Te wspomnienia ile razy ją nagabnęły przeżywała je myślą całe.

Ruszyła dalej.

— Ten Tadeusz, jakże się on jej wtedy oświadczył zabawnie, niespodziewanie...

Szli razem na spacer, wyprzedzili o wiele całe towarzystwo. Wtem nagle Bonar

zapytał: "Zmęczyła się pani?" "Nie" odparła. "A długoby tak pani szła?" "To

względne" — odrzekła — "dokąd? z kim?" "Zemną, do końca życia?" Stanęła,

spojrzała nań, zrozumiała dopiero po długiej pauzie i... rozpląkała się...

Jakaż ona była głupia, jaka głupia..

— I poszła z nim "na całe życie." Już siedem lat mijało, jak szli razem, często

zmęczeni, często o przyszłość trwożni, ale zawsze weseli... szczęśliwi...

Przystanęła nagle.

— Czy ona była szczęśliwą? Oh! chyba była. Tadeusz taki dobry, kochający,

wesoły, Zygmusł taki śliczny, wdał się w ojca zupełnie. Interesa się poprawiały,

ciężary zmniejszały, Bonarka zagospodarowywała; Tadeusz założył chmielarnię, jej

obora da-

wała co rok dwa razy więcej. Lat temu trzy, dwa,.. Rok temu, gdy o tej porze właśnie wypadało zapłacić dług Silbermana, czyżby Tadeusz był jej napisał swym odrębnym oryginalnym stylem: "pluń na wydatek i przyjedź." Wszakże niedawno musiał jej odmówić sukni z taniego muślinu, prosząc: "Janinko złota, weź na powstrzymanie, a zato sobie kupisz później jedwabną, litą!... " "Weź na powstrzymanie!" jaki ten Tadeusz był zabawny we wszystkim! Styl miał odrębny, taki naturalny, prosty, a nie rubaszny, ani ordynarny. Jakże się cieszyła, że go zobaczy! Ona się bardzo ucieszyła z tej wycieczki do Ujazdowa. Dwie drogi się znów rozchodziły. Jedna prowadziła do dworu; druga, także się kręcąc w ogrodzie, prowadziła do dworu. Przystanęła, pomyślała i ruszyła dalej. — Jeszcze czas miała. Podwieczorek mógł się opóźnić, choć mechanik, co naprawiał młocarnię, był tak regularny jak zegarek. Zdawało się jej, że słyszy Tadeusza "pluń na mechanika" Mechanik brał dziesięć złotych dziennie. Jeśliby przez nią zmitrężył choćby pół godziny, to czyniło jeden złoty. Ten zbytek mogła sobie pozwolić. Zwolniła kroku. — Ona się bardzo cieszyła z tej wyciecz-

Zerwała się.

Jakże ona głupią była! To ją martwiło, drażniło, smuciło niemal, jak
nieszczęście, ja' co miała Tadeusza, ja, co powinna była dawno być w
domu dla
podwieczorku Zygmunta, który powrócił ze spaceru, Mani, co się
obudziła,
mechanika, co próżnował!
Przyśpieszonym krokiem śpieszyła do domu.
W takim jednakże Ujazdowie muszą bywać ludzie takiego samego
gatunku, jak ci, za
którymi goniła hrabina Wiktorya, jak ci, których admiracją taką łuną
szczęścia
kрасiła oblicze pani Leontyny..
Była już przed dworem.
A dwór ten mógłby być nazwany pałacykiem, gdyby miał cokolwiek
pretensyi,
cokolwiek z tego, co często byle domostwu nadaje cechy pańskiej
rezydencyi. Dom
ten, z pawilonami piętrowymi, czysty, cały zdradzał przeciwnie
prostotę gustów i
przyzwyczajień swych mieszkańców. Otwory mogły być powiększone,
tynki
urozmaiczone, dachy spłaszczone i z tego skromnego i wygodnego
domu zrobiłby się
łatwo pretensjonalny pałacyk. Ale nawet dążenia ku temu trudno
byłoby się
dopatrzeć w Bonarce. Owszem, zdawało się, iż właściciel tego
nowego domu,
stawiając go, miał na myśli skrupulatne uniknięcie wszystkiego, coby
mu nadało
inną cechę, niż tę, jaką nosił.

A nosił on cechę wiejskiego gniazda naszej postępowej i komfortowi
coraz
bardziej hołdującej epoki O zbytku mowy niebyło, nie wyzierał on
znikąd, ale za

to na całym podwórzu, w otoczeniu tego białego domu, znać było
codzienną
troskliwą opiekę kobiecą, codzienne pańskie oko. Dach pokrywała
nietknięta
warstwa smołowcu, tynk nigdzie nie odlatał, rynny nigdzie nie
puszczały
niszczącej wody. A klomby bzu i jaśminu, kwiaty na gazonie,
pospolite, ale
zdrowe i rozrosłe, begonie, georginie i lewkonie, te przyjaciółki
obywatelskich
siedzib, wypędzone z pałaców, mówiły o troskliwej opiece
kobiety. Ścieżki
wygracowane, kanty trawników obcięte, chwasty wyplewione,
mówiły o pilnującej
tych porządków, że była ona miłośniczką tego piękna, które w swej
prostocie
nigdy nie zdumiewa, ale nigdy nie nudzi.
Przez werendę, pokrytą dzikiem winem wchodziło się do
przedpokoju, będącego w
wiejskich, a może i wszystkich dworach jakby barometrem moralnym
dusz, które w
nich mieszkają. Nie salon, nie jadalnia powie ciekawemu gościowi,
jacy ludzie w
tym domu mieszkają. Ale powie to dokładnie przedpokój, zdradzając
często
ukrywane cnoty i wady jego mieszkańców
Pokój to był nieduży, obity jakimś tuzin-

kowym papierkiem, ale znikającym w towarzystwie niezmiernej ilości
kwiatów,
które się mieściły tutaj, ugrupowane niemal w artystycznym układzie,
najwidoczniej kobiecą ręką codzien zmieniane i ustawiane. Na
podłodze biegł
zwyczajny chodnik. Na ścianach wisiały dwa wielkie i pospolite, a
mimo to

niebanalnie znane sztychy w dużych dębowych ramach. Jeden z nich przedstawiał "

Kazanie Skargi."

Lustro, szaragi, kilka stołków z trzciny japońskiej, wypełniało tę komnatę, z

której troje prowadziło drzwi, na oścież otwartych. Środkowe do salonu, gdyż

przez drzwi widziałeś w nim fortepian i stół mahoniowy z lampą; prawe do

gabinetu pana, gdyż stało w nim wielkie dębowe biuro; lewe do jadalni, gdyż z

teżę dochodziło stukanie porcelany, jaką właśnie ustawiał chłopak kredensowy,

który, ujrawszy panią przez okno, ostatnie naprawiał zapomnienia. Janina tu weszła.

Wielki jesionowy stół, nakryty ceratą, pokrywały talerze, filiżanki i naczynia,

zdradzające dom liczny i niebezdzienny. Zwyczajne trzcinowe wyplatane stołki i

bufet jesionowy, stanowiły całe umeblowanie tej komnaty, która u ludzi tego

samego świata, u jednych bywa najskromniejszą, za ledwie

w stricte nécessaire zaopatrzoną, u drugich najkosztowniejszą, ze swymi

gobelinami, rzeźbionymi bufetami i srebrami.

Srebra były i tu, te srebra wyprawne każdej polskiej szlachcianki, rozpaczliwie

jednostajne i brzydkie. Stały one na jesionowym bufecie, na półkach, po obu

bokach głównej szafy, rzadko rozstawiane, gładkie, ale czyste, podług których

znawca stosunków polskich dokładnieby określił sferę, cyfrę posagu i wszystko,

dotyczące osoby, która je w ten dom w wianie wniosła.

Dwa kandelabry, pochodzące z epoki pierwszego cesarstwa, pozostałe po babce Janiny, dominowały na półkach, które nie ugięły się pod ciężarem dwóch koszyków, kilku dzbanuszków i lichtarzy, cukierniczek i solniczek. Ale te solniczki, których było cztery, zatrzymywały wzrok znawcy, bo były one identycznie takie same, jakie zdobiły zawsze stół Napoleona I, muszle, niesione przez łabędzie na rozpiętych skrzydłach. Przeważnie więc były to srebra z pierwszego cesarstwa, pozostałe po babce w domu, która w wyprawie dla wnuczki dokompletowano niezgrabną cukiernicą i kilkoma innymi sztukami, służącymi na to chyba, by podnieść spuściznę po babuni, by zaznaczyć ostatnią epokę, w której i solniczka niema była jeszcze artystycznie ponętą.

Janina rzuciła okiem na stół i zagadnęte wyrostka.

— Spóźniłam się. Mleko dla Maniusi? Dla Zygmunia? Kawa dla bony? A samowar?... — mówiła roztargniona i dodała z

przestrachem — a mechanik pewnie już czeka?

— Wszystko przyrządzono. Mechanik dopiero co przyszedł...

Oddechnęła. Tadeusz tak nie lubił, by rzemieślnik na co czekał!

— Zadzwoń! — rozkazała.

Chłopak wybiegł na werendę i zadzwonił. Dzwonił niedługo, bo pierwsze odgłosy

dzwonka odniosły skutek. Jak huragan wpadł Zygmunt, za nim bona z Maniusią, za

niemi inni i student, który spędzał w Bonarce wakacje, a uczył czytać Zygmunia,

i stara niańka Janiny, pani Maryanna, którą wzięła od rodziców w posagu, i która

pomagała jej w prowadzeniu domu; i stary daleki wuj Tadeusza, który u niego zamieszkał. Wszyscy ściągali wszystkimi drzwiami, wypełniając tę komnatę, okalając ten stół, który się robił coraz podobniejszy do dziewięciu dziesiątych stołów naszych dworów i dworków. Janina zajęła swoje zwykłe miejsce, ale nie odzyskiwała swego zwykłego usposobienia.

— Janinka nie w humorze, — odezwał się też wkrótce wuj Bonara, pan sędzia

Telecki, staruszek o siwych oczach, drobnych rysach, o pomarszczonem i pooranem, ale zdrowem rumianem obliczu, przykładając rękę do ucha, gestem człowieka, który nie dosłyszy, a wiedząc o tem, odpowiedź usłyszeć pragnie. Janina spojrzała na "wuj" swym pogodnym wzrokiem, w którym błysnęło jakby rozdrażnienie. Rzeczywiście to pytanie staruszka ją podrażniło.

Pierwszy raz irytował ją cichy "wuj". Samą ją to dziwiło, ale nie odpowiadała.

— Janinka nie w humorze — powtórzył Telecki, w sympatycznym uśmiechu pokazując źle umeblowane usta i pochylając się w kierunku głosu spodziewanej odpowiedzi, tym donośniejszym i wyróżniającym organem głuchych. — Dla jakiej przyczyny?

owszem, Janinka cieszyć się powinna. Za moich czasów, u licha, damy bardzo

lubiły jeździć do kąpieli morskich i niemorskich, do szprudłów, Karolowych warów

i innych tam lich po świecie. Owszem... owszem...

Janina się zamyśliła. I za jego czasów damy lubiały te miejscowości, jak hrabina

Wiktorya i pani Leontyna.

Stary ciągnął:

— Wprawdzie wtedy nie było, u licha,

jeszcze jakichś zakładów zimnej wody, której, do licha, mamy w Bonarce, ale to

musi być jedno lichu. Haaa?

Nadstawiał lewego ucha i czekał odpowiedzi Janiny, która wreszcie rzekła,

głośniej, niż zwykle:

— Więc i za wuja czasów, damy lubiały takie zakłady?

Staruszek z wyteżoną uwagą słuchał i dosłyszał, bo po krótkim namyśle odparł:

— A! lubiały, lubiały, u licha. Szprudle i wody były bardzo w modzie. Wszakże

czytała Janinka, Jaktu jeszcze za czasów Götheo, Mickiewicza, romansowali w

Karlsbadzie... A cesarzowa Eugenia, czyżby była cesarzową, gdyby nie takie u licha...

— Jakie?

— Takie... nooo... takie, jak te, gdzie Tadeuszek teraz siedzi!

— Ujazdów?

— Ujazdowy! Ujazdowy! Zawsze zapominam, u licha.

Janina znów się zamyśliła. Cóż to było wogóle, te miejscowości, skoro tacy, jak

"wuj" nawet, o nich wiedzieli i przedstawiali je jako raje kobiet.

Gdyby tak ona

w Ujazdowie znalazła kogoś, coby się w niej zakochał? Jakby się Tadeusz wobec

tego zachował? Jak to w ogóle wyglądało? Byłoz to wrażeniem? Jeśli było

wrażeniem, to dla-

czegoż jedne kobiety wrażeń tych miały zaznawać do syta, a ona?...
Ależ ona była warjatką! Co jej do głowy przyszło? co się jej wciąż po
głowie
majaczyło? Jak w jej kurniku były kury, co codziennie ją niosły, tak
były i
takie, u których zdarzało się to rzadziej, a była jedna, co najwięcej
jadła, a
jaje od niej, jak mówiła pani Maryanna Rachejska, należało do
rarytasów. Ona
była z tych kur nośnych, pojmujących obowiązek i zadanie...
— Kochana Maryanno — zwróciła się do starej pani, siedzącej przy
samowarze i
pilnującej czajnika, — nie uważałaś, czy kura czubata niesie się teraz?
Pani Maryanna wysoce się zafrasowała.
— Nie uważałam, moja złota paniusiu, nie uważałam, — powtórzyła,
jakby się
przyznając do zbrodni.
Janina upuściła i ten temat, nie podnosząc go wcale. Była
roztargnioną. Czyżby
ją ten wyjazd tak rozstroił? Być mogło. Ona rzadko wyjeżdżała. Do
Warszawy po
sprawunki, do rodziców na święta. Ale ona była najzupełniej dziś nie
sobą. Nie
pytała się dotąd, jak spała Mania, jak się udał spacer Zygmuśowi...
Zamyśliła się nad tem.
Nagle wstała ku ogólnemu zdziwieniu. Wuj, który ją znał zawsze o tej
godzinie

szczególnie rozmowną i wesołą, pani Maryanna, która spodziewała się
długiej
konferencji nad tem, co się podczas jej nieobecności w jej zakresie
dziać miało,
zdumieni.

— Niema nic gorszego — myślała Janina — jak myśleć nad
czemkolwiek, nad tem, co

się słyszało, czy widziało, nad tem, co się widzieć miało. Zkąd to jej do głowy przychodziło!

— No! — zawołała — nie mam czasu z wami na tery fery, muszę się pakować, mam masę do roboty...

Rzeczywiście, postanowiła zajęciem się rozpedzić te głupie, "takie głupie myśli," które jej po głowie przelatały.

— Ah jej! — krzyknęła swym dźwięcznym głosem, — moja jedyna wieczorowa suknia, Maryanno! zapomniałam mojej czarnej sukni. Trzeba ją obejrzyć, odprasować!

Wszakże — zapytała, zwracając się do wuja — w takim Ujazdowie może się trafić wieczór?

— Haaa?

— Niewie wuj, czy w Ujazdowie bywają zabawy i wieczory? — zapytała głośnie.

— A jakże! bywają, u licha. Bywają assamble, tańczące nawet. W Busku, gdy

byłem temu będzie, u licha, lat... dwadzieścia... A może i więcej.

Kiedyż to

było, u licha? Janinko, musisz wiedzieć, odkąd Romiatowscy nie żyją ze sobą?...

— Chyba więcej, jak lat dwadzieścia, bo odkąd go pamiętam...

— A więc nie omyliłem się. Wtedy właśnie w Busku rozeszli się...

— W Busku? — zapytała z ciekawością młoda kobieta.

— W Busku, u licha. Zbałamucił ją ten baron narwany, ladaco... pamiętam ładna

kobieta, ani się jej śniły romanse, ale taki baron, u licha, jak zagiął parol...

Biedna kobieta!

— A więc i w Ujazdowie może się bal trafić?

— Niezawodnie.. niezawodnie... — odparł staruszek.

— A więc, moja Maryanno, zajmij się tem! Ja mam tylko tę jedną wieczorową suknię.

— A ślubna? a niebieska?...

— Zwarjowałaś, Maryanno! to dawno wyszło z mody.

— Z mody! — powtórzyła rozpaczliwie przejętym tonem Maryanna.

— Z mody, u licha, — powtórzył i wuj, który dosłyszał, jak się to czasem trafiało, rzeczy nie wprost do niego skierowanych, — bo to te mody... zakłady hydroa... tyczne... jak żyję, nie słyszałem.. jak żyję... u licha!..

IV.

Było to -go Lipca.

Uroczysty dzień w Ujazdowie, bo każdego -go miesiąca, zwyczajne zebranie

kuracuszów w wielkiej sali przemieniało się w formalny bal, jakich w ciągu

sezonu kilka zawsze bywało.

A na taką miesięczną fetę zjeżdżała się zwykle cała okolica dalsza, przybywała

nawet z Warszawy młodzież, zjeżdżali zdaleka epuzerowie, jeśli w Ujazdowie

bawiły jakie heritierki lub znane piękności, ściągało mieszczaństwo z najbliższego gubernialnego miasta.

Piękna sala kurhauzu, przerobionego ze starego i ślicznego pałacu po Tarłach,

wyglądała wspaniale i nadawała zabawie cechę niemal wielkowiejskiego balu.

Panowie we frakach i białych krawatach, panie dekolowane, w modnych letnich

wieczorowych sukniach; których zaś stać niebyło na hołdowanie modzie, te w

balowych tualetach, z kufków powydobywa-

nych na te Ujazdowskie bale. Inne znów, nie chcąc być posądzane o przykładanie zanadto wielkiej wagi do tego rodzaju wieczorów, przywdziały spacerowe suknie, ale strojne i gustowne. Razem to wszystko czyniło całość ponętą, sympatyczną. Bawiono się nieraz doskonale w tej sali, gromadzącej najrozmaitsze żywioły, bo rekrutującej przeważnie swych gości z pośród kuracuszów, a choroby nie wybierają klientów w pewnych ekskluzywnych sferach. Bawiono się więc nieraz doskonale w tej sali, która często gęsto widziała sześćdziesiąt par i więcej, uwijających się w skocznym mazurze, która słyszała niejedno silniejsze uderzenie serca, niejedne ciche, ale wymowniejsze i gorętsze szepty. A różnorodność elementu, tworzącego ten świat, dużo się przyczyniała do pomnożenia ilości i gatunku zabawy. Te przeróżne typy zdrowych i chorych, ta mieszanina ludzi, których chwilowo troska o zdrowie w tym salonie łączyła, a którzy jedni z drugimi nic wspólnego często nie mieli, przyczyniała się wielce do urozmaicenia, będącego jednym z warunków zabawy. Bawili się i ci nawet, którzy tutaj przybywali bez zamiaru wzięcia udziału w walcach, kadrylach i mazurach, którzy nieraz

cierpiący, starzy, dawno już "dobranoc" powiedzieli tańcowi i szeptom.

Bawili się ci widokiem, typami, postaciami, nigdzie tak nie urozmaiconymi, tak ciekawymi, tak oryginalnymi, jak w zakładach leczniczych, ściągających swą publikę jużto z większego, jużto z mniejszego, nie miasta, nie kraju, lecz świata.

Do tych ostatnich należał najwidoczniej i hrabia Homel, który dnia tego znalazł się w sali, ku wielkiemu zdziwieniu pana Joachima, i który, obrawszy sobie miejsce we framudze okna, siedział tam i spokojnym wzrokiem spacerował po sali.

Przybył on, towarzysząc swej żonie i pannie Kolońskiej, które w tej chwili

walcowały po sali. A może przybył zabawić się obserwacją, w swej roli

powieściopisarza, bo często uśmiech ironiczny przebiegł mu po złośliwych ustach,

nieokrytych cieniutkim wąsem, bo często głębiej się zamyślał i wzrok bystrzejszy, przenikliwy, dłużej na jakimś punkcie sali zatrzymywał.

Nikt mu nie

przeszkadzał, bo rzadko kto z nim się witał i mało kto z nim dłużej się zatrzymał. Ile razy ktoś go zagadnął, hrabia bardzo grzecznie

odpowiadał, ale

widocznym było po jego minie niezadowolenie czy nuda. Często w tym zgiełku

ludzi, przesuających się około niego, spuszczał oczy, jakby nie chcąc czy kogoś

widzieć, czy kogoś do witania się z sobą zachęcać.

Swobodnym i zadowolonym zdawał się tylko wtedy, gdy tłum brał ogólny udział w

tańcu, gdy mógł być pewnym, że go nikt nie zagabnie.

Ale mimo tego, iż się uwadze uchylał, najwidoczniej był zauważony.

To tu, to

owdzie w sali pokazywano go sobie, przypatrywano mu się baczniej,
niż innym
śmiertelnikom. Jego wyniosła i arystokratyczna postać, jego
inteligentne
oblicze, okraszone to uśmiechem ironii, to grymasem dumy
pogardliwej, nie mogły
przechodzić niepostrzeżone.
Hrabia zdawał się wiedzieć o tem, iż należy do tych postaci, mających
szczęście,
czy nieszczęście, być zawsze i wszędzie zauważanemi. Bo ile razy
jaki ciekawy
wzrok spoczął na nim, jakby instynktownie go odgadywał, i jakby z
pewną wprawą w
tych wypadkach, odpowiednio się układał.
Wtedy się nieco prostował i zmarszczki zamyślenia z czoła spędzał,
jakby mu
zależało na wydaniu się jeszcze pięknym i młodym mężczyzną.
Wtedy zaciskał nieco
usta i brwi podnosił, jak gdyby pragnął jeszcze powiększyć
sfinksowatością swej
fizyognomii zaciekawiające wrażenie, jakie sprawiał. Wtedy oczy
jego przybierały
głębokością swej

przenikliwości prawie niesympatyczny wyraz który uwydatnić się
starał. Wtedy
twarz jego stawała się tak kameleonową, iż tem samym dłużej
zastanawiała i
silniejsze budziła zajęcie.
Homel zdawał się o tem wiedzieć.
Od chwili już wzrok jego jednakże utkwiał z taką ciekawością w
jednym
przeciwległym punkcie salonu, iż z pewnością zapomniał o
przyzwyczajeniu
pozowania dla tłumów. Oparty łokciami na wysokich i chudych
kolanach, wychylił

się połową ciała z framugi i, bawiąc się jedną ręką dwoma złotymi
pierścionkami
na palcu drugiej, trzymał wlepione spojrzenie, wyteżone, nie
zaciekawione, lecz
zajęte, nie obserwujące, lecz zahypnotyzowane.
I w tej chwili rzeczywiście mógł uderzyć całą indywidualnością swej
fizycznej i
moralnej postaci. Cała ta postać w czerni, lecz nie we fraku, z temi
dłoniami
śnieżnie białemi i jeszcze bielszemi przy zlocie dwóch obrączek, z tą
pracą
myśli, pełnej głębokości i spokoju na wyrazistem i pięknem swą
niepospolitością
więcej, niż regularnością rysów, obliczu, wychylona z framugi okna,
przykuwała
wzrok, który ją uchwycił.
Patrzył nieruchomy, ciągle w tym samym kierunku, ciągle obejmując
wzrokiem
kobietę, która tam stała.

A kobieta ta, w czarnej jedwabnej sukni, ubranej koronkami,
ubarwionej kilkoma
czerwonemi kokardami, nie zwracająca niczyjej uwagi swą urodą,
rozmawiała w tej
chwili z wielkiem ożywieniem z Tadeuszem Bonarem i dyrektorem
zakładu, doktorem,
panem Staromiejskim.
Ten ostatni mówił, głaszcząc swą siwą brodę, ze swą zwykłą dla dam
kurtuazją,
swym potoczystym i harmonijnym, choć zawsze lekko zachrypłym
głosem:
— Trafiałaś, pani, na najlepszą w sezonie chwilę. Poznasz Ujazdów u
zenitu jego
dorocznej karyery, a i zabawić się możesz. Ot! dziś mamy pierwszy
bal,

rzeczywiście bal. Cała okolica! nikogo nie brakuje. Nawet Homla
widzę... Znasz

go pan, panie Tadeuszu?

— Znam.

— Doskonale, — ciągnął doktor, wodząc niespokojnym wzrokiem po
sali, ale

mimoto, nie przerywając wątku informacyi, powinienes zapoznać twą
żonę z

hrabiną. Ot! jak tańczy — mówił, wskazując na przesuającą się
nieco dalej parę.

— Homlowie przyjmują co tydzień.. Bawią się u nich dobrze. A warto
i dom poznać

i,..

— Chyba nie hrabiego, — wtrącił Bonar.

— Już ci jakichś głupstw nagadał poczciwy pan Joachim! —
podchwycił Staromiej-

ski — hrabia jest bardzo miłym człowiekiem,
tylko go znać trzeba.

Janina, która tych stów z uwagą, kobietom tylko właściwą, słuchała,
długo

przyglądała się ślicznej, wystrojonej postaci hrabiny, wreszcie
wtrąciła:

— Naturalnie, bardzo chętnie... A pokażże mi, Tadeuszu, hrabiego,

— zwróciła

się do męża.

— Nie widzę go, nie widziałem go. On nie bywa na balach...

— Ale gdzieżtam, — obruszył się doktor, klepiąc poufałym ruchem
Bonara po

ramieniu. Od kwadransa przygląda się twojej żonie, a ty nie widzisz.
Niema to,

jak mężowie, — zaśmiał się do Janiny i oczami wskazując jej Homla,
ciągnął, — ot

tam siedzi. Spozrzegł się, że o nim mówimy, bo dopiero teraz zwrócił
oczy w

inną stronę. Odkąd tu gadamy, pożerał panią wzrokiem. Ot, widzisz pani, co to

nasz Ujazdów! Dopiero co przybyłaś i już zrobiłaś konkiętę!

To mówiąc, oddalił się.

Janina objęła wzrokiem Homla. Po chwili zagadnęła męża:

— Nie mówiłeś mi nic, żeś poznał tych państwa?

— Wszakże ci mówiłem, że u nich bawi Kolońską.

Janina się zamyśliła. Tak! mówił jej to, ale mówił w ten sposób, iż inaczej

sobie wystawiła tego hrabiego, którego wzrok na sobie uczuła w ostatniej chwili.

Inaczej go sobie wystawiła, tak inaczej, iż teraz, przyglądając mu się, nie

połapała się w toż samości nazwiska. O ile jej się hrabina podobała, o tyle

Homel nie z pierwszego rzutu oka.

— Wiesz co, Tadeuszu, — zagadnęła — skoro już tu jestem, to wolę się zabawić i

poznać, co poznać warto. Zapoznaj mnie z hrabiną!

— Wszakże równa racya, — odparł Bonar, — by on się przedstawił tobie. Nie lubię

nadskakiwać hrabiom. Gotów pomyśleć, iż mi zależy...

Wtem Janina, która znów utkwiała wzrokiem w tym, którego, zdaniem doktora,

zafrapowała, zobaczyła, jak w tejże właśnie chwili, kuzynka jej, Kolońska,

siadała obok hrabiego.

— Ale! — zawołała — wszakże musimy się poznać, jeśli Mańcia u nich bawi!

— A więc też poczekaj, jak samo się to robi.

Równocześnie panna Kolońska zagadywała Homla, siadając na miejscu, które jej

robił.

- Wyglądasz pan, jak natchnony. Wczórr ten dat panu jakieś pomysły, jakieś szkycy, może poweści! Przed chwylą wydziałem pana tak obserwującego, iż przestałam mieć wyrzuty, żem pana na ten wieczór namówiła.

— Najśluszniej. Bardzo miłą chwilę właśnie spędziłem, obserwując jakieś niezwykle zjawisko kobiece. Dziwny czar bił z jej pospolitej piękności oblicza, dziwna harmonija tkwiła w jej postaci!

— Któż to? — zapytała wysoce zaciekawiona kobieta.

— Nie wiem! Rozmawiała z kuzynem pani i doktorem. W tym momencie zginęła mi z oczu.

— Ciekawam! ciekawam! Jeżeli pana zafrapowała, jeśli pana porruszyła. Mais montrez la moi donc!

Oboje wodzili oczami po sali.

— Może ta blondynka, co sedzi tam, pod lustrem? Jest ślyczna — pytała panna

Kolońska — zauważyłam ją zaraz.

— Oh! nie, pani. Ta blondynka jest bardzo piękną, ale mi nic nie mówi. Ja

żadam, by twarz kobiety mi opowiadała, by mi opowiadała bez końca, bez miary, by mnie zaciekawiała, by mnie...

— I pan znalazł taką? tutaj? w Ujazdowie? taką, coby imagynację pana polechtała?

— Widzi pani. Jest tu taka. I musi to być kobieta...

— No?

— Enfin quelque chose de distingué, d'hors ligne! Patrz pani! — zawołał

przejętym głosem — ta, tam, pod drzwiami, stoi z pani kuzynem, z tym, z tym... z

tym Bonarem, je l'oublie toujours...

Panna Kolońska zrobiła minę zdziwioną, zdumioną, połapawszy się w jednej chwili

z jej tylko właściwą szybkością kobiecej ciekawości.

— Ta? tam?

— Ta!

— Ha! ha! ha! — Otóż mogę panu zaręczyć, że niczem mniej nie jest tem, co pan o

nej przypuszczasz! Une femme hors ligne, ha! ha! Je vous croyais plus fin que

ça. Ta? ta pani w czarnej sukni?

— Ta!

— Z rzędem perełek na szyi?

— Ta!

— Ze swą minką, de petyte provinciale?

— Ta!

— To jest żona mojego kuzyna, pani Janina Bonarowa, która dziś rano przybyła

odwiedzić męża. Jakkolwiek to moja kuzynka, elle n'est Hen moins, que femme hors

ligne. Najzwyklejsza sobie parrafyjanka, gaska, nieładna i niesprytna. Ale,

zadzywasz

mnie pan. I to ma być obserwacja powieściopisarza? pana?

— Przecież nie powiedziałem pani, — odparł spokojnie irytującej się pannie,

Hojnej- że to jest un esprit fort, ani une mondaine.

— Powiedziałeś mi pan więcej, że jest bors ligne.

— I obstaję przy swoim — wycedził hrabia słowo po słowie, litera prawie po

literze, obejmując wzrokiem, jakby mającym wydać ostateczny wyrok o kobiecie,

Janinę Bonar.

— Ha! ha! ha! Poznasz ją pan? — zapytała, (wstając.

— Naturalnie!

— Vous m'en direz des nouvelles!

— Potwierdzą tylko! — zawołał Homel, ruszając z miejsca, — przedstawże mnie jej

więc pani, bym corychło mógł wiedzieć, o ile mnie mój wzrok myli.

— Tymczasem...

Nie dokończyła, bo byli już o kilka kroków od stojących razem, zwyczajem

parafijańskim, jak jeszcze szeptała Kolońską, Bonarów.

— Hrabia Homel, moja kuzynka Bonarowa — rzekła Kolońską. Janina z naturalnością, będącą w jej naturze, a nie pochodzącą z obycia

światowego, podała rękę hrabiemu, jakby dawnemu

znajomemu. Z pierwszych słów Homla, z bałamucącą go narazie swobodą, wzięła

assumpt do rozmowy, którą prowadziła z wprawą osoby, jeżeli nie obytej z

salonem, to mającej doń instynkt.

Mówili o niczem z tą łatwością, wyradzającą się natychmiast między różną płcią,

jeżeli kobieta czuje, że jest sympatyczną swemu interlokutorowi,

jeżeli czuje w

jego wzroku tak głęboki i schlebiający jej interes, jaki w tej chwili

Janina

czuła we wzroku hrabiego.

Ale Bonar, poczuwający się w obowiązku nieopuszczania żony,

znalazł się wnet

między nimi.

— Jakto? Jużście się państwo poznali? — zapytał swym naiwnym i dobrodusznym

tonem i spojrział na hrabiego wzrokiem, w którym już ani połowy nie tkwiło tej niechęci, jaka zwykle w Bonarze przy spotykaniu się z hrabią widniała.

— Jakże, — odparł Homel, serdecznie ściskając dłoń Tadeusza z takim uśmiechem, który się liczył do najrzadszych gości na jego zawsze zafrasowanem i zamkniętem w sobie obliczu. — Jakżeby? Dowiedziawszy się, że żona pana przybyła go odwiedzić, czempredzej się prezentowałem. Zwrócił się do Janiny, ale obojętnie, jak gdyby cały zapas swej uprzejmości posta-

nowił dla Bonara zatrzymać i mówił z tą łatwością i swobodą, przerażającą niemal ludzi, nieobytych ze światem i przywykłych przywiązywać wagę do zdań i słów:

— Bardzo dobrze pani zrobiłaś, odwiedzając męża. Kilka razy w parku w Ujazdowie spotykałem go, bardzo nadskakującego pięknociom sezonu.

Bonar, jakkolwiek wierutnem mu się to zdawało kłamstwem, uśmiechnął się z miną przystojnego i wiedzącego o tem chłopca. To kłamstwo sprawiało mu przyjemność.

— Tadeuszkule! — szepnęła poważniej i jakby z wyrzutem Janina. Po ustach Homla przebiegł uśmiech, dostrzegalny chyba wielkiemu znawcy jego duszy. Objął kobietę oczami, w których się czytało, że tłumaczy sobie psychicznie ten jej wykrzyk, że wyciąga zeń setki wniosków i dokumentów. Ciągnął dalej, nie zważając na Bonara, usiłującego się tłumaczyć, wciąż z tym wyrazem seduktora na twarzy.

— Niech pani mu nic nie wierzy. Widziałem na własne oczy. A może wie pani, że jestem kawałkiem romansopisarza?

— Jakżeby! Czytałam nawet...

— A więc mam oko wprawne, wprawniejsze. Zresztą, czyż o tem panią, panią, z której aż bije taka luna kobiecego, łagodnego sprytu, potrzebuję przekonywać.

Przecież pani wie, że jej mąż jest trop bel homme, by w takim Ujazdowie nie obudzać zakazanych myśli, jeżeli nie sentymentów. Otóż radzę nie opuszczać go już tutaj, tem więcej, że sezon, zdaje się, będzie świetny i pani będziesz mogła się pomścić...
Janina, tak rozmowna dotąd, tak rozweselona, milczała. Homel temi ostatniemi słowy ją onieśmielił i zamyślił. Odrazu był jej sympatyczny, jak kobiecie jest sympatyczny każdy, który się nią choć w mikroskopicznej dozie zajął. A doktor ją uprzedzał, że ją pożerał oczami; a ta prezentacya tak nagła?... A te ostatnie słowa? Jej nikt nigdy, nikt z tych, których znała po kilka lat, nie mówił o jakiejś "łunie, bijącej z jej oczu". Nikt w ten sposób nie zawierał z nią znajomości. Nikt tak na nią nie patrzył, z taką przenikliwą pewnością siebie, z czemś w oczach, czego nie czytała, ale co na niej robiło wrażenie jakby wchodzenia w posiadanie jej istoty. Potrzebowała sobie przypomnieć, że tego człowieka dopiero co poznała, gdy wreszcie otworzyła usta i — umilkła. Ona tak mu jeszcze odpowiedzieć nie mogła.

Po chwili rzekła:

— Mylisz się pan. Nie wierzę, by mi Tadeuszek nawet w myśli popełnił niewierność? tak, jak jabym nie potrafiła...

Patrzała mu prosto w oczy, temu człowiekowi, który, po kwadransie rozmowy z nią, tak ją zajął, tak bawił, tak intrygował, iż truchlała, by się nie oddalił i z cierpieniem usiłowała znaleźć coś, coby go rozmową utrzymało. A po ustach hrabiego przebiegał w tej właśnie chwili, gdy kończyła swoje ostatnie słowa, uśmiech tak ironiczny, a zarazem łagodny, pobłażliwy, iż zdawał się jej być umyślnie przez niego przywołanym, by go zauważyć i zrozumieć musiała. Jeszcze wie. cej była zaintrygowana. W swej naiwności kobiety, z którą nikt nigdy dwuznacznej nie prowadził rozmowy, w swej wiejskiej swobodzie, nie umiejacej w błyskawicznej rozmowie zastanowić się nad słowem, zanim ono z ust wyjdzie, zapytała:

— Nie wierzysz pan?

Hrabia w jednej części sekundy zmienił, jak kameleon oblicze i odparł poważnie:

— Wierzę, wierzę najzupełniej!

Ale to potwierdzenie jeszcze więcej zastanowiło Janinę. Widziała, iż było wygłoszonem przez innego człowieka, niż tego, który ją do zapytania zmusił i... i... zdawało się jej, iż było wygłoszonem nie dla niej, tylko dla jej męża.

Gdy ochłonęła, hrabia, wymieniwszy kilka stów z Bonarem, oddalił się.

Równocześnie zbliżył się do niej pan Joachim, zaintrygowany
niezwykłą
uprzejmością Homla, zwykle unikającego prezentacyi i rozmów z
kobietami, w swej
roli cicerona, jaką dotąd spełniał przy Tadeuszu, a teraz, od rana, objął
przy
Janinie.

— A więc poznałaś pani Hrabiego. Będziesz należeć do fet, które
mają mieć
miejsce w Mikulińcach?

— Tak! poznałam.

— Znajdujesz go pani?

— Bardzo mi się podobał. Pan Joachim spochmurniał.

— Ha, ha, — bąknął, — może się podobać, zapewne... paniemdzieju,
tylko mnie to
dziwi, dlaczego on tak się pani zaraz prezentował, dlaczego tak długo
rozmawiał,
dlaczego, pamdzieju, taki był przyjemny, o ile zdaleka wymiarkować
mogłem, jak
go nigdy nie widziałem.

Janinę znów zdziwiły słowa pana Joachima.

— Dlaczegoż to pana dziwi? Znajac Tadeusza, uważał za stosowne...

— Ale, pamdzieju, — przerwał pan Joachim, poprawiając okulary, —
bo to pani nie
zna hrabiego, jak ja, lat dziesięć... On się nikomu nie prezentuje, tylko
tym,
co musi, lub jakim wielkościom...

— Może mnie wziął za wielkość. Bonarowie podobno na...

— On z nikim tak nie rozmawia — ciągnął dalej pan Joachim. — To
nie taki zwykły
człowiek, jak inni. Znam go, pamdzieju i obserwuję. Oni tu nikogo
prawie ni e

znają. Przyjeżdżają ze swoim towarzystwem, żyją w swoim towarzystwie, nie prezentują się nikomu z Ujazdowskich kuracjuszy, a znają tych, których znali skąd inąd. Hrabina jeszcze... Ale on, pamdzieju, dziwak... pycha... arystokrata!

A przytem zdaj e mu się, że i pisarz wielki... pamdzieju. Przytem mówiono, że kobiet nie lubi, a tu z panią rozmawiał z dobre pół godziny... obserwowałem go.

On mnie interesuje. I jak rozmawiał? Przymiłał się, pamdzieju!... Janina się jeszcze bardziej zastanowiła. Jeżeli ją zajął hrabia, to temwięcej,

po tych słowach pana Joachima zajęcie się zdwajało. Kobiety szczególnie lubią

podobać się tym, którzy uchodzą za nieczułych na ich wdzięki.

Uważają to za

wielki i prawdziwy tryumf. Nic dziwnego, myślała Janina, usiłując sobie

wytłumaczyć dziwne wrażenie, jakie mu ulegała po poznaniu Homla, że mnie

zastanowił, skoro sposób jego bycia zemną zwrócił uwagę i doktora i pana

Joachima!

— Może dlatego, — odparła po długiej pauzie, — wyjątkowo jest dla nas grzeczny,

że przecież Mańcia Kolońską, która u nich bawi, jest bliską kuzynką Tadeusza.

— Aaaa! pamdzieju! — zawołał pan Joachim. — A ja się tak namordowałem, chcąc dociec do sęku..

Ale to tłumaczenie nie podobało się Janinie. Czyżby pan Joachim nie widział, że

jest kobietą, mogącą się spodobać komu wyjątkowo więcej? W tym zgiełku ludzi,

przymilających się wzajemnie, w tym tłumie, którego hasłem były
próżności
salonowe, i ona uczuła się niemi zarażoną, owianą.
Zasmuciło ją nawet tłumaczenie pana Joachima. Ale wtem uczuła pod
swojem
ramieniem miękką rękę kobiecą. Obróciła się. Była to Mańcia,
zmęczona tańcem,
rozpromieniona i, jak zwykle, ciekawa tą ciekawością, którą się z oczu
czytało.

— Jakże cy sę podobał Homel? — zapytała.

— Bardzo.

— Barrdzo? powtórzyła Kolońską, wpatrując się w oczy Janinie,
wyjątkowo
zaciekawiona i pobudzona.

— Bardzo; naturalny, przystojny, rozmowny... Ale, czy nie
znajdujesz, iż
wypada, bym ja się zaprezentowała hrabinie?

— Naturalnie. Myślałam, że już to uczynił Tadeusz. Chodźmy,
przedstawię cię.

Przystanęły. Panna Kolońską szukała oczu-

mi hrabiny, a szukając, pytała z największą niedbalością towarzyszkę:

— Powiedz mi, coście mówili z Homlem?.

— Nic! tak, jak się rozmawia w salonie!

— Il naime pas Ia conversation banale!

— Ale ją prowadzi doskonale.

Hrabiny jeszcze nie dostrzegła swemi roztargnionemi oczami,
zadzierając główkę

do góry, by widzieć, mimo swego małego wzrostu i mówiła:

— Nie uwerzysz, jak byłam cekawa, coście mówili, bo nie widziałam
Homla tak

pobudzonego, jak, gdy przed chwilą rozmawiał z tobą. Mnie, j' ai beau
faire des

efforts, zbywa niczem. Podobałaś mu się.

— Oh! całkiem mi to jest obojętnem...

— No! no! nekłam. Naprzód nigdy to nie jest obojętnem kobiecie. A powtóre, jeżeli ci jest obojętnem, to się tego głośno nie mowy. To parafiańszczyzna nie być czułą na sukces. Skompromytujesz mnie tem, jako kuzynkę. Gdy się idzie w świat, to się zostawa w domu wszystkie cnoty, legalne myłości, wszystkie parafiańskie rrupecie choćby dla powrócenia do nych nebawem. Ale! ot Wanda! Starajże się zapomneć, żeś żoną Tadeuszka, panią na Bonarrce, i bądź une femme du monde...
Janina słuchała szczebiotu kuzynki z miną, zdradzającą iż do niego przywykła.
Znała

ona na pamięć jej poglądy i sposób pojmowania życia, a często, w rzadkich chwilach występów światowych, uważała ją za nieocenioną mentorę i doradczynię.
To też bez najmniejszej obrazy dowiedziała się, że Mańcia ją uważała za parafiankę.
— A więc mnie musztruj! — szepnęła ze śmiechem, zanim się jeszcze zbliżyły do pięknej pani Homel. Luna od niej biła piękności i wielkoświatowej elegancji.
Janina uczuła się pierwszy raz w życiu onieśmioną, ona, swobodna i naturalna, jak nikt. Ale bo też genre. hrabiny był niepospolity. Prostotę, otwartość, wesołość, łączyła z aplombem, jakby w dumie czerpiącym swe siły, ze światowością, pozbawioną wszelkiej maniery, ale właśnie swą wrodzoną

naturalnością w pierwszej chwili onieśmielającą. Czuło się, że ta
kobieta
urodziła się, wzrosła, dojrzała en plein salon, w którym niepoślednie
zajmowała
miejsce, w którym zresztą nie nauczono jej, w poczuciu swej siły,
zbytnej
uprzejmości.
Ten brak uprzejmości, a raczej jej maniery, na pierwszy rzut oka
studził osobę,
pociągana do niej jej pięknnością i elegancją, jej obliczem otwartem,
promieniejącem i sympatycznym.
Przywitała się niedbale z Janiną i zaraz odwróciła się do bawiącego ją
młodzieńca.

Janina uczyła się prawie dotkniętą tym sposobem zachowania się pani
Wandy.

— Nie jest uprzejmą twa przyjaciółka, —
szepnęła do Kolońskiej.

— To jej genre, zdaje się jej, że jest najuprzejmiejszą.

Hrabia, który już zajął swe miejsce w framudze okna, który nie
spuszczał oka z

Janiny, widział tę scenę i zauważył pomieszanie pani Bonar.

— Rzeczywiście, nie była światową — myślał, — a głupia Kolońską
z tej racji

odmawiała jej dystynkcyi i wyjątkowości. Nie zmienił jednak swego
zdania, choć

każda upływająca minuta pozwalała mu lepiej i głębiej poznawać tę
kobietę.

Podobała mu się... Podobała mu się choć... choć nie była światową, a
on nie

rozumiał, tylko trzy kobiety w ustroju społecznym: damę, artystkę i
chłopkę. Po

za temi trzema kategoriami nie istniała dlań niewiasta. Cóż więc
sprawiło, że go

fizycznie uderzyła, że mu się podobała nawet w swej naiwności,
nawet w swej

parafjańskości i gąskowatości, według definicyi Kolońskiej? Cóż to
znaczyło? ten
fizyologiczny u niego fenomen? ten całkiem nowy objaw? Janina
Bonar nie była
znów piękną, ani tak pobudzającą, by mógł przypuścić, że to w nim
przemówiły
jego zu-

żyte i uśpione małżeństwem, jak sądził, zmysły. Nie!
.
.

Cóż to więc było? — pytał, śledząc oczam; kobietę, obserwując każdy
jej krok,
każdy ruch, w każdej chwili wyraz jej oblicza...
Podobała mu się, podobała bardzo ta żona Tadeusza Bonara,
szczycąca się ze swej
wierności myśli nawet...
Nie poznawał siebie i przebiegał myślą swą przeszłość, azali w niej
nie znajdzie
analogicznego psychicznie wypadku. Nie! Wszakże z miłości poślubił
Wandę, która
reprezentowała dlań ideał kobiety, a która była biegunem
przeciwległym
Janinie...
Nie! to nigdy nie było jego genrem! Wprawdzie, raz, już po
ślubie,
zajął się był silnie panią Ewelina, dziwnie zrazu interesującą postacią;
kochał
się w niej trzy dni, dopóki się nie spostrzegł, iż interes był złudnym, iż
obiecowała to, czego dotrzymać nie była zdolną. Tutaj i to nie
zachodziło. Pani
Bonar była cała jak na dłoni, cała w swym naiwnym uśmiechu, w swej
wesołości
rozbawienia Ujazdowskim bale, w swej wierności dla "Tadeuszka,"
w swych

perekkach na szyi, w swem zapytaniu "nie wierzysz pan?" zapytaniu,
które go
pomieszało, lękał się by obudzić zazdrości męża, jeśli by ta tkwiła w
tym
Bonarze.

Podobała mu się z tem wszystkim, podobała jak młodzieńcowi, o ile
sobie
przypominał wrażenia te z tak odległej, jak mu się zdawało, pierwszej
młodości.
Podobała mu się fizycznie i moralnie, podobała, jako dzieło sztuki,
jako studium
najciekawszej kategorii.
Musiał sobie to przyznać, ku największemu własnemu zdziwieniu.
Nie pozostawało
więc nic innego, jak czekać pryśnięcia czaru.
Znał siebie i wiedział, że straciłby pogodny spokój swych
sybarytycznych dni,
gdyby mu się ta kobieta dalej podobała. Tego już nie przypuszczał.
Był za starym
na to. Czar więc prysnąć musiał. Nie pozostawało więc nic innego,
jak, nie
przyśpieszając tej chwili, zabawić się powracającą falą z morza
pierwszej,
zazdroszczonej, bałwochwalczo uwielbianej młodości, tego, jak się
wyraził Wiktor
Hugo, strumienia mleka i miodu, będącego

... *Le plus beau moment*
Que 'homme, ombre, qui passe,
Ait sons le firmament.

Przypomniał sobie te wiersze i cały zapął, z jakim ich się uczył, gdy
miał lat
dwadzieścia i cztery.

Jakiś niezmierny smutek pokrył jego oblicze, któremu w jednej chwili
przybyło
dziesięć lat wieku, jakaś niezmierna tęsknota

ogarnęła mu duszę. Ach! jakże on cierpiał, ile razy sobie przypomniał,
że
młodość minęła dlań bezpowrotnie, młodość niewyzyskana, młodość
zmarnowana,
młodość zgwałcona. Gdyby rok jeden mógł jeszcze mieć swój zapal i
swoje oblicze
z przed dziesięciu laty choćby, kto wie, czyby nie oddał życia,
Mikuliniec z
obrazami i łazienką, ekwipażami i ogrodem, kucharzem i usługą.
Rok? Możeby je
oddął za dobę, za godzinę, w którejby mógł jeszcze raz uczuć w piersi
ten
nadmiar uczucia, będącego może jedynie szczęściem, ten nadmiar,
rozsadzający
piersi, duszący w gardle, bijący, jak młotem, sercem. To było
niepowrotne. A
żadna powracająca fala nie uderzy z pierwotną siłą. Żadna odgrzana
potrawa nie
połechce podniebienia.
Schował w dłonie głowę, i zanucił szeptem tę wiecznie w takich
chwilach
powracającą mu piosnkę z "Ptasznika z Tyrolu", piosnkę, w której
widział
wyrażony genialnie nadmiar tęsknoty za uleciałem, a dobrze
zrozumianem życiem:
"Jeszcze raz, jeszcze raz zaśpiewaj mi."
— Ach! — westchnął tak ciężko, jak gdyby był skazańcem, i wstał.
Rozejrzał się,
zoczył Janinę, dopiero co wypuszczoną z objęć iakiegoś obcego mu
dansera i swym
pań-

skim, pewnym, nerwowym krokiem, zmierzył ku niej.
Janina widziała, jak wstał, szukał ją, i szedł prosto ku niej. Prawie się
ucieszyła. Ten człowiek, który tem tylko, że z nią mówił,
zaintrygował pana
Joachima i Kolońską, musiał być innym od wielu, a z pewnością
innym od
wszystkich, jakich znała. Ten człowiek, który był mężem
ośniewającej urodą
pysznej róży, bijącej gorącem tropikalnem egzotycznej rośliny pani
Wandy, a
który ją wyróżnia!, bo już wiedziała od Mańci o tem, interesował ją,
ba, nauczył
ją dziś dopiero, co to jest interesować się mężczyzną, niebędącym jej
mężem.
Zanim się jeszcze zbliżył, ona, ze swą naiwnością, która i tym razem
zachwyciła
swą nowością Homla, zrobiła mu miejsce obok siebie, nie
zastanawiając się nad
tem, czy Homel tego miejsca pragnie.
— Jakże jest piękną pańska żona! — zagadnęła go.
— Zapewne, choć nie dla mnie, bo ja już tego nie widzę — odparł
poważnie
hrabia.
— Ha! ha! nie rozumiem pana.
— Tem lepiej dla pani. Jakżebym gorąco pragnął, bym sam siebie nie
rozumiał.
Janina spoważniała. On to wypowiedział z taką powagą. On ją brat za
powiernicę
swych myśli, które ukrywać musiał. Jakieś

uczucie sympaty i podejrzenia, współczucia i przestachu ją ogarnęło.
On by
mógł być więcej pospolitym, mniej indywidualnym.

— Uprzedzono mnie, że pan jesteś oryginalnym, ale nie przypuszczałam, że do tego stopnia.

— Tę oryginalność widzisz pani w tem, że cię nie zbyłem na twoje zagadnienie banalnem słowem tak?

— Choćby w tem. Każdy mąż na świecie byłby...

— Ta oryginalność tym razem — przerwał hrabia — tkwi w tej okoliczności, żeś mnie pani dziwnie chwyciła za serce, żeś obudziła we mnie jedno z tych uczuć, czy wrażeń, które wykluczają banalne i kłamliwe odpowiedzi. Janina poczerwieniała. Ten hrabia kazał jej za szybkie robić skoki. On jej był sympatycznym, ale nie do tego stopnia, by mogła słuchać o uczuciu, które w nim obudziła. Zresztą, czyż to mogło być prawdą? A gdyby było prawdą, skądże ta niesłychana śmiałość? za kogo on ją brał? A gdyby to było prawdą, to Tadeusz...

Hrabia podchwycił, jakby odgadując myśli kobiety.

— Widzę pani zdziwienie. Otóż trzeba, byś pani się do mnie przyzwyczaiła. Jako autor, mam pewne prawa do żądania względów dla mojej indywidualności. Nie umiem

już dziś rozmawiać z kobietami, które mi się nie podobają... — urwał, popatrzał na oniemiałą Janinę i ciągnął, dodając z naciskiem i uśmiechem, — jako autorowi.

A gdy mi się podobają, to rozmawiam z niemi w sposób, który głębsze uczucia motywują i ułaskawiają.

— A gdyby im się ten sposób nie podobał?

— To bym czuł to wpierw jeszcze i do nich się nie zbliżał.

— A więc pan przypuszczasz, że sposób, którego zresztą próbkę tylko znam, mnie się podoba? — zapytała prawie z oburzeniem, które udać usiłowała.
— Tak pani! — odparł hrabia, patrząc jej prosto w oczy.
Pani Bonar się niewymownie zmieszała. Nastąpiło długie milczenie. Ona ważyła to wszystko i czuła się bardzo nieświatową, jakby powiedziała jej kuzynka. Nie miała znów odpowiedzi na odpowiedź, którą śmiało wywołała. Czuła swym instynktem kobiecym, iż miała przed sobą człowieka wyrafinowego pod każdym względem, iż go nie można było przez miłość własną zbyć banalnemi słowy, króreby z łatwością znalazła. Czuła, iż potrzebowała się do tego rodzaju rozmowy zaprawić. Nie wątpiła, iż gdyby była

nie dziś, tylko wczoraj poznała hrabiego, byłaby się już nie dała tak oniemić.

— Może się pan mylisz. W każdym razie podziwiam pańską śmiałość i...

zarozumiałość.

— Ha, ha! śmiałość! — zawołał hrabia, — nieszczęściem całej mojej młodości była

tak zwana ta timidité! Zarozumiałość? Zapewne! jestem nim, jestem nim w tej

chwili, jeśli zarozumiałością jest mówić kobiecie to, co się o niej myśli, jeśli

nią jest otwarcie przyznać, iż się już wie, że się jej jest sympatycznym, że

usłyszysz z ust jego to, coby z ust innych... może nie chciała słuchać.

Mówił to swym indywidualnym i miłym organem, właściwym przeciętnie ludziom myśli

i miłośnikom sztuki, czy piękna. Ten głos podbijał Janinę najwięcej w nim dotąd.

Czuła się nim jakby kołysaną wśród opowieści, mających jej otworzyć
oczy na nowe
horyzonty.

Przy ostatnich słowach hrabiego poczerwieniała, jak wiśnia. Ależ on
jej mówił,

że wie, iż się jej podoba, iż ją intryguje! Ależ ona temu zaprzeczyć
musiała!

Musiała, przez wzgląd na Tadeuszka, jeżeli nie na siebie. Tymczasem
milczała, a

Homel dalej ciągnął:

— Śmiałość i zarozumiałość! ha, ha! Śmiałość? w tem może, że do
pani inaczej
mówie, niż dziewięć dziesiątych szlagonów na-

szego kraju, niż dziewięć dziesiątych naszej złotej młodzieży. A
zresztą,

śmiałość tę pani sama wywołała.

— Ja?... — podchwyciła Janina z prawdziwym zdziwieniem.

— Pani! Gdy się ma takie oblicze, jak
pani, bardzo się jest ostrożną z mężczyznami, mającymi język od
tego, by mówić,

co myślą i czują, tem więcej, znów przypominam, z autorami.

— Moje oblicze...

— Tak, pani, ono wywołuje tę śmiałość i zarozumiałość. Mówi ono,
iż pani jest

bardzo dobrą, a więc zwalnia mię z obawy, byś nie była dla mnie
przykrą. Nie

potrafiłabyś być przykrą dla człowieka, któremu czujesz, że się
podobasz...

Hrabia urwał na sekundę, by może sprawdzić stopień gorących
rumieńców, które

oblewały raz po raz oblicze młodej kobiety, by może pozwolić jej
zorientować się

w tym potoku wymowy, głaskającej i muzykalnej.

— Dalej mówi, — ciągnął, — iż pani jesteś bardzo sprytną i
intelektualną. A

więc zwalnia mnie z obawy że nie będzie dla niej interesującym.
Łatwo kobieta
briuskuje człowieka, który ją nudzi. Ale ja jestem dla pani du nouveau
et de
l'incompris, więc mnie słuchasz do końca, nie przerywając dziś dla
jutra.

Janina w tej chwili już nie myślała się obrażać. Już więcej jej
powiedzieć nie
mógł ten człowiek, który był dobrze wychowany i zdawał się jej
bardzo subtelny.
Wszakże widział jej rumieńce. Narażać ją na silniejsze nie mógł
chcieć. Zresztą,
była zainteresowaną, szczególnie w tej chwili, gdy mówił o niej, o
niej,
analizując ją. Tej analizy jeszcze nie słyszała; nie próbował jej nigdy
ani
sąsiad z Wydmuchu, ani z Oborów. Dlaczegożby się nie miała
dowiedzieć, co
wyrażała jej fizjonomia, naturalnie interesująca, skoro zajęła, i to tak
zajęła
zblazowanego Homla.
— Dlaczego? — zapytała, gdy hrabia urwał.
— Dalej? Chcesz pani już dalej? — zaśmiał się Homel naturalnie,
tym śmiechem
nie banalnym, tylko koniecznie wypływającym z zabawnej uwagi,
którą w sobie, w
myśli robił. — Dalej, jesteś pani, jak każda kobieta ciekawą. Więc też
ciekawą
jesteś rozwoju tego uczucia, — tu znów wtrącił znacząco — wciąż
pani
przypominam, że jestem autorem — uczucia, które tak nagle, we mnie
obudziłaś,
taką luną oświeciłaś mi duszę. Luna! Pani się śmiejesz? z tego wyrazu
powieściowego? Luny bywają od ognia ze słomy i od ognia z dębiny.
Nie

powiedziałem pani, by to uczucie moje miało palne przymioty dębiny.

Urwał i objął Janinę, jakby troskliwie spojrzeniem pełnym głębokiej admiracyi.

— Uspokoiłś się pani i uwierzyłaś, że
kobieta nawet taka, jak pani, może słuchać o łunie z uczucia,
mogącego być
porównanem do ognia ze sterty słomy.

— Dalej? czy jeszcze jest dalej?

— Jest dalej; — odparł hrabia i ciągnął śpieszniej, ale poważniej —
jesteś pani
młoda, bardzo młoda, to znaczy świeża, to znaczy zdolną bardzo
łatwo się
zakochać, czy zafąć. A kobieta do tego zdolna nie oblewa zimną wodą
człowieka,
któryby jej coś o tej miłości może mógł powiedzieć nowego, choćby
dla niczego
więcej, jak dla przyjemności powiedzenia kiedyś wnukom: "Wtedy a
wtedy babunia
była tak ładną, iż się w niej zakochał na pierwszym balu pan X."

Szczególnie,
jeśli tym X-em nie jest pierwszy lepszy madrygalski.

— Tego chyba nigdy mym wnukom nie powiem.

Hrabia spojrział zdziwiony, fascynując ją wzrokiem.

— Czego? tego, że pani byłaś kiedyś bardzo ładną?

— Choćby tego.

Wtem zbliżyła się panna Kolońską i trąciła w ramię hrabiego, tak
zajętego

Janiną, iż jej nie widział.

— Wyjeżdżamy. Wanda nie chce pozostać do końca balu.

Hrabia zrobił ruch, jakby wstać zamierzał, a panna Kolońska ciągnęła
z złośliwym

wyrazem na całej twarzy:

— Nie wiedziałam, że pan tak przykuwasz do siebie Janynę, która szalenie lubi

tańczyć; nie ruszyła nogą, odmawiała danserom. C'est étonnant!

Pani Bonar się zmieszała, a hrabia podchwycił:

— Widocznie jeszcze woli od tańców wybadywać autorów, jak piszą swoje powieści.

Tu spoważniał i zwrócił się do Kolońskiej:

— Plaisanterie á part! Pani kuzynka niezmiernie dużo czytała.

Wstał i, ściskając dłoń Bonarowej, mówił:

— Jeżeli więc pani byś się bała słowa zamieniać w dębinę, to unikaj autorów, o

jakichśmy właśnie mówili.

Tu się zaśmiał i szepnął ciszej, tak cicho, iż go tylko dosłyszeć ona mogła:

— To tańcz lepiej.

W chwilę później Janina wychodziła z balu, tuląc się do Tadeusza.

— Bawiłaś się dobrze?

— Dobrze.

— Mało tańczyłaś? Czemże się więc bawiłaś?

— Rozmową z hrabią. Bardzo miły człowiek.

— Ale, jak widziałem, to się djablo zabierał do mojej Janinki...

Joachim nie

może się połapać. Dotąd mi mówił "pamdzieju" a dziś już walił "panie dobrodzieju" O czemżeście tak gadali.

Janina milczała, nie słyszała nawet zapytania, czyli raczej słyszała go, ale

taki chaos panował w jej głowie, taki chaos nowych, obcych jej wrażeń i myśli,

taka moc nasuwała się jej pytań, takie jakieś nowe migotały jej w oczach

zamglone horyzonty, iż nie była w stanie własnym swym głosem przerywać głosu

Homla, który jej w uszach wciąż niby melodią szeptał.

— O czemżeście tak gadali? — zapytał powtórnie Bonar.

— O... o literaturze.

To jedno słowo ją zbudziło, urwało illuzję szeptu hrabiego,
rozproszyło
zapytania, zamgliło horyzonty. Ona kłamała, ona pierwszy raz
kłamała Tadeuszowi.

— O literaturze! ha! ha! — zaśmiał się Bonar — a Joachim zachodził
w głowę o
czem. Prawda! ty czytujesz moc tych bazgranin bez sensu.
Zapomniałem.

Janina milczała. Pierwszy raz w życiu ranił jej uszy wesoly, grubawy,
monotonny
głos Tadeusza. Pierwszy raz słowa, któremi swą myśl wyrażał wydały
się jej nie
zabawne.
Parafijanka.

A hrabia równocześnie siedział na koźle breaku i powoził czwórką,
przy blasku
księżycy, odwoząc do domu swych gości. Ci goście siedzieli tam, w
pudle, za nim,
i śmieli się i gadali, jak najęci, a on sam na koźle usiłował oddzielić
się od
nich chińskim murem, nie przepuszczającym ich rozmowy, by mózdz
się lepiej skupić
i odtworzyć sobie spędzone chwile z Janiną, jej dziwny dlań czar i
urok.

Tak! Ta kobieta mu się podobała... Czy na długo? Jak i kiedy czar
pryśnie... I
on się jej podobał. On się mógł podobać jeszcze. A więc on mógł
jeszcze raz w
życiu odczuć to, za czym tak tęsknił. Jemu słowik "Ptasznika z
Tyrolu" jeszcze
raz mógł zaśpiewać.

.
.
.
.

.....

Wtem zbudził go z zadumy głos Kolońskiej. On powoził, by nie potrzebować mówić i słuchać, ale temu towarzystwu i jego jeszcze było potrzeba do bezmyślnej paplaniny.

— Panie Homel! słyszysz pan? wołała z pojazdu.

— Co?

— Co żona pana mówi o panu...

— Co?

— Mówi, iż panu się zawsze podobały tylko parrafyanki. — Taaak? — Nie przeczysz pan temu?

— Namysłam się.

— Ja bardzo jestem porrtée á le croire.

Wszak nigdy nie tylko ze mną pan tak nie rozmawiał, ale newydziałam pana nykym tak zajętego...

— Przesadzasz pani. Jesteś pani poprostu zazdrosną.

— Ach! ca non. O parrafyanke? Dla mnie parrafyanki c'est une espéce nie kobet.

Hrabia milczał.

— A pan? — zapytała.

— Dla mnie, pani, parafianką jest ta kobieta, która ma ciasny horyzont myśli.

Co

wy zaś dziś pod tem mianem rozumiecie, nie wiem.

— To samo! to samo! — zawołała, — parafia cały horyzont.

— To samo! — powtórzyła hrabina.

— A więc — zawołał Homel — wy wszystkie jesteście kolosalne i jedynie prawdziwe parafianki. Pani Bonar horyzontem jest parana, twierdzicie. To duże i różnorodne. Waszym horyzontem jest duszny jeden salon, pełny figurek z żurnalu

mód ostatniego miesiąca?

W odpowiedzi panna Kolońską wstała

w breaku. Była widocznie pobudzoną i rozdrażnioną czemś. Hrabia nie wiedział
czem, przypuszczał, że Belizarem, którego sprowadził dla niej, który tam, w
breaku z nią siedział, któremu może zaczynała się podobać. Wspięła się na
palcach, oparła się o poręcz jego kozła i zapytała cicho:
— Jestem tak ciekawa. Powiedz że mi pan czem się panu spodobała Janina? Umerram
z ciekawości!
— Cóż panią to może tak interesować?
— Jakiś pan zabawny! Wszakże uważam się za "lepej" od nej.
Jestem
przynajmniej... A ponieważ pan nigdy tak nie rozmawasz ze mną, jestem zazdrosną o
tę rozmowę, choćby tylko.
Homla bawiła ta otwartość Kolońskiej, będąca jej jedyną indywidualnością i temu
jedynie przypisywał, że tę Mańcie znosił, że się tyranii jej pytań poddawał.
— Nie wiem jeszcze. Nie mogę pani odpowiedzieć. Podoba mi się...
— Ach! i mówić o zaletach towarzyskich! Ręce kobecie opadają.
Jeżeli
człowiekowi, jak pan avec votre esprit, votre finesse, może się podobać taka
parrafyanka.
— Hm! — westchnął hrabia, — może tem właśnie, że parafianka
Od tej chwili nie zamienili z sobą słowa. Kolońską opuściła się na ławkę breaku,
a

hrabia mógł dalej dumać, bo i głosu jej do końca podróży nie słyszał.
Myślał

dalej coraz trzeźwiej, coraz jaśniej.
Janina parafianka? Była nią bezsprzecznie w używanem znaczeniu
słowa. Ale jakże
daleko od niej odbiegła w rdzeniu swej kobiecej istoty. On był nią
zajęty. Był
już w tej chwili bardzo zajęty, ale czy Janiną Bonar, taką, jaką była
parafianką, czy kobietą, którą czuł, że z łupiny parafianki bardzo
łatwo, jak
motyla ze skorupy do wyfrunięcia zmusi.
Czy znajdzie się ku temu sposobność? Czy się Janina temu podda?
Czy go
zrozumiała? Czy zechce widzieć łunę, pochodzącą nie z słomianego
pożaru?
Czy też na przyszły raz tańczyć będzie?
Gdy zeskakiwał z kozła pod pałacem, zdziwił się własnej
elastyczności;
odmłodził i fizycznie w ciągu tego jednego wieczora. A z ulubionego
poematu
powracającą falą na ustach mu się znalazły słowa:
"Plus tard aimer, garder dans son coeur de jeune homme.
Un nom mysterieux, que jamais on ne nomme."
— Janina!... szepnął.

V.

Panna Marja Kolońska, zwana powszechnie Mańcią i znana szeroko
pod tem
zdrobniałem imieniem, uosobiała typ kobiecy, któryby można
porównać do piany
szampańskiego wina.
Ktoś powiedział to w świecie. "Tak" odpowiedział drugi, "tylko nie
najlepszej
marki."
Tak może i było rzeczywiście. Wychowana w obywatelstwie,
przygarnięta, jako

sierota przez arystokrację, w której liczyła bliskich krewnych,
zobaczyła się w
osiemnastym roku życia egzotyczną rośliną cieplarni, której ustrój jej
nie
potrzebował, ale w której żyć musiała. Chcąc nie stracić racji bytu w
świecie,
do którego ją nie ciągnęła jej natura, w którym nie spodziewała się
znaleźć
męża, a w którym przebywać musiała, uczyła się języka, manier,
zasad, pozorów,
tysiąca drobnostek, które, razem w jednej osobie zmieszane, robią tak
zwaną

osobę światową. Po kilku latach takiej praktyki stało się zarówno w
highlif' ie
Warszawy, jak i w arystokratycznych domach nieodzowną Mańcią,
wiecznie
rozbawioną i rozrzuconą, uprzejmą, pochlebną, łatwą, użyteczną i
potrzebną.
Użyteczną, gdy chodziło o wyrobienie zaproszenia, nawet porady;
potrzebną, gdy
się okazała kiedy konieczność zapchania dziury przy proszonym
galowym obiedzie.
W epoce, w której bawiła u Homlów, należała już do śmietanki
towarzystwa.
Powszechnie w świecie tym była lubiana i miała nawet quasi
wyrobioną pozycję sui
generis, panny, obchodzącej się bez chaperon'a, jakkolwiek nie tak
starej, bo
liczyła dwudziesty siódmy rok życia. Zresztą używała reputacji osoby
intelligentnej, odcytanej, lekko złośliwej, dekoratywnej, w każdym
towarzystwie
pożądaney.
Jakiś rodzaj posążku, z reszty ocalonej z dużej fortuny, jakaś renta od
wuja,

jakaś dożywotnia pensja po ciotce, wszystko to wystarczało na życie przyzwoite i na entrée konieczne w świecie, w którym niejedna jej przyjaciółka tyle wydawała na kapelusze, ile ona na całe utrzymanie. Koszta jednakże utrzymania tego redukowały się do minimum i pozwalały na zachowanie świetnych pozorów, gdyż panna Ko-

łońska miała gratisowy apartament w pałacu kuzyna, w zamian za co towarzyszyła kuzynce na bale i rauty, przytem rzadko kiedy obiad jadała u siebie, a jeszcze rzadziej kolacje, całe lato bawiąc u najrozlicniejszych znajomych, zawsze w pałacach panów i magnatów wśród fet i libacyj, zbytku i życia na wielką skalę. To życie na wielką skalę, które faktycznie prowadziła, nawet bez żadnych upokorzeń, i brzydkich oszczędności, dzięki tyra wyjątkowym okolicznościom przy swej fortune, złożonej z kilkudziesięciu tysięcy rubli, sprawiło, iż była w tym jeszcze wieku panną. Nikt nigdy nie oświadczył się o jej rękę. W tym roju otaczających ją mężczyzn, z których każdy wolał taką samą pannę Kolońską z pół milionem posagu, nie mogła znaleźć męża. Nie mogła znaleźć męża, bo się nie mogła podobać, twierdził Homel, analizujący każdy wypadek i każdą okoliczność. Twierdził on, że w pannie Kolońskiej tkwił nadzwyczajny, przeszkadzający jej w podobaniu się serjo dualizm, że się składała z dwu istot, wręcz sobie przeciwnych. Jedną była kobieta, stworzona do

małżeństwa i do spełniania zwyczajnego powołania
najzwyczajniejszej niewiasty,
ku temu w dzieciństwie przygotowana, ku temu rysami swego
charakteru skłonna.

Drugą

była ta quasi lwica, przez świat i chorobliwe okoliczności z niej
wytworzona.

Porównywał ją do zwyczajnej polskiej gruszy, w której zaszczepiono
duchessy.

Porównanie to było o wiele trafniejsze, niż to do pianki wina
szampańskiego,

choć i to drugie miało rację bytu.

Panna Kolońsk była zanadto silną, jędrną, pospolitą gruszą, by
zaszczepienie

mogło się całkowicie wyrodzić. Ztąd często w tej egzotycznej
elegantce wielkiego

świata zadzwoniło coś fałszywym dźwiękiem, coś, co przypominało
świat, w którym

ją natura postawiła, skromny świat obywatelski, rezygnujący dla swej
kobiety z

aplombu, z musującego dowcipu, z talentu, zwrotów i kalamburów, z
bajecznej

przytomności umysłu i bajecznej finezyi obserwatorskiej, z pozorów,
chłodu duszy

i serca, z obojętności na wszystko co pachnie ideą, entuzjazmem.

To coś, co zawdzięczało czasem fałszywym tonem w pannie

Kolońskiej, twierdził

dalej Homel, było to jedyne w niej coś, co jakkolwiek miało wartość,
była to

niedogaszona iskierka z której można było rozdmuchać kobietę.

Ta aglomeracja barw i tonów, wad nabytych, zalet wrodzonych, a nie
unicestwionych, pochodzących z różnych źródeł, począwszy od

atawizmu, a

skończywszy na fatalnym

wpływie kroczącego staropanieństwa, mieściła się w osobie o postaci sympatycznej i zabawnej w swym głównym zakresie. Malutka, pulchna, niezmiernie biała blondynka miała ładną figurę i nic więcej. Ale też nic nie miała brzydkiego. Inteligencya zaś, która cudów dokazuje na fizyonomii ludzkiej tryskała z jej oblicza kaskadą swych promieni. Zawsze rozbawiona, co chwila wybuchająca śmiechem dzwięcznym, grubawym głosem, który sam przez się był rozweselający. Nad wszelki wyraz śmiała, stanowcza, wymawiająca r z przyciskiem, zamieniająca i na y, wymowna, z łatwością prowadziła wszelką rozmowę; gadatliwa, mówiła za dziesięciu już, ale umiała i słuchać z podbijającym mówiącego interesem. Jeśli nie słyszała jak trawa rośnie, to czuła, że rośnie. Ta osóbką jednakże, której tak dobrze było w swem panieństwie, wyjątkowo usamowolnionem i wyjątkowo przez świat akredytowanem, miała szaloną ochotę wyjść zamaż. Tak szaloną była ta ochota, iż się z nią nie kryła, iż otwarcie głośno ją wyjawiała, iż dla zaspokojenia jej była gotową zerwać z całym high'lifm i całą śmietanką, zerwać ze wszystkimi przyzwyczajeniami. Dla zaspokojenia swej chęci byłaby najchętniej przeszła wprost od obiadu u księżnej Dusi. na którym u swych ust zawieszono trzymała całe towarzystwo, zło-

żone z kilku książąt i hrabiów, do zaganiania kur i gęsi w oficynie
przyszłego
męża.

Wiedziała to hrabina Homel, prawdziwie do niej przywiązana, i tego
lata

postanowiła ją wydać za barona Eustachego Belizara, kuzyna
jej męża. Gdy

się jemu z tych projektów zwierzyła, Homel nic nie miał przeciw
temu.

— Zapewne! — Eustachu już baissuje, mógłby gorzej wpaść. Z
Mańci można
wydmuchać jeszcze kobietę.

Zaproszono więc na czas sezonu w Ujazdowie Belizara i Kolońską, w
nadziei, iż te

niełatwe swaty pójdą raźniej i składniej wśród zabaw zakładu, w
tłumie ludzi,

jak i oni, pozbieranych z różnych końców świata.

Projekt hrabiny nie był dla panny Kolońskiej tajemnicą. Przybyła
natychmiast, a

w dwa dni później zjawił się baron.

Był to mężczyzna zbliżający się już do Rubikonu młodości, ale
przystojny, dobrze

wychowany, z pretensją elegancyi, niezapominający że był ładnym
chłopcem, gdy

miał lat dwadzieścia i trzy!

Niepozbawiony intelligencyi, aż nadto wykształcony na przeciętnego
męża,

jakkolwiek z nadszarpanem zdrowiem i majątkiem, spodobał się jej;
natychmiast

tegoż dnia, co go poznała, oświadczyła Homlowi:

— Podoba mi się bardzo. Czy pan uwie-

rzy, iż ma take oczy, o jakich cafe życie marzyłam.

Homel nie mógł wstrzymać śmiechu, bo Belizar miał wytrzeszczone i
zamglone oczy

człowieka, który nadużył młodości i nie był już młodym.

— Wiem z czego się pan смеjesz, — podchwyciła Kolońska, — ale ja o takich oczach zawsze marzyłam. Wyjdę za niego, jeśli tylko zechce. Róbcie wiec, by zechciał.

— Będziemy robili — odparł hrabia, — którego otwartość tej biednej panny, olśniewającej pozorami szczęścia, za serce chwytiała.

— Ależ, na Boga, panno Mańciu, ta szczerłość twoja, to nieszczęście. Pani jesteś gotowa mu powiedzieć dziś jeszcze, że ci się bardzo podoba, a mężczyźni nie znoszą tej pewności..

— Taaak! Jaka ja głupia! Co zrobić! taką mam naturę. Tej naturze zawdzięczam mój sukces...

— Sukces? Cóż to sukces? to chimera, staraj się pani o powodzenie lepiej..

— Jakaż różnica w pojęciu tych słów?

— Sukces masz pani, ale męża, którego pragniesz, — nie. Z powodzeniem..

— Bez sukcesu, — dokończyła smutnie Mańcia, — możebym miała męża.

Z bajeczną szybkością myśli, cechującą

jej naturę, z tą łatwością przerzucania się, zapytała:

— Nie jestże to zabawne? Świat mnie nauczył wszystkiego, i hipokryzyi i

umiejętności panowania czasem nad sobą i pozoru wesołości bezmiernej i

niezgåębionych zasobów życia "niczem;" bo ja żyję niczem.

Nauczyłam się mówić

takim językiem, jakim mówią marrgrabiny paryskie, jakiego mi zazdroszczą moje

własne nauczycielki. Nauczyłam się ślizgać po wszystkim, prześlizgiwać przez

wszystko. Nauczyłam się czerwienić, kiedy byłam bladą, blednąc, gdy
byłam
czerwoną. Nauczyłam się... No! je suis pourtant assez mondaine. A ne
oduczyłam
się tej paskudnej szczerości. Ot! czasem czuję, jak mi idzie do gardła,
czuję,
myślę sobie: "Mańciu, głupstwo powiesz" i mowę!
Hrabia westchnął. Kolońska go raczej szczerze smuciła, niż bawiła.
Ona, co
bawiła wszystkich, a nie smuciła nikogo! Jeśli dotąd był obojętnym, to
po tem
zwierzeniu się postanowił całym sercem dopomagać w swataniu i w
tym celu zaczął
się pokazywać w Ujazdowie, zaczął bywać na zebraniach, zaczął
poznawać i prosić.
Może w zgiełku łatwiej się oświadczy ten jego kuzyn, zapleśniały w
celibacie?
Może wydrze światu i nowożytnemu salonowi, którego nienawidził z
głębi serca,
jedną więcej nie-

szczęśliwą ofiarę, tę rozrzuconą, oddychającą pełną piersią, bijącą
łuną sukcesu
i tryumfu, Mańcie Kolońską?
On jeden może wiedział, o ile była nieszczęśliwą, on jeden może
lepiej to
wiedział od niej samej, zagłuszonej orkiestrą w dźwiękach której żyła,
oszołomionej atmosferą uperfumowanych salonów.
On jeden z jej otoczenia wiedział, że się ta kobieta obudzić musi i że
to
obudzenie będzie tem straszniejsze, im dłuższym i cięższym był sen
narkotyczny.
Westchnął i rzekł:
— Będziemy robili, co można. Mój kuzyn Belizar nie jest partja.
Dobiega

czterdziestki, majątek ma i charakter ma. Będziemy robili, co można...

Nie

możesz się pani nikomu nie podobać, a więc możesz się jemu podobać.

Na tem stanęło i rzeczy szły dalszym biegiem, nie zbaczając od programu. Owszem,

szły lepiej, niżby przypuszczano. Przyjazd wreszcie pani Bonar, która została

wtajemniczoną w spisek, zdawał się być jednym plusem w tej kampanii po stronie

panny Kolońskiej. Belizar, nie domyślający się niczego, zdawał się podlegać

urokowi Mańci, napęliwiającej swą wesołością i pomysłowością, swą niewyczerpaną

siłą "życia niczem," cały, zwykle ponury i poważny pa-

łac Mikuliniecki. Poruszono część okolicy, część zebranego w Ujazdowie

towarzystwa, w którym się znalazło sporo znajomych to hrabiny, to Homla, to

Kolońskiej i Eustachego. Wszyscy poznali się zabopólnie i utworzyli koło,

widujące się codzień, to w Ujazdowie, to w Mikulińcach.

Mańcia, znająca samotne usposobienie hrabiego, truchlała, by go wreszcie nie

znudziło to życie nie zwyczajne i by kresu nie położył ożywieniu, mającemu ją do

ołtarza zaprowadzić.

Zanosiło się już na to, gdy przybyła Janina Bonar, a hrabia w niej znalazł

otuchę do brania dalej czynnego udziału w nowym dla Mikuliniec sposobie życia.

Tak stały rzeczy, gdy pewnego poranku panna Kolońską uczuła się formalnie

dotkniętą sposobem, w jaki hrabia nadskakiwał jej kuzynce, w jaki ją wyróżniał.

Dlaczego ją to irytowało, co temu miała 'do zarzucenia, co jej to wogóle szkodzić mogło, nie wiedziała. Wiedziała tylko, iż ją to bolało. Analizując to uczucie w sobie doszła prędko do przyczyny cierpienia. O Homla jej nie chodziło. Nie kochała się w nim. Znała go od lat wielu i przez głowę jej nie przeszła pretensja, by on nią miał być zajęty. Uważała go za człowieka, nie mogącego się już nikim zająć i dlatego mu prze-

baczała, iż otwarcie do jej rydwanu się nie zaprzęgał. Ale dziś, gdy Homel z dnia na dzień młodniał, usiłując się przypodobać Janinie, gdy z samotnika robił się światowcem, gdy w Mikulińcach wymyślał obiady i fety, gdy godzinami w ustroniu na ławce parku Ujazdowskiego miał co do mówienia z Janiną, z taką gąską — sytuacja się zmieniała. Jeśli tamta mu się podobała, dlaczego nie ona? — pytała niecierpliwie kobieta, przywykła do sukcesu, zazdrosna o pozory, nie o rzecz samą. Jeżeli z tamtą miał temat nieskończenie długich rozmów, dlaczegoż ją zbywał po prostu niczem? Próżność jej, ta próżność, nabyta w długim obcowaniu ze światem, wykształcona w tym sukcesie, którego pozornie używała, czuła się dotkniętą. Homel nie był człowiekiem pospolitym. Fakt, iż przy niej zalecał się do drugiej, zdawał się panie Kolońskiej ubliżający jej i czyniący ujmę jej osobiście, jej wdziękowi, jej rozumowi, jej pozycji kobiety otoczonej, ciągnącej za sobą łańcuch

admiratorów. Nie wchodziła w to, iż wszyscy ci admirałowie byli spokojni, bierni, jakby krocący w łańcuchu a défaut de mieux. Chodziło jej o zasadę. A dziś, gdy Homel ją ignorował dla drugiej, gdy czynił to w oczach Belizara, dla którego przecież byłby wyborną pod-

nietą, Mańcia czuła się upokorzoną i obrażoną. — Żeby jeszcze dla kogo, ale dla takiej parrafijanki — szeptała. Żeby dla jakiejś kobiety z wielkiego świata, dla jakiejś lwicy, dla jakiejś gwiazdy, czy gwiazdki salonu, toby zrozumiała Homla. Ale dla kogo? dla Janiny Bonar! Dla Janiny Bonar miała być ona wciąż, w oczach całego Ujazdowa, w oczach całego świata, gromadzącego się w Mikulińcach, w oczach samej Janiny, patrzącej na nią dotąd, jak na czarodziejkę, z innych, niedostępnych jej, światów, dla niej miała być na drugim miejscu? To ją minowało już dotąd od samego początku, — dziś to ją podnosiło. Gdyby jeszcze Belizar na to nie patrzył. Ona wczoraj już podchwyciła, jak Eustachy długo i bacznie przyglądał się Janinie i czytała na jego fizyonomii myśl pracującą nad odpowiedzią na pytanie: "Czemu ta kobieta tak się podoba Homlowi?" Znała za dobrze świat, mężczyzn, żeby nie wiedzieć, jak niebezpieczną jest w jej warunkach i tych okolicznościach Janina, jak niebezpieczną jest dla świecącej gwiazdy na horyzoncie, wyłaniająca się nowa nieznana planeta.

To wczorajsze długie badanie Janiny przez Eustachego, otworzyło jej oczy, obu-

dziło złość i żal głęboki do hrabiego, zawiść do kuzynki.

Uczucia te się w niej dopiero formowały, zbudzone jakby instynktem kobiecym.

Jeszcze ich sama nie rozumiała. Niebezpieczeństwa nie widziała, ale je czuła.

Nie przypuszczała nawet, że się hrabiemu Janina mogła podobać. Ot! un passe —

temps. Ale dla czego nie z nią raczej?

Toby ją podnosiło, a mężczyźni są tak próżni, tak gonią za tem, za czem inni się

ubiegają. Cóż to za nietakt wreszcie ze strony Homla, jeżeli pragnął ją wyswatać

za swego kuzyna, pokazywać mu pod dodatniem światłem, oświecać kobietę, będącą

przeciwległym biegunem tego, co w niej, Mańci Kolońskiej, Belizar znajdował!

Musiała temu koniec położyć. Obiad się zbliżał. Poruszy tę kwestyę, obudzi

zazdrość hrabiny, we dwie wydrwią Homla. Znicuje tę parafiankę z właściwym jej

dowcipem, gdy oszczędzać kogo nie chciała, położy kres tej istnej komedyi,

odsuwającej ją na drugi plan.

Ubrała się staranniej, niż zwykle i niecierpliwie czekała sygnału obiadowego w

zamku.

Tam — tam wnet się odezwał i zgromadził wszystkich do koła stołu wspaniałej

jadalni Mikulinieckiej. Początek obiadu zaczynał się

wśród uroczystej ciszy jedzenia zupy. Mańcia traciła zawsze swą
werwę w tej
komnacie. Jej wrażliwa natura poddawała się powadze, wiejącej z
przedmiotów w
tej sali. Potrzebowała czasu, by ochłonać z pierwszego wrażenia,
jakim ją jak
gąbkę, napełniały mdłe uczucia, które w nas zwykle budzi otoczenie.
Nie lubiła
tej jadalni z tymi gdańskimi meblami, pokrytymi rzeźbami,
wyobrażającymi hydry i
sfinksów, renaissansowe anioły i maskarony. Nie lubiła tego
szerokiego stołu,
przez który trudniej zdawały się przelatać dowcipy, i tych ścian, które
echem
powtarzały jej śmiech i dwuznaczniki. Nie znosiła tego swojego
miejsca naprzeciw
jakiegoś olbrzymiego portretu którejś Homlowej, co straciwszy męża,
przywdziała
szaty zakonne w XV wieku i w nich przeszła do potomności, by jej
codzień w
Mikulińcach, podzaczając obiadu, szeptać przez swe zaciśnięte do
modlitwy usta:
"Jakaś ty próżna, jakaś ty mała, jakaś ty..."
Nie lubiła tego wszystkiego i dnia tego nie spoglądała w stronę
Dominikanki,
zabierając się do obmyślanej kampanii, w której obiecywała sobie
pomścić się,
druzgocąc Homla jednym z tych udanych, trafiających,
massakrujących bons mots,
do których miała dar szczególny jak twierdził hrabia Ksawery
l'homme le plus fin
au monde.

Przy pasztecikach Belizar, jakby odczuł! jej myśli i strapienia,
odezwał się

swym powolnym i apatycznym giosem, ze swym nie zrównanym spokojem:

— Wczoraj było weselej przy obiedzie. Nie wiem, czemu to przypisać, czyżby może nieobecności pani Bonar?

W lot chwyciła panna Kolońską tę bombę, dającą sygnał kanonadzie na

nieprzyjaciela:

— Ach! doprawdy! Całe rano męczyłam się bezowocnie nad rozwiązaniem zagadki, dlaczego bardzo intellygentnym mężczyznom podobają się tylko bardzo głupe kobiety! Śmiech wybuchnął dokoła stołu, któremu przodowała hrabina z nagle roziskrzonymi oczyma, jako też państwo Zabanowscy, przyjaciele Homlów, którzy, jakkolwiek przybyli od dwóch dni prosto z Nicei, już byli wtajemniczeni w zakulisy sceneryi, na którą trafiali.

— I nie rozwiązałaś tej zagadki, — zawołała hrabina Wanda, rzucając oczami, jak blaskami czarnych brylantów, — ona przecie tak prosta, prostsza od rebusa w Tygodniku illustrowanym, od wszystkich kalamburów, które nam pan Zabanowski z Nicei przywiózł.

— Vous trouveriez, comtesse, — podchwy-

cił Zabanowski mężczyzna lat trzydziestu kilku, uderzający starannością około swojej osoby, typem zagranicznym, a manierami, akcentem, głosem, zdradzający temi pierwszemi słowy subtelniejszą inteligencyę, — że moje kalambury grzeszą prostotą?

— Bezprzecznie, jak wszystko, co z pańskiego pretensjonalnego mózgu wychodzi —
zawołała pani Wanda, odkrywając, że w takinowaniu się zobopólnem zabawiała się
zawsze z Zabanowskim. — Ale w porównaniu z zagadką, która bezowocnie tak
namordowała słabą, widzę, inteligencję Mańci, pańskie kalambury są to arcydzieła
do odgadnięcia tylko przez ludzi d'une finesse inimaginable.

— A więc?

— A więc?

— Przecież tylko głupie kobiety mogą się zachwycać rozumem mądrych mężczyzn. A
tym ostatnim, jak kokotom, o to głównie chodzi. Śmiech się powtórzył. Hrabina
była zbyt namiętą, by potrafiła ukryć kierunek pocisku. A nic tak nie bawi
ludzi tego świata, jak małżeńskie spory, jeśli te w tym świecie wyjdą ze ścian
zamkniętych gabinetów.

— Ah! — krzyknęła Mańcia, — oddaję ci berrło de l'esprit!
Zabanowski najpoważniej, zwracając się do Kolońskiej, wtrącił:

— Nic wiedziałem, że pani już dzierżyłaś berło? Że zaś Zabanowski był mistrzem w
schoking'ach, że w tym zwrocie towarzystwo tegoż się dopatrzyło, wybuchnął
homeryczny śmiech.

— Je ne comprends pas — zawołała urażona Mańcia.
Zabanowski zwrócił się do Homla.

— Ale ty, Edwardzie, nie odpowiedziałeś. Byłbyś że tak chciwy admiracyi głupich
kobiet?

— Jestem w położeniu panny Mańci. Je ne comprends pas.
Zaśmiano się. Ale Mańcia i pani Wanda porozumiały się wzrokiem.
W ten sposób nie

mogły ustępować z placu boju, nie mogły zgodzić się na pogardliwe nieprzyjęcie pojedynku.

— To ciekawe, — zawołała hrabina, — jak ludzie mają tępa inteligencję w pewnych ich dotyczących wypadkach. Mańcia nie rozumie... mój mąż nie rozumie...

Panna Kolońską wyprostowała się żywym ruchem, podskakując połową ciała na elastycznych sprężynach krzesła i zaczęła, zwracając się do Homla:

— Otóż trzeba być zrrozumialszą Nie możemy pojąć my tutaj zgromadzeni, jakim sposobem może się panu podobać

taka parrafianka, jak moja kuzynka Ja-nyna.

— Najprzód, — zawołał Homel — nie parrafianka, jeśli pani pozwoli, tylko parafianka.

— Soit!

Wszyscy już zwrócili się ku hrabiemu. Głos jego zdradził, że odpowie, że odpowie wyczerpująco. Dalej zdradził, że był zirytowany, a więc, że odpowie dobrze, a odpowiedzi takiej warto było posłuchać, choćby tylko przez wzgląd, że był pisarzem, a rzadko i mało mówił. Hrabina, która widziała dziś jeszcze w rozmowie męża i w jego rodzaju inteligencji nadzwyczajny urok, nadstawiła uszu. Pani

Zabanowska przyłożyła z największą powagą lornetkę, umocowaną na długiej szyldkretowej rączce, do oczu i wycodziła litewskim akcentem:

— Jakoby pan się zdecydował odpowiedzieć. Słuchamy.

— Naturalnie! — zawołał Homel. — Trzeba przecież objaśnić te panie, — tu

wskazał swą żonę i pannę Kolońską, — czem się podobają kobiety do nich
niepodobne.

— Oooo! — wtrącił Zabanowską — to może być interesujące, ha!
ha! Pozwól, że
przełknę ostatni kawałek tej wybornej polędwicy, zapiję winem i
jestem tout
oreille.

Zwrócił się do hrabiny i ciągnął:

— To nowość dla mnie. Ja byłem przekonania, że kobiety, do pani
niepodobne
podoać się nie mogą.

— Panie Janie! — przerwała mu Kolońską — nie przeszkadzaj pan
Byle pretekstu
się chwyci hrrabia, by ne odpowiedzieć, temwęczej, że ta odpowcdź
nawet dla jego
lyterackego talentu, polegająca na wytłómaczeniu nam qu'il est midi
áquatorrze
heures, ne będzie łatwą.

— Sądzi pani. — uśmiechnął się ironicznie Homel, chwytając
malutki kieliszek od
wypitej madery i przewracając go w swych palcach. — A ja sądzę
przeciwnie.

Ażebyście mnie zrozumieli, trzeba was najprzód objaśnić, bo nie
wiecie, co to
jest zdrowa kobieta

Tu się namyślił sekundę i zaczął swym wyraźnym, donośnym, ale
melodyjnym i
umiejętną modulacją przykuwającym głosem:

— Zdrowa kobieta, ta prawdziwa i daleko wśród wieków dodatniej i
ujemnej pracy
od Ewy nie odbiegła, ta kobieta, w której fizycznie gotowicie nie
znaleść wy
dzisiaj nic pięknego, nic z tego, za czem się ubiegacie. Będzie ona
podobna

zapewne do Wenus Milezyjskiej. ale z pewnością nie będzie miała
figury księżnej
Dusi. Będzie miała dużą nogę, rozwiniętą w stapaniu po dziewiczym
Raju, będzie
miała proporcjonalną

rękę, nie zdegenerowaną rękawiczką, zdolną do pracy, jaką ją do
pomocy mężowi
natura uposażyła. Czy która z was dobrze się kiedy przypatrzyła
posagowi,
wyobrażającemu ideał figury kobiety? Jeśli się przypatrzyłaś mu pani,
— mówił,
zwracając się do Kolońskiej, — to wiesz, iż ta kobieta składa się z
proporcjonalnych szczegółów, iż jej nic pozazdrościłabyś pani ani
nosa, ani
ręki, ani oczu, ani ust. Taką naturą stworzyła kobietę fizyczną.
Odpowiednią
też chciała ją mieć pod względem moralnym
Odпочzął, po ustach jego przebiegł wyraz namysłu, i ciągnął wśród
ogólnego
zainteresowania:
— Kobieta zdrowa daleką jest od kobiety, obudzającej w waszym
salonie
największy podziw; kobieta, zdrowa moralnie, a wy, — to dwa
bieguny. Kokieteria,
rozum, dowcip, wszelka finezya umysłu, wszelkie czary i uroki w tem
i owem, tego
i owego, — to nabytki cywilizacyjne, które pstrzą kobietę natury.
Kobieta zdrowa
powołaną jest do towarzystwa mężowi i do rozmnażania rodu i ku
temu celowi
natura skierowała wszystkie jej przymioty. Kobieta więc dzisiaj, o ile
nie
odbiega od tych zasadniczych przymiotów, o tyle zbliża się do ideału
kobiety w
wyobrażeniach

każdego zupełnego i zdrowego mężczyzny. Posłannictwo kobiety,
przez Ewę
zakreślone, nie potrzebuje nic z tego, za czem gonicie. Rozumu
zdrowej kobiecie
nie potrzeba zawiele, bo go mieć obowiązkiem jest mężczyzny.
Dowcipu
perełkującego, jak wino szampańskie jej nie potrzeba, bo zbytecznym
on jest w
pożyciu we dwoje, w pochodzie przez ciernie każdego żywota.
Światowość, to
choroba, która w życiu nikomu nic nie przyniosła, która kobietę
oddala od jej
missyi, od męża, dzieci, domu. Kokieterya, to choroba, zbyteczna w
pożyciu we
dwoje, bo nią nie uprzyjemni życia mężowi, nie wychowa dzieci,
łatwiej nie
poprowadzi domu.
— Ooooo! Oh! O! — zakrzyczano.
— Pozwólcie, że skończę. Każda reguła ma swoje wyjątki. A kilka
tysięcy lat
cywilizacyi zmieniło o tyle stosunki, iż zdrowa kobieta o właściwym
słowa
znaczeniu byłaby dziś w Europie anachronizmem. Ale to nie
przeszkadza, iż tylko
o tyle kobieta w oczach zdrowych i logicznych może być ideałem, o
ile najmniej
od pierwowzoru odbiega, o ile najbardziej fizycznie i moralnie Ewę
przypomina Wy
zaś wysilacie się, by jak najdalej odbiegnać od pierwowzoru,
emancypujecie się
na wszystkich polach, a mimo to, prawdę słów moich głęboko
czujecie,

mimo to instynktem kobietę tak samo pojmujecie. I świat wasz, salon,
tak samo,
nie wiedząc o tem, w głębi swych zatartych pojęć, sądzi. Ileż razy
niejedna z
was, chcąc wyrazić admirację o kobiecie, wyraziła się: "elle est
tellement
femme. " Czy co innego miała wtedy na myśli? czy miała wtedy na
myśli złośliwość
satyra? czy może kochliwość Messaliny? czy może dowcip Voltaire'a?
czy może
stopień doktora?
Urwał, a wszyscy jeszcze słuchali. Hrabina z. jakimś złośliwym, jakby
przygotowującym odsiecz wyrazem. Pani Zabanowska w skupieniu,
właściwem jej
poważnemu nastrojowi. Panna Kolońska, zadumana, przechodziła
jakieś ciężkie
chwile, sądząc po jej fizyonomii. Nie mogła sobie darować, że tę
rozprawę
wywołała, te nieszczęsną rozprawę, udowodniającą Belizarowi, iż ona
była chorą
fizycznie i moralnie. Chciała, korzystając z przerwy, wywołanej
obnoszeniem
półmiska, skierować rozmowę na inne tory. Potoczyła oczami po
zgromadzonych.
Było to niemożliwem. Zabanowska i pan Eustachy chcieli końca
dalszego ciągu,
sądząc z ich zainteresowanego wyglądu. Pan Jan i hrabina gotowali
ripostę.
Hrabia, gorączkowo skończywszy potrawę, podchwycił:
A wy! dzisiejsze kobiety naszego świa-

ta, jakże mało jesteście kobietami Robicie mi wrażenie zwyrodniałych
roślin
egzotycznych W atmosferze chorobliwej salonu, istniejącego może od
lat tysięcy,

dochodzącego dziś do kulminacyjnego punktu hodowli, dokonałyście
cudu, którego by
się żadna hodowla nie powstydziała. Próbowano nieraz usilnie tak
wydoskonalić
jakieś ziarno, iż dochodzono w tem do bajecznych rezultatów, ale nikt
nie
doszedł do zupełnej zatury cech poddanego sztucznej hodowli
nasienia. Hodowla
zaś kobiety naszej tak wybornie szła i idzie, iż niebawem salon
wyprodukuje,
jeśli już nie wyprodukował, une mondaine, w której nie będzie
kobiety. Jest jej
już coraz mniej...
Panna Kolońską spłoszyła i tonem grubszym, niż kiedykolwiek,
szybko, jak nigdy,
przerwała:
— To bardzo piękne, co pan nam opowiadasz, ale to nie jest
odpowiedź, to nie jest
rozważanie zagadki...
— Jaktto! — zaśmiała się hrabina, strzelając oczami, jak
rozżarzonemi węglami, —
Jaktto! Wszakże ci wytłumaczył, dlaczego mu się podoba pani Bonar.
Dla tego, że
ma duże ręce i duże nogi.
Homeryczny śmiech ogarnął zgromadzonych i byłby, ku wielkiej
radości panny
Kolońskiej, przerwał dysputę nad tym przed-

miotem, gdyby nie pani Zabanowska. Ta kobieta, lubiąca
konwersację serjo, znów
po pauzie, poświęconej dowcipowi pani Wandy przyłożyła lornetkę
do oczu i,
skierowując ją na hrabiego, spytała:
— Wprawdzie Ewy nie znałam, ale doprawdy nie widzę w pani
Bonar tego
podobieństwa, jakoby do Ewy...

— Edwardzie! — podchwycił Jan z przestraczem, — chcą całą twoją tyradę tourner en ridicule...

— Ja wrreszcie zrozumiałam — zawołała Mańcia, — pan Homel jest zwolennykem du prymytyf. Pani Bonar est bien prymytyf jak widać.. Hrabia się obruszył.

— Bynajmniej. Pani Bonar jest waszą odmianą, bo nią być musi. Hodowla wasza nie ograniczyła się tylko do salonu, w którym pani błyszczy. Objęła ona szersze horyzonty. Zasady jej wniknęły do dworów i dworków, wniknęły w lud i mieszczaństwo, gdzie jednak nie mogą się doprowadzić do takich znakomitych rezultatów, jak w głównym treibhauzie.

— Ah! więc ona jest trochę do mnie podobną? Hrabia długo milczał, a wszyscy czekali, by odpowiedział. — Wszyscy byli zaintereso-

sowani tą kwestyą, stającą się coraz bardziej osobistą.

— Nie chce mię pani zrozumieć, a więc muszę być jeszcze jaśniejszym, — zawołał.

Muszę powiedzieć, dla czego pani możesz się bardzo podobać, a dla czego pani Bonar musi się każdemu zdrowemu mężczyźnie podobać. Pani Bonar jest kobietą normalną, voila le. mot, a szukałem go tak długo. Lubicie wszyscy konie, ale nie wszyscy jesteście amatorami. W koniu poszukujemy różnych rzeczy, kości, muszkułów, maści, odsady ogona, związania szyi z głową, i t. d. i t. d. Ale największą pochwałą dla konia jest definicya: "ten koń jest normalny", "bardzo

normalny." Taki koń często niema nic wyjątkowo pięknego, ani
jednego z tych
szczegółów, które zacytowałem, ale w cenie przewyższa i takiego,
któryby tańczył
na nogach sylfidy i takiego, coby ogonem fruwał pod niebiosą.
Najwyższą zaletą
konia jest normalność. Finissons! bo i obiad się kończy. Pani Bonar
jest bardzo
normalną. I dla tego mi się tak podoba.
Panna Kolońska, która już od pewnego czasu uważała mowę hrabiego
za wprost
skierowaną do niej, czuła się głęboko obrażoną. A więc ona nie była
normalną.
Teraz już rozumiała wszystko. I to jej mówił hrabia przy Eustachym!
To
przechodziło gra-

nice możliwości. Miała szaloną ochotę rozplakać się, ale za dobrze
była
wytresowaną na arenie wielkiego świata, by to pokazać nawet
Po chwili odetchnęła, przekonawszy się, że Homel stanowczo
skończył, a pierwszą
jej troską było spojrzeć na Belizara. Może nie słuchał? może w swej
powolnej
konceptyi nie zrozumiał? może mniej był normalnym?
Skierowała nań wzrok.
Baron wpatrywał się w Homla Jeszcze go słuchał, choć ten już nie
mówił. Jeszcze
kombinował to, co słyszał, nie zmieniając pozycyi, zwyczajem
właściwym
trudniejszym konceptyom.
Uczuwszy wzrok Kolońskiej na sobie, drgnął i wycedził tonem
głębokiego przejęcia
i przekonania:
— Dużo w tem wszystkim złotej prawdy.

— Żart na stronę. Jestem jakoby zdania pana Homla, — dorzuciła flegmatycznie Zabanowska.

I Jan chciał coś powiedzieć, ale, spojrzawszy na Kolońską, odczuł, co się w jej wnętrzu działo i zawołał, podnosząc kieliszek.

— A więc zdrowie kobiet nienormalnych! Jestem zawsze za anormalnem.

Zwrócił się do hrabiny i dodał:

— Nie wiedziałem, że Edward jest takim i co do kobiet archaikiem. Kazał nam się cofnąć conajmniej o lat. I przytem żeniąc się z panią, nie dał nam dowodu swych dopiero co ogłoszonych zasad, bo piękność pani chyba nie jest normalną.

Ten zwrot, dzieląc niby obozy ratował sytuację, a ratować sytuacje salonowe było polem wojny subtelności umysłu Zabanowskiego.

I obiad się kończył.

Pannie Kolońskiej podawał rękę Belizar.

— Dzywne ma czasem teorje pan Edward. Charzuje do niemożliwości...

Baron głęboko się zamyślił.

— Przecież to, co powiedział, jest prawdą. Czy pani Bonar jest właśnie tą kobietą — kobietą natury, — to drugie pytanie.

— Elle n'est rien du tout, — odparła zirytowana Mańcia tonem nie przypuszczającym repliki z tą pewnością siebie, którą tak świetnie imponowała; —

to są paradoksy... Fynezya będzie zawsze wykwytem cywylyzacyi i nikt mi

niewytlómaczy, byśmy miały powracać do barbaryzmu, aby się przypodobać panom

Homlom. Kobeta dzysejsza, la femme fyne par excellence, jest ze stanowiska

naszej epoki, ze wszystkimi swemi wadami, normalną. Nieprawdaż?
— Hm... oum... długoby o tem jeszcze

można mówić, — powoli, bardzo powoli odparł Belizar.
Mańcia była złą, o ile złą być mogła istota jej przerzucającej się,
zapominającej, zmiennej natury. W tej chwili jednakże niecierpiała
Homla,
nienawidziła pani Bonar. Zgnębienie, o którym nikt nie wątpił, że
wkrótce ustąpi
miejsca ożywieniu i szalonej wesołości, malowało się na jej twarzy.
Obiecywała
sobie zdruzgotać Homla, a czuła, że otrzymała porażkę. Nie lubiła
dysput, nie
umiała ich prowadzić o tyle, o ile umiała wojować złośliwą
przytomnością swego
umysłu, tem co język francuski jedynie określa esprit d'a propos,
będącym potęgą
w swym rodzaju.

Wtem zagadnęła ją hrabina:

— Mańciu! Mandarynki, czy Menthe?
Kolońska potoczyła oczami, jakby powracała do przytomności. To
likiery
rozdawano.

— Newiem! co kobeta normalna pyć powynna, — zapytała Homla
wyzywająco.

Hrabia nie miał odpowiedzi. On był słabym w tego rodzaju szermierce
językowej.

Czekano, co odpowie.

— To względne, — odparł, — kiedy...

— A więc ja w tej chwyty, chcąc być normalną?

— Laudanitm...

Wybuchnęła śmiechem. Ta istota egzotyczna jak sama umiała
onieśmielać, tak też

umiała ocenić, gdy ją oniemiano trafną odpowiedzią.
— Alorrs donnez — moi du laudanum. Potrzebowałam po
barrokach, jakie
usłyszałam. Janyna normalna, ideał femme — femme! Że też każda
musi na swojego
trafyć! Les beaux esprits se rencontrent. Pan i Bonarr jesteście
jedyni,
którzy się poznali na tym brzyłanie. Pokrewne dusze, mówiąc
lyttrackym
stylem! Śmiech się przerwał. Mańcia odzyskała się i zwyciężyła.
Mańcia miała
ostatnie i dobre słowo. Homel i Bonar jako jedyne pokrewne dusze,
było inwencją
rozśmieszającą do najwyższego stopnia. Śmiał się i Belizar, który
ostatni
śmieszny Stronę dowcipu w pełni uchwycił. Śmiał się i hrabia nawet,
kryjąc
jednakże śmiech swej fizjonomii.

VI.

Eustachy baron Belizar przedstawia typ już dzisiaj znikający w sferze
społeczeństwa, do której należał. Ponieważ nie liczył on więcej, jak
czterdzieści lat wieku, przeto jeden z ostatnich reprezentował rodzaj
mężczyzn,
modny w pewnej krótkotrwałej epoce.
Tę epokę stanowiła jakaś chwila bezpośrednio następująca po całym
peryodzie
naszego wieku, w którym mężczyźni wyższych sfer kształcili się
częścią w połowie
na Mickiewiczu i Wiktorze Hugo, w połowie zaś na Eugene Sue. Tak
ukształceni
wychodzili przeciętnie na bardzo miłych lowelasów, arcyświatowych
salonowców,
ludzi często nie pozbawionych świętego ognia i zdolnych nawet do
zapału, ale

koniecznie złych mężów i ojców.

Ta epoka, kształtująca młodzież arystokratyczną między a rokiem, wydała niezmierną ilość ostatnich świetnych typów panów dawnego pokroju, wykształconych,

nad wyraz salonowych, z ostatkiem tradycyi wielkiej galanteryi, z pogardą dla złotego cielca, z entuzjazmem dla Bajrona i Suego, z uwielbieniem dla dam, z bałwochwalstwem Paryża, a czasem z zapalem nawet dla idei. Wszyscy ci jednakże, będąc trwonicielami fortun, lowelasami, chciwymi romansowych wrażeń, rozumiejąc życie tylko w Paryżu, za kulisami i w salonie, w klubach i szulerniach, tworzyli koniecznie element wrogi ognisku domowemu.

Otóż matki, ofiary tej epoki dandysomanii, postanowiły przeciwdziałać i zaczęły wychowywać swych synów i synów tych prześwietnych światowców w przeciwnym zupełnie kierunku, wskazując, jako jedyny cel życia, ognisko rodzinne.

Takie wychowanie naturalnie było dualistyczne. Młodzieniec, choćby szedł drogą wskazaną mu przez matkę, przypatrywał się drodze, którą schodził do grobu jego ojciec. Wyrastał więc na człowieka, mającego wiele z nowego hasła, mającego też dużo ze starego.

Tej osjatniej szkoły był Eustachy Belizar.

Doskonale umanierowany, z jakimś indywidualnym rodzajem głęboko zakorzenionej, z mlekiem wyssanej, pełnej szacunku dla dam galanteryi, niezmiernie powierzchowny, daleki od wszelkich ojcowskich zapalów i

lubij, wyglądałby w naszej epoce na dziwoląga, gdybyśmy tych znikających typów nie znali i źródła ich nie rozumieli. Był bardzo comme il faut i, zdawało się, więcej nic. Głosu nie podnosił nigdy. O rzeczach, które, zdawałoby się, głębiej interesował, mówił ze spokojem i powagą człowieka, którego by nic nie zmusiło do zboczenia z drogi, nakazującej przede wszystkim uszanowanie dla pozorów i manier, trzymającej w korbach nie tylko głos, ruchy, słowa, lecz całe jestestwo. Przytem była to koncepcja powolna i to wychowanie łatwo się na jej podstawie zaszczerpiło i bujnie przyjęło. Zdanie swoje rzadko wygłaszał, a jeżeli mówił z damą, lub człowiekiem, mającym prawo do umysłowej wyższości, tego, lub też był zawsze zdania. Zaczynał każdy frazes od cichego "zdaje mi się", kończył każdą rozmowę przysłowiem "certainement" i mógłby uchodzić za bezmyślnego automata, gdyby oczy jego nie zdradzały pewnej inteligencji, a fizyonomią — ciągłej pracy, powolnej, lecz obserwującej i refleksyjnej myśli. Dla Homla, wygłaszającego ostro swe myśli, tworzącego paradoksy, często kryjące, zadziwiająco swą głębokością prawdy, dla

Homla, występującego z brzegów i przelewającego na papier nadmiar rozsadzającej mu mózg wyobraźni, był ten jego kuzyn, Eustachy Belizar, zagadką, tak jednak nieinteresującą iż jej rozwiązać nigdy nie usiłował.

Zresztą, mało go dotąd znał. Teraz zaś, od czasu, jak baron w Mikulińcach bawił, hrabiemu zdawało się coraz częściej, iż dostrzega w nim, pod tą powłoką lalki, modnej w pewnej epoce, anachronicznej dzisiaj, wyjątkowej wtedy, człowieka obdarzonego umysłem krytycznym, czującą duszą, a pracującym spokojnie i powoli mózgiem. Sądził, iż poznawszy go z panną Kolońską i powiedziawszy mu "żeń się z nią," usłyszy odpowiedź "certainement" i że będzie jego tylko rzeczą doprowadzić do ołtarza tego człowieka, posądzonego o absolutny brak woli. Teraz jednakże zdawało mu się, iż mogą trafić się kwestye, na które Belizar, ryzykując niespodobanie mu się, mógłby nieodpowiedzieć "certainement." Widział, jak Belizar przywiązuje wagę do wychowania salonowego i gniazda rodzinnego, widział, iż dużą fortunę i zdrowie stracił, zabawiając się w demimondzie paryskim, wiedział, że widzi wszystko przez okulary, których w jego rodzicielskim domu używali.

Przypuszczał więc, że pokazując mu pannę Kolońską, przedstawi mu typ ponętny, jedyny, uosabiający prądy, ku którym go parła natura i atawizmy, i wychowanie. Mańcia, pochodząca z "gniazda," światowa, jakby się urodziła w epoce, w której salon był jedynem hasłem, przytem mająca coś niezmiernie francuskiego, nie tylko w swem r i y, ale w całej swej postaci fizycznej, dzwoniąca jakimś fałszywym

dźwiękiem, przypominającym półświat, który mężczyźni w świecie nad wyraz znajdować lubią, zdawała się uosabiać hrabiemu to, co winno było być ideałem

Belizara.

I nie omylił się, bo panna Kolońską najwidoczniej od razu się spodobała mniej staremu, niż podstarzałem kawalerowi.

Podobała mu się. Bawił go jej rozum, działała mu nawet na zmysły jej osobą. Ale

czemu spoglądał na nią wzrokiem, odkrywającym Homłowi w Belizarze, człowieka,

analizującego swą powolną, nieświadującą i niezagłębiającą się zbytecznie psychologią.

Podobała mu się, ale się jej nie oświadczał, jak hrabiemu codzień mówiła

Kolońską, ani też jemu z niczem się nie zwierzał, o nic nie pytał i nawet zdawał

się unikać rozmowy, mogącej go ku tym przepaściom stoczyć.

— Nie śmie, — myślał hrabia, — zkadżeby bo mógł przepuścić, że taka panna,

codzień wzywana do różnych stron wielkich tego świata, jeszcze młoda, elegancka,

zechce go na męża.

Postanowił więc z nim otwarcie pomówić. Ale, że się sposobność ku temu nie

trafiała, że sam był zajęty Janiną, że na pośpiechu nikomu, sądził, tak dalece

nie zależało, zwlekał.

Zwlekał nie tylko może dla tego. Pani Bonar, przybyła w rodzaju bliskiej kuzynki

Mańci, dla ułatwienia Belizarowi starania się, czy uplanowania powstałych ztąd

zawikłań, miała natychmiast odjechać, skoroby się rzecz ta zdecydowała.

A Homel bał się tego odjazdu, jak śmierci. Zdawało mu się, iż w dniu, w którym

Janina opuści Ujazdów, zerwie się. w nim jakaś fibra, zawsze odczuwana, ale

zanikła, dziś pobudzona, pulsująca, siłą struny jedwabnej wiążąca go do życia,

które mu się zdawało dlań na zawsze bezbarwne i do niewytrzymania monotonne.

Więc się bał decyzji, nawet w oczach Belizara.

W Janinie się kochał. To uczucie, sam widział, było dziwne. Zmysły w niem słabą

grały rolę, a hrabia w zmysłach widział początek uczucia, zwanego miłością. Czy

zmy-

sły u niego były zasilnie uśpione? czy kobieta zasilnie zadrgała jego wyobraźnię? nie wiedział.

Znał siebie o tyle by wiedzieć, że u niego w najmłodszych latach miłość przez

głowę wchodziła do serca. I dlatego nie wątpił, że i tym razem tę drogę sobie

obrała. Rad był temu. Dowodziło to najprzód, że się nie zmienił zasadniczo, a

więc nie postraszą! radykalnie. A powtóre do czegożby doprowadził pozór jego

zmysłów? w najlepszym razie do nieszczęścia dwóch istot, jego i Janiny. Że Janina

nim była zajęta — nie wątpił. Kobieta ta wprawdzie nie powiedziała mu tego

otwarcie, nie upoważniła go niczem do wyrobienia sobie tej o niej opinii, ale

hrabia zbyt był głębokim znawcą duszy ludzkiej, by nie widzieć, że posiadał to

oporne serce, ale tak do podbicia łatwe. Czuł, że Janina musiała się
nim zająć,
bo czuł, że był dla niej nieznanym narkotykiem, ku któremu
wszechwładnie ją
pchała jej Sentymentalność, jej dobroć, jej kobieca wrażeń ciekawość,
więcej
jeszcze — jej kobieca bierność.
Ona mu się nie dawała — on brał ją siłą swej inteligencji, siłą ogromu
nowości,
jaką przedstawiał, siłą jej wyobraźni, naktó-

raż nikt nigdy tak umiejętnie i tak dla kobiety rokosznie i upajająco
nie
działał.
On czuł, jak ją brał każdym słowem wszechwładniej w posiadanie, jak
ją codzień
więcej wydzierał Bonarowi, nie domyślającemu się w nim rywala, a
raczej nie
pojmującemu wyobraźni, której sam nie miał.
On czuł, jak za każdym jego słowem Janina porównywała uczucie,
które w nim
obudziła z tem, które jej dało poznać miłość jak sobie zdawała
sprawę, że każdy
komplement z ust jego pierwszy raz słyszała, tak pomyślany, odczuty
i wyrażony.
On czuł, jak była dumną z uczucia, które w nim rozbliła.
On czuł, że Janina przeglądała oczami, w zapatrywaniu się na siebie
samą i rwała
się do tego światła, którem ją oświecał, do tego słońca, któreby nad
nią, z nim
połączoną, jaśniało.
Czuł to wszystko i przywiązywał się do Janiny, nie tyle tej, którą
poznał, ile
tej, która mu się pod ciepłym słowem jego i spojrzeniem, pod siłą
inteligencji jego
i subtelności myśli i uczucia, kształtowała, niemal rodziła.

Zajmowała go tak silnie, roznamiętniała subtelnością swoją
psychiczną tak
potężnie, iż nie przstraszał kobiety żadnym żądaniem, żadną
deklaracją, mogącą
jej stan rzeczy-

wisty jej duszy otworzyć, bo niczego nie żądał, rzeczywiście,
zachwycony chwilą
obecną, swą rolą twórcy w Janinie, ideałem kobiety rozmarzony i
oszołomiony.
Nie było między nimi jeszcze mowy o miłości, nie było wyznania, bo
wyznanie
stanowiło zabopólne zajęcie się sobą tych dwojga istot, tak dalekich
od szukania
w Ujazdowie pokarmu dla serc i wyobraźni, tak dalekich od potrzeby
flirtów, tak
trwożnych burzy, którąby serca ich porwane dokoła siebie wywołały.
Nie było nic zgoła, tylko zabopólna potrzeba siebie do szczęścia, czy
dobrobytu.
Hrabia śpieszył do Ujazdowa, analizując swój pośpiech, a tam go
czekała Janina,
nadsluchująca każdego turkotu, ażali ten jej nie przyniesie człowieka,
przy
którym czuła się sobą, jakąś wyższą, piękniejszą, do siania szczęścia,
a nie do
zadowolenia, do wzbudzenia namiętności, a nie sympatii powołaną.
Czekała nań, by jej dalej, na ławce, w parku Ujazdowskim, na deptaku
w tłumie
ludzi dla nich nieistniejących, swym melodyjnym modulacją głosem,
odkrywał, czem
ona rzeczywiście była, jaką istotą, niefortunnie w świecie tym
rzuconą, jakim
skarbem dla człowieka, któryby ją poznać, zrozumieć, ocenić,
uzupełnić potrafił;
by jej

dalej bez końca opowiadał to wszystko o niej, co teraz czuła, że
prawdą było,
ale czego jej nikt nigdy nie powiedział, nikt nigdy do poczucia niczem
nie dał.

Ona siebie w nim dopiero zaczynała poznawać i kochać.
A Homla, spotykającego dotąd w swym świecie kobiety, dalekie od
tego ideału,
który przy owym obiedzie był naszkicował, zachwycała ta prostota
Janiny, ta jej
giętkość serca i umysłu, ta kobieca, niezrównana w niej bierność,
która mu
pozwalała ją opanowywać.

Młodniał. Znajdował rozrywkę w rzeczach, w których już nie
spodziewał się
znaleść nigdy nic więcej, prócz zwyczaju, obowiązku, lub nudy.

Niecierpliwie
oczekiwał każdego zebrania w Ujazdowie, a godziny spędzał na
przechadzce po
parku z panią Bonar, na słuchaniu wraz z nią przygrywającej
orkiestry, której
dźwięków, ani nuty, ani melodyi najczęściej nie słyszeli.

Odmłodniał. Podwoje salonów Mikulinieckich otworzyły się Światła,
dawno nie
zapalane w kinkietach, i żyrandolach, zapłonęły. Z bufetów
powystępowały szkła i
porcelany, oddawna niepotrzebne w ich cichej i zamkniętej
egzystencji.

By mieć protekst proszenia Bonarów, poznawał w Ujazdowie ludzi,
zdziwionych, ie

ich dotąd przez lat kilka poznać się nie starał, przypominał się
sąsiadom,

którym ostatni by} wizyty nie oddał.

I spraszał wszystkich do Mikuliniec, by w tłumie łatwiej się z Janiną

odosabniać, by i tą stroną amfitryona, w feudalnym pozornie zamku
przyjmującego,
na imaginacya młodej kobiety podziałać.
Jakąż radością dlań było, jakąż biesiadą umysłową, choć
niepozbawioną próżności,
gdy pani Bonar raz pierwszy zjawiała się w Mikulińcach na
tygodniowej recepcyi
hrabiny.
Przyjęcia te były urządzone z prozepopeją, będącą dawną
namiętnością
artystycznego umysłu Homla. Oświecano algiorno salony,
przepełnione dziełami
sztuki i zbytku, występowała wielka liberya, lokaje, kozaki, strzelcy w
swych
mundurach, kapiących od złota, fanfary średniowieczne oznajmiały
wjazd gościa w
bramę zamkową, wiszącą nad kanałem, kopanym przez Tatarów,
moździerze z baszty
towarzyszyły zdrowiom, pitym przy kolacyi.
Cała prozepopeja przyjąć człowieka bogatego, lubiącego ją
nadewszystko, robiłaby
na każdym wrażenie w tym zamku po Opalińskich jeszcze,
urządzonym ad hoc z
genialnym artyzmem.
A Homla, którego i to było dawno znu-

dziło, dziś znów bawiło. Bo studjował wrażenie, jakie to sprawiało na
kobiecie,
pierwszy raz przestępującej w tym domu progi całego świata,
bawiącego się
utrzymywaniem, i zastosowywaniem do epoki prozepopei feudalnej,
czy mogunckiej,
świata, o którym, że istnieje, wiedziała, ale do którego się zbliżyć nie
miała
nigdy nadziei.

To Studium go zachwycało swym interese i subtelnością. Widział jak Janina przygotowana, bo wszakże uchodzi} za dziwaka pod tym względem, straciła swój kontenans, złożony z prostoty i swobody niezrównanej, gdy przestąpiła próg halli zamkowej, gdy przed szpalerem służby defilowała do salonów, w których ją prowadził kozak, i stepowym głosem zawołał jej nazwisko. Jak się przypatrywała niedbale, a ciekawie olbrzymim portretom Homlów i Opalińskich, jak ją zastanawiały różne rafinerye w usłudze, nakryciu, różne przedmioty, odkrywające jej zasłonę na wielkopańską egzystencję. I widział, że na tem tle grobowca Homlów i Opalińskich, ubranego artystyczną ręką, na tem tle sybaryty i myśliciela, podobał jej się więcej niż kiedykolwiek, że jej to uczucie, które w nim wzbudziła, tu, w Mikulińcach, jeszcze więcej, niż w Ujazdowie, schlebiało.

I truchlał, na myśl, że ten pobyt w Ujazdowie pani Bonar z Bonarki pod Wyszogrodem musiał mieć swój koniec! A koniec ten przyśpieszyć mógł jeszcze Belizar, gdyby nim, w jednej z długich, spędzonych razem aparté, silniej zadrgała Kolońska. — Niechby się to wlokło, — myślał, — on do oświadczyn nieskory, ona... chyba mu się sama nie oświadczy. Tak stały rzeczy, gdy w kilka dni po tym obiedzie katastrofijnym, jak go nazywała w duszy Kolońska, wyprowadziła go daleko w park i tak zagadnęła, z

większą jeszcze niż kiedykolwiek szczerością, wiejącą z całej jej osoby:

— Zrobiłeś my pan największą krzywdę...

— Czem? na Boga!

— Tą swą epopeją pany Bonar. Wscekła byłam na pana. Ale wem, żeś nechciał my

zrobić przykrości. Sama byłam głupa, wszczynając te rozmowę.

— Ach! doprawdy. Przesadzasz pani...

— Ne. Allez. Je suis assez fyne. Czy pan uwerzysz, że od tego obadu zmenył się

do nepoznania?

Przystanęła, Niziutka, zadarła głowę do wysokiego Homla i jeszcze zabawniejsza w

swem wielkiem serjo, szepleniąc i mrużąc powiekami, mówiła.

— On był gorrrący, jest zymny, on był zapalony, jest calme, on prróbował nne

declarration, dzyś jej niechwyta, gdy mu ją sama poddaje...

— Baron?

— Belyzarr!

— I tej zmiany ja byłbym przyczyną? — zawołał przystając hrabia.

— Pan! Ależ do pana żadnej urazy nemam Tylko sobe darrować nemogę. Cóż za myśl

pekelną, żeby wywoływać fylypykę kobety, która jest przecywległym mne begunem.

Je ne puis me parrdonner.

— Ależ żartuje pani...

— Netłumacz my pan nyc. Ja wem, co mówę. Kobeta to czuje.

Kobieta czuje każde

drrgnęcie mężczyzny, wie, gdzie przyczyna leży. Zrrrobiłeś pan my krzywdę a ne

pas exprimer. Ale stało się...

Przystanęła i mówiła:

— Ja chcę wyjść za Belyzarra. Chcę! Entendez — vous?

Hrabia z największą trudnością tamował śmiech, dławiący go i słuchał z

przekonaniem, uwagą i skruchą...

— Mais nous ferons le possible... Kolońska zrobiła kilka kroków i rzuciła się na ogrodową ławkę.

— Siadaj pan tu. Musze szczerze z panem pomówić. Czuję tego potrzebę. Zresztą czło-

wiek tak rrozumny, jak pan, może my dać tylko dobrrrą radę. Zrobiła ruch gwałtowny całą swą osobą, zbliżyła się tak do Homla, iż w

roztrzepaniu swem, czy rozgorączkowaniu, jednym ramieniem na Homlu się położyła

i ciągnęła swą pośpieszną, płynnością zadziwiającą, swadą.

— Ja chcę wyjść zamąż. Już mam dość tego panieństwa, już dość tych obiadów, où

je bouche toujours un trou, już dość tych pekelných nudów, z rozbawoną

fyzonomją, ze smecchem na ustach, a gorryczą w sercu. Już dość tych wyzyt, tych

komplementów, buketów i czekoladek. Już dość tego wszystkiego. Ca m'etouffe.

Zwolniła Homla z ciężaru połowy pulchnej swej osoby i obracając się do niego, a

patrząc mu prosto w oczy, mówiła:

— Czy pan myślisz, że mnie to bawy, że mnie kedykolwek bawyo? Ne! To tułane się

po cudzych kątach, te obady ne u sebe, te mejscia w obcych lożach, te nadskakywanie cudzych mężów i cudzych konkurentów, są mi już od pewnego czasu

wstrętne. Ca m'etouffe.

Ręką się chwyciła za gardło, jakby się chciała zarzynać i podchwyciła:

— Jestem nieszczęśliwa, jak kamienie. Z początku mnie to bawyo, ta rola panny —

lwycy, to ubegane się o moją osobę przez wszystko, co jest
najsławniejszego w
kraju, te pływki inwytacyj co rrrano, ten szal swatowy, te depesze co
mne wzywały
do kseźnej Dusi, gdy bawylam u hrabiny Ksawerowej. Jechałam do
Dusi, a tu
depesza odwoływała mnie do pany Augustowej, bo polowane a courru
bezemnieby było
neudane, a w rzeczywystości, bo lepej jej było pod moją egidą
flyrtować z
Fryderykiem. To mnie baw było. Ça m'étouffe aujourd'hui.
Homlowi już się śmiać nie chciało Widział przed sobą nieszczęśliwą
kobietę,
która o tem wiedziała. Sądził, że jeszcze nie patrzała w siebie i w
życie, a tu
się dowiedział, że patrzała najjaśniej, i podziwiał tylko tę siłę woli i
ducha,
które jej pozwalały spełniać te katorżne roboty z uśmiechem na
obliczu z
zamiłowaniem w pozorach do wyprowadzenia w pole jego,
najgłębszego, jak się
wyróżniał, obserwatora.
Ona zrozumiała myśl jego i podchwyciła, odetchnawszy:
— Coż ja mam w życiu? Nyc! Same pozorry! Pozorry zabawy, bo
umieram z nudów, a
syłyć się muszę być zabawną w tej tułaczce po obcych domach, z
których by mnie
wyrzuciły, gdybym im pokazała le fond de mon âme, obrzydzenie,
jake my sprawują,
pogarrdę, jaką żywe dla ich uczuć sympaty,

przyjaźni i... que sais — je? Coż ja mam? Ależ ja nemam jednej
rzeczy, któraby
była moją, do której bym się mogła przywazać uczucem jakemkolwek.
Począwszy od

meszkania, będącego własnością mego kuzyna, wszystko to, czego
my nejedna głupa
zazdrości, to cudze. Obsługują mnie cudzy lokaje, jeżdżę cudzymy
powozami,
nadskakują my cudzy mężowie, noszę cudze sukne. Homel spojrzął
zdziwiony.

— Tak, panie hrabio, — podchwyciła. Czyżbym była w stanie, tak
się ubrać z
tego, co mam? Księżnej Dusi przyśle Barowetz z Wednia suknię źle
zroboną, ou qui
lid va mal, odstępuje my za połowę ceny. Fryderykowi nepodoba się
jaka tualeta
Augustowej, którą raz włożyła - sprzedaje my ją za czwartą część
ceny.

Poczerwieniała cała i wykrzyknęła:

— Już nemogę: Ça m' étouffe. Wolę nędzę, niż dalej to życie.
Mówyleś pan kedyś,
że wyszedłszy za Belyzarra, nebędę mała tego, co u was wydę, ha!
ha! Ależ ja
kurry zaganać będę, byle rraz wyjść z tej pozycyi. byle raz przestać
być un
bouchc — trou, byle meć swój dom, swego męża, enfin... coś... coś...
biedę, coby
była moją...
Hrabiemu łzy w oczach stanęły; to szczere wyznanie wiary, ta
spowiedź młodej,
wydelikaconej, w tej chwili wydającej mu się

piękną nawet, z tem sztucznem, wyzywajacem spojrzeniem tryumfu,
było zasilne na
jego literackie nerwy. A więc ona była istotą, czującą każde
upokorzenie,
przywiązane do jej egzotycznej egzystencji, a więc ona była tak
nieszczęśliwą,
jak sobie wyobrażał, że musiała być nieszczęśliwą w błyskotliwym jej
stanowisku

każda prawdziwa kobieta. A więc ona była także w swej głębi kobietą,
ona, którą
onegdaj porównał do... niepamiętał już do czego.

— Pani! — wybełkotał — są rzeczy, których najlepiej nie
analizować, gdy się ich
zmienić nie potrafi. A wierzaj mi, iż niema ludzkiej egzystencji,
którejby
analiza nie wykazała jej nicości, nieraz nawet potworności. Uważasz
pani z

pewnością mnie za szczęśliwego. Gdybyś wiedziała...

Machnął ręką, a rozgorączkowana Kolońską podchwyciła:

— Ah! Cóż za porównane! Możesz pan mieć strapienia inne, głębsze,
jakeś

subtelności, ale newynykające z naturry rzeczy. Wydzysz pan tę
chałupę, tam,

mędzy tymy dwoma świerkami? Ja, ile razy tę chałupę zobaczę przez
echape jednego

z parków, w którym bawę, z powozu, który mnie unosi w wielkim
kłusie wzorrowskiego

ekwypażu, tyle razy my się serce ściska... z zadości. Ot! patrz pan,
ten dym,

który się z komy-

na tego wznosi.. Tam sedzy kobeta, która ma wszystko to, czego ja
łaknę, a

którra nezna tylko moich upokorzeń, moich blizn, moich nudów, która
żyje, ale

negra sceny jednej i tej samej ze złej komedyi takiego autora, bez
odrobiny

talentu, jakim jest high'life.

Zmorzyła się, zadyszała, pierś jej falowała, rumieńce wystąpiły na
policzki, ale

ciągnęła:

— Pan się smałeś, dobrze to wydzalałam, gdy cy mówiłam, że się już
kocham w

Belizarze. Ha! ha! Alboż ja wem? Que sais — je? Jabym się może kochała w każdym mężczyźnie, któryby ze mnie chciał zrobić zwykłą, pospolitą kobetę. Zadyszała się, zaczerpnęła powietrza, ale ciągnęła:
— Żebyś pan wiedział, co my się dzało, gdyś o Janynie powedzał, że jest normalną kobeta. Wedzałam ja to dobrze ale neprzypuszczałam, byś pan to mógł wedzeć, pan któryś całe życe spędził z namy, z temi różami, zaszczepionemi na głogach, pofarrbowanemi tym nowym sposobem wstrzykiwań kolorrów, w łodygę róż, o czym czytałam. Gdy to czytałam, pomyślałam sobie "nowemi takie róże będą, ale takie róże — kobiety — są już oddawna." I pomyśl pan! Taka Janyna mi zazdrości. Ona mi zazdrości tysiąca rzeczy. Quelle derrision!

Urwała, jakby ostatecznie, a zadumany hrabia, pochylony ku ziemi, z głową opuszczoną, rysował laską zygzaki na piasku i zastanawiał się pierwszy raz nad zarozumiałością literacką. Jemu się zdawało, iż tylko piszący myśliciele są w stanie zgłębiać tajniki dusz, odczuwać fenomeny psychiczne, analizować serca i rozумы. A tu odkrywał się przed nim równie silny, jeśli nie silniejszy talent wnikania w istotę rzeczy, a stokroć razy ciekawszy pod tem białem gładkiem czołem najbanalniejszej pod słońcem istoty, pod tem czołem, które nigdy się nie sfałdowało zmarszczką świdrującej obserwacyi. On był małym przy niej, onby tak nie potrafił wniknąć w siebie i rozszarpywać swe rany i jasno patrzeć w swą

nicość.

— Pani — rzekł tylko, — je ferai le possible.

Zrozumiała go z tonu. Była przekonana, że jeśli tylko fizycznie Belizar da się

doprowadzić do ołtarza, to go Homel doprowadzi. Nie żałowała swej szczerości.

Jej zawdzięczała pewność, że wyjdzie wreszcie zamaż, jeśli to będzie możliwe,

jeśli to będzie możliwe takiemu Homlowi, hipnotyzującemu gdy sobie chciał zadać

pracę A że sobie pracę zada, widziała z tych męzkich łez, które mu jeszcze w

oczach błyszczały, które mu wycisnęła jej złocista, a tak straszna niedola.

— Dziękuję panu, — wyszeptała, — ratuj mnie — dodała ciszej.

Wstali i wrócili do pałacu, w najgłębszym milczeniu. Pod tarasem rozłączyli się.

Ona weszła do salonu, on ruszył dalej w zamyśleniu. Za ledwie uszedł kilkanaście

kroków, a już go z salonu, przez otwarte drzwi i okna doleciał grubawy,

dźwięczny, głośny śmiech, ten śmiech, rozweselający swą nutą szczerą, i

dzwoniącą.

Przystanął. To ona się już śmiała z jego żoną.

— Cóż za ciekawa istota, — szepnął, ruszając ramionami, jak to zwykł był

czynić, gdy coś przechodziło jego pojęcie.

Zapуścił się w park i dumał. Szedł i wracał, jakby bezmyślnie, zniknął w

zaroślach i znów się zjawiał nie daleko zamku, który spadzistościami i tarasami

spuszczał się ku otaczającym go fossom, sypanym w XVII wieku przez uwięzionych

przez hetmana Opalińskiego Tatarów.

Wreszcie, po jakiej godzinie przechadzki, a raczej pracy twórczej, to kombinacją ściągającej mu brwi na czole, to smutkiem tworzącej pionowe zmarszczki ostre i głębokie, zmierzył ku zamkowi, ku baszcie, zwanej "szwedzką," bo szwedzi byli ją kiedyś wysadzili w powietrze, jak niosło podanie. Tu stanął i na cały głos zaczął wołać:

— Belizar! Beli.. zar!

W oknie pierwszego piętra ukazała się głowa pana Eustachego.

— Wołasz mnie?

— Ciebie!

— Chcesz czego?

— Byś szedł i zrobił ze mną un tour...

— Z największą przyjemnością.

Za chwilę byli już razem, Homel kombinujący, Belizar — wyświeżony, w każdym kroku wymanierowany, apatyczny i dziwnie spokojny.

— Śliczne są te Mikulińce, -zagadnął, — śliczne. A ty je tak podniosłeś, tak przyozdobiłeś...

Homel głęboko odetchnął!

— Nie ściągnąłem cię po to, żebyś mi komplementa z tej beczki mówił; mam z tobą do pomówienia...

To mówiąc, wsunął mu rękę pod ramię, które Belizar mu podał ruchem galanteryi, dziś już dla damy zdemodowanej i odparł.

— Jestem na twoje rozkazy.

— Nie bądź na moje rozkazy, tylko odpowiadaj mi otwarcie.

— Ale jakżeby inaczej, — szepnął pan Eustachy, jakby oburzony przypuszczeniem, że mogłoby być inaczej, — certainement...

Zabawnie wyglądali ci dwaj ludzie. Jeden nerwowy, drugi apatyczny, jeden

chodząca

dezinwoltura, drugi — maniera, jeden z czemś orłem w oczach, w podniesieniu głowy, drugi z czemś pelzającym, w pokornej minie, w mdławym spojrzeniu.

Jakby to samo porównanie przyszło do głowy Homlowi, bo zaczął: — Trudno mi z tobą wszcząć szczerą rozmowę, jak z nikim. Nie znałem cię dotąd.

Dziś jeszcze nieznam... Gdy cię widziałem ostatni raz, byłem młodem winem.

Zostawiłeś mi wrażenie... durnia. Teraz zaś...

Urwał, nie uważając na lekkie ściągnięcie brwi Belizara.

— I powiedzieć, że przecież powinniśmy być do siebie podobni.

Twoją babką i

moją prababką były dwie siostry Opalińskie, córki marszałka, wnuczki wojewody.

Powinna w nas jedna krew płynąć, śmiała, gwałtowna, rzeźka, niepozwalająca słów

obwijać w bawełnę... Tymczasem ma się inaczej.

Ja cię przestraszam, kaleczę, ranie, jakbym machał wyostrzoną szablą, mym

językiem jędrnym i stanowczym. Ty mnie onieśmielasz twemi paradami szpady z

czasów Ludwika XV. Co robi wychowanie? Dziesięć lat różnicy.

Ciebie wychowywali

miętko, na salonowca, mnie los twardo, na człowieka.

— Certainement...

Hrabia przystanął i spojrzał mu w oczy.

Może on i byt durniem, za jakiego go miał dotąd, ze wspomnienia odległych

wrażeń?

.....

.....
.....
.....
Nie! on nie był durniem! Odchrząknął i zaczął:

— Te Mikulińce, które tak ci się podobają, bez zaprzeczenia piękne, zagrożone są przejściem w obce ręce. Ja dzieci nie mam, Homlów — prawie niema, ty się nie żenisz...

Przypatrzył się Eustachemu i ciągnął:

— Nie mając co robić, w tej potrzebie myślenia o jutrze, o drugich, jeśli się niema co myśleć o sobie, zastanawiałem się długo, dla czego ty się nie żenisz.

— Ah! jakiś ty dobry..

— Nie będę ci nawet taił, iż, gdy panna Kolońską teraz do nas przybyła, ułożyliśmy, ja z moją żoną, że byłaby to stworzona żona dla ciebie. W tym nawet celu potrosze tak gwałtownie i nieodwołalnie cię zaprosiłem.

— Comme vous êtes bons vraiment...

— Dla ciebie wielki czas, a lepiej chyba nie trafisz. Nazwisko, wychowanie, stosunki, to wszystko, o co dbasz, znajdziesz tutaj. W twoim wieku już się rezygnuje z partyi, szczególnie, gdy samemu się niema dużej fortuny, a nawet i tutaj jest mi soupçon posagu..

— Soupçon... — powtórzył, jakby sam do siebie, cichutko, Belizar;
— Homel

udając, że nie słyszy, dalej ciągnął:

— Nieprzygotowany byłeś do warunków, w jakich ci przyszło gospodarować. Nikt nie przypuszczał kryzysu specjalnego na szlachtę polską, szczególnie w chwili,

gdy ta tyle dostała ciągów, a szlachta Europejska dawno kryzys przeszła.

Niepojmujesz własności obciążonej, robiącej z nas, ongi dżentelmenów na kawałku ziemi, dziś na tym samym kawałku ekonomów Towarzystwa Kredytowego i wierzycieli...

— Jaką prawdę tak ładnie mówisz.. — bąknął znów Eustachy, — my jesteśmy rzeczywiście ekonomami...

— Spłacisz więc, — podchwycił Homel, — Towarzystwo i odzyskasz materyalną swobodę, za którą tęsknisz, która ci jest niezbędną, tak, jak mnie sztuka, czy... co innego.

Urwał i czekał, ale Belizar długo milczał, i wreszcie odrzekł:

— Jesteście rzeczywiście dla mnie zadobrzy. Jakże ja się odwdzięczę...

— Żeniąc się, będąc szczęśliwym i uszczęśliwiając przyjaciółkę mej żony...

Eustachy mruknął coś niewyraźnie swym powolnym, i łagodnym głosem. Homel musiał ciągnąć:

— Panna ładna, lat dwadzieścia i siedem, proporcya wyborna. Stosunków bez liku, co i coś warte, wobec tego, że się robisz ciężkim...

— A certainement, tak światowa, miła osoba.

— A więc?

— Hm... oum... he.. houn..

— A więc? — powtórzył Homel.

— Hm... oum... he... houn... — powtórzył Belizar, jakby jakąś melodyą.

Nastąpiło milczenie, długie, przykre hrabiemu, przykrzejsze może Belizarowi, ale

ten niczem tego nie zdradził — Zapewne, — wreszcie odparł, —
certainement.

Bardzo słusznie powiedziałaś, że ostatni czas... huum... oum...
zapewne.

.....Ale gdzieżby
mnie tak miła, takświatowa, tak elegancka, tak intelektualna osoba za
męża
chciała?...

— Nie lubię, — przerwał hrabia, — w tobie tej niewiem, czy
rzeczywistej, czy
tartufowskiej skromności. Dla czegożby cię miała bezwarunkowo
niechcieć? Masz

tytuł, — nazwisko, majątek...

— Majątek... huum...

— Wszakże masz?

— No, mam, certainement, ale to zaledwie wystarcza na jedną
głowę...

— Wierzaj mi, że niema wiejskiego obja-

du, który, zrobiony na jednego, nie wystarczyłby na dwoje.

— Certainement.

— A więc?

— Hm... oum... huum.. ha!

— Nie podoba ci się?

— Ale gdzież tam? — podchwycił czempredzej z przestraczem —
une charmante

personne. Jakżeby mi się mogła niepodobać?

— Nie chcesz się żenić?

— Owszem... huum...

— Boisz się żenić?...

— Nie... zapewne... certainement, że to ryzykowne w moim wieku...

— Idźże do djabła z tym twoim wiekiem! Ja mam mało co mniej od
ciebie, alebym

się drugi raz ożenił.

— Haha! — zaśmiał się Belizar śmiechem, który się wydał hrabiemu
deską

ocalenia, której się kuzyn jego chwycił, by uchronić się od dalszej indagacji.

Przystanął więc i dotykając klapy od surduta Eustachego, a wlepiając weń wzrok, zagadnął:

— Rozumiesz, że odpowiedź twoja, choćby niestanowcza i ostateczna, może być nam potrzebną. Jeśli więc...

— Ah! jesteście rzeczywiście tak dobrzy... houn... pana Kolońską tak miła, ładna osoka, certainement.

Spotkał się oko w oko z hrabią, pomieszał i rzekł:

— Naturalnie. Coś stanowczego byłoby zawczasie. Vous avez raison...

certainement. Je continuerai, — poprawił się czempredzej, — je ferai ma cour.

Rozmowa była skończoną. Belizar odetchnął, a hrabia się spostrzegł, że nic a nic

więcej nie wiedział, jak to, co wiedział przed tą indagacją. Jakiś błysk złości

wyraziły jego oczy, ale się rozpogodziły w tej chwili. Jeśli Belizar, ze zwykłą

sobie flegmatycznością, obiecywał dalej się starać podobać Mańci, to ta nie

opuściłaby Mikuliniec tak długo, jak długoby te starania trwały.

Dopóki Mańcia

nie opuszczała Homłów, pani Bonar miała bawić w Ujazdowie.

Wprawdzie Janina mu

często wspominała o gospodarstwie, o dzieciach, opuszczonych w Bonarce, ale

wiedział, że te ostatnie nie będą pretekstem do zmiany planów, do gwałtownego

przebudzenia się ze snu, w którym on ją kołysał.

Był między młotem i kowadłem. Tu gorąco pragnął przytrzymać w Ujazdowie Janinę,

będącą dlań jakby słońcem tego sezonu. Tu też pragnął uspokoić,
upewnić pannę
Kolońską, której sprawą wydania zamąż gorąco się zajął. A Homel
był bajecznie
upartym, jeżeli nie wytrwałym. Trudności,

jakie zdradzały mu pomrukiwania Belizara, podnosiły jego wolę
postawienia na
swojem. Miał w sobie tę silnie rozwiniętą cechę, częstą u ludzi
wyższych
intelektualnie, poddawania swej woli zwykłych śmiertelników. Życie
ten rys
despotycznego charakteru w nim rozwinęło. Na palcach mógłby być
policzyć
wypadki, w których mu się nie udało przeprowadzić z nieubłaganą
bezwzględnością
swych zachcianek, czy kombinacyj. Przypomniał sobie to teraz. Jeśli
niedopiwał
celu wymową, przypodobaniem się, genialnem nakręceniem sprężyn,
dobrze i
umiejętnie obmyślonych, to go osiągał podstępem, czy jednym z tych
rozlicznych
środków silnej woli.
Objął spojrzeniem Belizara. Jakże mu się wydał słabym, miękkim,
chwiejnym,
giętkim, ze swym brakiem cywilnej odwagi wygłoszenia swego
zdania. Jakżeby on z
nim, z takim medium, on, hipnotyzujący, jak mu to nieraz dawniej,
gdy na nie
patrzył, mówiły kobiety, nie doszedł do ładu. Belizar musiał się ożenić
z
Mańcią.
Jeśli się nie oświadczał dzisiaj, zaraz, to dla tego, że on chciał to
odwlec, on
sam, aby dłużej mieć w Ujazdowie Janinę.

I o niej chyba myślał, gdy z marzeniem w oczach, z namiętnie
rozchylonemi ustami
Pod młodocianym swą miękkością i delikat-

nością wąsem, kroczył z zamyślonym Belizarem ku zamkowi.
O niej myślał. Stawała mu wciąż w oczach, sto razy na dzień, ze swą
minką
sprytną, a naiwną, wsłuchana w melodye jego głosu, gdy jej pod
różnemi
postaciami przedstawiał, że ją kocha, i że ona go kochać musi.
Stawała mu wciąż w oczach, z tą właśnie minką, — minką parafianki.

VII.

Tadeusz Bonar wreszcie się spostrzegł, że hrabia z Mikuliniec zanadto
nadskakuje
jego żonie. Byłoby to uszło zupełnie jego uwagi, gdyby nie pan
Joachim, który
tak natarczywie zaczął go się dopytywać o wszystko, co dotyczyło
hrabiego, jak
gdyby on co najmniej był domownikiem Homla.
— A cóż u diabła, — obruszył się też raz Bonar, — niewiem! Zkądże
mam wiedzieć?
Od pewnego czasu zanudzasz mnie kochany pan, Homlem,
Mikulińcami, etc. A ja nic
niewiem. Jadę tam, gdy mnie zaproszą i gdy mi doktor pozwoli Widzę
to, co
wszyscy widzą. A z hrabią, u licha, niewiem, czy wymieniłem więcej,
jak dziesięć
zdań w życiu...
Ton Tadeusza obraził pana Joachima.
— Niemasz sie pan co gniewać, — czempredzej odparł,
czerwieniejąc na twarzy,
ściągając brwi i mrugając powiekami raz po

raz. — Widzę wciąż pańską żonę z hrabią i myślałem, że jesteście w przyjaźni...

ot! nic?

— to dobrze!

Tadeusz zagryzł wąsa. Chwilę usiłował jeszcze niepokazać uczuć, które w nim

zakipsiały wskutek tej odpowiedzi. Ale długo wytrzymać niemógł, pożegnał pana

Joachima i pobiegł do siebie, gdzie Janina musiała się właśnie ubierać.

Rozmowa

ta bowiem miała miejsce bardzo wcześnie rano, po kąpieli Bonara.

Byt więc

jeszcze przed śniadaniem. Głód robił go drażliwszym.

Biegł więc prawie swym pośpiesznym krokiem, w którym zwykle wysuwał prawe ramię

naprzód, co już parobcy w Bonarce byli zmiarkowali i określili

"galopem z prawej

nogi pana dziedzica".

— Żeby djabli wzięli Joachima i Homla..

— szeptał przez zęby, a przygryzał wąsa, a biegł coraz prędzej.

Jak bomba wleciał do pokoju Janiny.

— Wiesz co? — zawołał odedrzwi, — cały Ujazdów ma cię na językach!...

— Co? Tadeuszu! co ci? — zawołała przerażona, widząc wzburzone rysy męża.

— To paplanie z tym hrabią...

Już jednakowoż był nieco uspokojony. Przez drzwi uchylone do drugiego pokoju,

ujrzał przygotowane śniadanie ręką Janiny, z uwzględnieniem jego gustów, z

surową

szynką, z jajami na miękko, ze świeżymi rogalami. A miał zwykle szalony apetyt, szaleńszy w Ujazdowie po tych prysznicach, które mu aplikował sam dyrektor.

Trzeba było skończyć tę scenę corychło, by czempredzej spokojnie zasiąść do posiłku. Zresztą tę scenę musiał zrobić in officio, dla przyzwoitości. O Janinkę

był pewny, ale ciągnął:

— Ustawiczne jazdy do tych Mikuliniec... co ty tam masz? Te długie konferencyjc. Co ty w tym hrabi widzisz "u dyabła"?

Mówił to znacznie uspokojony. Janina знаła doskonale te gniewy Tadeusza,

porównywane przez nią do zapalonego snopka żytniej słomy.

— Któż cię tam podpalił? — zapytała.

— Podpalił... podpalił... — odparł udobruchany i szaloną już ochotę mający się

zaśmiać, Tadeusz. — Kto mnie miał podpalać? Przecież sam widzę.

Przecież wczoraj

dwie godziny z nim siedziałas na deptaku, na widoku wszystkich!

— Więc mi za złe masz, że się z nim nieschowałam? — zapytała zdziwiona.

— Dałabyś pokój... — bąknął draśnięty.

I znów miał szaloną ochotę się zaśmiać. On niebył do robienia scen zazdrości.

Gdyby tak Janinka inną była, toby na drugi raz się schowała...

— Lepiejbyś poszedł na herbatę, którą

sama przygotowałam. I pomyśleć, że dla tego draba sama chodziłam po rogale, —

dodała z oburzeniem.

Tadeusz uczuł się rozbrojony. W odpowiedzi zbliżył się do Janiny i obejmując ją

wpół, mówił:

— Przecież wiesz, że ja sobie z tego nic nie robię. Ale poco, u djabła, ludzie

mają na tobie ostrzyć języki?

— Czy ty zwarzowateś, Tadeuszu? Chciałbyś, żebym się pozbaawiła towarzystwa

hrabiego, który mię bawi, dla kilku głupców w Ujazdowie. Przecież dość siedzę w

domu, dość... abym się mogła zabawić, gdy ta zabawa sama wchodzi w ręce i nic

niekosztuje. Wszakże, sprowadzając mię tutaj, niechciałeś, bym się znudziła?

— No, naturalnie..

— A więc?

— No, widzisz, Janinko! Ten pan Joachim mie podpalił... haha!...

Zabawny jesteś! Byle kto cię... Niewarto mówić. Chodźmy na herbatę.

Jeśli już

dziś niebędzie taką, jak w Bonarce... Po wodę posyłałam do źródeł.

Zaparzałam

sama...

Bonar ją jeszcze uściskał.

— Moja pocziwa Janinko, nie. gniewaj się, pluń na to wszystko! Chodźmy!

I przeszli do drugiego pokoju. Tadeusz jadł, Janina mu się przyglądała.

Czy rzeczywiście on nie miał racji i prawa zrobić jej te scenę, a raczej ten

prolog do sceny? Może ona się i kompromintowała? Kom... pro... mito... wala..

Właśnie wczoraj mówiła o tem z hrabią. Jakże Homel wydrwił te obawy kobiet przed

kompromitacją. Jakże wydrwił to słowo same. Zmienił jej poglądy pod tym

względem. Słowo "kompromitacja" egzystowało tylko dla ludzi sfer znacznie niżej

intelektualnie stojących. Cóżto za świat, ten świat głupiego pana Joachima, ten

świat Ujazdowski wreszcie, śledzący, z kim hrabia rozmawia, ten świat jej z Bonarki? Cóż to za świat, w którym się kompromitowała kobieta rozmową z bardzo rozumnym, poważnym i nawet znakomitym człowiekiem? Hrabia jej dopiero otwierał oczy na tyle przesądów, w których żyła. Mogła mu być tylko wdzięczną. Uwalniał ją na resztę życia z tych zatruwających je zabobonów. Miała się pozbawiać jego rozumnych uwag, dla głupiego pana Joachima? To nie! — Więc się uspokoiłeś? — zagadnęła Tadeusza, połykającego kawałki szynki. — Mam nadzieję, że już nie wystąpisz z takimi głupimi pretensjami i że nie będziesz miał za złe swej żonie, że gustuje w rozmowie z ro-

zumnym człowiekiem, którego inne czytają i połykają. Gdzie ty tego pana Joachima poznałeś? Żeby sobie takim durniom pozwalać zawracać głowę! Tadeusz był nie tylko uspokojony, ale promieniejący. Szynka była wyborna.

— Jaka ty się robisz rezolutna? haha! Głupiec! dureń! patrzcie moją Janinkę!

— Bo kto widział? Chciałbyś, żebym była niegrzeczną dla hrabiego. Ależ ja

staram się być jak najgrzeczniejsza. Przecież mamy dzieci. Tacy ludzie, to są

stosunki, które w życiu dużo znaczą. Ot, widzisz, Mańcia może i wyjdzie za tego

Belizara...

— Hahaha! — zaśmiał się Bonar. — Jaby tam wolał całe życie ubierać Ś-tą

Katarzynę..

— Co tybyś wolał, to druga historia. Ale ona woli wyjść. A jeśli wyjdzie, to

jedynie dzięki stosunkom jej z Homlami. Właśnie dziś musiałam ci zwrócić uwagę, jak niewłaściwym jest twoje zachowanie się z hrabią. Niby sobie nic z niego nierobisz.

— A to dobrze? A cóżbym miał sobie robić?

— Powinieneś mu okazać swą wdzięczność, że swata twoją kuzynkę, przynajmniej uprzejmością...

— Pał ją djabli! — odparł Bonar.

Ale Janina widziała, że słowa jej trafiły

do jego przekonania. Więcej mówić niepotrzebowała. Po chwili jednakże dodała:

— Bo przecież nie mogę przypuścić, byś był zazdrosnym.

— Takżeby miał robotę? — zaśmiał się z oburzeniem Bonar, któremu to przypuszczenie, rzeczywiście wydało się rozmieszającym. Onby miał być zazdrosny, o swoją prawowitą żonę? o Janinkę? co tak, jak i on, rozmawiając z hrabią, myślała zapewne o najrychlejszym powrocie do Bonarki, do kur, i krów, i roli.

Zazdrość! to dobrze wyglądało w romansach i to jeszcze powieściopisarze mieli tyle rozumu iż jej używali wtedy, gdy bohaterowie powieści nie mieli absolutnie

nic do roboty, a używali "renty kilkudziesięciu tysięcy franków."

Zazdrość!

Niesłyszał jeszcze, by ta zatruwała życia rolnikom na Bonarkach

Może tam

bruździła jakim księżętom i hrabiom? A i to w tych ciężkich czasach, pewnie się nie trafiało.

— Takżeby miał robotę, — powtórzył, — ja teraz myślę, z kąd zapłacę ratę

grudniową Towarzystwa Kredytowego, a za co wybuduję spichrz, bo
djabło potrzebny

— Właśnie.

I na tem scena się skończyła. Tadeusz wybiegł, bo po śniadaniu
doktor mu zalecał
odbyć dwugodzinną przechadzkę przed kąpielą błotną. A on
skrupulatnie się
trzymał

recepty, on nie chciał drugi raz, w czas żniwa i polowania na kaczki,
siedzieć w

Ujazdowie.

Janina została sama. Miała dokończyć toaletę i odszukać Tadeusza na
deptaku.

Ale niekwapiła się do tego. Rozmyślała nad tą sceną, wywołaną
pierwszym jej
postępkiem, niepodobającym się Tadeuszowi. Pytała sama siebie, czy
mąż jej nie
miał racyi, czy rzeczywiście postępowanie jej zasługiwało czem na
naganę

Zapewne, że ze stanowiska poglądów Tadeusza, poglądów jej
wreszcie wychowania,

te szeptki z Horrlem, te á parte, ile razy się okazała trafiała, niebyły bez
zarzutu. Zapewne, że pozwalana sobie mówić hrabiemu wiele rzeczy,
które sama nie

przypuszczała, by jej kiedykolwiek mężczyzna śmiał mówić. Ale bo
też on był

innym mężczyzną i inaczej to mówił. Powtórzone wyglądało to
potworne

śmiałością... powiedziane, prześlizgiwało się w rozmowie —
najnaturalniej. C'est

le ton, qui fait la chanson. Jakaż prawdziwa prawda? Zapewne, że
zachowanie się

jej miało wobec jej samej, ale nie dzisiejszej, tylko wczorajszej, wiele
ujemnych stron. Wczoraj byłaby się surowo potępiła, za to
rozmarzanie się

rozmową, nie stosowną między ludźmi różnej płci, jeśli nie byli wolnymi. Za to pozwalanie mówić sobie komplementów, których milcząco

słuchanie mogłoby dać do myślenia, że gotowaby była jeśli nie zdradzić wierności małżeńskiej, to, że nie kochała Bonara. Za niejedno wreszcie, co., sama...
własnymi ustami wyrzekła. Wszakże, ona była po kolacyi w Mikulińcach onegdaj powiedziała Homłowi: "podobasz mi się pan tak, jak mi się nikt dotąd nie podobał." Ona mu to powiedziała? Wprawdzie było to po wielu kieliszkach szampana. Wprawdzie zaraz była dodała "pod pewnym względem", ale treść pozostawała treścią.
Jak ona to wypuściła? Jak?. Ona?. Bo też całe to towarzystwo, w które wpadła, w którym od dwu tygodni żyła całą duszą i ciałem, nie było podobnem do towarzystwa, które zapatrywania jej na zachowanie się kobiety unormowało. Hrabina nie przestawała szeptać z kilkoma mężczyznami, którzy jej się podobali, mówiła sama głośno rzeczy, których ona na razie nie rozumiała, tak wielkie były to schokingi... A co jej nie powiedział pan Jan Zabanowski? A Mańcia, żyjąca przecież w śmietance społecznej? Wobec nich ona była trusią, była taką parafianką, że się aż wstydziła czasem....
Wszakże całe życie taką być nie mogła. Kiedyś hrabia głęboko się i długo w nią wpatrywał. Zapytała go o przyczynę tego

fiksowania. Tak się wyraziła. W odpowiedzi, opierając swą głowę na dłoni, jak to miał zwyczaj czynić, ruchem pełnym artyzmu, przywołując na swe usta ten uśmiech młody, cyniczny, a dobry, który może głównie jej się w nim podoba!, odrzekł:

"Przypatruję się pani i myślę, jakie skarby na świecie kryją się po tych wsiach naszych. Jak ten kwiat rzadki, który, zasiany wypadkiem wyrośnie w kępie traw zwyczajnych. Gdy zakwitnie, trawy go prześcigną i zakryją tak, iż największy lubownik ogrodnictwa przejdzie około niego i nie zoczy go. Widziałem często taką pozycję nie jednego kwiatu, które w Mikulińcach stary ogrodnik idąc rozsiewał. Zawsze mnie ten widok niewymownym napełniał smutkiem. Pocóż ty tu? dla kogo? zkąd? ty biedny kwiatku, skazany na zapoznanie i ukrycie? zagrożony ścięciem przy sianokosach. Jakże straszną w najlepszym dla ciebie razie będzie chwila, gdy się ujrzysz sam na zwiędniętym trawniku Spytasz sam siebie, pocoś tu był, czyjeś oczy olśniewał, komu woń posyłał, ty wypadkowo niewłaściwie rzucona i zmarnowana cudza roślino?" Tak mówił. Ona dosłownie pamiętała słowo po słowie, całą tę przemowę. A tak była. czy uchwycona tonem hrabiego czy głosem jego melodyjnym i tak czucia pełnym, iż łzy jej się w oczach za-

kręciły. Łzy? nad tym kwiatkiem? czy nad nią?

Janiny twarz wyrażała zachwyt.

— To dziwny człowiek! — szepnęła w zadumie

Wtem zapukano.

Janina się obudziła. Jakby ból przeleciał jej po wszystkich fibrach
— Proszę! — zaśpiewała wnet odzyskanym głosem.
We drzwiach stanął strzelec hrabiego, przepyszny w swym paradnym
mundurze ze
szlifami, ze swą rudą brodą, ze swym uśmiechem pół-pana, a sługi. W
ręku trzymał
olbrzymi bukiet lilij wodnych i bilet.
Janina poczerwieniała, zażenowała się. Wszakże to był pierwszy
bukiet od lat
siedmiu, od ostatniego bukietu Tadeusza. A te lilje? Przypomniała
sobie
błyskawiczną chyżością wspomnienia. Dni temu kilka hrabia ją spytał,
jakie
kwiaty najbardziej lubi. Ona mu wymieniła lilje. Homel jej mówił, że
ich dużo
bywa w Mikulińcach, położonych nisko, otoczonych dziewiczemi
wodami. "Bo lilje
wodne byle gdzie nie rosną. Niepokojone być nie lubią. Są to
arystokratką mówił
Homel, nienawidzące zmiany żywiołu i gatunku jego, potrzebujące
ciszy i zbytku,
bojące się chwastów, a nieznoszące ręki, niszczącej je. Są to
konserwatystki,

znoszące ryby, ale niecierpiące, by staw spuszczano dla ich połowu.
Arystokratką
opuszczające siedlisko parweniusz ów, pogardzające blaskiem
bankierskim
przezczystych zwierciadeł wód"
Uchwyciła bilet i bukiet.
Na bilecie stało:

"Homel
posyła Pani te kwiaty, o którychśmy mówili"

— Dziękuję bardzo! — rzekła do strzelca, przypatrującego się jej z tą

wyzywającą, a uniozoną miną sług wielkich domów.
— Pan hrabia sam je zbierał, a raczej łowił... — rzekł.
— Taaak? — zapytała, znów czerwieniejąc.
— Lilij u nas massą, ale w czerwcu. Teraz giną. Lilje u nas są inne,
niż
wszędzie, pełniejsze... O tej porze przechodzą. Ale, że wody po S-to
Jańskich
deszczach się podniosły w fossie, więc zalały i lilje. Dzięki temu się te
utrzymały... Ale mieliśmy dość z niemi roboty...
Chciała coś powiedzieć, ale nie wiedziała jak, "ty", "wy", "pan" Była
w
największym kłopotcie. Wtem sobie przypomniała, że

strzelec właściwie nie był lokajem, że ten nawet uważał za wielką
grzeczność ze
swej strony, że przychodził w Mikulińcach do stołu stać za krzesłem
hrabiego
Opowiadała to kiedyś hrabina przy niej panu Janowi.
— I pan także? — zapytała.
— Naturalnie. Było to bowiem polowanie
Uklonił się i, ku wielkiej radości Janiny, wyszedł.
— To głupio, — była pierwsza myśl Janiny, gdy się drzwi zamknęły,
— tak nic nie
widzieć, nie wiedzieć, jak ja...
Bukiet rzuciła na stół, sama opuściła się na fotel.
Ten bukiet napełniał ją wielkim zadowoleniem, ale wielkim
kłopotem. Z biletem w
ręku połapać się nie mogła. Czyż to było stosowne? Czy to było w
zwyczaju? Co
Tadeusz powie? Gdyby jutro, nie dziś, nie teraz
.
.
.
.
.

No! Przecież w tem nic nie było niestosownego, bo Homel by ją na to nie narażał.

A ten bilet wszakże go każdemu pokazać mogła. Mógł leżeć na stole.

Rzuciła go na

stół. Tadeusz mógł go czytać.

Jakiż ten Homel był we wszystkim pełen taktu i przezorności. Gdyby był napisał

jedno więcej z miliona stów, które musiał mieć na ustach i pod piórem, byłaby w trudnej pozycyi z tym biletem, byłaby musiała go ukryć, a z bukietu się

tłumaczyć. A tak, gdy ją Tadeusz zapyta, wskaże mu stół:

— Przeczytaj!

Ten Homel był nadzwyczajny.

Sam zbierał, łowił, on, wielki pan, pisarz, sybaryta, on! To była jego pierwsza

myśl dziś rano Ona mu wczoraj w nocy o tych liljach mówiła On się chyba w niej

kochał.

.

.

Janina dumiała.

.

.

.

Zerwała się. Napełniła wodą wazon hotelowy, brzydki, jak tylko brzydkimi być

mogą przedmioty zbytku; gdy muszą być tanimi. Umieściła w nim bukiet i postawiła

na stole.

Teraz musiała już iść na deptak, gdzie ją Tadeusz czekał. Tak bo mógł przyjść

tutaj, a ona nie wiedziałaaby co mu odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak mu

długo każe czekać, co znaczy ten bukiet na stole, ta zaduma w jej oczach.

Ubrała się pośpiesznie i wychodziła, gdy Tadeusz stanął we drzwiach.

— Cóżżeś? zasnęła?

Idę! — rzekła bledniejąc, a serce jej bi-

ło, jak nigdy, do rozsadzenia piersi, — idę, — dodała, zastępując mu drogę.

— Pozwól teraz, że ja się przebiorę. Zrzucę ten żakiet. Rano po deszczu było

chłodno, teraz upał.

Wszedł, chodząc po pokoju, zmienił surdut przewrócił krzesło, na stole, gdzie

stał bukiet, szukał scyzoryka w papierach, między którymi leżał bilet z wielkimi literami "Edward Homel".

Janina się przypatrywała, wciąż blada, i wciąż słyszająca uderzenia swego serca.

Bonar znalazł scyzoryk, uczesał czuprynę grzebieniem Janiny, wziął łaskę, leżącą

na kanapie za stołem i bukietu czy nie spostrzegł, czy nie zauważył i wyszedł.

Wyszli razem. On ją pytał, opowiadał. Ona myślała. Myślała nad tem, czy Homel

byłby niezauważył także bukietu, leżącego na stole jego żony.

Zdawało jej się to

niemożliwym, by Homel nie zauważył go u swej żony! A przecież obaj byli

mężczyznami, jednego wieku... Więc, jeśli Tadeusz... Nie! to było niemożliwe.

Nie mogła się obronić tej myśli. Pierwszy raz w życiu porównanie Tadeuszka z

kimś drugim, opanowało jej mózg pracą analizującą, wnioskową, wywodzącą i

badającą.

Tadeusz co chwila ją zagadywał. Ona za ledwie odpowiadała. W oczach jej wciąż

stali

ci dwaj mężczyźni, jak widma, męczące, nieproszone, rozpędzane, ale uparte,

Tadeusz i Homel, jakby proszący o porównanie...

Nagle oblicze jej się ożywiło Ku niej szła Mańcia, strojna, w różowym batystowym

kostiumie, ubranym popielatym aksamitem, w kapeluszu, tak zwanym "buda", który

jej bardzo był do twarzy.

— Mańcia! — zawołała i, zostawiając Tadeusza, pobiegła szybciej.

Zrównały się. Panna Kolońską zaczęła:

— Przybyłam wcześniej i zabawię z wami cały dzień, na podwieczorek przyjeżdżają

Homlowie. Wypadałoby, byśmy im przygotowały coś dobrego... i ładnego..

Tadeusz nadszedł i słyszał ostatnie słowa, więc się zwróciła do niego.

— Idź zaraz, Tadeuszu, i rrrzezerrrwuj w rrrrestaurracji werrrandę..

Bonar się roześmiał. W rodzinie ich było familijne to r. On sam go prawie tak

wymawiał, ale to nieprzeszkadzało, że swej wymowy nie słyszał, a wymowa kuzynki

go niezmiernie bawiła. Mańcia niezważając ciągnęła:

— Obstaluj kawę, herbatę, bo hrrabia kawy nepyja, castka jake możliwne, rrogale

świeże, lody. Nekrzyw się, bo jeśli o to chodzi, to ja zapłacę, tylko ne intrrodukuj tam jakej oszczędności... Idź zaraz, bo nam kto

werrrandę zajmie, a wtedy wszystko przepadło.. osób dzeseć...

Zwróciła się do Janiny, jakby już Bonara nie było i ciągnęła:

— Przyjechałam z tobą pogadać. Mam massę rzeczy do opowiedzenia ci, do omówienia,

do..

— Przyjechałaś ze strzelcem?

Mańcia wytrzeszczyła oczy, nadstawiła uszu z miną zaciekawionego i wężącego coś w powietrzu psa. Ale słów niepowstrzymała, i te uratowały bledniejącą Janinę.
Z jakim strzelcem? — zapytała
Pani Bonar ochłonęła.
— Zdało mi się, że widziałam strzelca hrabiego...
Kolońską zmieniła fizyonomiję.
— Tylko tyle? Być może... Strzelec hrabiego jezdzy z nym tylko, lub sam. Ja przyjechałam sama pomówić z tobą.
Tu zaczęła szczebiotać z właściwą sobie otwartością, tą jedyną u niej otwartością, zastanawiającą tem głównie, czy pochodziła ze szczerości serca, czy z niepowściągliwości języka. Opowiadała jej wszystko, dzieje Mikuliniec w kilku ostatnich dniach, ów sławny obiad, dysputę o nią, Janinę, rozmowę swoją z hrabią, wszystko!
Wreszcie, jakkolwiek już mówiła do słuchającej w milczeniu Janiny, z godzinę,

jakkolwiek jej tchu brakowało i co chwila chrypła od suchości w gardle,
ciągnęła, falując zmęczoną pierśią:
— Otóż przyjechałam wczoraj, by cię prosić, żebyś się starała nepodobać temu Belyzarrowi. Mowę ci, jest w nim coś zmenonego, odkąd się spostrzegł, że Homel ci robi kurre, od tego obadu. Kobecie barrdzo łatwo zburzyć wrażenie najlepsze,
jake wywarła. Zrób to przez lytość dla mnie. Ja jestem nym zajęta Ja chcę wyjść za nego. Jeżeli ty mnie nepomożesz, ne wyduszę z nego ośwadczenia. Prosyłam już

Homla, by ci dał chwilkę spoczynku, iżbyś mogła go wybadać. Ty to pottrafysz..

— Na Boga! Co ty wygadujesz? Prosiłaś Homla — przerwała z przerażeniem Janina.

— Moja drrroga! Zemną nepotrzebujesz grrać au plus fin. Homel za tobą gynie, ty za nym przepadasz. Wydze to oddawna.

— Co ty plecisz?

— Nedziwię się, że ci się Homel podoba. I mneby się barrdzo podobał, gdyby się tak brrał do mnie, jak do ciebie. Dziwę się, że ty się jemu tak podobasz.

— Co ty bredzisz?

— Brrredzę, czy nebrredze. Nebój się. Ne otworzę oczu Tadeuszowi, ani nawet hrrabemu nepowem, że się w nim kochasz... on jeszcze wątpi...

— Co tobie?

— Mne nic, tylko tobe. Zakochałaś my się duszko, ale ci z tem do twarzy.

Niewypierraj się, bobym ci nic a nic niewerzyła. Ne na to spędzyłam dziesięć lat

w pianę życia, gdzie myłostki są na porządku dzennym...

Tu jakby rozdrażnienie nagle zrodzone, zaostrzyło jej głos i kończyła:

— By mne taka gaska ze wsy w pole wyprowadzić mogła. Kochasz się duszko i ceszę

się dla ciebie. Ale to neprzeszkadza, byś my nie mogła oddać przysługi. Będiesz

miała hrrabego od czwartej do dziesiątej, bo po podweczorrku pójdziemy razem na

ten teatr... a węc sześć godzin. Pięć flirrtuj z nym a godzinę poświęć mnie...

Janina milczała. Niebyło co przeczyć. Ton Mańci zdradzał, że przekonania tego,

co mówiła, nicby w niej obalić niepotrafiło. Wprawdzie ona ani myślała o żadnem

kochaniu się w Homlu, ale, skoro tej dzierlatce tak się podobało
uczucie jej
sądzić, coż to jej mogło szkodzić.
— Dobrze! — odparła, — jeśli tylko potrafię, wybadam go.
— Prrosyłam o to hrabego, by ci pozwolił..
— Ależ moja Mańciu! — zawołała z oburzeniem pani Bonar, — ty
mnie
skompromitujesz!

— Ach! moja drroga! — zmienionym tonem rzekła. — Najprzód
nieużywaj tego słowa,
bo to słowo wymazane ze słownyka d'une femme elegante w tem
znaczeniu, — znów
zmieniła głos. — Powtórre, nebój się nigdy tej, jak ją nazywasz,
kompromitacyi.
Kobietę, tylko jedna au monde kobeta skomprromytować może, —ona
sama!
— Dobrze, ale mówienie z hrabią o tem, że ja się w nim mam kochać?
— Ty myślisz, że wszyscy mężczyźni sa tak głupy, jak Wyżmą z
Wydmuchu. Hrrabia
co do twej myłości we lepiej á quoi s'en tenyrr od ciebie samej.
Znów rozdrażnienie w oczach jej błysnęło tymi słabymi i tem
wyrazniejszymi
promieniami zawiści u osoby dobrej i do żywienia brzydkiego uczucia
niezdolnej.
Głosem jej coś zadrgało, gdy dodała:
— Ty normalna!
Janina się roześmiała śmiechem jej obcym, jak obcem było uczucie,
które go
wywołało. Janina była kobietą. A niema kobiety, którejby zazdrość
drugiej nie
sprawiała jakiejś dziwnej, nieumotywowanej przyjemności. To złe
uczucie
odziedziczyły chyba tylko po Ewie.
Kolońską dalej szczebiotała, to chodząc po parku, to siadając na
spotykanych po

drodze ławkach. Poruszała wszystkie ma-

terye, przerzucała się z ostateczności w ostateczność, powracała do tego, co urywała, nie kończyła, by rozpocząć nowy przedmiot, lub ten sam z innego punktu widzenia.

Janina nie słuchała jej myślą. Cóż miała słuchać tych gawęd rozczochranych, zmierzających wciąż do jednego, wciąż do tego, że Kolońską tak pragnęła wyjść zamaż, iż się już kochała w tym człowieku, który do zaspokojenia tego pragnienia był przez Homlów wyznaczony. Ona wolała sobie układać w mózgu, sercu i pamięci to wszystko, co jej ta gadatliwa istota potrzebnie i niepotrzebnie była naopowiadała. A więc Homel głośno wyznawał się jej wielbicielem, podnosił ją do wysokości, rzadkości, jaką była prawdziwa kobieta — kobieta. Wysilał swoją inteligencyę, by jej znaleźć odpowiednie jej miejsce, by ją określić właściwie, by ją podnieść w oczach tych, którzy jej ocenić niechcieli, nie umieli, czy potrzeby nie widzieli. Mańcia była zazdrosną. Jak zazdrosną! Mańcia zazdrosną o nią do tego stopnia, iż. zazdrość błyskała w jej oczach, grała w jej głosie. Ależ to przechodziło jej wyobrażenie. Mańcia, kwiatek high'lif w stolicy, Mańcia, model kobiety du monde! Ta Mańcia była zazdrosną o nią!? Czuła się dziwną, ogarniętą uczuciami, całkiem jej dotąd obcemi, których określić,

zdefiniować, z których genezy i treści zdać sobie sprawy nie mogła
Coś w niej
się tworzyło, przerabiało, rodziło i fermentowało, ale co, skąd, dla
czego, nie
wiedziała. Czuła się jakby przepełnioną, pomieścić nie mogącą
nadmiaru nowych
wrażeń, zrodzonych z nich pojęć, powstających z nich wezbranym
strumieniem myśli
A wszystko to owiewał jakiś czar czegoś nieznanego i nowego. A
wszystko to
ogarniał jakiś niepokój wewnętrzny, niby trwoga przed rzeczą obcą, a
ciekawą,
niebezpieczną, a ponętą.
Ochłonęła dopiero, gdy w kilka minut po piątej, siedząc na ławce,
opodal
grającej orkiestry, usłyszała wreszcie znany jej tentent czwórki, turkot
breaku
Homla, gdy sam powożąc, wielkim klusem wjeżdżał wybrukowaną
drogą we wnętrze
parku Ujazdowskiego. Może się myliła, może ją słuch zawodzi}, to
się trafiało?
Ale nie, dzwonienie upręży, bronzów, nikłów, temu tylko
ekwipażowi właściwe,
mylić nie mogło!
I nie omyliło.
Wkrótce byli wszyscy razem na werandzie, dotykającej restauracji
pana Kimla,
obszernej, okrytej dzikim winem, dającej całą szeroką ścianą
przezroczystych
zieloności na ożywiony w tej chwili park Ujazdowski, rojący się od
różnych typów
pretensjonalnych elegantek z miasta, Rosyan
ociężałych z północy, pełny gwaru, śmiechu, uderzający to zdrowymi
fizyonomjami,

to wykrzywionemi cierpieniem.

Ale, jeżeli hrabia, spacerując wzrokiem po przechodniach, o tem myślał, ona nie

nad tem się zastanawiała

Ona się spostrzegła, że ją ten człowiek dziwnie zrazu onieśmielał. Ot, w tej

chwili nie wiedziała, jak podziękuje mu za bukiet lilij wodnych, czy mu za nie

podziękuje? Przecież o tym bukiecie hrabina wiedzieć mogła Dla czego zataiła go

Mańci? Tadeuszowi? Teraz widziała, iż to były dwa wielkie błędy.

Ten bukiet,

zdawało się jej, stawiał ją w żenującej pozycyi względem każdego członka tego

towarzystwa. Bukiet? Cóż za myśl! Wszakże codziem widziała ich dziesiątki,

składane w ofierze odjeżdżającym damom, co pod jej oknem wsiadały do powozów,

czy zakładowego omnibusu, kursującego do kolei. Bukiet w

Ujazdowie był zdawkową

monetą, czemś najnaturalniejszym. Czemuż on ją tak w tej chwili

męczył? Cóżby za

różnica była między którymkolwiek z tych bukietów, których dziesiątki codziem

dostawały kobiety w jej oczach, a tym?

Tak ją ten bukiet absorbował, iż nie widziała, jak całe towarzystwo się lokowało, jak kelnerzy wnosili imbryki i tace, iż niesłyszała

początków

związujących się roz-

mów, ani raket dowcipkujących pana Jana z hrabiną, ani rozmowy Tadeusza z

Zabanowską.

Wszystko jednak pierzchnęło, gdy hrabia, siadając przy niej, zagadał ją jednym z

tych zwrotów, które miały dar przeradzania jej w kobietę jeśli nie pełną werwy i śmiałości, to rozmowną i tak szczerą, za śmiałą, tak intelligentną, że dowcipną.

Rozmowa ta w jednej chwili się rodziła i po wymianie kilku pytań, zaczęła się toczyć szumiącym cicho, spokojnie, ale rwącym strumieniem. Dziwny on miał talent znajdowania tematów, w których się czuła panią sytuacji, rybą w swoim elemencie.

O ile często ust otworzyć nie umiała, gdy zmuszoną była brać udział w jeneralnej rozmowie hrabiny, Mańci, pana Jana, o tyle z własnym podziwem, tryskała tutaj we dwoje z Homlem. C'est le talent de faire mousser la femme — powiedziała jej była Kolońską miała słuszność.

Rozmawiali zawsze o tem samem, o niej i o nim, a zawsze w sposób tak daleki od kulania, tak ją porywający paradoksalnością i gorącem tej intelligencyi, jakiej nie znała.

Rozmawiali, gdy uwagę ich ściągnął głos hrabiny, zwracający się do Bonara. Oboje urwali i skierowali oczy w tamtą stronę.

— Panie Tadeuszu! — mówiła pani Wan-

da, — nie byłeś pan zazdrośny o wiechę, którą mój mąż przesłał dziś pańskiej żonie? Tadeusz oniemiał. Z pytającym uśmiechem spojrzął na żonę. Widocznem było że nie wiedział o czem mówiono. Usiłował się połapać i połapał się.

— A! tak! przypominam sobie.. widziałem jakąś miotłę, ale nie uważałem...

— To były lilie wodne! kwiat, którego nie znoszę. Bo proszę sobie wystawić

cztery grube, ordynarne, duże białe liście na gutaperkowej lodydze. A to kwiat,

który pani lubisz podobno! — zwróciła się do Bonarowej.

— Bardzo, — odparła naiwnie Janina.

— Barrrdzo! — jakby ją przedrażniając, powtórzyła Kolońską.

— A więc on... dziś przysłał pani bukiet lilij? — zapytał Zabanowski. Bonar jeszcze nie wiedział, o co chodzi. Łapał się z trudnością, ale pani Wanda

nie dawała mu czasu. Zaśmiała się tym śmiechem, poprzedzającym zawsze jakiś

zabawny u niej zwrot i usposabiający już wesoło dłań audytorium.

— Nie możecie sobie wystawić, jak się zabawiłam dziś rano. A ce qu'il parait,

woda po deszczach przybyła i zalała lilie de façon, że kwiaty ich znajdują się o

kilka cali pod powierzchnią wody. Są więc niewidzialne, te zwykle pływające

nenufary.

— Nenupharr — powtórzyła Kolońską.

— Otóż! Vous aniez vu, Monsieur Jean! Patrzę z okna salonu i widzę w fossie

męża mojego na swoich długich nogach, stojącego w łódce, tracącego co chwila

równowagę, bo nie jeździł łódką od lat... od lat... i strzelca, który podobnie

się chwieje. Ale obaj wiosłują, łapia coś po wodzie, łódka się kręci, to jeden,

to drugi traci równowagę, przysiada... znów się podnosi; mój mąż dyryguje,

wskazuje, tamten coś pod wodą łapie. To, co łapie, nie puszcza go, pociąga

łódkę, mój mąż znów traci równowagę... c'était à mourir de rire.

Myślę, jakieś

polowanie, strzelec! Przecież są podobno ryby — ptaki. Wreszcie znika mi to, jak

w teatrze

. Dowiaduję się, że to był połów lilij wodnych, lilij wooddnych!

— O więcej nie pytałam, bo się domyśliłam, że to był bukiet dla pani.

— Dla mnie... — potwierdziła w najwyższym stopniu zażenowana Janina.

Hrabina dalej ciągnęła, znów zwracając się do pana Jana:

— Czy pan sobie możesz wystawić un tableau plus comique. Mój mąż, mój mąż...

polujący na lilije, na malutkiej rybackiej łódeczce, utrzymujący równowagę

długimi nogami... irytujący się na strzelca, gdy łódka groziła kapielą...

Urwała, bo spazmatyczny śmiech ogarniał już wszystkich oprócz hrabiego i Janiny.

Hrabia wyglądał nawet wściekły. To powiększało wesołość jak zwykle, Bonar dławił

się ze śmiechu, otwierając na oścież usta, pełne zdrowych zębów. Ten śmiech,

rwący pewnością siebie, znów drażnił Janinę.

Widząc ten olbrzymi sukces, pani Wanda szarżowała:

— Prawdopodobnie się skąpali, bo przy obiedzie uważałam bardzo zły humor mego

męża. Nie skąpaliście się? — zapytała Homla.

— O mało! — ledwie odpowiedział hrabia, ale tonem, który nieco uspokoił

towarzystwo, zmusił hrabinę do nowego zwrotu.

— • Więc pan, panie Tadeuszu, nie byłeś zazdrośny?

— Bynajmniej! — odparł, jeszcze się śmiejąc i usiłując pokazać swą pewnością,

Bonar.

— Ale ja byłam. Gdybyśmy spróbowali, my dwoje en titre de revanche zabawić się

w sposób równie idylliczny? Ja, widząc mego męża, sposób, w jaki robi kurę żonie

pana, czuję się odrodzoną, odmłodzoną, przeniesioną w odleglejsze
czasy, niż
pastuszków Watteau, w czasy arkadyjskie połowów lilij w
dziewiczych wodach,
zalewających świat popotopowy. Wymyśl pan coś równie
idyllicznego i
archaicznego, co byś mógł zrobić dla mnie. Jeśli memu mężowi wolno
łowić

lilije dla żony pana, to i panu wolno... Ale co?

Zwróciła się do całego towarzystwa.

— Wymyślcieź coś, na Boga! Nie chcę być pokrzywdzoną. Panie
Janie! Panie

Belizar, pan, który się wychowywał na principe'ach szkoły, pełnej
galanteryi

dla dam. Mańciu! przypomnij sobie z czasów twych marzeń de
pensionnaire? Nie

macie nic? Coś á la Romeo et Juliette, Paul et Virginie, coś, co by pana
na

podobną narząło utratę równowagi, jak mego męża...

— Może trzebaby na to, — wtrącił znacząco, lecz już bez złości,
hrabia, — by

przedewszystkiem utracił równowagę...?

— Aaaa! — zakrzyczano.

— A więc przyznajesz, — zapytał poważnie pan Jan, — że utrata
równowagi

skłoniła cię do tego połowu na łódce, tracącej też równowagę?

Znów się zaśmiano, Zabanowski byle czem obudzał śmiech, tyle było
w jego dykcji,

zawsze przejętej i poważnej, żywiołu rozweselającego.

Ale oni już nie słyszeli, Janina i hrabia, bo, najszcześniejszym dla nich
trafem,

Kolońską zaczęła im dawać porozumiewawcze znaki, i hrabia
wiedzący, co one

znaczyły, a przypuszczający, że pani Bonar ich nierozumie, przystąpił
do

objaśnienia jej.

Ale Janina wiedziała wszystko.

— Dopóki ja tu jestem, — odezwał się Homel, kończąc swoją herbatę, — Belizar

nieodważy się zaczepić pani.

— Czyż uważa mnie za...?

— Uważa panią za moją wyłącznie zdobycz..

— Zdobycz?

— Takbyś się pani nią być bała?

— Zdobyczą kogoś, zawszebym się być bała.

— Kogoś? — zapytał głosem tak pełnym wyrzutu, że Janina żałowała tego, co powiedziała.

Homel wstał i, kłaniając się całemu towarzystwu, rzekł:

— Pozwoliwszy wam się uśmieć, zdaje się dostatecznie moim kosztem, opuszczam

was. Ale sobie rezerwuję miejsce przy pani Bonar. Eustachy! zajmij je tymczasowo, bo gdyby je Jaś zajął...

— Nie! nie! — zawołali wszyscy.

— Pójdziemy na spacer. Tu się udusić można, — wtrąciła pani Wanda.

Homel zniknął, a całe towarzystwo wyszło parami z werandy.

Belizar podawał rękę pani Bonar.

Janina usiłowała wywiązać się z zadania, ale to jej szło nad wyraz trudno. — Z

jakiejby becзки zaczęła, nie wiedziała, czy Belizar

chciał uniknąć doprowadzenia rozmowy do diapazonu szczerości, czy też tego

nieumiał. Wreszcie odważyła się.

— Pan, zdaje mi się... panu się podoba moja kuzynka?

— Ah! certainement...

— Jestto bardzo miła.. dobra osoba..

— Houm... oum...

— O ile kobieta sądzić może z pozorów, pan się jej podobasz.

— Byłoby to dla mnie rzeczywiście..

Janina nadstawiła uszu. No! może dokończy, dopowie Nie! Urwał
Znowu musiała się
męczyć, by zacząć, by znaleźć haczyk wędki, wypuszczony przez
rybę.

Męczyła się tak długo. Całe towarzystwo, będące w spisku, nie
odrywało go niczem
od niej, a Belizar zdawał się być rad temu. Janina chwilami spoglądała
na niego,

bo jej się zdawało, że on jej usiłuje się podobać. A ona na tych
usiłowaniach

tego rodzaju tak się mało znała. A usiłowania Belizara tak były nie
podobne do

usiłowań tego rodzaju Homla. Cóż za olbrzymia różnica ludzi! Cóż ją
uwydatnić

lepiej mogło, jak ci dwaj kuzyni!

— Gdybyś pani wiedziała, — nagle zagadnął Belizar, — jak panią
zdefiniował

kiedyś Homel, jak świetnie...

— Doprawdy?

— Mówił, jak natchniony, i mówił wielkie prawdy o kobietach.

— O kobietach wogóle?

— A propos pani. Byłem zupełnie jego zdania... — dodał nie śmiało.
Ależ ona — myślała Janina, ze zdziwieniem, — w Ujazdowie się
dowiadywała, iż

była lwicą, jak owa pani Leontyna, jak jej sąsiadka hrabina Wiktorya.
I ten był

zdania Homla?

Wreszcie czuła się zmęczoną. Co ona powie Mańci, gdy jej spyta, co
się

dowiedziała o zamiarach Belizara. Przecież jej nie powie, że się
dowiedziała

tylko, że co do kobiet, był on zdania Homla.

Zmierzchało się. Mijali ich strojni przechodnie, dążący do teatru.
Odetchnęła. Homel musiał się zjawić, uwolnić ją od tego nudziarza.
Czy on był
nudziarzem? Czy jej się dziś każdy, prócz Homla, nudziarzem
wydawał?
Byli pod teatrem. Tu zjawił się hrabia, podał jej ramię i wprowadził
do wnętrza,
robiącego wrażenie budy jarmarczanej, a nie świątyni Melpomeny.
Usiedli obok siebie w pierwszym rzędzie, zaczynając linię całego ich
towarzystwa.
Jakaś przybyła umyślnie na gościnny występ pierwszorzędna artystka
sceny
stolicy,.

rozzucała się po estradzie, gdy ją zapytał Homel:

— No, i cóż pani powiedział?

— Ależ to wierutny dureń, — odparła Janina.

Hrabia objął ją całą magnetyzującym wzrokiem. Nachylił się ku niej
tak, iż

uczwała dotknięcie jego ramienia, o jej ramię, iż owiało ją jego ciepło,
jego

indywidualna woń.

— Pani się chyba kochasz we mnie? — zapytał.

Janina poczerwieniała. '

— Czemu to panu do myślenia dałam?

— Użyciem pierwszy raz mego stylu. Kobieta ochłonęła i odparła

— Styl autora, którego się nie tylko czyta, lecz słucha, chyba może
się

udzielać?

— Nie, — podchwycił stanowczo Homel, — kobiecie udziela się
tylko styl...

Urwał i zapytał:

— Przeczysz pani?

— Natu... ralnie.

Milczeli. On chmurny, słuchał sztuki. Ona myślała, dla czego on
chmurny, dla

czego oblicze jego pokrywa przy niej wyraz zadumy i smutku, który w pierwszych dniach swego pobytu w Ujazdowie, u niego pamiętała.

— Dla czego pan dziś nie swój? — zapytała prawie pod koniec przedstawienia.

— Owszem... ale miewam chwile zapatrzenia się w próżnię mej duszy... mego życia

Milczeli Ona znów zapytała:

— Pan byłeś zły... gdy żona pana opowiadała o tym bukiecie.

Pierwszy raz o bukiecie z nim mówiła.

Hrabia się uśmiechnął, jakby na wspomnienie dowcipów swej żony.

— Może, *le ridicuh tue l'amour*, mówi przysłowie, — rzekł znacząco swym smutnym

głosem, — zły byłem przez wzgląd... co do pani...

— Oh! — szepnęła ze swą niezrównaną, rzucającą ją do nóg Homla, naiwnością. —

Oh! nie! bynajmniej!

Hrabia znów ją objął tym samym, jeszcze silniej hipnotyzującym wzrokiem. Uczuła

rękę jego, przyciskającą jej dłoń opuszczoną, uczuła oddech jego i usłyszała

słowa:

— Przeczyłaś przed chwilą, a teraz znów się przyznałaś.

Szczyściem, że wszyscy wstawali, bo gorąco, które oblało jej oblicze, które szło

jej do głowy dalej, byłoby ją przed wszystkimi zdradziło.

Homel, narzucając jej zarzutkę, kończył tym melodyi pełnym głosem:

— Nie przecz, bo gdybyś mogła widzieć,

jak wyraźnie twoje oczy mówią, te twoje zwykłe oczy, Jani... no...

Powracali razem w najgłębszym milczeniu. Nie wymienili słowa.

Tylko przy

pożegnaniu Homel uczui, że mu znacząco i inaczej, niż zwykle dłoń uściskała,
jakby mu oddawała ten uścisk, którym ją w teatrze tak zmieszał.
— A więc przyznała się sama sobie nareszcie, — szepnął, gdy jej już nie było, —
biedna kobieta...
I powożąc, wioząc to bezmyślnie, swobodne, wesołe towarzystwo za sobą, myślał.
Poco mu los rzucał, ten promień? Poco los stawiał jego na jej słonecznej,
prostej i jasnej drodze? Poco?
Zaśmiał się prawie głośno, nutą pełną bólu, z szyderstwem zmieszanego, radości i cierpienia, prostoty i refleksyi.
— Poco? — powtórzył, — bo przecież miłość ta jej nie uszczęśliwi.
Pokręci,
powije, pobruździ, zapyli tę jej jasną, prostą i gładką drogę.
Był smutny, smutniejszy niż kiedykolwiek, smutny, jak nigdy.
Zdawało mu się, iż go przygniata ciężar świeżo popełnionej zbrodni.

VIII.

Sypialny pokój Homla był najpiękniejszą komnatą w pałacu Mikulinieckim. Jednakże mylił by się ten, któryby z niego, idąc utartą maksymą, chciał poznać charakter człowieka.
Artyzm tylko tryskał pełną siłą z każdego kąta, ten artyzm, który, jeśli wyrafinowany, jeśli głęboki, a nie powierzchowny, ogarnia i opanowuje całą istotą mężczyzny.
Olbrzymie łoże renaissansowe, rzeźbione w czarnym dębie, w głowy i floresy, z baldachimem podpartym na kolumnach u nóg, na figurach u poduszek, stało przy

ścianie kwadratowego pokoju naprzeciwko dwóch okien — drzwi. Po obu stronach łóżka stały dwie skrzynie staroświeckie na odpowiednich postumentach. Nad nimi wisiały cztery portrety pędzla Lampiego, wyobrażające cztery piękności z czasów Stanisława Augusta. Na posadzce, po obu stronach łóżka, biegły dwie skóry niedźwiedzie ze łbami i

kłami wyszczerzonymi na pokój. Między Józkiem, a skrzyniami stały dwa taburety wschodnie, zastępujące miejsce stolików nocnych, tak pospolitych, a tak ohydnych. Na jednym stał kandelabr bronzowy z dopalonemi prawie świecami i książka, na drugim, japońska miska, pełna tytoniu. U prawej ściany od łóżka, w pośrodku stał na piedestale olbrzymi portret pani Wandy, w amazonce, z psem. Po obu jego bokach mieściły się dwie kanapki Louis XV, najdziwaczniej pokręcone, złożone, pokryte materją jedwabną czerwoną w złote kwiaty. Przed jedną z nich stał stół gdański, napelniony książkami, z lampą na kolumnie doryckiej, przed drugą stał stół ze spodem, tworzącym obracającą się na swej osi bibliotekę. Na tym stole wznosił się wazon saski w stylu Ludwika XVI, cudowny dobozem barw swego malowidła. Nad temi kanapami wisiały dwie wielkie i szerokie półki, na obu stały w pośrodku nich mandaryny chińskie, niewidzianej piękności, wielkości i komiczności swych ruszających się głów. Na tych półkach prócz nich, mieściły się

przedmioty, które, kto raz wszedł do tej komnaty, zapamiętać musiał.

Przedmioty

te były: trupia głowa naturalnej wielkości, karykaturalna długością swych linii

statua S-go Franciszka z Assyżu, olbrzymia klepsydra, kolosalny

globus i kościotrup z kości słoniowej, arcydzieło zdradzający, oraz

wazon

szeroki z malowidłami, przedstawiającymi nagie boginie. Ten ostatni stał obok

kościotrupa i sprawiał najoryginalniejsze wrażenie. Nad temi półkami wisiały dwa

duże obrazy pędzla Kossaka, wyobrażające jakieś sceny końskie, pełne fugi i

życia. Ściana lewa od łóżka, vis-à-vis portretu hrabiny mieściła nad dużą kanapą

w stylu odrodzenia, stojącą na piedestale z oparciem, tworzącą obszerną półkę,

obraz, wyobrażający prześliczną Madonnę starej szkoły włoskiej w ramach,

będących również dziełem sztuki. Po obu stronach Madonny wisiały dwa podłużne

wielkie obrazy; jeden przedstawiał pokutującą Magdalenę Battoniego, drugi amory

leżącej Wenus. Przed tą kanapą stał stół gdański będący widocznie stołem do

pisania hrabiego, pokryty papierami i przedmiotami, służącymi do użytku,

uderzającymi jednak swemi rozmiarami. I tak, popielniczkę stanowiła złocona

miska, kałamarz mieścił się w srebrnej imitacji słynnej wielkiej fontanny

Versaillskiej, a presse-papiers, których było kilka, stanowiły kawały marmurów,

w których jednakże błyszczały w brzegach złotych wprawione, prześliczne

miniatury.

Czwartą ścianę stanowiło dwoje oszko-

nych drzwi, otwierających się na terrassę i ogród, a przedzielonych kominkiem i piecem zarazem.

W tej chwili hrabia się był obudził; zapukano do drzwi i równocześnie zjawił się

w nich strzelec o rudej brodzie.

Trzymał on na tacce list.

Homel się zerwał na łożu i zapytał:

— Pogoda?

— Bardzo ładnie.

— Wiatr?

— Niema wiatru

Oblicze jego w jednej chwili się ożywiło.

— Otwieraj drzwi! otwieraj na gwałt!

Strzelec otworzył na oścież podwoje, w których zaraz stanął czarny chart,

myrdając tak silnie ogonem, że poruszał całym zadem.

— Dewel! — zawołał hrabia, oddychając z błogością, połykając z niewypowiedzianą

chciwością świeże powietrze, w jednej chwili napelniające komnatę.

Pies wszedł do komnaty i, pochodziwszy po pokoju, położył się na niedźwiedziej

skórze.

Hrabia zobaczył dopiero list, złożony na taburecie.

— Co to?

— List od pana barona.

— Co to?

— Pan baron wyjechał.

— Do Ujazdowa?

— Nie! Wyjechał.

— Jako?

— Rano obudził się bardzo wczes. Kazał się spakować i odwieść na ranny pociąg.

Wyraz konsternacji przebiegi po obliczu Homla Prędko jednak go spędził, jakby

zwyczajem jego było przed nikim się nie zdradzić ze swych uczuć.

— Nie będę cię potrzebował... ale nieopuszczaj zamku, aż się ubiorę.

Herbatę

każ mi podać... później... zadzwonię.

Strzelec się skłonił i wyszedł z jakąś pewnością nie sługi w swych ruchach, z

pewną poufałością, która odkrywała nienawiść Homla do służebnych ludzi.

Wtedy dopiero fizyonomija hrabiego na dobre się zachmurzyła.

Pośpiesznie

uchwycił list i nerwowo, ręką drżącą, anemiczną, a gorączkową, rozszarpał

kopertę.

Belizar pisał:

"Drogi Edwardzie! Z góry cię proszę o pobłażliwość i o tę wyrozumiałość, z jaką

zwyczajem twoim jest zapatrywać się na cudze postęпки. Chcąc uniknąć eksplikacji

i żenującej pozycyi, w jakiejbym siebie i was postawił, wyjeżdżając naturalnie,

postanowiłem udać ważny powołujący mnie do domu interes i z bólem serca opuścić

wasz gościnny dom. Przed tobą jednak komedyi tej

odgrywać nie mogę i otwarcie powiem, że mimo całego szczęścia, jakiebym widział

w małżeństwie i to przez was mi proponowanem, w tym wypadku zdecydować się na

twój wybór nie mogłem. Ponieważ jednak zauważyłem, że projekt twój niepozostawał

między mną, a tobą tylko, sądzę, iż mi nawet wdzięczny będziesz, że ten wyjazd nagły, usuwający preludja wyjazdu w takich okolicznościach." Homel urwał czytanie. A więc ten Belizar nie był tak głupi, jak się zdawało. Widział doskonale, co się w około niego działo, widział "tę naganę," jak się wyraził Bonar. Jednakowoż to nieprzeszkadzało, że zrobił mu djabelnego figła. Ale co dalej pisał ten stary celibat? "Rozumiesz mnie, nieprawdaz? drogi Edwardzie?" Homel, przeczytawszy to, rzucił list na kołdrę. Był tak usposobiony, iż go irytował sam styl Belizara, czułościowy i pomadkowy. Chwilę podumał. Trzeba było jednakże wiedzieć, co on dalej pisał. Jakżeby chętnie i tego listu nie czytał, jak ich tyle w życiu nie przeczytał do końca. Cóż Belizar mógłby napisać, coby warto było czytania? Ale on musiał to drobne, kaligraficzne, zdradzające człowieka przywiązanego do form i drobnostek, pismo do końca doczytać. Może w nim

znajdzie myśl, koncept, który złagodzi jego fatalną względem panny Kolońskiej pozycję. "Nie mogę również zbyć cię takim ogólnikiem, jak, że mi się wiadoma osoba niedostatecznie podoba, abym jej resztę mego życia u nóg złożył, zbyć ciebie autora i tak dobrego, życzliwego dla mnie kuzyna" — Osioł! — mruknął Homel. — Potrzebuję jego eksplikacyi, jego przyczyn i motywów? ha! Kuzyn? jaki kuzyn? co za kuzyn? — fuknął i czytał dalej.

"Przyznaję, iż osoba ta jednoczy w sobie niepospolite talenty, zalety i, nie wąpnię, cnoty. Pochlebiony byłem nawet twoim wyborem i tem, że mi twoja żona taką osobę na żonę przeznaczała. "

— Czyby dureń kpił zemnie? — mruknął hrabia, ściągając brwi.
"Ale ty mi przyznać musisz," — pisał dalej Belizar, — "iż w moim wieku, człowiek już się żenić nie może, dla tego tylko, by się ożenić, by ufundować dom, czy gniazdo, by spełnić powołanie mężczyzny. W moim wieku można się tylko żenić, gdy tego żądają uczucia, gdy to pochwała rozważa, gdy do tego zachęca pozostała odrobina zmysłów. W tym wypadku nie zeszyły się te trzy nieodzowne warunki, mogące być ominięte bez groźnego niebezpieczeństwa w trzydziestym roku życia, ale nie w czterdziestym.

Człowiek, przechodząc przez życie i niby wciąż dążąc do spełnienia swego powołania jako mężczyzna, wytwarza sobie pewien ideał kobiety, który tem jest dokładniejszy, ucieleśniony, im go dłużej tworzył, od którego mu tem mniej w swych postulatach odstępować wolno, im się dłużej nim pieścił." Homel czytał teraz z interesem, do którego się przyłączało zdziwienie. "Otóż i ja nie byłem innym, nie byłem żadną anemiczną i bezduszną odmianą mężczyzny, za jakiego mnie potrosze i ty miałeś. Żyjąc dużo w świecie, ongi podróżując dużo, i wydawszy dużo, poznałem kobietę pod różnemi postaciami i doszedłem do wytworzenia sobie dokładnego pojęcia o tej, któraby mnie jeszcze

uszcęśliwić mogła. Nie jest nią panna... wiadoma osoba Przestałem być światowym, a długie lata w świecie spędzone, fortuna, złożona na jego ołtarzu, nauczyły mnie raczej nim pogardzać, niż za nim tęsknić..." "Więcej nie potrzebuję Ci pisać, drogi Edwardzie, jak też nie potrzebuję Ci wyrażać mojej głębokiej wdzięczności, za tę twoją przyjaźń, to zajęcie się moją osobą. I wierzaj mi, że tylko skrupulatne badanie siebie samego skłoniło mnie do iścia wbrew twemu życzeniu. Nieskończenie byłbym wam wdzięczny, gdybyście o mnie jeszcze kiedy

pomyśleli, gdy się trafi sposobność ku temu. Niezrażaj się w twych dobrych dla mnie chęciach moim dzisiejszym postępkem i śmiało dysponuj moją osobą, gdybyś kiedyś znalazł taką, np. Janinę Bonar, któraby zechciała być szczęściem mej drugiej i mniejszej połowy życia." "Kończę..." Hrabia już niedoczytał List odłożył i westchnął. Więc może i Kolońska tym sprytem, tak u kobiet rozwiniętym, w dochodzeniu kierunku nieprzyjaznych im wiatrów, nie myliła się, posądzając jego o najfatalniejszy wpływ na Belizara. Więc temuż podobała się Janina Bonar, ona była ideałem jego wyobraźni. Zerwał się z łóżka. Tu nie była czasu do myślenia. Za godzinę musiał stanąć przed Mańcią i wytłómaczyć jej tę ucieczkę konkurenta, przez siebie forytowanego.

Ależ on wpadł, wpadł najgłupiej. Boże! Jakże on nienawidził głupiej roli,
cierpiał, patrząc, jak ją kto inny grał. Dziś sam odgrywał takąż,
kolosalnie
głupią. Jakże on w nią wpadł? Gdzież podział logikę, by forytować
Belizara z
taką pewnością, gdy nie wiedział nic zgoła o jego zamiarach i
postulatach, które
mu tenże teraz po katastrofie, wypiszczął.
Ale nie było rady. Owinięty w szlafrok

spacerował po komnacie, wychodził na werandę, wracał. Co on
pocznie? Jak się
weźmie? Co Mańcia powie?
A Janina wyjeżdżała...
Wszakże miała tylko zostać w Ujazdowie tak długo, póki się Belizar
niezdeklaruje. Ależ on go w głupim świetle stawiał i wobec
Bonarów, wobec
Janiny...
Zaczął biegać po sypialni, po dotykającej do niej łazience i gabinecie
do
ubierania. Tu trzeba było coś radzić i uprzedzić wypadki, ułożyć
rejteradę.
Gdyby był przynajmniej ten osioł Eustachy, napisał krótko: "dostałem
depeszę,
interes terminowy, wyjechać muszę," — coś takiego. Byłby list
wszystkim pokazał
od wszystkiego ręce umył.
Zadzwonił.
Zjawiającemu się lokajowi kazał sobie podać herbatę. Ten już
odchodził, gdy go
cofnął:
— Pani hrabina wstała?
— Wstała.
— Idź, poproś, by pani hrabina do mnie się pofatygowała na chwilę!

Potrzebował się poradzić. Wszakże to ją tak, jak i jego, interesowało.
Wszakże
to pierwotnie to był jej nieszczęśliwy plan. Ale jak on mógł się wdać
w to???

No! któżby mógł przypuszczać, że taki Belizar... oum...

houm... ma swoje zasady, postulaty, ma swój idea-kobietę?
Rzeczywiście, ludzie byli ciekawymi. Każdy był przedmiotem
Studjum, Każdy
człowiek jest człowiekiem, — myślał, — i głupstwem jest
belletrystów w jednych
widzieć ludzi, w drugich — nie. Ale któżby posądził Belizara...?
Belizar go
teraz zastanawiał, jako człowiek do studjum. On miał charakter. On
wcale dobrze
myślał... pisał... Belizar!
Drzwi się otworzyły i weszła, już, mimo rannej pory, rozbawiona pani
Wanda.
— A to historia! — zawołała odedrzwi, — uciekł, ha! ha! Ładnego
konkurenta
wymyśliłeś! dla Mańci! Uciekł! Mais c'est par trop fort!
— Więc wiesz? — zapytał hrabia.
— Jakżebym niewiedziała. Zostawił mi list
— Więc i tobie? — I ty miałeś?
— Miałem.
Stanęli naprzeciw siebie. On zły, ona podrażniona i rozbawiona tym
wypadkiem.
— A tośmy się ubrali! — powtarzała, łącząc się w tej zamkowej
katastrofie z
mężem, z którym ją tutaj musiała łączyć i tożsamość uczuć, — tośmy
się ubrali!
Co Mańcia pomyśli? co powiedzą Bonarowie? Bo Zabanowscy będą
umierać ze
śmiechu...
Hrabia rzucił się na krzesło.

— Cóż on do ciebie pisał?

Pani Wanda wyjęła list z kieszeni białego batystowego szlafroku.

— Kilka słów, — rzekła, podając go przygnębionemu mężowi. —

Mógł daleko

wcześniej się zdecydować i wyjechać. Mais prolonger tellement... A do ciebie co

pisał?

Hrabia wskazał jej oczami list, leżący na kołdrze łoża. Sam zozwinał pismo

Belizara adresowane do jego żony. Było ono krótkie, mieściło się w dwudziestu

wierszach, po francuzku napisanych, wyrażających żal z nagłego wyjazdu,

podyktowanej nieubłaganą koniecznością.

— A więc, — myślał Homel, coraz gorszy w miarę, jak widział, iż miał do

czynienia avec un finaud, — napisał dwa listy, dla mnie i dla świata. Dobrze, że

przynajmniej o tem pomyślał.

Skierował wzrok na żonę. Czytała list stojąc, z tą ciekawością do listów

wszystkich kobiet, Fizyonomija jej drgała, śmiała się, myślała, kombinowała i

przykuwała wzrok Homla. Z niej więcej się dowie, niż od kobiety samej. Widział,

kiedy co czyta. Wiedział, jak rysy jej zadrżały jakby zazdrością, gdy czytała

ostatnie już wiersze Belizara.

— A więc poprostu, — zawołała skończywszy i zatrzymując list złożony, — ty

popsułeś wszystko.

— Ja?

— Wyraźnie to pisze.

— Pisz, że mu się podoba "genre" kobiet pani Bonar.
— Któregoby w pani Bonar niebył się nigdy dopatrył, gdyby nie twoje zapęły.
— Tego nie pisze.
— Zapewne, dla tego, który niechce tego między wierszami wyczytać...
Już była wysoce podrażniona. Od pewnego czasu nazwisko Janiny wprowadzało ją w stan sureksycytacyi. Hrabia przypuszczał, iż była buntowaną przez Kolońską, bo nieposądzał jej o zazdrość. Uważał ją za wyższą istotę, rozumiejącą, iż po dziesięciu latach mężczyźnie może się spodobać druga kobieta. Tak wmawiał to w siebie, wmawiał w nią, ale temu niewierzył. Żona jego musiała być zazdrosną. A jeżeli zazdrości tej niezdradzała w postępowaniu z panią Bonar, jeśli z powodu jej nierobiła mu scen wprost, to czyniła to z wysiłkiem, przez dumę kobiecą w niej wysoko rozwiniętą, w poczuciu swej wyższości. Wszakże było to śmiesznem, by ona, hrabina Homel, "pani Wanda" była zazdrosną o parafijanę z pod Wyszogrodu. O ile więc mogła, grała komedję. Teraz chodziła po komnacie, z oczami

opuszczonemi na dywan posadzki, z takim filuterno — sprytnym wyrazem na jej obliczu igrającym, iż hrabia odgadł, że coś knuje i prawie się przestraszył.

— Cóż myślisz?
— Nic niemyśle.
— Cóż jej powiesz.
— Nic niepowiem. Chyba, że jej ta Bonarowa popsowała małżeństwo. Homel syknął.
— Ces idées des femmes!

Jeszcze chwilę pochodziła i wyszła, zostawiając męża w zadumie, o której wiedziała, że się miała aż do południa przeciągnąć. Rzeczywiście Homel postanowił otrzeźwić się herbatą i ochłonać w kąpieli. Hrabina, która wzięła list Belizara od męża, podążyła przez emfiladę salonów do westibiulu, ztąd na piętro, gdzie z karytarza prowadziły drzwi do gościnnych pokoi, jak w cywilizowanym hotelu. Mańcia miała wychodzić, gdy we drzwiach swoich spotkała panią Wandę.

— Sy matynale! — zawołała.
— Wiesz, co się stało?
— Nyc newem.
— Belizar wyjechał!

Panna Kolońska pobladła, jak ściana, jakkolwiek fizyonomija jej mówiła, że się nie-

łapie całkowicie w rozciągłości katastrofy, którą ten wyraz przedstawiał.

Soyez vaillante, Mańciu, — ciągnęła hrabina, — był to dureń nie dla ciebie.....

Urwała, przerażona skutkiem jej słów, równocześnie rozkładającym oblicze Kolońskiej Więc dokończyła:

— I przynoszę ci dowody...
— Pozwól, ze się... — bąknęła młoda kobieta i obsunęła się na krzesło, stojące przy drzwiach, od których się jeszcze nie oddaliły.

Siedziała dość długo. Ruchliwa jej twarz mieniła się różnemi, wręcz przeciwnemi sobie wyrazami. Żal ustępował złości, to ironii, to zwątpieniu, to rozgoryczeniu.

Hrabina spacerowała po pokoju.

Nagle Mańcia się zerwała, wyprostowała swą małą, zgrabną figurkę, zadarła głowę do góry i dramatycznym tonem, z dramatycznym, rozśmieszającym u niej gestem ręki, zawołała:

— A węc zakpyłyście zemne! Allorrs vous ni avez rrendus rrrydcule! Ne ty, ale twój mąż!

— Mańciu!

I w jednej chwili ta dramatyczna postać, wibrującą głosem silnym i wyraźnym, opuściła się na krzesło i rozplakała spazmatycznie.

Hrabina nie znosiła płaczów. Przytem była to osoba wysoce logiczna.

— Mańciu! — powtórzyła. — Robisz mi wrażenie warjatki. Jabym tak nie płakała, gdybyś mi była przyniosła, tak, jak ja tobie, wiadomość, że mój mąż uciekł z

panią Bonar. Tu niema co płakać. Zastanów się! Płaczesz, że się na tobie nie poznał taki Belizar?

Wymówiła to ostatnie słowo z taką pogardą, że ono jedno podniosło Kolońską.

— Ha! — zawołała. — Dobrze tobie mówić "taki Belyzarr" — tobie, co jesteś zamężną od lat dziesięciu, co masz męża, Homla! dobrze cy mówić "taki Belyzarr".

Dla mnie on był wszystkim, to była moja deska zbawena, to była deska, której się chwytalam, tonąc!

— Ależ ty przesadzasz! co za tonięcie?

— Ach, to życe, to moje życe! c'est la mort!

Upadła znów na krzesło i łzy się znów znalazły, ale już spazmem niepodnoszące piersi, nietkające w gardle.

— Ty jesteś warjatką! Płakać po mężczyźnie, którego znałaś dziesięć dni! Po

takim Belizarze?

— Ależ... Bely.. zarr.. my się podobał, — zaszlochała Mańcia.

— Cicho! cicho! będziesz ty cicho! — huknęła przytupując nogą, hrabina, która sobie w tej

chwili przypomniała system doktora w Ujazdowie z pewną histeryczką, — cicho!

Mnie się dwudziestu mężczyzn podobało, których znałam po dziesięć i więcej dni i

qui m'ont fait la cour, ale po żadnym nie płakałam. Wstydziłabym się takiego

braku godności. On peut pleurer seulement un homme, qui vous adore, ale nie

cymbała, który się na tobie nie poznał.

Niewiedzieć, czy system dyrektora Ujazdowa, czy te ostatnie słowa, wywarły

magiczny wpływ. Kolońską ocierała oczy i wydawała ostatnie powstrzymywane

łkania.

Hrabina czekała, aż się zupełnie uspokoi. Ona w tej katastrofie znalazła i swój

rachuneczek do załatwienia.

Gdy Mańcia zdawała się uspokojoną, odezwała się:

— Bo co za myśl miałaś sprowadzać tę Bonarową?

— Przeceż ona my nyc nepopsuła?

— Nie popsuła? — zapytała pani Wanda z dziwnym blaskiem swych oczu, wyciągając

z kieszeni list Belizara, pisany do Homla i podając go zapłakanej towarzyszce, —

nie popsuła? przeczytaj!

Kolońską uchwyciła papier.

Jakkolwiek łzy jeszcze spływały po jej obliczu, to się już ożywiało tą nadziejską u kobiet siłą ciekawości. On pisał. Co on pisał?

dlaczego ją opuszczał? Czytała uważnie, jakby się bojąc, by ten list,
nie do
niej pisany, drugi raz jej w ręce nie wpadł.
Hrabina tymczasem śledziła tę fizyonomję świeżą od łez, a tak do nich
nieodpowiednią. Dlaczego ona tak gwałtownie wyjść zamąż pragnęła?
Czy jej
nielepiej było, wolnej pani swych gustów i upodobań? Dlaczego te
panny tak się
pałą do małżeństwa? Bo właściwie, cóż ono im daje?
Zamyśliła się nad tem pytaniem, uchodząc sama w siebie. Gdyby one,
takie głupie
Mańcie, wiedziały, co to jest małżeństwo? Wszakże ona wyszła
bardzo dobrze, z
miłości, za człowieka młodego i zdolnego. I cóż? Po dziesięciu latach,
po
dziesięciu, uczuła się zepchniętą na drugi plan z powodu parafijanki
pierwszej
lepszey. Gdyby one znały te cierpienia.
Westchnienie Mańci, jakieś dziwne, pełne złości, nie żalu, obudziło
panią Wandę
z zadumy. Spoczęła wzrokiem na niej i wybuchnęła śmiechem, tak ją
rozweseliło
oblicze młodej kobiety, buchające kolorami, któremi uderzyły do
głowy wzburzone
niewieście namiętności.
— I cóż? Mienisz się, jak kameleon.
— Ach! moja drrroga! Jaka ja głupa byłam... Terraz doperro
przejrzałam... Ona
my

popsuła, ona my zwychnęła życe! i to po raz drrugy!!!
— Po raz drugi?

— Tak! To jest yntrygantka. Teraz dopero otworzyły my się oczy.
Pod tą naywną
maską gąseczky, parafijaneczky, krryje się charrakter przewrotny,
osobysty,
i..... Ona! Ona!!!.
Wyobraź sobe, przeszłego roku był bal w tej Bonarrce na ymenyny
Tadeusza. Jak
zaczęli prrosyć, bym przyjechała. Naturalne, any my to nebyło w
głowe. Opuszczając
masto dla jakegoś balu w Bonarrce... Any myślałam. Alorrs, ta
paskudna kobeta
pysze do mnie i zwierza my się, że ułożyła prrojekt co do mnie i
jednego dalszego
sąsada, qui était un parti toutafait sortable. Jadę naturalne. I wesz, co
się
stało?

— Niewiem.

— Ów pan neprzemówył do mnie, tylko cały wieczórr z nią rozmawał.
Wyobraź sobe!
Na to mnie sprrowadzyła, Byłam zapomnała, — mówiła z najwyższą
irytacją,
wzburzającą całą jej osobą, wzrastającą z minuty na minutę, jak
wzbierający
potok. — To kobeta! Ale ja się neuspokoję, dopóky jej tego
wszystkego nepowem!
Ja jej zrrobię scenę! sceeeenę! Zobaczy!! Pozwól, że ja zaraz do
Ujazdowa
pojadę. Jeśli odrroczę,

to... tak, jak zawsze, zapomnę. Ça lui passera. A ja tego przeceż
darować
nemogę!?

— Naturalnie!

— Pozwól, że ja zaraz pojadę... Hrabina wstała i dotknęła guzika
dzwonka
elektrycznego. Niebawem zjawił się lokaj.

— Powóz do Ujazdowa! zaraz! — rozkazała.

— Ach! byłem ne ochłoneła — zawołała Mańcia, gdy lokaj znikną!,
wstając, bo ją
już to wszystko, co miała pani Bonar powiedzieć, podnosiło; — byłem
ne ostygła.

Bo ty może myślisz, że ne umem zrrobyć sceny? Oh! jak! Quand j'en
ai de trop, to

znajdę pekelné zwroty, j'ecrassé! A mówę z potoczystością kaskady.

Myśly mne

tak przychodzą, iż muszę się speszyć, by my neucekły. Alorrs je suis
un demon.

Nema sposobu my zamknąć ust.

Była formalnie porwana opisem siebie w furji. Zapomniała o

Belizarze, o

przyczynie, a wiedziała tylko, że ma zrobić scenę Janinie. Nie

analizowała

wcale, czy ta była winną, czy nie.

— Rrraz, rraz, mówę cy, jak my weszła w drrogę kseźna Dussa, było
to w Wednu,

jak my popsła wtedy un mariage des plus brillants, tak na nią

wsadłam, że

omalutko jej nezbyłam, a nawet, zdaje my się, que ça reste entre nous,

że jej

dałam w papę...

Pani Wanda wybuchnęła śmiechem. Była coś słyszała o tem w swoim
czasie, w

świecie, ale nie wierzyła temu. Dziś, po latach pięciu dowiadywała

się.

— Naprawdę? dałaś jej?... ha! ha! ha!

— Nepamiętam. Byłam tak zyrzytowana. Nepamiętam, jak to było, ja
taka mała, ona

duża. Ale tak my się zdaje. Ty newesz, co ja jestem, gdy... A takich

yntrygantek znosić ne mogę, takich naywnych! tego ścerrapec ne
mogę.

I mówiła bez końca, jak nienawidziła takich właśnie kobiet, jak pani Bonar, co to zdawałoby się, dwóch zliczyć nie umieją, a diabła mają w głowie, a słyszą, jak trawa rośnie. Hrabina ją podsycala. Przecież, sądziła, po takiej awanturze, na jaką się zanosilo, Janinie nic innego nie pozostanie, jak opuścić Ujazdów. To wystarczyło, by podniecała w Mańci ten ogień, jak łatwy do zapalenia, tak też nie trudny do ugaszenia. Trzeba było dobrze rozniecić każde polanko, tego kominkowego ognia, by nie zgasi. A i to nie było łatwym, bo Kolońską tak była zabawną w swej zaciekłości, w swej niby furii, że pani Wanda pokladała się od śmiechu. Mańcia bowiem, sama się podsycając, przerzucała się na różne tematy, wkoło Janiny się kręcące, z tego samego źródła wychodzące.

— Jak ja rozumiem tę modę, teraz wchodzącą w życie — pojedynki między kobetami. Je t'assure, że to jedyny sposób załatwienia niektórych spraw. Jabym ją teraz zmassakrowała pałaszem, tę mynkę swętoszky, sainte nytouche. Nytouche! ha! ha! My jesteśmy upośledzone. A przyznaj, że się między namy trafa daleko częściej okazja pojedynku, jak między mężczyznami? Wtem oznajmiono, ku największej radości pani Wandy, że powóz podjechał. Przecież między Mikulińcami a Ujazdowem nie ochłonie. Zamała na to przestrzeń. Odprowadziła ją aż do powozu, by zobaczyć głównie, jakie konie idą, czy dobre

trotery. Gdy ujrzała wiktoryję, zaprzężoną dziwnym zbiegiem okoliczności, dwoma rysakami, które zapewne nie chodziły od kilku dni, uśmiech radości okraślił jej oblicze. Za dziesięć minut musiała być w Ujazdowic. W dziesięć minut kobieta nie ochłonie, nawet Mańcia.. Powóz ruszył, a hrabina, wracając do siebie szeptała:
— Elle l'aura toute chaudel ha! ha! Tymczasem hrabia ubrał się i wykapał.
Wcześniej, niż kiedykolwiek, zeszedł do halli zamkowej, gdzie zwykle wszyscy najczęściej przebywali, gdzie stały najwygodniejsze meble, gdzie leżały nowe książki i dzienniki. Postanowił bowiem w wannie, w ciągu

godzinnego posiedzenia ze swojemi myślami, iść pierwszy naprzeciw niebezpieczeństwa. Tem niebezpieczeństwem była Mańcia, która, jeżeli gdzie mogła być widzialną, to w halli, gdyż tu zbiegała najprzód po ranną pocztę. Do poczty przywiązywała bowiem wartość, jaką do niej przywiązują wszystkie kobiety, a specjalnie starzejące się panny. Homel jednak jej nie zastał. Ale zato zastał Zabanowskiego, który ćwiczył się w karambolach na bilardzie. Ucieszył się. Jaś mógł mu być dobrym doradcą. Wierzył w jego rozum salonowy. Imponowała mu jego zimna krew, jego naturalny sposób brania najnienaturalniejszych rzeczy.
— Wiesz co się stało! Belizar wyjechał. Pan Jan ani się zastanowił. Niedrznąwszy kijem, którym celował w kulę, odparł:
— To, co najlepszego mógł zrobić.
— Dobrze! ale mi wyplatał figla nielada...

— To druga historia. Wolał jednakże widocznie, i tem dowiódł, że nie jest

ciepłą wodą, wypłatać figla tobie, niż sobie.

— Znajdowałbyś więc, że panna Kolońską nie była dla niego żoną?

— Znajdowałem przedewszystkiem, wychodząc z zasady, że męczyzny rzeczą jest dobierać sobie żony, że on niebył dla niej mężem.

— Dlaczego?

Zabanowski w odpowiedzi na to, parsknął swym cichym śmiechem, przystanął, i,

opierając się na kij, a gładząc bardzo piękne i długie wąsy, zagadnął:

— Mój Edwardzie! Robisz mi czasem wrażenie człowieka, tak zarozumiałego, iż

gotowego przypuszczać, że ludzie zaczną patrzeć na rzeczy tak, jak to tobie

dogadza. Są może tacy, ale bardzo szczęśliwie baron Belizar do nich nie należy.

Złożył ci tego dowody.

Hrabia umilkł Nie chciał wszczynać z Janem dyskusji, którą lubił, bo ta byłaby

mu zajęła dużo czasu i naraziła na myślenie jego zmęczoną głowę. A tu mogła lada

moment wejść Kolońska. Nawet było dziwnem, że jeszcze nie weszła.

Wtem otworzyły się jedne z licznych drzwi w halli, bo ta komunikowała z

ubikacjami całego zamku, i weszła hrabina, niosąc koszyk kwiatów.

Jeszcze się

nie przywitała z Zabanowskim, a raczej nie wysłuchała jednego długiego rannego

komplimentu, gdy ją mąż zagadnął:

— Cóż się dzieje z Mańcią?

— Mańcia? Mańcia od godziny w Ujazdowie!

— W Ujazdowie?

— Tak!

— Nic jeszcze nie wie?

— Owszem, wie wszystko!

Nastąpiło milczenie. Pan Jan stukał tylko kulami z zapalem specjalisty i człowieka, lokalizującego w mału rzeczach swoje zapaly. Hrabina układała w wazonach kwiaty; Homel kombinował wyjazd Kolońskiej do Ujazdowa i fakt, że wiedziała wszystko, a więc, że był zwolniony z przykrego obowiązku zwiastuna.

Ale nie wyglądał pocieszony, ani ulżony. W tym fackie, w tym wyjeździe, zdawało mu się, iż słyszy fałszywą nutę.

— Tą katastrofą? tak rano? pojechała się podzielić z Bonarami?

— Przecież panią Bonar sprowadziła na to, by jej ułatwiała... A więc pojechała jej pewnie podziękować.

W Homla oczach błysnęła iskra przestachu.

— Ale list Belizara! list Belizara, który zabrałaś z sobą? — zawołał z przestachem.

— Jest!... leży gdzieś... zostawiłam go u siebie. — odparła niedbale hrabina.

— Jakże można zabierać cudze listy?

— Takie listy! — bąknęła pogardliwie.

Homla oblicze wyraziło najwyższe niezadowolenie i pracę mózgu, o ile ono mogło być uzasadnione i jakie mogło mieć dlań skutki. List Belizara do niego, nie

ulegało wątpliwości, był pokazany pani Kolońskiej.

.

.....

.....

.....

Hrabia wstał z fotelu, aby w przechadzce po halli ukryć swoją alternację i lepiej skombinować pozycją.

.....
.....

A więc Kolońska nie mogła po co innego jechać do Ujazdowa, jak po to, by obsypać

Janinę wyrzutami, że się podobała Belizarowi. Przypomniał sobie obiad ów,

rozmowę swoją późniejszą z Mańcią, jej głęboką do niego urazę, że panią Bonar

podniósł i otoczył aureolą, która mogła olśnić Belizara. Jeśli wtedy już była

tak tem podnieconą, cóżto musiało być dzisiaj, gdy miała dowody na to, co dotąd

tylko przypuszczała?

Chodził dalej.

Cóż to jemu jednak wobec Janiny mogło szkodzić? Zapewne, iż go, jako rozumnego

człowieka, kompromitował fakt sprowadzenia Belizara i ogłoszenia go za

konkurenta do Mańci. Gdyby nie on, zapewne, aniby Mańcia nie była na Belizara

tak liczyła, a tem samem teraz tak się czuła pokrzywdzoną, ani też Bonarowie nie

byliby w tem maczali palca, ani też Janina, powoływana do domu, nie wysiadywałaby w Ujazdowie.

Wpadł. Wpadł! nie ulegało wątpliwości. Ale od wpadania są tylko rozumni ludzie.

I ci tylko dają się wyprowadzić w pole przez głupich. Odwieczna to prawda.

Ale co Janina pomyśli?

.....

Cóżby pomyśleć mogła? Pomyśli to, co on. Wszakże już wiedział, że myślała jego myślami.

Ona tam teraz przechodziła scenę gwałtownej Kolońskiej.

..

.....

I rzeczywiście, w tej chwili w Ujazdowie, w mieszkaniu Bonarów, odbywał się

drugi akt sceny, tak często grywanej między dwoma kobietami.

Kolońską, popuściwszy wodze dławiącej ją złości, przeszła w bezpośrednio po tej

u niej następującą fazę łez.

Zaszlochana, siedząc na hotelowym foteliku przy stole, pokrytym tuzinkowa kapą

pluszową, na którym stał jeszcze w wazonie zwiędnięty bukiet pożółkłych lilij

wodnych, wołała:

— Pamiętaj, że jak długo żyć będę, tak długo ci tego nie zapomnę.

Pamiętaj, iż my

zmarnowałam życie. Przez cebe straciłam ostatnią może sposobność uratowana go...

Tu Janina, której te groźby tak na zdrowe nerwy działały, iż już od chwili się

rozplakała, uśmiechnęła się przez łzy.

To Kolońską podnieciło.

— Smejiesz się, — wołała, — odurzona rromansem z hrrabą, sądzysz, iż już śmało

możesz marnować życie takiej starrej panny, jak ja. Znając mne, śmejiesz się z

mych grrózb! Sądzysz, że my one wylecą z głowy za godziny! Otóż ne! Pour cette

fois non! Ja byłam zajęta Belyzarem może węczej, jak ty twym hrrabą.

Ja ne jestem

mscopywą, ale ey daję słowo honorni, że yle rrazy sobe w życiu

przypomnę to lato,

ten saison, tyle rrazy moja głowa nad tem pracować będzie, jakby się pomścić!

Janina słuchała z powagą posągą, z pokorą osoby przechodzącej pierwszy raz w życiu taką scenę, słuchającej niesprawiedliwych wyrzutów i klątw. To montowało Mańcie.

— Jesteś kobetą! Powynnaś wedzeć, co cerpi kobieta w mojem położeniu. Cobyś ty za żal żywyła do drugej, któraby tak z tobą postąpiła. Będiesz matką i poznasz

to cerpene, gdy inna odbyje twojej córce upragnonego konkurenta...

Janina już wytrzymać nie mogła. Ostatnia gróźba, potracająca o jej gorące i

rozwijające się, a więc silne i świeże uczucie, zaboląła ją i przeraziła.

— Ależ Mańciu! Ty od zmysłów odchodzisz! Cóż ja ci winnam? Cóż ja winna, że

się, dajmy na to, więcej Belizarowi, niż ty, podobałam. Przecież nie jestem

panną na wydaniu? Przecież...

Kolońska wstała.

— W tem własne, — podchwyciła, — leży cała potwornosc twojego charakteru! Gdybyś była panną, tobym ci darrowała.

— Ależ ja, przysięgam ci, ja jednym słówkiem nie dałam Belizarowi...

— O! ho! pamiętam! Po tym spacerze, po tym podweczorrku, przed tym teatrem, gdyś z nym chodziła dwie godziny, gdyś go nyby mała wybadać, proszona przezemne głupa, ach! jak głupa! Potem zaraz uczułam zmanę, ochłódł o dzesęć stopny, o dzesęć!

— Ale przysięgam ci! — zawołała, wybuchając płaczem pani Bonar, tonem

szczeroci i oburzenia, niemogącym zmylić nawet podejrziwej Kolońskiej —

przysięgam na życie mych dzieci, że, jeśli i mam trochę kokieterii, to
wtedy, z
Belizarem miałam jej mniej, niż jej miewam z ekonomem Tadeusza w
Bonarce!
Mańcia opuściła się na krzesło. Z jednej strony wierzyła, z drugiej
była
wyczerpaną. Już oddawna byłaby zakończyła tę scenę, gdyby nie
wciąż ją trapiące
pytanie, które się nasuwało w chwilach uspokojenia się, pytanie:
"Pocóż więc
zaczynałaś?" Trzeba było być konsekwentną. Któs musiał być winien
ucieczce
Belizara. Któż więcej od Janiny, którą w swym liście wspomniał...?
Odpocząwszy, podchwyciła:

— To wszystko jedno! Gdyby ne romans z hrrabią...
— Mańcin! — zawołała groźnie, wychodząca z granic cierpliwości
pani Bonar, —
nie pozwalam...
— A więc nie romans, tylko flirt! — krzyknęła Kolońska,
przerywając dławiący
się glos Janiny, — to wszystko jedno. Tobie, na twej parafii się zdaje,
gdy
słyszysz o flircie, że to co innego, niż romans. To zupełnie tosamo.
Wierzaj my,
je m'y connais. Któs barrdzo mądry powedzał takiej, jak ty, pardon,
gąsce, która
chcała mu dowodzyć, że flyrt, a romans, to całkiem co innego: "Oni,
mais le pont
est jete". Mędzy flyrrtem, a romansem z twym hrrabą jest przepaść,
ale już most
przrezucony ha! ha! ha! A po mośce tak łatwo przejść, nawet nad
przepaścią!
— Mańciu!
Mowę ey, moja droga, że po mośce i nad przepaścią ty nawet łatwo
przejdiesz!

— Mańciu!

— Iz twym hrabą!

Obie kobiety były wycieńczone. Jedna mówieniem i niepozwalaniem dojść do słowa

drugiej. Druga słuchaniem i niemożnością odpowiadania.

Ale Kolońską odzyskała się po chwili jakby spazmatycznego dychania. Zanalizowała

wyraz na ustach Janiny od chwili, w której

Ją nazwała "gąską". Ten wyraz twarzy Janiny zdawał się mówić

Mańci: "Cóż z tego,

kiedy ja, choć taka gąska, lepiej się od ciebie mogłam podobać". To jeszcze

osłabioną już kobietę do mówienia dalej skłoniło.

— Ty może myslisz, że się Homel w tobe kocha? Ha! ha! Bo ty perwszy rraz

wydysz ludzy ze swata i gotowaś brrać á la lettre, co ey plotą. Ależ on się

bawy tobą. Jesteś mu potrzebna jako typ pewne do powesci jakiej, osnutej na tle

wejskem. Il se soucie de loi, comme de l'an quarante. Jesteście tak do sebe

dopasowany, jak.

..

ha! haha! Gdy was razem wydze, przypomyna my się zawsze ta opowesć o tych dwu

ptakach, zważanych ze sobą, z których jednego naturra powoływała do bujania nad

skały, a drugiego nad błonia.

Janina poczerwieniała Krew jej uderzyła do głowy. Ona teraz brała się do

grzebania w jej sercu, do wydrwiwania jej głębokiego, ukrywanego uczucia.

Spostrzegła to Kolońską i przyznała sobie gruby popełniony błąd, ze odrazu

nieużyła tego sposobu do wyprowadzenia z granic panowania nad sobą tej cichej parafijańskiej natury. Ona pragnęła kłótni, szermierki słów, któraby uspokoiła jej nerwy.

— Werz ty Homlowi! On cę dzyś wychwala, bo mu to potrzebne, bo to go ba-

wy, bo tem może chce podrażnić stygnącą w myłości żonę. Jutro cię wydrwi, odkryje w tobie des rydycules, których any ja, any nykt z tych, którzy cię znają, dotąd newydzeli. A gdy cę kędy spotka, w Warszawę, to uda, że cę nezna, lub naprawdę nepozna..

Gdy Mańcia mówiła te ostatnie słowa, Janina była wstała, nałożyła kapelusz na głowę, narzuciła pelerynkę, uchwyciła parasolkę. Gdy Mańcia urwała dla złapania oddechu, pani Bonar z ręką na klamce rzekła:

— Zaczynasz derezonować. Potrzebujesz się wygadać. Przecież lepiej, by cię słuchały same ściany, którym to będzie obojętne.

— Haha! — zaśmiała się panna, — a cebe boly, że ey w czarnnych barrwach

przedstawam twego hrabego!

Zerwała się, by powstrzymać kuzynkę. Jeszcze jej miała coś powiedzieć, coś insynuować.

Ale pani Bonar już nie było. Zostawiając otwarte drzwi, których nie zamknęła w

pośpiechu, by nie słyszeć słów kuzynki, by te jej nie zatrzymały, wybiegła przed dom.

Tu się rozejrzała. Szukaia najkrótszej drogi, mogącej ją wyprowadzić z granic

parku i zakładu, rojącego się w tej chwili od ludzi. Potrzebowała
gwałtownie
samotności. Uczuła tę potrzebę w chwili, gdy Mańcia uderzyła w
strunę jej
uczucia, które, jakby nowonarodzone, niespodziane, w sobie czuła.

Musiła gdzieś uciec sama ze swymi myślami i pytaniami, z chaosem
w głowie,
wywołanym tą sceną, jakiej nigdy nie pamiętała z nikim.
Musiła zresztą ukryć swą twarz, gorącą od rumieńców i łez, od
hamowanej złości,
dla której wybuchu nie była znała ni słów, ni miała doń głosu.
Wzięła się na lewo i, zostawiając za sobą deptak, z przygrywającą w
tej chwili
Straussowskiego walca orkiestrą, zostawiając na prawo park i domy
lecznice,
skierowała swe przyśpieszone kroki ku najbliższej drodze,
prowadzącej z zakładu,
którą raz była w nocy wracała z Mikuliniec i która ją była wtedy, przy
księżycu,
uderzyła swą malowniczą, uspokajającą nutą.
Tam ochłonie, tam, na pagórku, z którego roztaczał się widok na
Ujazdów, leżący
w dolinie, u stóp którego, jakby w przepaści, bujał las i tulił do siebie
przedpotopową cegielnię, przerżniętą strumykiem, podobnym do tych,
jakie
widziała panną będąc w Tatrach. Ach! jakże je ona wtedy pokochała.
Zresztą w tym stanie widzieć nikt jej nie mógł, nawet Tadeusz.
Musiła wyglądać
okropnie. A gdyby hrabia w Ujazdowie się zjawił, on, co się coraz
częściej i
najniespodziewaniej zjawił, on, co w niej podziwiał

ten niezrównany spokój jakiego na czole kobiety nigdy nie widział, a
jaki musiał
według niego zdobić wszystkie boginie Olimpu...
Już była za murami zakładu, prawie w polu, we wsi. Mogła zwolnić
kroku, powoli
zastanowić się nad każdym słowem Mańci, nad pociskiem, jaki każde
z nich
wymierzało.
Jeśli hrabia rzeczywiście nią się bawił, w swej roli belletrysty ją
studjował. .

.....
.....
.....

To być mogło. Raz był jej powiedział, pa miętała doskonale: "Dla
powieściopisarza pa ni jesteś nieocenioną. Jak rzadko się trafia w
naszych
przetrzebionych lasach sarna, jak rzadko się trafia w naszych
ogrodach
prawdziwa, hodowlą niezmasakrowana, pełna, dzika róża, tak rzadko
w naszych
salonach tra- fia się taka, jak pani, kobieta". A więc Mańcia,
niesłuchanie
sprytna, niesłuchanie doświadczona, mogła mieć i rację. On ją
studjował, jako
nowy okaz.

.....
.....

okaz z głębokiej parafii.
Przyśpieszyła kroku. Biegła niemal, nie widząc, nie szukając pejzażu,
który w te
strony jej kroki pierwotnie skierował.
Ależ to być nie mogło? Tak mogła Mańcia myśleć znając, Homla z
jednej strony
tylko. Bo w Homlu było dwóch ludzi, jeden dla świata, drugi dla..
drugi... czy
dla niej?

Ten dualizm w Homlu, ona go widziała. Któżby wierzył, jak on,
zimny, sztywny,
ironiczny był dobrem dzieckiem, jak innym z nią, niż z wszystkimi
kobietami. .

.....
.....
.....

Ale jeżeli hrabia ją rozkochał poprostu, by "obudzić zazdrość
stygnącej dlań
żony?"

.....
.....

To być mogło. Wszakże hrabina Wanda była dość piękną, by ją
kochano nawet po
upływie dziesięcioletniego małżeństwa. A o ileż od niej była
odpowiedniejszą,
dla niego, jako przedmiot uczucia i uwielbienia. O ileż intelligencya
jej była
pokrewniejszą jego rozumowi. On ją dostrajał do tego diapazonu, do
którego tamta
z natury dostrojona była.

Wprawdzie, raz był jej powiedział, pamiętała dobrze: "Rozumny
człowiek nieceni
nigdy w kobiecie wysokiej inteligencji, tem mniej dowcipu i sprytu.
Mężczyzna
szuka w kobiecie dobroci, słodczy, samych rzeczy miękkich, że tak
powiem. A
rozum w przenośni tej, to stal hartowana, dowcip, to ostrze
dwusieczne noża,
spryt, to koniec sztyletu." Czy on wtedy mówił to, co myślał, czy też
pisał, bo
mu tak wtedy pisać wypadało?...

.....
.....

Ależ to być nie mogło? Homel miał tyle Świętego ognia. Zapalał się
mówiąc. Oczy
jego rzucały iskrami... Zresztą ileż razy, à

propos każdej rzeczy, mówił jej, że jest jego ideałem i tak ją umiał co do tego przekonać... Kobieta czuje, gdy mężczyzna gra komedję. Czuje prawie termometrycznie stopień ciepła jego serca.

.....
...

Przystanęła nagle. Zmierzch zapadał, ten zmierzch końca lipca, powolny, długi, nieznaczny i prześliczny w swem złoceniu wszystkimi odcieniami złota zżętych niw żyta, dojrzewających łanów pszenicy, kwitnących pól rzepaku. Ten zmierzch lipcowy, grający jakby szmaragdem, pokazujący coraz to silniejsze tony w zieloności lasów liściastych i świerków. Ten zmierzch cichy, a wspaniały, zwiastujący tę noc upragnioną w obec zmęczenia po długim dniu, a straszną w obec utraty tylu piękności rozbującej latem natury. Tak — to był ten pejzaż, który zapamiętała, ten sam. Szła drogą, prowadzącą głębokim wąwozem pod górę. Wąwóz co chwila się urywał lukami to na prawo, to na lewo. Gdy otwierał prawą stronę, to widziała kościół Ujazdowski, jakby na szczycie wysokiej góry z przepaścią przy sobie, na dnie której roztaczała się równina ze swym zakładem, przerżnięta rzeczką. A za kościołem, znacznie niżej, liczne dymy z kominów, wyglądających z lasu śliwiny i wiśni, zdradzały wieś. A za nią łany pól, wznoszące się znów

w górę, przypominały wystawy prób farb w magazynach. Rzepak był złoty, łubin

niebieski, owsy zielone, role czarne, ściernią żółte. A dalej, dalej tło horyzontu stanowił las zamglony.

Gdy wąż zaś otwierał lukę na lewą stronę, widziała wciąż tylko jedno, ale to

jedno, tak pełne uroku i charakteru.

U dołu jakby przepaści leżała łączka, przerżnięta strumykiem, na której do lasu

przytulała się cegielnia, złożona z chałupy pochylonej i szopy w ziemię

zapadłej.

Janina przystanąła.

Na łączce stał stół. Przy nim kobieta wiejska z nadzwyczajną szybkością robiła

cegłę, a co zrobiła jedna, spoglądała na słońce, czy jej jeszcze pozwoli dużo

ich zrobić. Glinę podawał jej stary chłop, zanurzony w dole. A cegłę gotową

odbierał od niej, by równie pośpiesznie, spoglądając na słońce, odnieść ją,

młody parobek. A na placu bawiło się w piasku dziecko, którego główkę złociło

zachodzące wielkie słońce.

Janina wlepiła swój wzrok w ten obraz. To było najwidoczniej młode małżeństwo,

pragnące dnia tego jak najwięcej jeszcze zarobić, aby przyszłość zabezpieczyć

temu dwulatкови, co tam rzucał wciąż ziarnkami piasku z takim rozmachem i taką

cierpli-

wością. A pomagał im stary ojciec — jej, czy jego?

Jej, czy jego?

.

.

.....

W tem Janina zadrżała. Tuż nad sobą usłyszała silne uderzenia kopyt konia,

zbiegającego z góry.

Cofnęła się i serce jej bić przestało. Hrabia zjeżdżał wąwozem wierzchem, udając

się do Ujazdowa. Żeby jej mógł nie widzieć, nie spostrzedz. Stała w luce, miała

przepaść po lewej ręce, wąwóz po prawej.

Wtem koń ją minął. Była ocaloną! Ale w tejże chwili Homel osadził konia,

obejrzał się, wlepił w nią wzrok. Wyraz zdziwienia przebiegł mu po obliczu, i

zawołał:

— Janina!

Zawołał to takim tonem, taką nutą, iż tej chwili nigdy i później zapomnieć nie

mogła, ani też tego uczucia szczęścia, które w niej ona rozbudziła. W tym głosie

było tyle radości, że ją widzi może o pięć minut wcześniej, niż ją zobaczyć się

spodziewał. W nucie tego głosu było tyle uczucia, iż ono samo rozpędziło trwogi,

przed chwilą opanowujące kobietę.

Zeskoczył z konia i uchwycił obie ręce Janiny. Ona ich nie broniła.

— Co tu robisz?

— Potrzebowałam samotności.

— Miałaś zgryzotę?

— Nie...

— Ta warjatka musiała cię napaść? Płakałaś?

— Bo jakże można było ten list jej pokazywać?

— I sądziłaś, że to ja zrobiłem? Więc go czytała? Więc moja żona...?

Urwał.

Janina odetchnęła. Więc ją nie myliło przeczucie, że Homel nie był przyczyną tej

sceny, tych grózb, tych...

Ale w tej chwili ogarnął ją szalony przestach. Tu ich nikt spotkać nie mógł.

Ani wracać nie mogli razem, a rozmawiali idąc i spuszczać się z góry.

— Gdzie pan jedziesz?

— Oszalałaś! Widzieć ciebie...

Pierwszy raz mówił jej "ty". Ją to za każdym razem ścisnęło za serce, ale nie

bolało, nie raziło. Czyż wtedy, w nocy, tym uściskiem dłoni nieupoważniła go do tego?

Przystanąła.

— My razem wracać nie możemy, — szepnęła.

Homel się zamyślił. Jakiś wyraz smutku przebiegł mu po twarzy i wykrzywił ją do śmiechu, pełnego ironii.

— Nam razem nic robić nie wolno, od chwili, w którejśmy zapragnęli być razem.

Ach! jakże straszne są kajdany, w które się zakuwało lat przeszło pięć ośmset

nasze europejskie społeczeństwo... Małżeństwo! ha! ha! Cóż za wymysł, cóż za

produkt chorego organizmu? Nie wolno kochać człowiekowi, który ma serce? Każą mu

przy ołtarzu przysięgać na to, że to serce nie zabije ani raz jeszcze jeden...

ha! ha! Niechby wymyślili sposób amputacji, a małżeństwo stałoby się

przynajmniej rzeczą logiczną.

Janina go słuchała. Hrabia często wybuchał podobnymi poglądami. Z początku one

ją raziły. Dziś przyglądała mu się ze smutkiem. Żal jej było tej duszy, która

biła do mózgu tymi paradoksami Rozumiała ich źródło, odczuwała
arterje, którymi
bilo.

— Nie trzeba tak mówić, — szepnęła, — nie trzeba tak myśleć, —
dodała.

— Gdybym miał ciebie, — odparł, obejmując ją w pól i przyciągnął ją
do siebie.

A wyginając jej miękką, wiotką kibić, zbliżył twarz do twarzy i złożył
dwa

pocałunki gorące, długie, namiętne, na jej ustach.

Szkarłatem pokryło się oblicze Janiny. Zesztywniała, stanęła na
piętach, by nie

upaść, odetchnęła tak głęboko, iż się Homlowi, wpatrzonemu w jej
zmienioną

twarz, zdawało, iż ją serce do utraty przytomności zabolalo.

— Co ci? — szepnął.

— Ach! co ja robię, co ja robię! — zawołała, jakby łkając z bólu i
cierpienia.

Homel przycisnął jej dłoń, przycisnął do ust i, hypnotyzując ją
wzrokiem i

głosem, mówił.

— Janino! Janino! wierzaj mi, że się prawdziwym uczuciem tylko
szczyścić można,

a nie wstydzisz się go. Cóżżeś ty winna, że nie potrafił ci się kazać
kochać? Cóżżeś

ty winna temu, biedna, że masz serce świeże, uczuciem
odpowiadające na uczucie?

Czyż nie czujesz w sobie, w samej sobie, w logice twego mózgu, w
czystości twej

duszy, w sile twej intelligencji, że prawdziwe uczucie jest słońcem,
które

dolegać, razić może, którego skwar nawet boleć może, a którego
promienie

opalają, ale które plamić nie może!

Puścił jej dłonie, jakby niemal obrażony za ten wykrzyk bólu, jaki jej jego miłość sprawiała i mówił już innym tonem:
— Masz słuszność! Idź więc sama... Ja konno pojedę inną drogą... by przybyć później... A na salę przyjdź wcześniej!
— Na salę?
— Wszakże dziś jest dzień małego reunionu.
Byli u dołu wąwozu. Dosiadł konia i pocwałował w przeciwną stronę.

Janina przyśpieszyła kroku. Szła lekko, jak gazella i lekko jej było na sercu.
Cóż ona temu była winną, że mogła jeszcze kochać? A uczucie takie, czyż rzeczywiście nie było wielkim słońcem? Czula je w sobie, ogarniające ją całą ciepłem swych promieni, płynących z przeczystej i przejasnej jego tarczy.

IX.

A więc Janina odjeżdżała.
A więc kończyły się jego piękne, upragnione i urzeczywistnione dni, — myślał Homel w smutku, graniczącym z rozpaczą, o ile ta mogła być właściwą jego charakterowi.
Powątpiewał był już o jakiegokolwiek miłości, nie wierzył już, by jego serce mogło zabić precudnej melodyi tempem uczucia, gdy oto zjawiała się Janina i pozwoliła mu zatętnić na krótki czas pełnem życiem mężczyzny, które, sądził, wybiło dlań dawno już i niedostrzegalnie, ostatnią godzinę.
Kochał i był kochanym.

A to, według niego, było ewangelią życia ludzkiego. O ile to było
możliwym,
jeszcze o tyle sam sobie nie zrobił wrażenia lokomotywy zużytej, z
wielkich
torów zepchniętej, nowymi wynalazkami zdeprecjowanej nie dość
tylko zniszczonej,
by się ukryła w wiecznym cieniu magazynu.

Kochał i był kochanym. A więc oddychał pełną piersią i wciągał życie
wszystkimi
fibrami organizmu, grał na wszystkich klawiszach tego
przemisternego
instrumentu, jakim mu się w tych warunkach zdawało być życie.
Kochał i był kochanym.

.
.
.
.
.

I hrabia młodniał pod promieniami tego słońca, które w nim świeciło i
o ciepło
walczyło ze słońcem, posuwającym się po horyzoncie. Młodniał
ciałem i duszą,
oczy jego nabierały codzien więcej wyrazu, nie tylko skupienia w
sobie i
refleksyi; ruchy jego stawały się żywszymi, znikwały pionowe
zmarszczki na czole,
a usta często uchylały się rozmarzonym namiętności skurczem.
I śpieszniej mu było do dnia, który już oddawna przestał być dlań tym
upragnionym celem nocy, jakto bywało, pamiętał z młodości.
I budził się weselej, wyspany, z nocy zadowolony, o nudę monotonii
dnia
bezbarwnego nie trwożny.
I rozglądał się dokoła siebie z tym wyrazem ciekawości i
dobrodusznej dobroci,

dla całego stworzenia, który mają tylko ludzie zadowoleni ze siebie i — życia.

A jeżeli siłą przyzwyczajenia, myślą, czy głosem, nucił ulubioną piosnkę do słowika

z "Ptasznika z Tyrolu," to już nie z wyrazem bezmiernego smutku i tęsknoty za

uleciałem życiem

Zmiana taka w małżonku nie mogła ująć uwagi bystrej i inteligentnej pani Wandy.

Widział to i Homel i ubolewał nad dziwną igraszką życia, która mu kazała widzieć

nieprzepartą zaporę do zrealizowania choć części swych najgorętszych marzeń w

wybranej i kochanej kobiecie.

I kilka, kilkanaście razy w dzień, ilekroć razy spostrzegł na obliczu żony wyraz

troski, zazdrości, trwogi, czy rozdrażnienia, pytał sam siebie, dokąd go ta

pierwsza, zapewne jedyna, upragniona miłość zaprowadzi.

Wtedy mu stawała w oczach czarna i nieodległa przyszłość: on ze swemi myślami w

Mikulińcach, — Janina w Bonarce.

Wtedy będzie musiał jeszcze bardziej cierpieć, jak ten pijak nałogowy, który po

wielu latach przymusowej wstrzemięźliwości, zakosztuje boskiego nektaru, jak ten

palacz opium, który w niem znalazł poszukiwane ukojenie.

Innego wyjścia nie było. Łamał sobie głowę nad wynalezieniem pośredniej ścieżki,

któraby mu pozwoliła, nie zbaczając z tak długo przebytej drogi, zaspokoić

potrzeby dalszej wędrówki

Tej drogi nie było Nie istniała ona dlań w tych warunkach.
Janinę, jeżeli ją mógł zmusić do wyznania mu, że go kocha, mógł
zapewne skłonić
i do wszystkiego, coby mu przez głowę przeszło.
Ale czy mu mogło przez głowę przejść zrobić z Janiny Bonar kobietę,
która
potrafiłaby się nie rumienić?
Jeśliby to mu przez głowę przejść mogło, to czyż mogło to zagościć w
głowie
człowieka, jak on, wykształconego pracą mózgu, doświadczonego siłą
refleksyi,
człowieka o wydelikaczonej duszy, siłą miłości sztuki pod wszystkimi
jej
postaciami.
Janina mogła go kochać, mogła wszystko... ale nie mogła przestać być
ideałem
normalnej kobiety.
Przez głowę mu to nie przechodziło.
Zdawało mu się, że ta kobieta, z dniem, w którymby przestała być
prawa i
poważaną panią Bonarki, ukochaną żoną Tadeusza, stałaby się
potworem, nie
ideałem.
A więc wyjścia nie było.
On musiał pozostać w Mikulińcach ze swemi zaniepokojonemi
myślami, a ona musiała
dalej spełniać swe posłannictwo. On musiał dalej cierpieć,
rozcząstkowywać się w
cierpieniu, w swem próżniaczem, sybaryckiem życiu. Ona musiała
prędzej, czy

poźniej zapomnieć w zajęciach codziennego dnia, pełnego troski o
jutro i
pojutrze.

A więc zwyczajnego epilogu dla tego romansu nie było. Nie mógł się on spokojnie, jakby marzył, przeżyć., bo nie mógł żyć. Gdyby Bonarka była sąsiedztwem Mikuliniec, jakżeby ten romans artystycznie się rozwijał, kwitł, dojrzwał, rodził, starzał i obumierał. Ale Bonarka leżała o mil pięćdziesiąt od Ujazdowa... Gdyby Bonarowie i oni byli ludźmi jednego pokroju, toby te pięćdziesiąt mil, skracając się do niemożliwości, siłą ludzkiej woli i zwyczajów, przestały być zaporą do rozkwitu, choćby mniej normalnego, tego romansu. Ale rzecz się miała przeciwnie Nie było myśli, któraby go wiązała z Tadeuszem, jak też nie było spajającej Janinę z hrabiną Ich stosunki majątkowe i światowe były tak różne, taka przepaść między ich gustami i aspiracjami. o ileby one nie były żadną zaporą w stosunkach o trzy wiorsty, czy mile nawet dystansu, o tyle tworzyły nieprzebytą przepaść w tej odległości. i Homel, analizujący każdy fakt życiowy, prędko przyszedł do wniosku, że romans

ten swój, z chwilą wyjazdu Janiny do Bonarki, mógł uważać za skończony. Wtedy się buntował. Wszystko się w nim buntowało. Czyż to było możliwem, by takie, tak długo oczekiwane uczucie, zależało tylko w dalszym swym rozwoju od warunków okolicznościowych? Czyż to było możliwem, by ta siła, która zmusiła Janinę do przyznania się do zabronionego uczucia, nie znalazła promieni, potrzebnych dalszemu jej rozwojowi. — Tak! — śmiał się ironicznie, — to było możliwem, jak możliwem było przecież

kolosalne w swej niekonsekwencji, niepojęte w swej wypadkowości,
straszne siłą
swych praw życie ludzkie wogóle.
Ten romans nie miał warunków dalszego istnienia. Był jakby jakimś
dziwolągami,
nie znoszącym słońca, tej planety, na której się urodził. Miał pozostać
mrzonką...
Ależ mrzonka w jego wieku! mrzonka, wstrząsająca jego ustrojem!
— Ha! niema rady.. Tak się złożyły okoliczności.
Gdyby nawet, czego możliwości absolutnie nie przypuszczał, Janina
była inną
Janiną, gdyby mu powiedziała: "Zerwę wszystkie, łączące mnie z
mojem życiem, z
moją przeszłością i przyszłością, węzły, zerwę wszystkie

te węzły, pokrępowane i pozwijane, tworzące właściwie moją istotę, a
pójdę za
tobą?"
Gdyby Janina mu to powiedziała, toby on chyba po długiej walce ze
sobą i
głębokiej refleksji mógł tylko odpowiedzieć, że nigdzie się nie
wybiera.
Bo czyż on mógł, ze swoją trzeźwością w dojrzwaniu skutków,
obierać we dwoje
jakąś drogę, staczającą się po miłej pochyłości z błyskawiczną
szybkością w
przepaść, z której wydobyć można było tylko dwa trupy, zarażone
miazmatami,
ziejącymi dokoła siebie nieszczęścia! Czyż onby miał siłę zerwać
choćby tylko ze
swoją przeszłością, z Wandą! a cóż dopiero, zrobić z tej Bonarki,
którą widział
ogniskiem zdrowego na dziś i na jutro życia, grobowiec szczęścia,
zawiedzionych
nadziei, źródłisko, wytrysłe z ruin i aż na dalsze pokolenia sączące
ból i

żale!

Wszakże tego nie mógł.

Romans więc ten jego był krótkotrwałą mrzonką.

Ależ mrzonka, to egzotyczna roślina, hodowana przez histeryczne kobiety i

salonowych lowelasów, przez niezrozumiałe lwice i dających się brać na jej lep młokosów.

Mrzonka, między nim, spragnionym uczucia w sobie i w drugiej, analizującym z de-

licyą wszystkie jego barwy i tony, a Janiną, istotą najnormalniejszą, jaką znał!

Między nimi mrzonki, ani flirtu być nie mogło. — Ten potwór najnowszych czasów

nie mógł się z nich zrodzić. To więc musiało być uczucie silne, jak każda zdrowa

roślina, normalnie wykiełkowana, we wzroście, w dojrzewaniu nieubłagana.

Rozum jego mu mówił, że ten romans był skończonym, ale rozum jego się mylił, bo

rozum nie mógł zachwiać prawami natury, równie silnymi w rozwoju wszystkich

tworów przyrody, jak w kierowaniu porami roku.

Tak myślał w dzień wieczoru, w którym miał ostatni raz widzieć Janinę.

Ten wieczór miał się odbyć w Ujazdowie w gabinecie restauracyjnym i nosić cechę

zebrania pożegnalnego dla pani Bonar i Kolońskiej. Jak jedna, tak i druga

bowiem, zaraz nazajutrz, opuszczały Ujazdów i Mikulińce. Pierwsza do domu, druga

do księżnej Lorci, która ją wzywała depeuszami, mając zapewne, jak sądziła

Mańcia, coś do maskowania nią przed zazdrosnym mężem.

Myśl urządzenia tego wieczoru w restauracyi należała do Homla.
Sądził on, iż w
ten sposób uwolniony od obowiązków gospodarza domu, na
neutralnym placu, łatwiej
zdoła wyłącznie zająć się Janiną, a ją sobą. Pod pozorem więc
nietrudzenia
kilkuwiorstową

do Mikuliniec drogą pani Bonar, odjeżdżającej nazajutrz rannym
pociągiem,
wymyślił to zebranie i nadał mu wesołą cechę, właściwą gabinetowym
kolacyom.
Kolońską była tym pomysłem tak zachwycona, iż naprawdę, czy
chwilowo, straciła
żal do hrabiego i pozostawali w najlepszych stosunkach.
Janinie nawet sprawiało to przyjemność, Jechtając jej kobiecą, ogólną
wszystkim,
próżność i bawiąc jej wyobraźnię czemś nowem, nieznanem. Tyle
razy czytała w
romansach francuzkich, począwszy od Balzaca o kolacyjkach w
zamkniętych
gabinetach, tyle razy słyszała o nich, jako o ideałach młodzieży
Królestwa
Polskiego, że ją cieszyła myśl poznania w przybliżeniu charakteru
takiej
kolacyi. Wszakże ona jej nigdy inaczej nie jadła, tylko w jadalni
dworów,
urządzonej zwykle z rozpaczliwą jednostajnością, ze swym długim
stołem, ze swem
pierwszem, niewiedzieć zkąd i dla czego, miejscem.
Wogóle ten Ujazdów zapoznawał ją z tysiącem nowych wrażeń.
Rozsiewał na jej
horyzoncie jakby nowe gwiazdy i planety, których dotąd nie
dostrzegała. Dobrze
więc, że zapoznawał i z tą partykularnością, należącą do słownika
nocy i kobiety

światowej. Hrabina Wiktorya, ile razy powracała z Warszawy, miała jej coś do powtórzenia, co się

działo, co słyszała, co poznała w tej właśnie miejscowości, którą ona wreszcie poznać miała.

Hrabina Wiktorya stereotypowo mówiła wtedy:

— Nous soupions au cabaret, dans im cabinet particulier...

Tu następowało opowiadanie, zwykle przenoszące Janinę w inny świat pojęć i zwyczajów.

Ileż razy ją raziło i zastanawiało to słowo "cabaret", "cabinet," tak często

używane przez Mańcie, która uważała za potrzebę zdrowia i humoru raz na tydzień

przynajmniej zjeść kolację w gabinecie hotelu Brühlowskiego. Nie było większej

radości dlań, jak zaprojektowana tak biesiada. Raz była chciała Janina, będąc w

Warszawie, iść z kuzynka do teatru.

— Za nyc w swece ne zrrobę tego dzysaj, — odpowiedziała Mańcia, — dżyś mam

kolację w gabynece z kseźną etc. etc. toute une folie compaignie.

I to sobie przypomniła pani Bonar. I przypomniła sobie, że jej pozazdrościła

wtedy tego gabinetu i tej folie compaignie. Dziś miała to poznać, musiała poznać,

bo któż mógł lepiej stanowić to szalone towarzystwo, jak Homel, szalenie w niej

zakochany, pani Wanda, zawsze rozbawiona i za

światem przepadająca, pan Jan Zabnawski, wiecznie dowcipkujący, pani Janowa,

dowcipami tymi wiecznie skandalizowana, Tadeusz, jej mąż,
wpadający w
usposobienie hltaryczne po trzech kieliszkach szampana.
Wszyscy się nadawali do folie compagnie, i... ona nawet. Bo czyż
ona, pytała
sama siebie chwilami, nie ulegała szałowi? Bawić się tak w
Ujazdowie, iż
zapominać o domu, dzieciachżniwach.
. ?
Kochać się tak w Homlu iż mu to mówić, tuż przy Tadeuszu, patrząc
na niego?
Ale przecież to się jej należało. Nie mogła całego życia minąć, i
niepoznać nic
z życia.
Ileż razy Mańcia ją wydrwiwała.
— Ależ ty, Janyno, jesteś głupa... tu ignorres la vie...
I wzruszała ramionami tylko Kolońska.
Teraz już to rzadziej się przytrafi. Pasowaną była na rycerza. Kochano
się w
niej, flirtowano z nią, dawano na jej cześć obiady, kolację w cabinet
particulier.....
To też jedyny gabinet głównej restauracyi Ujazdowskiej zgromadził
około godziny
dziewiątej wesołe towarzystwo, nie pragnące niczego więcej, jak
podniecenia
diapazonu swej wesołości.
Bonar nawet, którego prawie oszałamiał sukces jego żony, tem
uczuciem,
pospolitem u mężczyzn jego kroju, był wesół i promie-

niejacy mimo swych nerwów zatrzymujących go dalej w Ujazdowie.
Czuł w sobie to
radosne, bezprzyczynne uczucie z powodzenia Janiny. Sprawiało mu
ono analogiczne
wrażenie, jak to, którego lat temu kilka był doznawał w Warszawie,
podczas

wystawy rolniczej, gdy całe obywatelstwo kraju zachwycało się jego
jałowicami
Algańskiej rasy.
To indywidualne uczucie doznane tylko wtedy w Warszawie i dziś w
Ujazdowie,
gościło w jego duszy. Zdawał sobie z niego sprawę, czując tę błogość
wesołego
spokoju, jakiegoś podniecenia interesem, pytał sam siebie:
— Cóż u diabła się tak cieszysz? Nie wygrałeś na loteryi, nie
spłaciłeś
Silbermana, nie masz dwunastu ziarn pszenicy...
I wtedy przypominał sobie Warszawę. I tam także nic go dobrego nie
spotkało,
owszem same wydatki, a tak był usposobiony?
— No! — myślał, — to się tłumaczy u diabła! Jak jałowice, tak i
Janina, były
jego wyłączną własnością. Wtedy ich powodzenie, dziś jej sukces tak
go
uspasabiał.
Zresztą, promienie tego sukcesu i na niego spadały. W Ujazdowie
wyszedł na
widownię. Zaliczono go do pierwszorzędných osobistości. Doktorzy
mówili z nim
prawie inaczej, jak z innymi, jak z nim samym dotąd. Dyrektor,
puszczając nań
prysznic, opusz-

czai rurę, ile razy strumień wody go zbyt drażnił, ostrożność, której z
innymi
niezachowywał. Hrabia, pierwszy hrabia z hrabiów, jakich w życiu
spotkał,
widocznie starał mu się być miłym, rozmawiał z nim długo, nawet o
gospodarstwie,
wypytywał o stosunki, jakby był jakim matadorem.
Homel nawet mu się zaczynał podobać. — Mówiono, że taki dziwak,
a to wcale do

rzeczy chłop, — mówił nieraz, w ostatnich dniach do Janiny.
Wszyscy więc tworzyli dobrane kółko. Brakowało tylko Belizara i to
wyraziła
twarz Kolońskiej, gdy dokoła podłużnego stołu, zajmującego prawie
cały pokój,
rozsiadło się całe towarzystwo.
Na prawo miała pana Jana, zajętego hrabiną, na lewo nadskakującego
jej
podstarzałego doktora Błońskiego, naprzeciw siebie Homla i Janinę.
Popatrzawszy
smutno dokoła, spojrzała z takim wyrazem na hrabiego, iż ten myśl jej
zrozumiał
i pozycję jej, bezinteresowną przy tym stole, odczuł. Wstał i,
obszedłszy stół,
szepnął Kolońskiej:
— Pani jedna jesteś najgorzej uposażoną na tej pożegnalnej dla niej
kolacyi.
Zauważyłem pani spojrzenie de détresse...
— Przynajmniej... rraczyłeś pan to zauważyć, ça me flatte.

— Nie kpij pani ze mnie i Wierzaj mi, że nie odzyskam spokoju,
dopóki ci
Belizara z powrotem, lub lepszego do nóg nie rzucę.
Spojrzała na niego błagalnie.
— Czy doprrawdy?
— Nie znasz pani dewizy Homlów?
— "Słowo! Czyn!" — odparta Mańcia, już promieniejąca, nadziei
pełna, już z
sąsiadami pogodzona, już rozbawiona. Robiąc słodkie oczy do Homla,
ciągnęła: —
"Słowo — czyn", prrawda? je vous tiens au mot, a tymczasem dżyś,
rób my pan
odrrrobynę kurry, jezely ne dla mne, to dla spektatorrrów. Nechcę, by
powiedzano
w Ujazdowie, że byłam opuszczona..

Hrabia pobladł niemal, a Kolońską, odgadując przyczynę bladości, szepleniła:

— Zarręczam panu, że puszczone lekkie w trąbę Janyny, la ferra mousser seulement.

— Spróbuję tego systemu, — odparł, i powrócił do pani Bonar. Kolacya bowiem

dopiero się zaczynaia, i nikt nie opuszczał miejsca, siedzieli wszyscy poprawnie, jakby zapominając, że na to tylko się tu, a nie gdzieindziej zgrupowali, by mózdz wziąć na godzin kilka rozbrat z formami, narzuconemi manierom i językom.

Ale wina jeszcze nie rozlewano...

Gdy wreszcie po wstępie i maderze, zaszumiało ono w butelkach, gdy wystrzeliły

korki i zaperliło się w kieliszkach, humory zaczęły pobłyskiwać, zrobił się

gwar, wzrastający z sekundy na sekundę, zdawało się że ci ludzie mieli sobie

wszyscy coś ważnego do powiedzenia, sądząc z nachylania się i szeptów.

Teraz dopiero znaleźli na językach ten nadmiar duszących ich dotąd, a powstrzymywanych słów, Janina i hrabia.

Towarzystwo całe skupiło się dokoła siedzących naprzeciw siebie hrabiny i panny

Kolońskiej, jakby dokoła dwóch ognisk, z których naprzemian, co chwila, buchały

iskry dowcipów, kalamburów, tak odmienne, tak z innych materiałow płynące.

Byli więc prawie odosobnieni, prawie sami w tym gwarze i zgiełku.

Czasem hrabina

spoczęła na męzu wzrokiem pytającym, jak daleko flirt ten zapuścił korzenie w

jego sercu, czy wyobraźni. Czasem Mańcia przeszyla ich spojrzeniem, chwytającym

w przelocie swą bystrością wyraz ich fizyonomii i odgadującym z
usłyszanego
półśłówka treść zazdrozczonyj rozmowy.
Ale oni tego nie widzieli. Czuli się sami z kieliszkami przed sobą,
napełnionemi
w porę szampanem, mającym, tę właściwość, iż wydobywał ukrywane
wyznania,
podnosił

szczerłość, podniecał zapał i uczucie. Czuli się sami w tym gwarne,
zagłuszającym
ich słowa do tego stopnia, iż sobie nie zdawali sami sprawy z ich
treści.
Homel dla nadania sobie przed zebraniem pozorów dyletanta, nie
przywiązującego
wagi do swych słów, nie mających celu, mówiąc, przeważnie patrzył
w talerz, a
bawił się kieliszkiem, którym manewrował w palcach.
Janina, ile razy czuła Tadeusza, zajętego przedmiotem rozmowy, w
jakiej brał
udział, wlepiła swój czysty, ciekawy, naiwny i promienny wzrok w
Homla, jakby
jeszcze niedość zbadała przyczyny, które ją do tego człowieka tak
silnie
pociągały, jakby jeszcze nie uchwyciła tej jego oryginalnej
indywidualności, z
której subtelności się przecież przed nią najdokładniej spowiadał.
Czas im mijał piorunem. Ona czuła iż coraz bardziej obejmuje we
władanie tego
człowieka, iż go swym wzrokiem podbija na długo. On co chwila
wyzywał z jej ust
przyznanie się do tego głębokiego, młodocianego uczucia, które choć
raz w życiu
odczuć i obudzić, było jego ostatnich lat marzeniem.
Spełnienie, urzeczywistnienie tego marzenia, które już codzień sądził

(przypatrując się w zwierciadle swym przerzedzającym się skroniom,
podnoszącemu
się czołu, swym

łukowatym, ale przybliżającym się do oczu brwiom), nieuchwytnem,
napawało go
taką błogością spokoju i zaspokojenia, iż mu myśl nie przychodziła
żądania
czegoś więcej od Janiny, od tego, co uzyskał.
Podobał się jej fizycznie i moralnie. To pierwsze większą mu
sprawiało
przyjemność. To pierwsze zatrważało go często wątpliwością. Ale
wtedy
przypominał sobie ten oddany w wąwozie pocałunek, to
niejednokrotne uściśnienie
dłoni, któremu wierzyć musiał, jeśliby nie wierzył modrym oczom
Janiny, tyle
mówiącym umiejacemu w nich czytać.
Czegóż więcej mógł pragnąć? czy brutalnego zaspokojenia
namiętności? Wszakże on
jej nie rozumiał, tylko jak konieczną konsekwencję idealnego
uczucia, skoro to
już przeszło wszystkie długie różnorodne swoje okresy i fazy.
Ale ta myśl go niepokoiła. Nie znosił w sztuce nieskończonego. Nic
przyznawał
miana dzieła sztuki, szkicom i fragmentom, nie rozumiał piękna nawet
w naturze
rzeczy nierozwiniętej, nie znosił komnaty w szczegółach
nieobmyślonej i
niewykończonej, choćby ją zawałały arcydzieła zbytku i
mistrzostwa.
Tego samego żądał od uczucia dwojga istot, tworzących rzecz, tak
ogromnie
artystyczną, jak romans. Romans w życiu był romanssem w powieści.
O tyle miał
wartość

i mógł pozostać skarbem na dnie duszy, serca i wspomnień, o ile w powieści miał rację pozostania w literaturze. Musiał więc składać się ze swych trzech okresów, musiał mieć wzrastający, jak wschód słońca, początek i rozwój, spokojne i opieszale od gorąca południe, konsekwentny i dziwnie naturalnie przychodzący zmierzch nocy.

On był u początku. Jako artysta południa pragnąć nie mógł. Ale go swoją drogą myśl, iżby to chybić mogło i popsuć jedyne prawdziwe arcydzieło na świecie, jakim był romans żyty, przerażała

Nie wierzył z zasady w taką anormalność podmiotu, gdy przedmiotami byli zdrowi i tak normalni, jak on i Janina ludzie. Ale bit się wyjątku, psującego nieomylnie większej części reguł.

To wszystko przelatywało mu przez głowę, gdy prowadził urywaną rozmowę z Janiną, składającą się raczej z półsłówek, niedopowiedzianych myśli, spojrzeń, słowa zastępujących, gdy coraz potężniej ją podbijał i podbijać się pozwalał.

— Więc pani wyjeżdżasz jutro? — nagle zapytał swym ujmującym głosem, cicho, odstawiając kieliszek całkowicie wypity, a przytem robiąc ruch głową, jaki zwykle robił, gdy mówić trzeźwiej zamierzał, — wyjeżdżasz, opuszczasz Ujazdów i mnie i wy-

glądasz, jak gdybyś przypuszczała możliwość, że cię więcej może
nigdy nie
zobaczę, jeżeli nas znów kiedy wypadek nie rzuci na jedną drogę?
Urwał i utopił wzrok w kobiecie, w tej chwili dziwnie rzewny,
namiętny, a
trwożny.

Janina westchnęła, nagle smutniejąc na obliczu. Zamyśliła się.

Westchnęła raz
drugi, głębiej i rzekła:

— Ha! Chyba tak być musi. Nie mówmy lepiej o tem...

— Jakto nie mówmy? — obruszył się Homel. — I ty to mówisz Jani -
no? Mamy nie

mówić o tem, co jedynie mnie dziś obchodzi, co mi serce co chwila,
jakby żelazem

ściska, co mi się w mej głowie absolutnie nie mieści!

— Więc cóż poradzimy?

Spojrzała nań. On wzrok opuścił. Milczeli. Ona podchwyciła cicho.

— Przecież mówiliśmy o tem wczoraj. Mówiliśmy ogólnikowo, jakby
o rzeczy nas nie

obchodzącej, ale ja czułam, że mówimy o sobie. Sam pan
powiedziałeś, iż

niewidzisz możliwości wybudowania w życiu nowego gmachu z
rumowisk ruiny. Sam

pan powiedziałeś, iż skandal nie może dać początku szczęściu, jak
wodospadem nie

tryska źródło. Sam powiedziałeś, iż kobieta nie może

zrywać kajdanów, które uważasz za przeżyty archaizm, ale którym
przyznajesz

jeszcze siłę żelaza, które rzadko bezkarnie nawet męska ręka starga...

— Jak ty pamiętasz, co ja kiedy powiedziałem.

Janina się zaśmiała i zapytała ciszej z tą naiwnością kobiety, z której
zdrowe

życie zrobiło mężatkę i matkę, ale w miłości pozostawiło dziewczicą.

— A tybyś nie pamiętał, com kiedy powiedziała?

Homla tak zachwycił ten rys indywidualności Janiny, iż ile razy coś takiego powiedziała, zapominał o wszystkim, o przedmiocie rozmowy, który dał życie temu promieniowi złota i brylantów i zatapiał wzrokiem całą swą duszę w Janinie. Ale otrząsnął się wkrótce. Wszakże ten wzrok jego mógł ktoś podchwycić, zrozumieć, siłę jego odgadnąć. Przybrał obojętny wyraz i podchwycił. — To dobrze! Mówiłem zapewne same wielkie prawdy. Ale też prawdą jest, że uczucie to., naszą, — dodał ciszej, — tak skończyć się, zamarnieć twoim banalnym z Ujazdowa wyjazdem nie może. Ha, ha! Zaśmiał się, jakby nad czymś zdumiewającym swą bezlogicznością i ciągnął:

— Wyobraź sobie strumień, płynący z gór falą wody czystej i wartkiej. Widząc taki strumień zdrowy, sądząc po brzegach i spodzie, staczający się ku równej i cudnej dolinie, na której het daleko ma wpaść do snującej się srebrną nitką rzeki, cobyś powiedziała, gdybyś go ujrzała nagle zastawiony deską i... i kończący się pod tą jedną zaporą, jakby w ziemię się zapadł? Janina się zamyśliła. Ona lubiła te porównania Homla, dające prace jej mózgowi, ćwiczące go w obcej mu dotąd, a tak przyjemnej pracy myśli. — Tobi było niemożliwe... — A przecież twój wyjazd byłby taką deską... — A więc taki strumień byłby za słaby? — Chyba twoje dla mnie uczucie robiłoby go tak słabym? Janina posmutniała. — Przecież wiesz, jakim ono jest. Gdybyś tylko sądził z tego, co ze mnie

zrobiłeś..

— A więc deska może zamknąć taki strumień?—zapytał pałając wzrokiem.

— Nie, ale może go zmusić, — mówiła kobieta powoli, myśląc, — może go zmusić do... zmiany kierunku.

— A więc zmiana kierunku byłaby wykojeniem ciebie?...

— Nie chciałam tego powiedzieć. — podchwyciła, zafrasowała się, zamyśliła i

ciągnęła z nagłą radością, —może go zmusić do zniknięcia w ziemi, do znalezienia

sobie tam, w głębiach serca i duszy, cichego ujścia i końca.

— Więcby się utworzyła studnia, — zaśmiał się hrabia, — je ne demande pas

mieux...

Umilkli. On myślał dalej w swem zamięłowaniu do belletrystycznych porównań nad

tym strumieniem zamkniętym zwykłą deską, jeśli ta deska miała go zamykać. Ona

zadumała się prawdziwie. Bo, rzeczywiście, czyż to było możliwe, by wyjazd jej z

Ujazdowa kończył wszystko między niemi, to wszystko, zaczęte tak względnie

powoli, i przypominające jej rozwijanie się bzu na wiosnę.

Hrabia obudził ją z tej zadumy, troską i gorączką pokrywającej jej oblicze.

— Więc widzisz sama. że to być nie może. Strumień może zniknąć pod ziemią, ale

wypłynąć... gdzieś... opodal... musi.

— Musi.. — szepnęła Janina, powtarzając to ostatnie słowo sama dla siebie i

czując w niem niezbitą siłę prawdy nieubłaganej konieczności.

Zamyśliła się tak głęboko, iż odsuwając się od stołu, pochyliła się na poręczy krzesła, jakby chwilę chciała być sama z sobą. "Musi", szumiało jej w głowie, podniecone szampanem, rozmową.

Przecież go do Bonarki zaprosić nie mogła? A on ją, ona jego... oni się widzieć, widywać musieli. Co ona jutro już pocznie bez melodyi jego głosu, bez myśli jego, otwierającej jej coraz to nowe horyzonty i światy..? Ale cóżby on w Bonarce robił, on? wielki pan w tej skromnej sadybie dwojga pracowników? Cóżby Tadeusz za rolę w tem odegrywa!? Przecież ile razy widziała Homla rozmawiającego z nim, to czuła, jak się tenże wysilał, by się nastroić do jego diapazonu. Cóżby powiedział cały ich świat sąsiadów, widząc hrabiego w Bonarce? On tak był do Bonarki, do tych sąsiadów... Przypomniała sobie w swojej oranżeryi swego wysokiego fikusa, który tak zabawnie wyglądał wśród pelargonij i co zima zachorowywał tak, iż go całe lato do porządku doprowadzić nie mogła. Teraz odsyłała go do cieplarni hrabiny Wiktoryi. Właściwie, powinnaby go zaprosić. Ale nie! Homel w Bonarce, to było by niemożliwe. Milion myśli zaszumiało jej w głowic, która ją aż zaboląła, zaboląła dotkliwie od tego formalnego natłoku.

To było niemożliwe! A wiec
.
.

.....
.....
.....

Obudziła się, gdy ją zagadnął Homel, który tę walkę w duszy kobiety odczuł i w

chwili, gdy mu się sympatyczną siłą udzielała, przerwać postanowił.

— Niewesołą pani jesteś w ten ostatni dzień... kieliszek oddawna stoi nietknięty, a obiecałaś mi dotrzymywać placu.

Wyprostowała się. Fizyonomią jej zgębiona, nagle odzyskała swe zwyczajne tony i

barwy. Jakaś decyzja zaświtała w jej oczach, zacisnęła jej długie, rysunkiem i

miękkością tak piękne usta. Przybliżając do nich kieliszek, zapytała:

— Pan często bywasz w Warszawie?

Homla, uważnego na każde jej słowo, zastanowiło w tej chwili to pytanie,

wkraczające w dziedzinę realizmu i rzeczywistości, której nigdy nie tykali

prawie.

— Rzadko! A pani?

— Czasem, — odpowiedziała. A Homlowi się zdawało, że ona, po za banalnością tej

wymiany słów, kryła myśl jakąś.

— Czasem, — ciągnęła, — gdy chcę się rozerwać, odświeżyć, porobić sprawunki...

Zimą częściej.. Wtedy chodzę do teatru, czasem potańczę na jakim wieczorze u

kre-

wnych... znajomych... na balu publicznym, jeśli nań trafię.

— Gdybym ja na taką chwilę też trafi!....

Chwile milczała. Jakże trudno jej przychodziło wypowiedzenie tego, co

wypowiedzieć pragnęła. Jakże i on był niezręcznym, czy niedomyślnym.

Ale westchnęła i dodała:

— Od czegoż le presentiment...

Homel wreszcie zrozumiał. Ta natura, wiecznie pozostająca w abstrakcyi, trudno się dawała opuścić na ziemię.

— A mieszkasz pani wtedy?

— U krewnych.

Ależ on był dziwnie niedomyślnym.....

I dodała:

— A przesiaduję u Mańci...

Nastąpiła cisza. Te kilka słów utworzyło przełom w ich romansie.

Janina była

zmęczona wysiłkiem, z którym je na świat wydała, Homel odczuwał w pełni ich

znaczenie, ich doniosłość na przyszłość i zdawał się przygnieciony ich brzemiennością. Te kilka słów łączyło to, co dziś się kończyło z tem, co się

jutro zacząć miało. To jutro do niego zależało. Janina je od niego zawisłem

czyniła w swej niezrównanej bierności kobiecej. Jeśli zechce, to odczuje chwile,

w której ona będzie w Warszawie. Jeżeliby

nie odczuj, od czegoż Mańcia? ta Mańcia, która i teraz, między nimi, miała

odegrać rolę, będącą jej tak wstrętną, jak to wyznała w parku, w swym wybuchu

szczerości Homłowi.

Cisza trwała. Jakby cisza po burzy. Bo burzą w jego sercu zawiewało to pytanie,

czy i gdzie ją jeszcze zobaczy. Bo burzą szumiało jej w uszach to jego "musi",

przekonywające i zmuszające ją jeszcze do jednego kroku, w którym się nie

poznawała, w którym się przypatrywała sama sobie, jakby nowej osobie.

I cisza byłaby dalej trwała, gdyby Homel nie uczuł potrzeby
podzielenia się
wrażeniem swej czujnej duszy.
— Gdybyś wiedzieć mogła, — rzekł nachylając się do niej z tym
wyrazem
szczęścia, jakim upragniona wzajemność krasuje męskie oblicze, z tą
swobodą mu
właściwą, a podniesioną przy osobie, która doń należała, — gdybym
ci zdać sprawę
mógł, z tego, co się w mej duszy dzieje. To pytanie, na które znalazłaś
odpowiedź, tak mnie dręczyło... Jakieś uczucie szczęścia, płynącego z
pewności
jutra mnie napędza, ale to uczucie dziwne.. Czuję bunt w mem
sercu, jakby
burzę. Czuję spokój, jakby po piorunie.

Janiny twarz wyraziła przestach. Homel określał to samo, co się w jej
sercu
działo. To związanie terażniejszości z przyszłością, sprawiało jej to
samo
wrażenie.

— Dla czegoż więc po piorunie? — zapytała.
Homel się zamyślił, głowę wsparł na dłoni i zaczął się bawić
kieliszkiem. Ona
czekała.
— Gdybyś wiedziała, — nagle zaszeptał, — jakbym pragnął, jaką
nadziemską siłą
bym pragnął, by ten strumień, do którego porównałem nasz.. nasze
uczucie, mógł
dalej normalnie, wartko płynąć i minawszy tę deskę, nie utworzyć
wodospadu,
staczać się krętem korytem bez szumu, nie obrywając brzegów, nie
niszcząc w
wylewie dokoła siebie szczęścia ludzi i piękna natury..
Mówił wyraźnie, modulacją głosu kładąc nacisk na każdym słowie,
jakby każde

miało znaczenie i przenośnię. I dodał jeszcze ciszej, ale głębiej.

— A przede wszystkim mi chodzi o... ciebie. Ty musisz mnie kochać, ale ty musisz być szczęśliwą. Od czegożby był mój rozum, moja subtelność uczuć, z

której się chełpię. Ty nie możesz dzielić losu kobiet, które pokochały..

— A więc? — przerwała Janina, — czyżby nie lepiej było, by strumień u tej deski zginął?

— Zapewne, — podchwycił hrabia, — gdyby to możliwym było. Czy myślisz pani, —

mówił głośnie, — że uczucie dwojga istot nie jest istotą, żyjącą rośliną?

Zajmując się namiętnie ogrodnictwem, próbowałem nieraz nagiąć pewne nadające się

kwiaty do wzrostu i wyglądu dywanowych roślin. Przycinałem je, kultyzowałem,

osłabiałem w korzeniach, urywałem im zawiązki to kwiatu, to nasienia Nic nie

pomogło! Roślina puszczała nowe pędy, pod ziemią szukała dróg i ujścia przed

moją barbarzyńską ręką. Obsychały obcięte przezemnie pędy, a wyrastały nowe,

pragnące żyć, normalnie rosnać, kwitnąć i rodzić. Walczyłem z nią przez całe

lato. A gdy nadeszła jesień, gdy klomb cały uwiadł, gdy zaprzestałem mej pracy,

nagle pewnego poranku zobaczyłem moją roślinkę, która, choć o spóźnionej porze,

choć przed samą śmiercią, jaką dla niej musiał być pierwszy mróz, spełnić

zadanie życia pragnęła. To samo jest z każdym prawdziwym uczuciem. To samo

byłoby z nami. Gdybyśmy dziś się opanowali, ja, siłą mego idealizmu,

pozwalającego mi uwielbiać ciebie taką, jaką jesteś, ty, siłą twych zasad,
którym, jako kobieta, hołdować musisz, tobyśmy tylko odroczyli rozwój tej
idealnej istoty, która się w nas i z nas zrodziła. Musielibyśmy

odcierpieć ten gwałt, zadany istocie w nas żyjącej i do życia powołanej.

— I czyż wtedy nie byłoby dla nas lepiej?
— Byłoby lepiej, — odparł zaraz Homel, — gdyby wielki Bóg stworzył ludzi nie do życia, według praw natury, tylko do wegetacyi wedle wskazówek biblii. Byłoby lepiej gdybym ja, posłuszny legendzie, która ułożyła nasz świątek, nie był w stanie cię pokochać, a ty, gdybyś tak wierzyła w wierność małżeńską, iżbyś nie była potrafiła mi na uczucie moje odpowiedzieć wzajemnością. Zaśmiał się znowu swym śmiechem, ironii pełnym i dodał:
— Choć i wtedy palono na stosach kobiety, a nie wiem, co tam już robiono z mężczyznami. Miłość, łącząca dwoje serc, dwie dusze, jest o wiele starszą instytucją, niż małżeństwo, liczące tylko wieku tysiąc osiemset kilkadziesiąt lat odrobinę... atom życia... Tam, gdzie końca wieków i granic wszechświata niema, starsze chyba jest silniejsze i młodsze przemagające. Ja nie chcę by ten strumień, do jakiego porównałem... dalej płynął, bo nie chcę ryzykować, bo płynąc mógł niszczyć i nieszczęścia siać... nie chcę! ale powstrzymajże go pani, jeśli jest już strumieniem.
— A może jeszcze nie jest strumieniem?

— Więc to właśnie sami zobaczymy... Urwał i znów zmienionym głosem podchwycił:

— Być może, że to, co dziś nam się zdaje już strumieniem, jest tylko pełzającym potoczkiem, mogącym być deską ujętym i zastawionym, mogącym w ziemię wsięknąć...

Być może... tem lepiej dla nas... dla ciebie...

— Ale tymczasem, — znów mówił innym głosem, — zdaje mi się, iżbym się nie doczekał pierwszej twej w zimie bytności, jeślibym sił do czekania nie zaczerpnął...

— W czym?

Homel długo z odpowiedzią zwlekał, rozglądając się dokoła siebie, jakby czekał, by gwar, dokoła stołu na chwilę przerwany, znów powstał i słowa jego całkowicie zagłuszył.

Co gdy nastąpiło, odparł:

— W jednym twym pocałunku, takim, jaki z wąwozu pamiętam, jaki mnie pali, za jakibym życie, zdaje mi się oddał...

Janina poczerwieniała, opuściła oczy. Po chwili rzekła podnosząc wzrok,

kokieteryą grający:

— Nie pamiętam nic z wąwozu

.

.

.

Homel milczał. Zaboląła go ta odpowiedź. Ona nie była odpowiedzią tej Janiny, jaką znał, w kokieteryi nie szukającej podniety,

pogardzającej nią, jako zbytęcną bronią przy jej naturalnym uroku.

On był z niej niezadowolony. Ona tego długo cierpieć nie mogła.

Nachyliła się i

szeptnęła:

— Gdy będziemy wychodzić, odprowadźcie nas do domu... my
zostańmy w tyle...

To rzekłszy, zażenowana, płomieniejąca, nachyliła się do stołu, oparła
łokcie na

obrusie i potoczyła oczami po obecnych, jakby już teraz w ogólnej,
głośnej,

pełnej śmiechu i krzyku rozmowie udział wzięść pragnęła.

Wszakże to musiała być u swego zenitu gabinetowa kolacyjka.

Rzeczywiście,

wszyscy ci sami, a inaczej wyglądali, niż w Mikulińcach na
wieczorze.

Pani Wanda, odsunięta od stołu, z założonemi nogami, paliła
papierosa i

puszczała kłęby dymu w nos dotykającego ramieniem jej obnażonego
ramienia, pana

Jana. Mańcia obie ręce położyła na stole i bawiąc się nożami,
giestykulowała na

wszystkie strony, zmuszając co chwila to doktora, to drugiego sąsiada
do cofania

się w największej werwie rozmowy przed ostrzami stali. Tadeusz
nawet, podniecony

przez panią Wandę, rozbawioną jego "dobrym humorem, " odwrócił
się ze stołkiem

tyłem do stołu, na którym gdy się opierał, coś trzeszczało i bronił się
zacięciem

z dowcipem, który u niego wino

tworzyło. Pani Janowa, lubiąca szampan, jakkolwiek jej znów zawsze
nasuwał

najsmutniejsze myśli w postaci powątpiewań o wierności "Jasia,"
ustawiła przed

sobą cztery szklanki i długą szyldkretową lornetką, wygrywała na nich
jakaś

nieznaną melodye. Co chwila ją ktoś zaczepiał, więc co chwila podnosiła do oczu lornetkę, będącą zarazem instrumentem muzycznym, i odpowiadała swem wiecznem.

— Jakoby...

Gdy w to towarzystwo wmieszali się Homel i Janina, Homel ze swą wprawą, nabytą w przeszłości, Janina ze swą naiwnością nowicjuszki, wzmógł się jeszcze gwar i szum tych wytrysków humoru, który byle co w takich razach podsycił. Wreszcie, raczej wyczerpanie, niż bardzo pozna godzina położyła kres zabawie. Nastąpiły pożegnania, ostatnie tego to owego rakiety, i całe towarzystwo opuściło restauracye.

Ponieważ powóz Homlów nie znalazł się przed perystylem, co niezmiernie dziwiło panią Wandę, a znów nic nie zastanawiało drobiazgowego hrabiego, całe towarzystwo odrowadzało przez park Bonarów. Hrabia i Janina zostawali w tyle. Zaraz ku nim zwróciła się pani Wanda i zagadnęła:

— Ten break, który tu nas nie czekał, zdaje mi się być inwencją mego męża.

Czegoś się spodziewa od cieni lip i kasztanów.

Zagrał śmiech.

Oni jeszcze bardziej zostali w tyle. Homel pod swoją lewą ręką uczuł silniejsze

uderzenia serca Janiny. Ta rzekła stłumionym głosem:

— Ach! coś zemnie zrobił? Ja nie znałam gorąca rumieńca. " pali mnie teraz... w tej ciemności...

— Przepraszam, — odparł seryo Homel, — moja żona jest kobietą i czuje, że mnie

jej zabierasz...

— Niebezpiecznie jest, widzę, drażnić kobietę, która się kocha w swoim mężu. Ma

ona wtedy dziką ochotę zemsty...

Szli dalej w milczeniu. Gdy mijali miejsce w parku, ocienione linią podwójną

olbrzymich kasztanów, pozostawali jeszcze bardziej w tyle, a śmiech na przodzie

się wznowił i wzmógł.

— Janino! — szepnął Homel.

I uczył, że się całym ciężarem swej postaci opierała na jego rękę.

Objął ją w

pół. Głowę swą pochyliła na jego ramieniu i oczy, błyszczące w ciemności

podniosła ku niemu. Pijany przycisnął usta do jej ust.....

Nagle zadrżał. Uczuł, iż kobieta nie opierała się, iż była martwą w jego

objęciach.

Przestraszył się o nią, o siebie, i postępując naprzód zawołał, jakby ją budząc:

— Janino.

Ruszyli dalej i zrównali się z towarzystwem nie wymieniając słowa.

Ona je

znalazła pierwsza, szepcząc:

— Są przecież dobre chwile w życiu...

— Dla tego może, że tak krótkie... Byli już wszyscy razem.

W minut kilka później break Homla toczył się na drodze do Mikuliniec. Na koźle

siedział hrabia i zaproszona przezeń Kolońską.

Nie rozmawiali. Hrabia mówić nie mógł. Zbytek szczęścia go formalnie dusił.

Kochał i był kochanym.

Mańcia szanowała to milczenie, bo je rozumiała. A uczucie, którego nigdy nie

obudziła, imponowało jej, jak co. ś wielkiego.

Gdy już dojeżdżali do Mikuliniec, gdy przy blasku księżyca migotała
z za drzew

wieżyci zamku, odezwała się cicho panna Kolońska:

— I ona tak się panu podoba? Obserrwowałam ją dziś perrwszy rraz
w życiu, elle

peut plaire...

Homel nic nie odparł. Po chwili dopiero rzekł.

— Zróbmy układ. Ja, jak powiedziałem będę pracował, by pani
Belizara przyprawa-

dzić... Pani mi zaś dasz znać, gdy Janina będzie kiedy w Warszawie.

Kolońską ta propozycya w pierwszej chwili oburzyła. A wiec ona
wiecznie będzie

parawanem, pośrednikiem?

— Oh! — zaczęła swym grubawym głosem i urwała.

Ale przysła refleksya. Świat ją uczył, że jeżeli się nie mogło zdobyć
życia

frontem, to się go zdobywało podstępem, manewrem, fortelem.

Po chwili odparła.

— Dobrze! Napyszę to w liście do Wandy, comme sy rrien du tout.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

Tom II.

X.

Minęło kilka tygodni.

Nadchodziła jesień, ta straszna jesień, najsmutniejsza w chwili swego początku,

gdy żółkłe liście drzew szpecą już w parkach przed chwilą wygracowane ulice,

gdy oko przez luki w klombach platanów i świerków, dostrzega złote słońcem

ośnione, ale już puste i jak złoto bezmyślne niwy, gdy wiatr bawi się podnoszeniem tumanów kurzu, mieszając proch z liśćmi i przenosząc je z miejsca

na miejsce.

A tej jesieni właśnie, tego jej zwiastunku wśród skwarnych i słonecznych dni,

nienawidził Homel.

Twierdził on, iż jak w życiu tak w naturze przejścia tylko były przykre, iż

jak jesień głęboka, stercząca gołymi drzew konarami, przerażająco smutna

szarością ziemi i nieba, była znośną, tak też i znośnym było życie ludzkie

dojrzałego wieku.

Ale nienawidził zmian pór roku. Nienawidził szczególnie przejścia z lata w

jesień

Czyżby dla tego, że mu ono przypominało własne owo zbliżające się przejście,

które go jak zmora dręczyło.

Chyba nie dla tego tylko. Jego artystyczna dusza nie lubiła wszystkiego, co

przypominało znikomość i marność człowieka, wszystkiego, co zmierzało do

starości, do tego ostatniego końca, zamykającego nieraz tyle fantazyi pychy,

zapału, szumu w czterech deskach dość silnie zbitych, by wytrzymać
przez jakie
sto lat ciśnienie pewnego guantum prochu On nie lubiał, gdy był
jeszcze młodym,
gdy widmo dojrzałości, będącej zwiastunem starości, jeszcze go nie
straszyło,
nie lubiał i wiosny.
Skoro zwykł ją zwiastować koncert milijona instrumentów
najświecniejszej na
świecie orkiestry, wygrywającej pierwszą od stworzenia świata operę
— wiosnę,
Homel zapadał w tak potężną melancholiję, iż długo sądził, że w
jednym z jej
paroksyzmów będzie miał dość siły, by odebrać sobie życie.
Z czasem zmieniła się ta choroba w wręcz przeciwną wieczną
tęsknotę za wiosną.
Ale nie ustąpiła sama — przeniosła tylko swój Paroksyzm na tę
właśnie chwilę,
którą w naturze bocian tak wybornie chwytą i za znak odlotu uważa.
I gdy jeszcze nieraz żniwa spóźnione zra-

szają potem czoła, gdy przed słońcem kryją się stworzenia, Homel
tęskni za latem
jakby go już nie byto i nie pojmuje większości ludzi, którzy, jak on,
nie trapią
się faktem, że mimo lata czuć już jesień.
I teraz byłby może zapomniał o Janinie, o tym "studenckim
romansie", jak go
nazywała hrabina, gdyby lato, lato pełne, zupełnie trwać dalej mogło.
Ale, gdy mu bociany ucichły z lipy, gdy w parku coraz robiło się
widniej od luk
przejrzystych w klombach i szpalerach, gdy przed jego czwórka, gdy
powoził,
wiatr igrał podnosząc jakieś młynki i trąbki kurzu, Homel popadł w
swą chorobę.

A tej chorobie od lat towarzyszyły godziny zadumy w fotelu, błędne
wodzenie
wzrokiem po niezatrzymujących go niczem pejzażach, strasznie
smutne myśli w
duszy, tworzące wprawdzie powieści, ale też i tworzące coraz głębszą
przepaść
między nim a światem, takim jakim był i jakiego nic zmienić nie
mogło
Wtedy hrabinę zwykle wysyłał za granicę by jej nie zasmucać swym
widokiem, by,
módz swobodniej cierpieć tem cierpieniem, na które niema lekarstwa,
bo pochodzi
z zastanowienia nad tem, nadczem natura człowiekowi zabroniła się
zastanawiać.
Ale Homel prawom natury się nie poddał.

I cierpiał też z powodu głupich żółkniejących liści od milionów lat o
jednej i
tej samej porze na milionach milionów drzew.
Oddawna zbadał lekarstwo na tę chorobę, którą się po dyletancku
zajmuje
medycyna.
Oddawna wiedział, iż tak jak naturze, trzeba człowiekowi, będącemu
jej częstką,
bezustannie pracować, bezustannie w szalonym, nieustającym na
sekundę wirze,
będącym prawem kuli ziemskiej i każdego robaczka, obracać się i
męczyć.
Ale cóż go mogło? co mogło zmusić jego indywidualizm do wzięcia
udziału w
szalonej, wirowej, bezmyślnej może, ale siłą praw natury narzuconej
wszystkim i
wszystkiemu pracy?
Natura śpieszyła się do jesieni, do którejby się może nie śpieszyła,
gdyby jej

nie było pilno do wiosny. Bocian dążył do Egiptu, bez którego
możeby się
obszedł, gdyby swych dzieci drogi tej nauczyć nie musiał. Chłop nie
myślał o
cudach, które z latem tracił, bo siał zboże, do dojrzewania tych cudów
jak
najprędzej potrzebujące.
— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Homel, bujając na rocking — chair'ze z
oczami
wlepionymi w sufit werandy, przylegającej do jego sypialni. Śmiał się.
On nie
miał celu. On był w świecie anomaliją, w naturze pasożytem, w zdro-

wych pojęciach trutniem. A natura nie znosi takich buntowników i
karze go za to
chorobą, na którą lekarzom nie data lekarstwa, dając im zioła na skiry
i
suchoty, gangreny i rozkłady.
On to rozumiał. I dumaj, coby mógł wymyślić takiego, coby go
porwało w szalone
obroty kota, pędzonego światem i każdym człowiekiem, coby mu
pozwoliło nie
zastanawiać się codzień nad krokiem naprzód zrobionym wszystkiego,
co go
otaczało.
Gdyby się nad tem nie zastanawiał, nie byłby chory. Gdyby wciąż nie
słyszał tego
cichego i tą cichością swoją potężnego zegara, bijącego sekundy
niemal, jakim
jest natura, toby ozdrowiał. Gdyby pędzony naprzód a zmordowany
nie oglądał się
co chwila za siebie, toby nie wiedział, co traci, a nie przewidywał,
gdzie
zajdzie, i nie analizował, po co idzie.
Ale cóżby go tak mogło naprzód gnać? Co? Zaśmiał się i zaraz
spoważniał

No! zapewne! były rzeczy, które robiły z ludzi kółka, szalenie się
dokoła osi
obracające i równocześnie, jak ziemia i gwiazdy, określające
kręgi, 'mniej lub
więcej foremne owale i elipsy. Były takie rzeczy. Walka o byt u tych,
co ten byt
nie uważali, jak on, za figiel olbrzymiej potęgi natury, nie znający
żadnego
innego celu, prócz tego, który

każe miliardom mrówek poruszać od świtu do nocy mrowiskiem.
Sława, dla tych,
którzy sobie nie zdawali sprawy, że ta choćby byta tak wielką, jak
Homera, nie
zdola przetrwać więcej jak parę tysięcy lat, znaczących mniej niż
sekundę na
zegarze wszechświata, nie mającego końca i początku.

.....
Urwał. Już nieraz te myśli na wszystkie strony obracał, a zawsze z
tym samym
wynikiem. Zaczął bujać się na krześle To bujanie niezmiernie
utrudniało
zagłębianie się ducha w celach i wynikach rzeczy.
Tak było i tak być musiało. Wiele rzeczy na świecie można było
zmienić, ale
więcej nie ulegało niczemu, tylko pochodowi wskazanemu przez
prawa natury. Do
tych ostatnich należał i charakter człowieka.
Jeżeli co, to tenże mógł być porównany z rwącą rzeką, której koryto
utworzyły
okoliczności, potoki, góry, łąki, a nie zmieniały żadne siły, żadne
kataklizmy
Czasem, czasem, bardzo rzadko sama rzeka zmieniała to tu, to ówdzie
łożysko.
Miało to miejsce z Wisłą pod Krakowem, która raz, w piętnastym
wieku rozgniewała

się na tamę, jaką baby sobie ufundowały dla wygodniejszego prania
bielizny i
zwróciła w bok swe wody, oddzielając od zamku, wille magnatów

i dworaków i robiąc im tem najniepospolitszego figla.
Zdarzało się coś analogicznego i z charakterami ludzkimi. Jakaś
błahostka
wyrzucała je z koryta, gdy żadna siła byłaby tego może nie dokazała.
Bujał się coraz wolniej i myślał dalej w tym sensie.

.....

— Ha! — westchnął.

Janina mu stanęła w oczach. Gdyby ona tu była blisko, w Ujazdowie,
choćby
dalej...

Janina!

I bieguny fotelu już nie uderzały o kamienną posadzkę. Hrabia
zadumany,
rozmarzony nie czuł, że pochłonięty cały myślami nie miał dość siły,
by się

huścić dalej

Sądził był nie dawno, że może obraz tej kobiety zatrze się w jego
wyobraźni, że

pozostając w jego pamięci jak miłe, pełne wdzięku wspomnienie,
zostawi w niej

tyle śladu, ile zostawiła w niej śliczna głowa Madonny Sykstyńskiej,
w której

się, będąc młodziekiem, poprostu kochał i wysiadywał przed nią
dniami całymi.

Tymczasem tęsknota się wzmagala

.....

Długo dumał, gdy nagle znów bujanie

krzesła zdradzało nawał gwałtowniejszych myśli.

Wszakże on nie był studentem, by się poddać tej miłości, by się
zgodzić na ten
platoniczny romans, urwany przesądami parafianskimi.
Gdy mu mówiła o Warszawie, gdy wyraźnie zjechała się tam miała
w myśli, czyż
przypuszczała, że on będzie na to rendezvous grzecznie czekał sześć
miesiący lub
więcej?
Uspokoił się nieco. Ale czyż co innego było możliwym? Gdyby go
była uprosiła do
tej Bonarki, czy byłby tam pojechał? Nie!
Czuł, iż pierwsze jego po Ujazdowie spotkanie się z Janiną, musiało
być etapem w
ich romansie, szczególnie, jeżeliby to spotkanie miało charakter
schadzki. W
Bonarce pod okiem mównego i rubasznego Tadeusza, nie widział
możliwości
prowadzenia dalej tego flirtu
Nie znał tej Bonarki, ale zdawało mu się, że ją znał doskonale. Był
pewny, że
się nie mylił. Otóż nie mógł sobie wystawić mniej odpowiednich do
flirtu desek,
niż deski takich Bonarek wogóle, a takich Bonarek z Tadeuszem
Bonarem w
szczególności. Zresztą bałby się nawet Janinę tam widzieć. Któż wie,
jakby mogła
tracić na nieodpowiednim jej tle. Raz widział arcydzieło w
dziwacznych

ramach i wziął je za oleodruk, on poznający dobry i oryginalny pędzel
pod
dziesięcioma warstwami werniksu i dziesięcioma pokładami kurzu i
brudu.

Janina w Bonarce mogła tracić, a pocóż miała tracić w jego
wyobraźni, dla jego

choćby teraźniejszości i wspomnień, kobieta, która mu może oddała ostatni męski

namiętny pocałunek. Taki pocałunek, to klejnot.

Wiktor Hugo mówił wszakże, opisując już starca, żyjącego wspomnieniami.

"Redemandez cet âge, on l'on ne dormait pas. Se dire, qu'on était bien malheureux, bien triste, Bien fou, que maintenant on respire, on existe Et, plus

vieux de dix ans, s'enfermer tont un jour Pour relire avec pleurs quelques

lettres d'umonr!"

To był więc klejnot i wartości jego on zmniejszać nie myślał.

Ale czyż ona seryo sądziła, że on czekać będzie sześć miesięcy, aż jej się

uzbiera sprawunków, opłacających wyjazd do Warszawy?

.....

Obruszył się i nogi opuścił na ziemię. Oblicze jego wyrażało pracę mózgu.

Ale od czegoż on był człowiekiem intelligentnym, sprytnym, jeśliby nie potrafił

wymyślić czegoś, coby go z Janiną połączyło, ot, teraz, jak najprędzej, by

przerwać tę chorobę, jaką z każdym zbliżeniem się je-

sieni, przebywał. Takie widzenie jej przerwałoby ten spleen i wyleczyło go może,

ba jak teraz, od Ujazdowa dotąd żył jej wspomnieniem, takby dalej po zobaczeniu

jej, mógł znów żyć wrażeniem pierwszego, a nadzieją przyszłego spotkania.

Uderzył się po czole.

Gdzież on podział głowę, by nie wiedzieć, że tylko widzenie Janiny mogło go

utrzymać przy życiu, jak go jej poznanie quasi chwilowo do życia powołało.

Ale gdzież on podział swój spryt, by teraz, ot, na poczekaniu, jak
muzyk
znajduje właściwe klawisze pod palcami, nie znaleźć sposobu
widzenia Janiny.
Człowiek rzeczywiście nabywa z wiekiem jedne, a traci drugie
zdolności. Gdyby
miał lat dwadzieścia i dwa, czyżby nie znalazł sposobu widzenia się z
Janiną,
on, który, pod oczami mężów nieraz...czegóż on nie robił? Dziś temu
się sam
dziwił.
Od kilku tygodni się mordował nad wykomponowaniem czegoś,
coby...Każdy student,
znalazłby to, jak muzyk klawisze, dawno był pod palcami. A
on...Pobladł, pobladł
jak w przestrachu.
A więc on się starzał, starzał niedostrzegalnie, ale starzał bez
wątpienia
okrutnie, tracił dawne zdolności, inwentywność, tracił stopień
namiętności,
który też rodził, tracił

oryginalność pomysłów. A gdyby ją odzyskał, toby może się
spozstrzegł, iż stracił
odwagę ich wykonania.
Starzał się. — Oczy mu wysunęły się ze źrenic, brwi podniosły,
nozdrze rozwarły,
wargi zacisnęły.
Postarzał się! — Pokochał, był pokochanym, ale już kochać nie umiał,
już mijał
ścieżki i drogi, które miłość chadzać lubi, już nie dostrzegał
gwiazd, które
jej wśród nocy świecą.
— Postarzałem. . . . szepnął i bezmierny smutek okrył jego oblicze i
bezwładnym

ruchem opuścił się na krzesło, rozbijało pod zmianą położenia jego ciała

.....
Wtem weszła pani Wanda. Bystrem spojrzeniem objęła męża. Znała go, jak każda żona zna małżonka. Ona może go mniej znała, bo charaktery w rodzaju Homla usuwają się pod niejednym względem drobiazgowej, trafnej, ale zawsze zbyt realistycznej obserwacji kobiet. Odgadują one wszystkie męczyzn słabości i namiętności, ale nie chwytają tych, których źródłem wyobraźnia. Ta bowiem u kobiet rzadko się w pełni rozwija. Artystycznych dusz one nigdy nie poznają do dna, bo ich nigdy nie rozumieją dobrze. Hrabina czuła, iż sprytowi jej małżonek często się uchyla. Uważała to za ro-

dziej "wyprowadzenia w pole". Winę tego przypisywała nie właściwym okolicznościom, tylko podstępemu sprytowi Homla i to stanowiło jedną więcej, w danych chwilach, do niego urazę. Ale tym razem nie tkwiła ona w jej myśli, bo oblicze jej pogodne i spokojne, nie zdradzało najmniejszego niepokoju. Z chwilą wyjazdu pani Bonar, zupełna harmonija powróciła między małżonkami, a zadumy były zbyt pospolitymi gośćmi na czole hrabiego, by miały budzić obawy lub zazdrość pani Wandy. Przyzwyczaiła się do nich, gdy spostrzegła iż wszelka z nimi walka była bezowocną. Usiadła na swoim miejscu, które stanowił duży fotel, umieszczony w kącie

werandy przy ścianie i płóciennej portierze, ukrywającej jedno prząsło bocznej kolumnady.

Poruszyła kilka tematów, które hrabia zbywał lakonicznymi odpowiedziami, nie przestając się huścić i wyteżajaco nad tym samym przedmiotem myśleć.

— O czym że tak myślisz?

Homel się obudził i po pauzie dopiero odparł:

— O niczem.....

— O niczem? Nie rozumiem, jak można myśleć o niczem.

— Jest to najprzyjemniejsza rozrywka myś-

li, to jej odpoczynek..... Zresztą..... ludzie, co nie umieją myśleć o niczem,

nie potrafią myśleć i o czym.

Pani Wanda zaśmiała się wesoło.

— Dwa paradoksy w kupie... Myśleć o niczem jest absurdum, bo jest niemożliwym...

Hrabia, który byłby w zwykłym trybie życia i usposobienia swego, przedmiot ten

rozmowy- podniósł i obszernie usiłował żonie udowodnić, że o niczem myśleć

można, tym razem upuścił go

Huścił się dalej.

Pani Wanda po chwili wtrąciła.

— Miałam dziś list od Kolońskiej.

— Od Ko...lońskiej? — podchwycił Homel ziewając.

— Wzięłaś dziś na ziewanie...?

— Nie.....

— Myślałam. Odkąd tu siadłam...

Homel się otrząsnął. On ziewał i nie wiedział o tem. On, primo, ziewać nie

lubił, bo ziewanie było rzeczą starą i nie artystyczną. Secundo, nie lubił być

złapanym na jednej z częstych swoich absencyj umysłowych.

— Widocznie... to powietrze na mnie tak działa Tak nie znoszę tej pory.
— Nie rozumiem, jak można nie znosić tak cudownego czasu. Cicho, ciepło...
— Ależ jesień czuć.
— Ja jej nie czuję.

— Widać ją!
— Nie widzę... Hrabia się zirytował.
— Nie wolno tak być bezczujną osobie pewnej sfery...
— Czyżby osoby tej pewnej sfery miały mieć wszystkie twoją chorobę nie znoszenia trzystu dni w roku. Ah! Dajże mi pokój. To wiatr, to parno, to słońce rzuca jakie ukośne promienie, to światła, w których park traci, to...
— Więc nie widzisz, nie widzisz na prawdę — podchwycił Homel — że słońce o te porze inaczej oświeca wszystko? Przypatrz się temu klombowi brzeziny! Widzisz? W czerwcu, lipcu, śmieje się on do słońca i mieni, jakby lita srebrem na zielonej kanwie materya. Patrzże dzisiaj, jak chora zieloność.. gdzieniegdzie popstrzona srebrnymi i czarnymi plamami, cała nie jak dawniej drżąca, tylko wiatrem poturbowana.
Pani Wanda przypatrywała się uważnie mężowi. Czy on udawał, czy też jemu rzeczywiście ta różnica w tej brzezynie taka sprawiała przykrość?
— No zapewne — rzekła — musi być różnica. Od tego są pory roku. Wszystko się zmienia. Zaręczam ci, że i ja i ty, od maja zmieniliśmy się także. Homel westchnął i umilkł. Zapędził się

w tym opisie różnicy kolorytu brzeziny i nie dowiedział się, co pisała Kolońska.

Pytać o to nie mógł, bo łatwo by obudził przypuszczenie w sercu żony, że jeszcze

sezonu Ujazdowskiego nie zapomniał. A wszakże Mańcia, proszona przez niego, by

go uwiadomiła o wizytach pani Bonar w Warszawie, odpowiedziała była: "napiszę w

listach do Wandy..." Może i w tym liście co było?

— Więcej listów nie miałaś?

— Nie.

.....

— W dziennikach nic nowego nie było?

— Nic!

.....

Wstał zdenerwowany. On przecież musiał ten list, treść jego mieć.

Wszakże

Kolońska nie pisała wiadomości mu potrzebnej w gołych słowach.

Musiała ją

zgrabnie ukryć, domyślną dla niego tylko zrobić. Ta doniosła dla niego, nad

wyraz interesująca rzecz w liście Mańci, mogła się wydać jego żonie czemś

niezrozumiałem lub banalnym.

Zwykle poczta przychodziła przy nim w halli, zwykle Wanda

zostawiała ją na stole

przez dzień cały. Dziś właśnie dla tego, że on miał we wszystkim szalony pech

przyszła, gdy on brał spóźnioną kąpiel, a nie

widział jej na stole. Zabrała ją więc do siebie. Kiedyż on się dowie?

Hrabina zaś równocześnie myślała tak. Nic nie pyta, co pisze Mańcia.

Więc jej

nie dawał zlecenia tego? Czy zapomniał o niem? Więc to rzeczywiście mogło być to

tylko. Jeśli to tylko to było, to winną była powtórzyć. Ale co jej trzymało język na wodzy? Dla czego powtórzenie to przychodziło jej po prostu trudno. To musiało mieć jakieś psychiczne znaczenie. Oh! ona miała instynkt, który ją nigdy nie mylił. Kobietom nic nie można wierzyć. "On n'est trahie que par ses amies." A kiedyś w tych dniach, przeczytała wyborny aforyzm: "Nigdy ci tyle nie zrobią złego dziesięciu nieprzyjaciół, co jeden przyjaciel." Zresztą przyjaźń Mańci? Cóż to było? Wszakże ona samo jej opowiadała, jak ukrywała przed księżną Gucia fredeny księcia Fryderyka. Chwaliła się: "Gdyby nie ja dawnoby się byli rozwiedli..." Mańci nic wierzyć nie mogła. Zresztą, wszelkie zlecenia tak były niewłaściwe jej mężowi. Nigdy ich nikomu nie dawał. Szczególnie Kolońskiej. Co to więc było?..... No dobrze! Ale, jeśli go nie powtórzy, to się nic nie dowie. A tak, może coś z miny jego wymiarkuje, może.....?

— Ah! — zawołała — Mańcia pisze, że książka, o którą ją prosiłeś, będzie dopiero w końcu tego miesiąca w Warszawie. Hrabiemu krew do głowy uderzyła, a nogi pod nim zadrżały. Czempredzej rzucił się w fotel i spojrzał w oczy żonie, która nie spuszczała zeń wzroku. — Książka.. — bąknął głuchym od wzruszenia głosem. — Cóż to za książka? Hrabia cierpiał, kłamać nie umiał, a usposobienie jego, wolne przedewszystkiem, nie znosiło przymusu.

— Nie pamiętam. O jakąś książkę ją prosiłem.. Musieliśmy mówić o jakiejś... —

jąkał się.

Pani Wanda prawie była pewną, iż tu nie o książkę chodzi.

Tryumfująca z udanego

fortelu, powodzeniem taktyki uszczęśliwiona, wykrzyknęła:

— Un livre qui vous fait rougir! ha! ha! Homla oczy zaiskrzały od wściekłości.

Chciał wybuchnąć. Cóż za myśli, przypuszczenia bezlogiczne?

Chciałby zdruzgotać

kobietę, która

Przecież nie był studentem... Purpurowy już otwierał usta. Opanował się. Jeśli

pokaże złość w nim się gotującą, był stracony, a przynajmniej

straconą była ta

droga komunikacji.

Odetchnął głęboko, uśmiechnął się.

— Bawisz mnie! Odkąd przemieniłaś się w kobietę zazdrosną, jesteś nieporównana,

piramidalna! ha! ha! Byle co jest ci pobudką, budzącą cię ze spokojnego dolce

farniente. Byłabyś niezrównaną żoną mężczyzny, któryby ci dawał przyczyny

zazdrości. Prześcignęłabyś pod tym względem wszystkie najhistoryczniejsze dotąd

okazy niewieście... ha! ha! ha!... c'est colossal...

Zmienił ton i kończył.

— Ależ przypominam sobie! Chodzi o drugą część romansu, który mi pożyczyła i

który nosi tytuł.

— Janina! ha! ha!

Hrabia pobladł i zdumiał. To ostatnie uratowało go, że nie wpadł w furię.

On zawsze czołem bił przed wszystkim, co było olbrzymie. A ta domyślność

wydawała mu się olbrzymią. Chwilę zastanowił się nad potęgą uczucia zazdrości u kobiet. Nad tym przedmiotem postanowił pomyśleć. To było studium. Ale studium schodziło na drugi plan w obec katastrofy, która go spotykała. Został odgadnięty. Pierwsza wiadomość, przychodząca tą drogą, niszczyła sama drogę. Mniejsza o to, ale potem jak on z tej wiadomości skorzysta? I to musiał odłożyć na później. Tu trzeba było odpowiedzieć, zacząć odpowiedzią mozolną

pracę obalenia przypuszczeń, które jakby gmach w jednej chwili stanęły w wyobraźni żony.

Tonem łagodnym, modulacji genialnej i politowania pełnym rzekł: — Tu deviens folie, ma chère amie.

Było to najczęstsze zakończenie, gdy Homel postanawiał nie mówić więcej w danym wypadku.

Pani Wanda знаła je. To też, jak gdyby nic między nimi nie zaszło, podchwyciła:

— Ale dalej pisze...

— Kto?

— Kolońską. Żebyś jej dotrzymał to, coś jej obiecał. Cóżże ty jej obiecał?

— Ach! nieszczęście! — odparł Homel — Belizara!

Nastąpiło milczenie. Oboje się zatopili w zadumie, trwającej z pół godziny.

Hrabia zdawał się myśleć wyteżająco. To przypomnienie Belizara ocalało go.

Belizar wydawał mu się być deską ratunku, której się chwycić był powinien, chcąc sobie zapewnić nową drogę po katastrofie zniszczenia jednej za pierwszym jej

użyciem. Gdyby potrafił Belizara skłonić do żeniaczki, toby się umotywowowały i wyjazdy do Warszawy i wiadomości dlań w listach od Mańci. I otworzyłyby się może i nowe drogi.... Jeśli nie ożenienie Belizara, to żenie go, stawało

się koniecznością. Stawało się koniecznością ze wszystkich względów, ze względu jego stosunków do Janiny, do żony, do Mańci, do Warszawy, do Bonara, do wszystkiego. Belizar, żeniący się z Kolońską, odnawiał quasi Ujazdów, przenosząc jego arenę do stolicy. Motywował jego wyjazdy, znajdowanie się jego między Mańcią a Janiną, ściąganie tej ostatniej do miasta. Belizar, żeniący się, robił niemożliwe rzeczy możliwemi, najdziwaczniejsze kombinacje i postęпки, naturalnymi. Wypieki pojawiły się na policzkach Homla. Galopował wyobraźnią, która tworzyła powieści i która w tej chwili rozwijała romans o bohaterach mu znanych, o scenach konsekwentnych. Już, już z nieprzepartą logiką powieściopisarza widział wszystko ułożone. Belizara skłonionego, jesień i zimę zajęte, wszystko rzucone w rozpęd wypadków, mających przynieść za sobą i sprzyjające mu okoliczności, których dziś by nie odgadł. Zerwał się i zawołał:
— Ja dziś jadę do Belizara.
Hrabina wytrzeszczyła zdziwiony, a zarazem rozbawiony wzrok. Ona nie poznawała męża chwilami
— Cóż się stało?

— No! obiecałem to Mańci!

— Co obiecałeś?

— Że Belizar się ożeni.

Pani Wanda ruszyła ramionami. Homel dalej ciągnął.

— Chodźmy do biblioteki. Zobacz na mapie, jak się to jedzie do tego Belizara...

Nawet mnie to rozerwie. Nigdy tam nie byłem. A Belizar taki w domu, to musi być

również ciekawy typ. On się musi ożenić z tą Kolońską. Musi!!

Obiecałem to.

Zresztą, cóż on ma lepszego do roboty? Ja mu otwarcie powiem, że jest durniem.

— Jeśli to ma go zdecydować!

— No nie! Ale przejrzy. Z takimi ludźmi trzeba tak postępować. Są ludzie, jak

towary, którzy się cenią według popytu na towar, jaki przedstawiają. Belizar,

gdy się dowiedział, że go Mańcia weźmie, chce więcej. Przedtem, chciałby

jej.....Ja jutro jadę do Belizara.

— Już nie dzisiaj? — zapytała ironicznie pani Wanda, znająca te powieściopisarskie zapały hrabiego, a ciężkość jego w wykonaniu ich.

Ileż razy

on już dziś wyjeżdżał, a nie wyjechał nigdy. Nie wątpiła, iż i tym razem nie

będzie inaczej.

— No! dzisiaj nie podobna. Zresztą dzień nic nie stanowi.

— I trzy...

— Odkładać nie będę. Odłożyłbym zupełnie. Ale wiesz? Belizar ma mieć ładne

rzeczy u siebie. O kilku portretach wiem. Wiem też o kantorku jakimś, a o uczie

Ludwika XVI sam mi mówił...

— Teraz zacznym wierzyć, że może i pojedziesz, — wtrąciła
uspokojona nieco
hrabina.

Jeśli mąż jej nie zapomniał o portretach i uczcie Belizara, to nie był
człowiekiem

wyrwanym ze swych zawias, był dalej sobą.

Nie potrzebowała się więc tak dalece bać przypuszczeń, nasuniętych
przez

tajemniczą korespondencye Mañci. Flirt z Janiną był czemś
podobnem do tego

ognia elektrycznego, który ją zachwycał, gdy była małą, gdy dostała
długą

papierową srebrną zapałkę, co jaśniała przez chwilę ogromnem
ślicznemi kolorowem

światłem. On nie był człowiekiem do romansu ze swymi sybaryckimi
gustami, z

przyzwyczajeniem pisania, ze swymi pedantyzmami, ze swem
wreszcie zdrowiem,

potrzebującym milijona szczegółów...

Tak...

Ale mimo to, ona nie mogła być bezpieczną. Ileż razy on jej wygłaszał
swoje

zapatrywania, swe pojęcia o małżeństwie, apoteozy romansu, swe
poglądy na

wierność małżeńską i jej wpływ fizyologiczny na ustrój
mężczyzny.....

Ona nie była bezpieczną...

Ona знаła głębokie przywiązanie do niej. Pracowała nad sobą, by
ewentualnie

zrozumieć wybryk, któryby go z pewnością odmłodził, a jej nie
zabrał. Zdawało

się jej było nawet, iżby wybryk taki zniosła. Dziś po saisonie
Ujazdowskim

widziała, iż to było niemożliwem. Niezniosłaby... nie!..

Krew jej uderzyła do głowy. Czy on tylko wiedział, co by go czekało w ognisku domowym, które lubiał, bez którego by się obyć nie potrafił, z dniem, w którym by ją zdradził? Czy on tylko to dobrze wiedział? Wszakże, jako myśliciel, jako człowiek tej finezji, wiedzieć to był powinien. Ale jeżeli nie wiedział...
Była czerwona z gniewu. Namiętna jej natura burzyła się w niej na myśl, że mogła by być...
— Czy wiesz co? — zapytała — ja się boję, iż nie tylko dla Mańci pragniesz tak związku tego z Belizarem. Ja się boję, że po za tem kryje się inna myśl, myśl odnowienia flirtu Ujazdowskiego..
Homla oblicze okryło się purpurą. Ależ to było okropnem to małżeństwo z tą niewolą, z tym śledczym urzędem, z tym śledczo-badającym trybunałem w osobie żony. To była instytucja oburzająca w zasadzie swobodne i wolne instynkty człowieka,

drażniąca jak pilnikiem po najdelikatniejszych firbach jego męskie uczucia wolności i dominacji, niepodległości i swobody serca. To było barbarzyństwo, z którem on się nigdy nie pogodzi, którego pęt ani kajdan, jako człowiek cywilizowany i usubtelniony, cierpieć nie powinien, a cóż dopiero je uznawać...
— Dla czego się tak boisz? — zawołał wyzywająco i sarkastycznie.
— Dla tego się tak boję — odparła spokojnie pani Wanda z widocznym silnem

postanowieniem niedania się onieśmielić i wypowiedzenia
wszystkiego, co jej
ciężyło na sercu — iż byłoby to końcem naszego życia...
— Nie rozumiem..
— Otóż właśnie — zapaliła się hrabina — dziwię się, iż tak mało
mnie znasz, by
mnie nie rozumieć. Gdyś zaczynał ten flirt, myślałam, iż obliczyłeś
się...
— Z czym się miałem obliczać? — podchwycił wściekły Homel.
— Ze mną! Przecież nie przypuszczam, byś był w zaślepieniu
podobnym do wielu
mężów, sądzących, iż potrafią narzucić swym żonom siebie w roli
motyli. Przecież
wiedzieć musisz, dobrze to wiedzieć musisz, iż mnieby nic nie
potrafiło skłonić
do dzielenia z tobą twego życia, jeśliby ono wyła-

cznie nie było mojem? godzinę, w której bym nabrała pewności, żeś
mnie złamał
przysięgę...
— Przysięgę! przysięgę! Ta przysięga jest formą..
— Formą być może, ale taką samą dla ciebie, jak dla mnie,
obowiązującą zarówno
obie strony. Tak ja ją pojmuję. Wiedz tylko, iż tejże samej godziny
opuściłabym
Mikulińce...
— Co tobie po głowie lata? — zapytał blady hrabia.
— Już ja wiem — podchwyciła wstając hrabina — co mi lata. Nie
żyje się z kimś
lat dziesięć na to, by ten ktoś cię mógł wyprowadzić w pole za
dziesiątą
granicę. Chciałam, byś ty tylko sobie dobrze zanotował w pamięci.
— Czemu że więc chcesz mnie tak dalece przestraszyć — zaśmiał się
hrabia —
odebraniem może sum posagowych...

— Nie myślałam nawet o tem — odparła drżącym głosem hrabina. —
Zostawiłabym ci
je nawet, jeślibyś je zatrzymać pragnął — mówiła prawie przez łzy,
tamujące jej
oddech, cisnące się do ocz. — To was wszystkich doskonale maluje,
te sumy po-sa-
go-we!
Wybuchnęła płaczem i wyszła. Homeł bezprzytomny, ze ściśniętem,
jak nigdy
sercem, drżący każdą fibrą, zdener-

wowany, iż się trząsł, jak osika, każdym członkiem ciała, iż na nogach
ustać nie
mógł, osunął się na fotel.
Te łzy... te słowa... On kochał tę kobietę, kochał ją.. Ale kochał i
tamte.
Inaczej, ale kochał ją... Cóż on temu był winien? Cóż za rolę mu życie
grać
kazało? Ach! to życie! Jakże ono ciężkiem, nieznośnem bywało we
wszystkich
chwilach. Jakże ono wszystko truło, skręcało, zwijało, kombinowało
na utrapienie
ludziom... Cóż on temu był winien, że się nienadawał do małżeństwa,
jak tylu
trutniów na świecie? Cóż on był temu winien, że tę kobietę kochał
wielkiem
uczuciem, w którym namiętność wygasła, a tamta tem, w którym się
ona rodziła.
Cóż on temu był winien, że takimi były prawa fizyologiczne uczucia,
zwanego
miłością.

Bonarowie siedzieli w domu. Tadeusz gospodarował. Janina powróciła do zajęć, które jej przez siedem lat tak szczerze wypełniały życie i każdy jego dzień, a które teraz sprawiały jej wrażenie obowiązku. Nie poznawała sama siebie w tej metamorfozie, jakiej uległa w Ujazdowie. Czuła tylko, że się przeistoczyła w inną kobietę w większej części swych fiber. Co chwila opanowywały ją myśli, niemające dotąd nigdy dostępu do jej mózgu. Badała swoją przeszłość, która o ile dotąd jej się wydawała naturalną i promienną, o tyle teraz zastanawiała się nad jej bezbarwnością i ogłupiającą monotonią. Kręciła się po Bonarce, jakby wykolejona, jakby niewidząca przed sobą drogi, niewierząca w drogowskaz. Ileż cierpiała, by stan swej duszy ukryć przed Tadeuszem, który zajęty spełnianiem obowiązków, będących dla jego natury naj-

wyższą rozkoszą, ani podejrzewał przemiany zaszłej w duszy jego małżonki. Ileż cierpiała pracując nad sobą, by rozpedzić niepotrzebne i nowe naleciałości, a powrócić do swego dawnego jestestwa, pozwalającego jej tak błogo zasypiać po najmonotonniej spędzonym dniu. Wszystkie te wysiłki okazywały się płonnymi. Po dniu, w którym, zdawało się jej, że już się odzyskała, następowała natychmiast reakcja i jeszcze większe przygnębienie, jeszcze większe pragnienie czegoś nieokreślonego i określić się niedającego.

A wspomnienie Homla jej nie odstępowało. Analizując się, czuła, iż to on zatruł jej duszę. Czuła smak tej trucizny w sobie, ale jak morfinistka, nie miała ani siły, ani ochoty z nią walczyć. W samotności, jaką jesień otacza mieszkańców wsi, powiększonej zaniedbaniami tych drobiazgów, wypełniających szare życie, analizowała siebie, swe wrażenia i swe otoczenie. W swej naiwnej szczerości nie szukała motywów swego usposobienia w niedostrzegalnej dali. Wiedziała z kąd ono pochodzi. Homel, odkrywający jej inne i barwniejsze każdej kobiecie ponętniejsze życie. Homel, oświecający jej, ją samą innem, a właściwszem, zdawało się jej, światłem, okazujący

jej błękitne i nieprzejrzone horyzonty, zakrzyknął jej ten jad, który natychmiast wszedł jak morfina w krew i który, jak morfina, po kilkotygodniowym jej użyciu, stał się potrzebą jej organizmu. Brak jej było tego kadzidla, którego zapach, odurzający każdą kobietę, on jej pierwszy dał poczuć. Brak jej było tego zaspokojenia potrzeby, tkwiącej w jej kobiecej naturze, być przedmiotem uwielbienia i miłości. Łaknęła tych rozmów, opromieniających życie subtelnością myśli i uczuć. A szczególnie brak jej było zadowolenia tej pierwszej potrzeby kobiecego organizmu, tej potrzeby być rządzoną i kierowaną. Gdyby Tadeusz — myślała z rozpaczą — był ją potrafił tak opanować... Ależ on nigdy nawet nie dał jej sposobności poznania tego boskiego uczucia,

jakiego doznaje kobieta, czując, iż cała, każdą swoją fibrą, należy do
męczyzny,
który jej uosobia wyższość, uchylając się jej analizie.
Przedewszystkiem potrzebowała bożyszczka, zasmakowawszy w
rozkoszach niewieściego
hołdownictwa. Potrzebowała tego pokarmu inteligencji, pracującej i
wynurzającej
się dla niej, tych ogrzewających duszę, jak słońce ciało, promieni
bijących z
rozbujałej i gorejącej świętym ogniem, wyobraźni.

I nieszczęśliwa kobieta po kilku tygodniach walki z sobą, ze
wspomnieniami, z
urokiem męczyzny, walki ze swemi zasadami i obowiązkami, doszła
do tego, iż jej
się to życie stanowczo wydawało zmarnowanym i niegodnym jej
jeststwa. Doszła do
tego, iż jej się ten ubóstwiony Tadeusz dotąd, ten "jedyny" wydawał
straszenie
mały w swych celach, strasznie nudny w swej codzienności, strasznie
ograniczony
w zakresie swych pojęć i aspiracji.
I każdy dzień, który ją oddalał od Ujazdowa, wydawał się jej dniem
straconym w
życiu. I ogarniała ją ta tęsknota, znana pięknym kobietom, za ulatującą
każdą
godziną, która jej nie pozwalała używać odurzającej uwielbienia woni.
I co wieczór, usypiając trudno po krótkim dniu spędzonym w
machinalnym zajęciu,
a gorączkowej pracy słabego i niewycwiczonego mózgu porównywała
ten dzień z
takimże dniem w Ujazdowie, oszołomiającym jej młodą i
potrzebującą wrażeń,
wyobraźnię nadmiarem tychże.
Wreszcie w walce tej z sobą osłabła aż do wycieńczenia. Ani
obowiązki żony, ani

dzieci, ani tysiące argumentów, którymi kobieta broni się przed
fałszywym
krokiem w życiu, nie zdołały jej wskazać drogi, któ-

wą bez drogowskazu przed poznaniem Homla, prostą i gładką
widziała.

Czuła tylko, iżby ją może uratowały niektóre okoliczności, jak mąż, w
któregoby

potrafiła tak ślepo wierzyć, jak wierzyła w Homla, jak świat, w
którego wirze by

łatwiej zapomniała tego człowieka, którego ostatni pocałunek czuła
świeży, jakby

go wczoraj na jej ustach wycisnął.

A była oddaną na pastwę wspomnieniom i zużyтым wrażeniom w
osamotnionej Bonarce,

zaniedbana przez Tadeusza, obiegającego całymi dniami gumno i
powracającego do

domu, by odpocząć, lub się pożywić, widująca kilku sąsiadów, którzy
stracili dla

niej odrobinę uroku, jaki mieli przed jej wycieczką do Ujazdowa.

I ile razy który z nich, dawnym zwyczajem, usiłował ją rozerwać, czy
porwać

jakimś projektem sąsiedzkiej zabawy, wydawał się jej w tem jeszcze
bardziej

nudny i poprostu wstrętny.

Homla słowa wtedy jej brzmiały w uszach.

— "W głowie mi się mąci, gdy pomyślę, że takie, jak ty kobiety są
skazane na

obcowanie z obskurnymi ignorantami, pozbawionymi wszelkich
błysków oświeconej

duszy, z jakich się składa to nasze obywatelstwo."

Poślubiła wszystkie jego teorie i lubje i paradoksy. Poślubiła i tę
jedyną w nim

wy-

rażną niechęć do całej sfery, którą nazywał "obywatelstwem, " a
której
nienawidził dla jej ciasnoty pojęć, zacofaństwa i obojętności z
obskurantyzmu
pochodzącej, dla sztuki i jej płodów.
I oddalona od niego o dziesiątki mil, całą przepaścią, jaka dzieliła ich
egzystencje i życia, żyła nim, jego poglądami, jego wspomnieniem,
jego duszą, o
ile ją w jej organizm hipnotyczną siłą inteligencji zastrzyknął.
I wycieńczona wreszcie, zgnębiona, pokonana, nie oparła się pokusie
dodania w
liście do Kolońskiej, iż zamierza w końcu listopada przybyć do
Warszawy.
Gdy list ten posłaniec w torbie uwoził na pocztę, jeszcze była chwila,
w której
myślała kazać pognać za nim, odebrać i zniszczyć to pismo.
Ale pokusa była za silną i za niebezpieczną swą niepewnością skutku
właśnie.
Wszakże ten list nic nie decydował. Wszakże Homel mógł być ją
dawno już
zapomnieć i uwiadomiony nawet przez Mańcię, do Warszawy nie
zjechać. Mógł nie
módz zresztą się stawić.
Ona przecież nie była obowiązana w końcu listopada być w
Warszawie.
I gdy jeszcze był czas dopędzić posłańca, zanim list do
przebiegającego stację
pociągu

wrzuci, ona patrzyła na zegar w strasznej walce ze sobą, bo czuła, że
w
oznaczonym terminie pośpieszy do stolicy i ewentualnie o jeden krok
zbliży się
do przepaści, do której ją nieprzeparta ciągnęła siła.

I gdy wskazówki zegara uprzedzały o ostatniej chwili, ona pytała ciekawie.

— Czy się stawi, czy... kocha?

Posłaniec wrócił z poczty, przywożąc gazety i Janina odzyskała siebie. Tadeusz

jej dnia tego nie poznał.

— Cóż się stało mej kobiecie, że taka wesoła? — pytał.

— Nie wiem! Zdaje mi się — odparła — jestem jak codzień...

Ale wiedziała dobrze, iż nie była "jak codzień, " Dotąd trawiona była walką.

Dziś odpoczywała po ukończeniu jej. Dotąd nie widziała przed sobą końca, teraz

zbliżała się do etapu.

I odetchnęła tem uczuciem, rodzącem się w nas po każdej wewnętrznej walce,

zadającej największe tortury ludzkiemu jestestwu.

Czasem zastanawiało ją i paraliżowało straszne pytanie: "Co dalej będzie? Co

potem będzie?" Ale to pytanie, na które nawet prawdopodobnej odpowiedzi dać nie

mogła, długo jej nie męczyło. Wszakże, to spotkanie w Warszawie, jeśliby miało

miejsce, nie miało nie tylko o niczem decydować,

ale mogło nawet wyrzucić zbawienny na nią wpływ. Czytała była świeżo romans,

jeden z tych, których spis dał jej był Homel. W tym romansie autor genialnie

przeprowadził teorię, iż tło jest, jeśli nie wszystkim, to wielką siłą.

Jakaś

panienka, w której się pewien młodzian szalenie rozkochał na tle wsi, wielce mu

się nie podobała na tle wielkomiejskiego salonu. Ztąd wyrodziły się różne

palpitujące zbiegi okoliczności. Z Homlem mogło być w Warszawie toż samo. Z

nią... mogło być to samo. Byłoby to straszne, ale... zbawcze.
I oczekiwała niecierpliwie końca listopada, który miał tyle
niepewności
rozjaśnić, taki przełom w jej nowym życiu może stworzyć. W każdym
razie
spotkanie to w Warszawie mogło tylko zbawczo na nią oddziaływać.
Przecież nie zbliży się do przepaści. Na to miała dość siły i dumy.
Jeśliby jej
uczucie się nie rozwiało, to widzenie przedmiotu tegoż, uspokoi ją na
czas
jakiś, w którym się łatwiej później odzyska, czy uchwyci.
A Homel, pewnego, ciemnego jak piekło wieczora, równocześnie
może, jak te myśli
trawiły panią Bonar, myślał wyteżajaco o wycieczce w zapadłą krainę,
w jakiej
mieszkał Belizar.
Po ostatniej rozmowie ze swoją żoną, była chwila, w której się
zawahał, czy nie
zer-

wać rozpoczęty z Janiną romans. Znając hrabinę, nie wątpił, iż gotową
była
dotrzymać groźby. Ale nie to tyle nim zawahało, ile jego własne,
pewne poczucie
etyki, ile jego prawdziwe do małżonki przywiązanie, oparte na tylu
silnych,
łączących ich węzłach.
Wszakże on ją kochał i cenił, wszakże i kochał ognisko domowe,
które sobie
stworzył i do którego ona się nadała. I to wszystko mogło runąć, cała
ta
budowla, jaką sobie mężczyzna, cegła po cegle, klei, by w niej
dobięgnąć kresu
żywota fizycznego i moralnego, mogła się zatrząść, zarysować,
zawalić.

Stoczył sam z sobą intensywną walkę, w której wszystko, co tylko za sobą mógł
pociągnąć romans z Janiną, wyraźnie, nago, stanęło mu przed oczyma.
Ależ miałby wypuścić z rąk to, za czem od lat kilku tęsknił, za tem, co go miało
odrodzić i odmłodzić. Miałby wypuścić tę bez wątpienia ostatnią sposobność
zadrgania boskimi uczuciami, będącemi kwiatem i celem życia?
Nie...
Od czegoż miałby ten rozum i spryt, od czegoż znajomość życia i ludzi, od czegoż
głęboką psychologię, ażeby nie umieć szczęśliwie pogodzić tych okoliczności, nie
wy-

brnąć z nich zwycięzko, a z zadowoleniem jedynej przemocnej, ogarniającej go
namiętności.
I po kilku dniach refleksyi skupionej, w sobie zamkniętej, postanowił działać
tak, jakby postanowił każdy człowiek jego namiętnej natury, nie zważającej
zwykle na wszystkie przeszkody, jakie mu własny jego rozum rusztował.
I żał mu było głęboko kochającej go Wandy i żał mu było znów inaczej Janiny,
która w rozwoju tego romansu, w dziewięciu na dziesięć wypadkach, widział
nieszczęśliwą jego ofiarą.
Ale wszystko na drugi plan odsuwała namiętna zachcianka w człowieku, który
zachciankom hołdować od dzieciństwa się nauczył.
I gdy pani Wanda w tem życiu Mikulinieckiem, pełnem zajęć i wrażeń, wiadomości i
projektów, w tem życiu pańskiem, które ma przywilej obracania ludźmi szalenie

przyspieszonym tempem, zapomniała o swych podejrzeniach i intuicyach, Homel skomponował w swej wyobraźni powieściopisarza tę nową powieść, którą tym razem miał przeżyć. Czuł całą niewłaściwość, a nawet śmieszność swej roli, zakochanego po uszy w parafrance z Bonarki. Śmieszność ta szczególnie

by była w oczy hrabinę, przywykłą do widzenia w nim rozsybarytyzowanego artystę myśliciela fin de siècle przy kominku gabinetowego ogniska. Ona więc nie mogła być świadkiem, jakby przeprowadzał swój, dzień po dniu, unormowany projekt, jakby wreszcie się wybierał na to miłosne rendez vom do Warszawy, do której rzadko jeździł i zawsze w interesie niemogącym być odroczonym, ani komu powierzonym. Wyjazd jego, na który oddawna nie narzekał, ten wyjazd pozbawiający go łazienki i wygod na minuty zadysponowanych, byłby już dla jego żony dostatecznym motywem do nabrania pewności, że ją intuicya nie myliła. Ona więc nie mogła być jego świadkiem. Że zaś pani Wanda, jak wszystkie osoby światowe lubiała się ruszać, że o tej porze szczególnie wieś zносиła tylko przez ustępstwo dla niego, namówił ją bardzo oględnie i zgrabnie na wycieczkę do Wiednia, dla dopełnienia niedoborów toaletowych. Załatwiwszy się z tym szkopułem, ujrzał się arcyśmiesznym w obec Kolońskiej, z którąby go spotkanie w Warszawie z Janiną, zetknąć musiało. Nigdy nie był

motylem.

Wszakże Mańcia, znająca go od lat dziesięciu, nie widziała go nigdy w roli rozko-

chanego adonisa. Mógłby się jej więc w tej roli wydać zabawnym, a zabawnym być nie lubiał

Nie to tylko. Ale oboje, on i Janina zjeżdżający się w Warszawie, stawali się

dla beczynnej panny Kolońskiej, jakimś ciekawym przedmiotem szczególnej uwagi,

jakiemś polem obserwacji, niemiłej dla nich obojga.

Nie to tylko. Wszakże on był obiecał Mańci Belizara. Dotąd nic nie zrobił w celu

dotrzymania słowa, na które ta liczyła tem więcej wobec tej nieszczęśliwej jego

dewizy "słowo — czyn". W subtelności swej etyki, nie mógł się sam sobie

wystawić, szukający egidy Mańci dla swego flirtu z Janiną, tej Mańci, spragnionej flirtu dla siebie i przypominającej mu zobowiązanie.

Postanowił więc jechać do Belizara, aby mu niby oddać wizytę, którejby nigdy na

tym padole nie oddał, której baron, dość go na to znając, nie oczekiwał, a

właściwie by go siłą swej wymowy i woli, tą siłą, jaką charaktery cudów dokazują

nad słabymi, zmusić do ożenienia się z Kolońską.

Otóż on, wybierający się w listopadzie do Belizara, mieszkającego siedm mil od

stacyi kolei, był czemś tak daleko odbiegłym od siebie samego, iż i wizyta

musiała być tajemnicą dla pani Wandy.

Chodziło więc o przyśpieszenie wyjazdu

hrabiny do Wiednia tak, iżby on po nim miał jeszcze czas, przed
końcem
listopada, popędzić do Belizara, namówić go na małżeństwo i
pojechać z nim razem
do Warszawy.
Wiedział, że ta cała manipulacja, trawiąca jego mózg, gdyby ją
przeniknęła
hrabina, byłaby dla niej niezbitym dowodem, że flirt Ujazdowski nie
był
epizodem, tylko miał być dramatem jej i jego życia.
Dnie mijały, a pani Wanda nie śpieszyła się z opuszczeniem
Mikuliniec. W Wiedniu
musiało jeszcze nie kipieć zimowe życie; na wsi panowała względna
pogoda.
Homel dostawał trawiącej gorączki. Każdy dzień, niesprowadzający
wyjazdu jego
żony, groził ruiną jego planów, groził ruiną uczucia obudzonego w
Janinie. To
uczucie musiało być przecież potężne, jeśli ta kobieta dlań po kilku
miesiącach,
zdecydowała się na danie rendez-vous, które musiało być
przedmiotem długiej
walki z sobą.
Jeśliby go nie zastała w Warszawie.....
Hrabia chwilami dostawał ataków wściekłości. Napadał ni ztąd, ni
zowąd na swą
żonę, jakby ona co była winną temu, iż się nie domyślała, że
najsłabszy
jej wyjazd był jego najgorętszym pragnieniem.
Pani Wanda, nie rozumiejąc tego nerwo-

wego usposobienia małżonka odraczała opuszczenie go w stanie,
budzącym obawy.

Wszakże twierdziła, że wszyscy artyści, pisarze byli naturami
chorem.

I wreszcie Homel doszedł pewnego wieczora z kalendarzem w ręku do wyniku, iż jeśli jego żona w ciągu dwóch dni nie opuści Mikuliniec, projekt jego tak misternie wykoncypowany, runie. Zaczął chodzić po gabinecie. Godziny mijały i wydzwaniał je zegar Boule, a on ich nie słyszał i tylko pytał siebie, od czego służy intelligencja i talent obracania w powieści konsekwentnie kilkoma stworzonymi z wyobraźni postaciami, jeśli ten sam talent w życiu, nie potrafił przyśpieszyć o dni kilka wyjazdu osoby psychologicznie znanej i zanalizowanej, do Wiednia. A więc talent ten był chimera, był ułudą. Istniał dopóki się kręcił w kole fikcji, był bezsilnym w zetknięciu się z rzeczywistością. Cierpiał formalnie, tem strasznem cierpieniem ludzi popsutych powodzeniem w życiu, w zaspokojeniu zachcianek, w przeprowadzeniu projektów. Bał się o swój system nerwowy, o swoje aequilibrium, jeśliby do jutra nie wymyślił coś małego, a genialnego, coby jego żonę skłoniło do wyjazdu. Czuł jak tu coś małego potrzeba, a tem genialniejszego, im mniejszego. A nie przypusz-

czał, by projekt oparty na wzięciu pod uwagę tylu subtelności, mógł uleść zmianie. Tu chodziło nie o ten zjazd z Janiną tylko. Tu chodziło o cały ich szereg, który miał być naturalnym i konsekwentnym. Belizar się żenił, oświadczał, ekwipował i jego używał za doradcę i swata. Mańcia wychodziła za męża. Nastęrczały się tysiące drobiazgów, w których była niezbędną Janina.

— Nie! Ten projekt nie mógł uleść zmianie, ani też nie mógł uleść zwłoce.

O pierwszej w nocy, jakiś uśmiech przebiegł mu po ustach, podrzucił nim na

fotelu i zaczął nim wielkimi krokami poruszać po komnacie. Oczy mu błyszczały,

jak błyszczą twórcom w chwilach ich twórczości. Każda fibra w nim drgała.

Czuł się tak podnieconym, jak nie pamiętał, by go podniecała jakakolwiek chwila

z romansów, które napisał.

I nagle przystanął, odetchnął. Oczy się przyćmiły, rysy wyciągnęły.

Uczuł spokój

i zmęczenie.

.....

Na drugi dzień raniej niż zwykle, znalazł się w halli pałacowej.

Musiał czekać

na hrabinę i spostrzegł się dopiero, że wstał, wykąpał się i ubrał wcześniej niż

kiedykolwiek. Był więc widocznie nie bywałe zdenerwowany.

Zaczynał się bać o

swoje zdrowie, o

to zdrowie, w którym nerwy tak ważną odgrywały rolę, iż najmniejsze podniecenie,

irrytację, przeciwności, niewygody odchorowywał zwykle silną gorączką

gastryczną. Trwogi te przerwała hrabina, wchodząc z ranną pocztą.

Zawsze bowiem

tak się urządzała, by dzień zacząć od przerzucania tejże.

— Już? — zawołała.

Homel westchnął i tonem najobojętniejszym zagadnął.

— Gdybym tylko miał czas teraz, gdyby nie ta powieść, którą zacząłem, nie te

konie, które wzięłem na stajnię, pojechałbym z tobą do Wiednia. Mam zęba, który

potrzebuje plomby i który dziś w nocy mi się przypomniał...
Spojrzał na żonę. Ta go słuchała z dziwną uwagą, mającą w sobie coś,
co oblicze
jej krasilo lekkim poczerwienieniem.
— Bo wiesz, że i ja mam zęba potrzebującego dentysty..
— Taak? — podchwycił najobojętniej Homel ze swym spokojem,
właściwym mu, gdy go
nic nie dręczyło — do lat trzydziestu to te zęby są cierpliwe, psują
się...
długo. Można z nimi czekać miesiące... lata, bez obawy spóźnienia się
z wizytą u
dentysty. Ale trente ans passés inaczej.

— Dziś się spostrzega, że ząb ma dziurkę, jutro robi się dziura... I
jeszcze się
do dentysty nie wybrałaś, a zęba już niema. Galopująco się psują...
Opuścił oczy na książkę, którą przy ostatnich słowach ze stoki
uchwycił, by
ewentualnie nie spojrzeć w oczy żonie i nie roześmiać się jej
przerażoną miną,
którą, że mieć musi, czuł.
Hrabina rzeczywiście pobladła. Wydobywszy lusterko z kieszeni
badała ten ząb,
który w lśniącym i równym szeregu dostał skazy. Jeżeli jej mąż
prawdę mówił, to
ta skaza mogła być lada dzień dziurką. A musiał prawdę mówić, on,
tak dbający o
piękność fizyczną, o wygląd młodociany...
Z przerażenia była błądą. Jeśliby po latach trzydziestu to tak szło, a
ona
liczyła właśnie lat trzydzieści, to pośpiech był konieczny.
— Jeżeli tak mówisz — zawołała — to trzeba mi jak najprędzej
jechać.
— Patrz! Piękna historia, gdyby na tym zębie w takim miejscu
utworzyła się
plama... gdyby znać było plombę... złoto...

— Nie widać prawie — bąknął hrabia z naciskiem na "prawie"
— Prawie? — podchwyciła z wrastającym przestraczem pani Wanda
— nie widać
jeszcze nic.

— Owszem! widzę zczernienie...
— Widzisz?
— Zaledwie une nuance...
— To ja dziś wieczornym pojedę.
— Cóż za myśl! Przecież na dniach nie zależy — odparł Homel, lekko poziewając.
— Owszem! Dzień może powiększyć la noirceur.
— Dzień! Ha! ha! Psują się bardzo prędko. Bardzo prędko zczernienie takie
zamienia się w wylatujące próchno. Zczernienie takie jest dowodem,
że wewnątrz
zęba utworzyła się próżnia, która ząb psuje na zewnątrz. Ale dzień,
tydzień
nawet, miesiąc cóżby miał za znaczenie?
— Owszem! Dzień tu znaczy. To tak jak wszelkie zepsucie. Godziny
znaczą. Zresztą
miałam i tak jechać lada dzień... Sama nie wiem dla czego
zwlekałam...
Ja dziś wyjadę... Piękna historia! — tu wstała gorączkowo — piękna
historia,
gdyby się utworzyła dziura. Masz rację, to zczernienie, jakkolwiek
tak
niewidoczne, jest dowodem, że wewnątrz la dent se gâte, a niema nic
okropniejszego jak takie niewidzialne...
Ja dziś jadę.
To powiedziawszy wyszła.
Homel wstał. Wypieki zaznaczyły się na jego policzkach. To
panowanie nad so-

ba, to udawanie obojętności, gdy wypuszczał powoli przez usta słowa, mające

rozstrzygać najdonioślejszą dla niego kwestyę, zmęczyło go do wysokiego stopnia.

I rzeczywiście, wieczornym pociągiem odjechała hrabina, a gdy powóz wrócił ze

stacyi i Homel był pewny, że wyjechała, oznajmił zdziwionej służbie swój wyjazd

też samej nocy. Strzelec, odbierając rozkaz pakowania się jak w daleką i

zamorską podróż, uszom własnym nie wierzył. Wyjazd ten sprawił w zamku wrażenie

wypadku, jedyne w annałach Mikuliniec.

I wyjechał zmieniony, inny człowiek, nie biadając nad swem nieszczęściem, nie

gderząc, nie przypominając i polecając. Wyjechał swobodnie, on dostając

migreny, gdy nie nocował w swoim łóżku. Wyjechał gdzieś na wieś, on bojący się

złych dróg do najbliższego sąsiedztwa.

A w dwadzieścia godzin później, pod wieczór najętym wehikułem, strasznym jak

najęte w Polsce wehikuły, extrapocztowymi końmi dojeżdżał do Wybranowa, będącego

dziedziczną własnością barona Belizara, leżącą w zapadłej krainie, jaką krańce

królestwa Polskiego tworzą, stykając się z Galicyą.

Zmęczony jak nigdy, obolały, bezwładny jak pakunek, siedział w głębi powozu,

obok

strzelca zdumionego jego humorem. Nic nie narzekał, tylko się dopytywał

pocztyliona o odległość, a często dawał dowody energii i najlepszego usposobienia.

— Ot i już Wybranów! — zawołał pocztylion i zanucił wesołą aryę na trąbie.

Hrabia się poprawił w siedzeniu. Był u celu. Czekala go ciężka praca twórcza

powieściopisarza. Oszołomić wymową, przekonać argumentami taką armatę... jak

Belizar...

— Wzięłeś herbatę? — zapytał strzelca.

— Wziąłem.

— A może wanny zapomniałeś? — podchwycił z bezmiernym przestachem w głosie.

Wszakże on jej wczoraj nie używał, a bez wanny wszakże cała partya byłaby

przegraną. Bez wanny czyby potrafił zdobyć się na tę godzinę rozstrzygającej

swady?

— Ależ naturalnie wziąłem. Homel odetchnął całą piersią.

— Tam u barona musi być bezład. Pewnie wody nie mają i kotłów i drzewa...

— O! to!

— A więc żebyś mi figla nie palnął. Kąpiel muszę mieć zaraz. Płać i niech robią.

Zadyryguj jak u siebie. Jeśli by drzewa nie było suchego, bo ty nie wiesz, że po

takich dworach to byle czem palą, to niech zaraz zetną co w ogrodzie: lipę...

grab, dąb! to

drzewo i mokre, dobrze się pali i grzeje... I czereśnia wybornie się pali.

— Bo też pan hrabia... — wtrącił strzelec — żeby nieuprzedzić barona. Przecież

baron wie, jakie są gusta pana hrabiego, byłby przygotował. Teraz będę miał

piekło. Jeśli tak tam jest, jak to czasem bywa w tych dworach niektórych panów,

to i pan hrabia będzie czekał i ja dyabła zjem, nim pokój ogrzeję i
wannę
wyrzuchuję...
— Ha! — westchnął Homel — nie wiedziałem...
Wreszcie zajechali przed staroświecki, niegdyś pretensjonalny, dziś
dziwaczny
dwór o wysokim dachu i przybudówkach, niby bastionach.
Trąbka poczytliwa poruszyła jego zaspanymi mieszkańcami. Wybiegł
jakiś lokaj
rozczochrany, psy ujadają, drzwi skrzypiały.
Hrabia wyskoczył i znalazł się ze swym strzelcem w przedpokoju,
zanim domowy
sługa oprzytomnieć zdołał, przejęty liberyą strzelca, trąbką,
sybirskim futrem
hrabiego, tym całym żywiołem tak odmiennym, wpadającym
niespodzianie do tego
cichego domostwa.
Strzelec znacząco się rozejrzał i spoglądając na Homla, wzruszył
ramionami. Tego
jednakże zajęło pierwsze indywidualne wra-

żenie, jakie swem powonieniem pisarza zwąchał.
Był w domu, w jakim jeszcze nigdy nie był, u człowieka
oryginalnego.
Wtem drzwi się otworzyły i buchnęła łuna rześistego światła, a na tle
tegoż
stała wysoka korpulentna sylwetka barona Belizara, obciśniętego
we frak z
niepokalanie białym plastronem koszuli.
— Ach! cóż za gość, cóż za niespodziany gość, — zawołał ze
zdziwieniem tak
wielkiem, iż to inną nutą zadrgało jego głosem.
Ale Homel się cofnął. Ten frak go przeraził. Czyżby zastawał gości?
Niewiadać
tego było po pograżonym w cieniu wyglądzie dworu.
Spotkali się. Witając wymieniali słowa.

— Masz gości?

— Nie. Nikogo niema. Sam.

— Wróciłeś dopiero co?

— Nie! Nie jeździłem nigdzie.

Weszli do salonu. Homel jednym spojrzeniem objął całą komnatę i już wiedział,

gdzie się znajduje, co go czeka, co zobaczy. Obserwacja była widocznie korzystną

dla Belizara, bo zwrócił się do niego i podając mu powtórę dłoń zagadnął:

— Dobrze tu... Ale wytłómaczże mi. Nie masz gości. Nie wróciłeś z nikąd. Cóż

znaczy więc ten frak? te rzesiste światła?

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się prawie idiotycznie baron, nagłym niespodzianym

przyjazdem Homla rozkrochmalony, ożywiony, wyrwany z zerdzewiałych zawiasów.

— Widzisz! houu... ouuu... u nas takie nudy... takie pustki... że pour ne pas

perdre l'usage du monde, żeby nie zdziczyć.. — tu urwał, a spostrzegając na

obliczu kuzyna nieokreślony wyraz, spoważniał.

— Więc co?

Belizar się zażenował, ale kończył.

— Czasem każę oświecić salon, ubiorę się we frak... i...

— I?.. — podjął hrabia niemal przestraszony.

— I zabawiam się.

— Zabawiasz się?...

— Ouu... houu... tak! chodzę sobie. Ja sypiać nie mogę. Gram na fortepianie...

Myślę... Wspomnienia... Światło! Ty lubisz światło?

Na fizionomii Homla zarysowała się w całej swej potędze konsternacja, pochodząca

z niemocy zdania sobie sprawy z chwili. Jego kuzyn miał bzika.. Jego kuzyn! Ten

kuzyn, którego przyjeżdżał namówić do żeniaczki. Jeśli tylko takiego
bzika.. On
u niego miał spędzić noc... On wstręt miał, wstręt nieprzezwyjęzony,
niewytlómaczony, Jakies curiosum fiziołogiczne do bzików...

Pobladł, ale się opanował, oprzytomniał i nerwowym wybuchnął
śmiechem, rzucając
się na fotel.

— Więc się ubierasz we frak, oświecasz i tak sam z sobą siedzisz, ha!
ha! tylko

by to widzieć warto było do ciebie przyjechać.

Mówił a myśl piorunująca pośpiechem swej pracy, nasuwała mu
pytanie, czy ten

bzik Belizara nie byt materyałem do wyzyskania w obecnej chwili.

Swem głębkim świdrującem spojrzeniem objał Belizara,

spokojnego jak zwykle,

nieto ożywionego jego przyjazdem, jeszcze zażenowanego
zdradzeniem się z

tajemnicą, którą ukrywał.

— Ty więc masz bzika — zawołał — Celibat i na ciebie tak podziałał,
jak na

wszystkich. Nie obroniłeś się...

Nie zważał na rumieńce, jakie pokryły śniade i podstarzałe oblicze
barona i

ciągnął:

— Bzik nieszkodliwy, zabawny ha! ha! nawet mnie bardzo

dogadzający w tej chwili,

bo lubię światło. Ginę w ciemności, choćby tylko złych lamp. Ale

bzik! bzik! ha.

ha!

— Ach! — podchwycił, marszcząc brwi Belizar — jakże jestem
szczęśliwy, że moje

przyzwyczajenie, które bzikiem nazywasz, przynajmniej na tyle się
dziś przydało.

— No, mój drogi przyjacielu. Nie grajmy w ciuciu-babkę. Jesteś dość rozsądny, by

sam wiedzieć, że to bzik, gruby bzik!

Urwał, bo Belizara twarz wyrażała przerażenie, zawstydzenie, odcień złości,

którą genialnie zawsze maskował. A hrabia widocznie tego tylko chciał, bo

zmienił zaraz ton i ciągnął:

— My wszyscy wpadamy w bzika, my ludzie swobodni i nieskrępowani pracą o byt.

Chodzi o to, by te bziki były nieszkodliwe.

— Houu... ouu... — podchwycił z odcieniem radości Belizar — nieszkodliwe...

nie.. szko... dliwe... ouuu...

Ta radość nie dogadzała Homlowi, bo ciągnął.

— I chodzi o to, by te bziki mogły być nazwane oryginalnościami, indywidualnościami. Ale twój bzik il est par trop fort ha! ha!

Belizar poczerwieniał. Homel się zerwał, by go uściskać.

— Ale! bzik swoją drogą, a swoją drogą, jakże się cieszę, że cię widzę, że widzę

ten dom, o którym tyle słyszałem. Jakże się cieszę...

Belizar ochłonął w tym uścisku. Był zawsze niezmiernie czuły na okazy sympatii.

— Ach! — zawołał — Ale czy moja służba wie, jakiego ja mam gościa. Czy kucharz potrafi... Czy?...

Chciał wybiedz. Hrabia go powstrzymał.

— Słuchaj. Jeśli chcesz mi dogodzić, to się mną nie zajmuj. Ot! podam ci sposób.

Daj carte blanche dyrekcji mojemu strzelcowi. On wszystko ci zadysponuje i z

pewnością tak, jakbyś ty nie potrafił, jeśli chcesz, bym się czuł, jak u siebie...

— Ach! tak! certainement! wyborna myśl! przywiozłeś strzelca? Tak!

A ja będę

wyłącznie używał w twojem towarzystwie.

Wybiegł, by projekt ten wprowadzić w życie. A Homel, rzucając się na fotel,

szeptał sam do siebie.

— Muszę go dziś najdokładniej poznać. Ten waryat musi mieć swoje słabe strony,

czulsze u waryatów niż u innych. Jeśli te słabe strony chwyć...

wygram!

Zapomniał już chwilowo o Janinie, a przywiązywał się do pośrednich celów.

— Ma bzika — ciągnął dalej w myśli — i bzika swego się wstydzi i wie o nim. To

ważne, to struna, na której wygrać coś można.

Rozglądał się i myślał.

— Lubi dom. To widoczne z rozstawienia tych mebli, z tych obrazów na ścianach,

z tej pewnej kokieterii, prymitywnej jak u jaskółek, usłania sobie gniazda,..

Samiec, który lubi gniazdo, nie sposób, by nie pragnął samicy.

Choćby dla

illuzii artystycznej całości... ha! ha!

Zamyślił się i ciągnął ten monolog mózgu.

— Nic trudniejszego, jak opanować bzika. Jest to olbrzymia odporna siła... Ilu

ich znałem, to byli uparci, zarozumiali, na wpływ nie czuli...

Ale pyszny ruski paradoks, który słyszałem w jakiejś żołnierskiej piosnce,

zaczynającej każdą zwrotkę do słów: "jest ryba na rybę", a ostatnia zwrotka,

kończąca się: "Jest człowiek na człowieka.."

Czyżby się nie znalazł bzik na bzika?

Hrabia już był tak pochłonięty nawijającymi mu się zbiegiem okoliczności

studyami, tak przywiązany do przewyciężenia trudności w
przeprowadzeniu swego
planu, siłą swej psychiatrii, że zapomniał o Janinie, a myślał o
Belizarze.

Wtem tenże powrócił.

— Zrobiłem, jak doradziłeś. Twój strzelec, jakiś wielki pan. niewiem
jak sobie

da rady z moimi drabami... Herbata zaraz będzie. I kolacya... houu...

Belizar mówił to wesoły i ożywiony, ale pionowa zmarszczka, która
zawitała na

jego czole w chwili, gdy się spostrzegł, że hrabia

seryo go ma za bzika, nie zniknął. Była to myśl, która mimo
wszystkiego wciąż go

na dnie, w głębi, mordowała.

Hrabia to odczuł. Postanowił go ująć tą fibrą, którą już w nim w
Mikulińcach

odgadł.

Zaczął go chwytać za serce, wypytując o najmniejsze szczegóły
egzystencji jego,

gustów, stosunków z tą troskliwością przywiązanego kuzyna, z tem
szczerem

ciepłem własnej krwi. Jakże on mógł tak się zaskorupiać, by aż wpaść
w bzika,

on, Belizar, tak wychowany, tak gładki, tak... miły... sympatyczny.

Jakże mógł

się zgodzić z okolicznościami, które na to wpływały. Czemuż nie
szukać wyjścia,

ratunku?

Homel mówił, a Belizar słuchał, pomrukiwał i od czasu do czasu
dziękował za

tyle, tyle dowodów przyjaźni i krewniackiej życzliwości.

Hrabia zmęczony, popijając herbatę, własną herbatę, którą strzelec
zaparzył,

robił się lekkim w tym uporze postawienia na swoim, opanowania
tego człowieka,

o ile by się to dało, dziś jeszcze.

Zapraǳnął widzieć dom w szczegóлах, gdzie spał, gdzie mieszkał, jak mieszkał.

Spostrzegszy, że baron był przywiązany do tego domu, do pamiątek w nim się

znajdujących, podziwiał rozkład fatalny staroświec-

kiego domostwa, entuzjazmował się nad gratami przedstawiającymi wizerunki

Belizarów, to zabrudzone sceny i pejzaże nad komodami, pozbawionemi nóg.

Baron stawał się dlań coraz łatwiejszem studium. Był to stary kawaler i jak oni

przywiązany do skorupy, w której do tego stanu doszedł. Był to exświatowiec,

czuły na maniery, wrażliwy na uprzejmość, bojący się jego rubasznej otwartości.

Był to polski obywatel, zakochany w swych śmieciach, oszczędnością przy

nierządzie, ratujący je od zagłady.

To wszystko Homel notował w pamięci, klasyfikował. Belizar, porwany jego swadą,

ośmielony jego uznaniem, stawał się rozmowny, wylany, jakim go nigdy nie

widział. Spowiadał mu się z całego życia, z otwartością ludzi nie pozujących,

odkrywał mu swe interesa, swe kłopoty, swe aspiracye. Podnieść ukochany

Wybranów, oporządzić to domostwo i dokończyć w niem żywota wśród nabytych i

mogących być nabytymi bzików.

Wtem.

— Teerrrr... rrrach! — zahuczało jakby się dom walił.

Belizar się zerwał na równe nogi z osowiała miną. Hrabia siedział.

Nim z

właściwą

sobie przytomnością ochłonał i domyślił się co zaszło, barona już nie było.

Wybiegi on bezprzytomny i leciał przez pokoje do kredensu z szumem rozpaczliwym w głowie. To dom mu się walił, pewnie lewa przybudówka, która się już dawno rysowała.

W tej przybudówce był kantorek po marszałku Belizarze, bez nóg, ale arcydzieło, którym w ostateczności miał podreparować swe interesy, gdyby już innego środka nie było.

Wpadł do kredensu, gdzie nikogo nie zastał. Wybiegł na podwórze, i stanął jak wryty. Czereda ludzi stała z latarniami nad jakąś czarną masą, a wśród tych brudnych kozuchów i sukman, lśnił mundur strzelca Mikulinieckiego. — Co to? co to? — zawołał na całe gardło. — Oficyna się zawaliła? Ludzie!!

Boże!! Biurko!! Na ten krzyk rozpaczliwy zbiegli się dokoła niego. — To ścięto lipę, co to schła od góry i spróchniały miała pień, objaśniał go

rozczochrany lokaj z radością, jaką tego rodzaju wypadki sprawiają ludziom

prostym, zaintrygowany tym panem, potrzebującym kąpieli, jak ryba wody.

— Lipę! lipę! — powtarzał bezprzytomny Belizar z całym arsenałem złości, w jaką się kiedykolwiek zaopatrzyć mógł. To ścięto mu

lipę, pod którą się wychował, która wprawdzie schła od góry, ale byłaby żyła i

zielonością się pokrywała jeszcze lat dwadzieścia, trzydzieści, póki by żył.

— Lipę — powtórzył groźny — któż śmiał? któż kazał?

— Strzelec!

— Strzelec?

Baron znalazł się naprzeciw niego.

— Nie było sposobu — mówił tenże śmiało — ani polana suchego.

— Ależ... — jęknął Belizar jeszcze z ostatkiem furji, topniejącej pod wpływem

własnych refleksyj, pod wpływem tego munduru ze szlifami, pod wpływem

nadzwyczajnego w Wybranowie wypadku.

— Pan hrabiaby nie usnął... umarł bez kąpieli — zawołał stanowczo i rozstrzygająco strzelec, który w ciągu kilku chwil obserwacji cały charakter

barona odgadł.

Belizar się zamyślił i znacznie natychmiast ochłonął.

— Ach! zapewne... naturalnie.. To nic! Lipa i tak schła...

Powrócił do salonu cały rozstrojony, niezdolny przyjąć kontenansu, któryby był

odpowiednim chwili.

— Cóż to było? — zapytał go hrabia, puszczając kłęb dymu, z tym spokojem,

z tą swobodą wielkopańską na obliczu, na którą w tej chwili może nadto pozował.

— Ej nic... nic...

— Taki trzask...?

— Nic... houn... oun...

Homel się niedostrzegalnie uśmiechnął. Wiedział on, że to zwalono drzewo. A

więc, myślał, Belizar się wstydzi, że u niego niema zapasu, cierpi na tem...

Zanotował to i konkluzję dalsze tegoż w pamięci. To mu było potrzebne, mogło być

użyteczne.

Rozmawiali dalej.

Ale Belizar był już roztargniony. Odpowiadał, pytał, ale myślał o czym innym.

Tacy goście! o takich gościach nigdy nie słyszał. Ścinano mu lipę, pod którą się

wychował, w ogrodzie, w nocy, na ogrzanie wody do kąpieli hrabiego.

Spojrzał na

kuzyna. Zaimponował mu tą potęgą przyzwyczajenia despoty, dla zaspokojenia

którego sługa odważał się na taką awanturę... Ale co, to dalej będzie?

Czy on ma

zapasy? wino? masło? mięso? Jaki pan, taki kram... A takich dwóch...

Jeśliby

dłużej u niego zabawili, toby go zrujnowali. No nic... nie tyle.. ale by on

zwaryował. Musiał radzić, awizować, dziś jeszcze widzieć ekonoma, sprowadzić sąg

suchego drzewa, może dwa...

W rozstroju, przestraszu, zapomniał się i zapytał.

— Taką kąpiel bierzesz codziennie? Hrabia utopił w nim wzrok.

— Jaka kąpiel? — wycedził.

— Hooooouuuuu.. Zdaje mi się, iż robią ci kąpiel...

— Zapewne... Po podróży szczególnie jej potrzebuję i codziennie rano...

Czasem dwa

razy się kąpię. Mam defekt Napoleona.

Belizar nie zrozumiał na razie.

— Defekt Napoleona? — mruknął i podchwycił.

— Chory jesteś...

— Nie chory... — obruszył się Homel — tylko lubię kąpiel...

Zapanowało milczenie. Biedny baron pracował mózgiem, nie przywykłym w

kawalerskiej wiejskiej samotności do żadnych ćwiczeń.

Wtem zerwał się i zawołał z przerażeniem.

— Ale wanna. Wanna? Ja nie wiem czy jest wanna?

— Ja wożę ze sobą wannę.

— Ha! ha! ha! — wybuchnął Belizar śmiechem — wozisz wannę ze sobą?

— Gutaperkową — odparł już zirytowany hrabia.

Znów nastało milczenie. Belizar myślał o swoim. Hrabia o swoim.

Ten ostatni
przerwał ciszę.

— Gdy widzę taki dom, wygodny, przyjemny, gdy widzę w ogóle dom bez kobiety,

bez pani domu, tracę formalnie kontenans. Czegoś mi brak. Na coś czekam.. Co

chwila mi się zdaje, iż ot, zaraz, drzwi się otworzą i wejdzie ze szelestem

sukni dusza tego domu.

.....

Bo dom bez kobiety, jest ciałem bez duszy. Tej nic nie zastąpi. Brak jej odczuje

gość na każdym kroku, w każdym słowie gospodarza, choćby on był jeszcze od

ciebie miłszym i gościnniejszym..

Smutek mnie ogarnia w takim domu bez duszy. Gdzie spojrzę, widzę jej brak. Ot!

patrz! to co? ten śliczny pejzaż, który mi patrzy na Bergehma...

krzywo wisi. A

tu, ten pyszny wazon japoński miałby bukiet Mackartowski, któryby go podniósł i

ożywił.

Belizar chmurny słuchał z przyjemnością i przykrością razem. Hrabia chwalił jego

gniazdo, zauważył obraz i wazon, ale odczuwał brak, z którym on się już oswoił.

Homel widział wrażenie swych słów i dla tego może ciągnął.

— Zapach innyby tu panował. Tu czuć pustką, choć tyle jest mebli i ładnych

rzeczy. Wszystko by to inaczej wyglądało, bo niema mężczyzny, któryby potrafił

owiać gniazdo tą atmosferą ciepła i miękkości. Ja jestem niby artystą,
tak lubię
sztukę, tak dbam... a przecież żona moja musi co-

dzień obiedz apartament i widzi braki, wielkie braki, którychbym nie
spozstrzegł..

Tu kwiat, tu palma, tu inaczej fałda draperyi, tam inaczej fotel, czy
taburet...

— Ach! certainement — podchwycił Belizar z westchnieniem,
pełnym smutku i
goryczy. Jak wszystkie słabsze intelligencye, był czułym na wymowę,
nie zdając

sobie z tego sprawy. Gdy Homel mówił, wierzył mu ślepo, co nie
przeszkadzało, iż

najczęściej powracał do siebie, do swoich poglądów, gdy Homel
mówić przestał.

Około północy się rozeszli. Hrabia do wanny. Belizar zaś rozstrojony,
niby

zadowolony z wizyty, a przestraszony nią, kontent z tego i owego, a
zafrasowany

tem i owem, postanowił jeszcze zwołać sessyę administracyjną nad tą
wizytą,

zaczynającą od walenia lip.

Ale może, nie to tyle go już teraz trapiło, ile to, co mu rozmowa z
kuzynem do

myślenia dała. Ludzie jego pokroju, nie lubią być myślą
skierowanymi na samych

siebie. Belizar cierpiał gdy musiał przebiegać swoją przeszłość,
prowadzącą do

teraźniejszości, którą nazywał "zmarnowaniem życia."

Lepiej mu było nie zastanawiać się nad tem. Wolał to. A tu Homel,
jakby

najwprawniejszy chirurg, pootwierał mu wszystkie rany, zabliznione i
blizniące

się. A szcze-

gólnie go to bolało, iż ten jego ukochany Wybranów nie miał duszy,
że na
pierwszy rzut oka sprawiał to wrażenie. Cóż jemu dziś pozostawało,
jak nie te
cztery ściany domu? Dlaczegożby ten dom nie mógł tętnić pełnem
życiem, w
którymby nikt nie odczuwał braku, nie czekał, aż się te czy owe drzwi
otworzą.
Usypiał ciężko i sam sobie się dziwił. Mniej mu bowiem spać nie
dawała ścięta
lipa, niż myśl trapiąca czy już nie było zapóźno dać Wybranowowi
dusze, dzwonowi
serce...
Stanowczo goście nie byli jego żywiołem. Tacy goście, zadający tyle
mózgowi
pracy, tyle pytań, pragnień i wątpliwości. Sam o tem nie myślał. A
powtóre Homel
mu powiedział wyraźnie, że miał bzika. Bzika tego przypisał
celibatowi. On
rzeczywiście miałby bzika?...

.....
.....

Usnął nad ranem, gdy w domu już dawały się słyszeć pierwsze
przebudzenia służby,
zelektryzowanej nie bywałym najazdem.
Usnął, pierwszy raz od niepamiętnych czasów nie naturalnie, jak
zawsze, tylko od
nadmiernego znużenia myśli, rozsadzających mu głowę.
Hrabia za to spał dobrze. Kąpiel się udała, a był najlepszej myśli co do
przyszłości. Fizjonomia Belizara stawała się dlań otwar-

tą książką, w której wiedział, co na której stronicy znajdzie. Zdawało
mu się,

iż uchwycił te druty baterii, którymi działając, zrobi z baronem co zechce.
Dziwił się tylko nad fenomenem, jakim mu się zdała być okoliczność, że działanie na ludzi słabego charakteru, bezwolnych o tyle było trudniejszym od poruszenia ludźmi zdrowymi i silnymi.
Nazajutrz obaj tak uczuli się zmęczeni, iż nie poruszali kwestii, zobopólnie ich tak trawiących. Hrabia, ile razy sobie przypominał, iż godziny jego były w Wybranowie porachowane, obiecywał uderzyć z zdwojoną siłą w chwili, w której poczuje w sobie boską iskrę talentu.
Ta chwila nie nadchodziła. Nie sprowadził jej nawet doskonały obiad, bo Belizar przerażony wypadkiem lipy, poruszył! wszystkie sprężyny, aby nie dać okazji gościom dysponowania czegoś na własną rękę. Nie przyśpieszyło jej cygaro, które baron zachował z podróży swej ongi do Kuby.
Dopiero gdy wniesiono wieczorne światło, poczuł, że potrafi dłużej i wymowniej mówić.
— Drogi Eustachy — zagadnął — gdybyś i dziś kazał twój salon oświecić jak wczoraj.
— Houuu... certainement... taki gość.
— Wart tyle przecież, co fikcyjni...
Gdy więc zapłonęło kilka lamp w kom-

nacie, a ogień buchnął na kominie i pryskiem zaczął głuszyć świszczanie jesienno wiatru, Homel zaczął.
— Im dłużej tutaj jestem, im się lepiej dokoła siebie rozglądam, im bardziej w

sposób twego życia i w jędro jego wnikam, tem więcej czuję ten straszny brak,

którego ty i Wybranów twój, padacie ofiarą, brak kobiety!...

Belizar się zaraz nastroszył i ściągnął brwi pionową zmarszczką,

Homel zaś

mówił:

— Jeśli w Mikulińcach na oślepek tylko idąc, opierając się na ogólnych danych i

motywach, pragnąłem cię ożenić, to dziś poznawszy cię, na twoich własnych

śmieciach, zmusiłbym cię do ożenienia się, gdybyś się zmusić dał.

— Ach! certainement...

— Żona ci jest nieodzownie potrzebną, nieodwołalnie, jak najprędzej...

Daruj, że tak otwarcie do ciebie mówić • będę. Przysługuje mi to prawo, jako

krewnemu i jako autorowi, z którego poglądami, tysiące ludzi się rachuje...Żona

ci jest gwałtownie potrzebną, jako mężczyźnie w sile wieku i jako właścicielowi

Wybranowa.

— Jako właś...cicielowi Wy... ?

— Tak mój drogi. Sam mi opowiedziałeś wczoraj opłakany stan twych interesów...

Czyż przypuszczasz, że przyczyną jego nie jest twój stan kawalerski?

— Ha? — zaśmiał się Belizar, jakby Homel mówił paradoksy.

— Tak! mój drogi. To jest przyczyną. Świat spoczywa na harmonii.

Natura, chcąc

ludzi zrobić jej posłusznymi narzędziami, tak genialnie rozporządziła rzeczami

tego świata I wyda ci się paradoksem, gdy ci powiem, że natura żąda, by w tym

domu było dwoje, a nie jedna istota. Gwałcisz to prawo natury, ona się mści na

tobie. Odbiera ci zdolności, trzeźwość, trafność, że tak powiem, twego

celowania, którąbyś miał ożeniony. Widziałem to niejednokrotnie.
Fortuna, która
upadała pod zarządem kawalera, rosła i wystarczała na dwoje
konsekwencyą
dualizmu... Inaczej być nie może. Małżeństwo jest prawem natury,
albo niem nie
jest. Jeśli jest prawem takiego mocarza jak natura, to go zapoznawać
pod groźbą
zagłady nie wolno. A że jest prawem, chyba nie wątpisz...?
Belizar wyglądał przekonany na razie. Opuścił głowę i pomrukiwał,
kręcąc ręce,
co było już oznaką wielkiej wewnętrznej walki.
Homel widział się nadspodziewanie prędko zyskującym pole. Trzeba
było teraz
uderzyć

i ogłuszyć go czymś, jakby zachwianego nieprzyjaciela hukiem
baterii.

— Bzik twój, bo twój frak wczorajszy dowodzi poprostu bzika, jest
oznaką
dekadencji twej istoty, czego przypisać niczemu nie podobna, tylko
celibatowi.

Czy myślisz, że człowiek mający choćby tylko takiego, tak
niewinnego bzika, może
w pełni używać wrodzonych sobie zdolności, że te nie uległy już w
dużej części
zanikowi, lub przemianie?

— Ah! certainement — bąknął Belizar, doznający wrażenia, jakby go
brano na
średniowieczne tortury, bez pociechy bronienia się i choćby
dobrodziejstwa
krzyczenia.

Widział to i Homel i podchwycił.

— Czy sądzisz, że to nie ten bzik, który ci odebrał jasność poglądów
na interesa

do tego stopnia, że sobie wyobrażasz, iż tak piękny majątek, jak
Wybranów, nie
wystarczyłby na utrzymanie dwojga ludzi?...
Czy sądzisz, że nie te motywa, które cię tego bzika nabawiły, zatraciły
w tobie
talent widzenia, czego ci właściwie do szczęścia potrzeba, jaka
właśnie kobieta
by ci odpowiadała...
Tu Belizar podniósł na kuzyna oczy pytające, bo nie rozumiał do
czego się ta
alluzja odnosiła. A pragnął już rozumieć, zrozumiawszy wreszcie w
swem
kolosalnem

zgnębien u, że w słowach Homla mogła się mieścić prawda.
— Tak! Gdyś mi odpowiadał lata tego, w Mikulińcach, że Kolońską
nic jest żoną
dla ciebie, ulegałeś właśnie temu kusicielowi, którego w człowieku
budzi zła
siła, walcząca z naturą. Ona właśnie jest żoną dla ciebie! Energia jej,
dowcip,
rozum, wesołość są elementami, których brak w tym domu niemal
gwałtu wola,
których brak pograżył cię w zdriczeniu, rdzy, pleśni, a Wybranów w
materiałnym
letargu.
Belizar czerniał w oczach Mówiono mu u niego w domu, grube
nieprzyjemności
stylem jasnym, którego już samego z natury nie cierpiał, jako
wychowawiec dawnej
szkoły, do którego nikogo nie upoważniał, będąc właśnie dla tego
instynktem tak
cukierkowaty.
Ale hrabia czuł, że nieprzyjaciel wysiłony, zmiażdżony, aby ocalić
poprostu

życie, bo Belizar bał się uderzenia do głowy, podda się niebawem.
Ciągnął więc.

— Doprawdy! Przypominając sobie wszystkie niewiasty, jakie
znałem, nie widzę
typu kobiety bardziej odpowiedniego dla ciebie, do twych stosunków,
do tego
majątku, do tego domu, do tych okoliczności dopasowanego. Ty już
dziś
potrzebujesz kobiety z charakterem i wolą, z doświadczeniem

rozumem życia. Gąskaby wzięła na seryo tve bziki, a tu potrzeba, by
je

zrozumiała w ich genezie, zwalczyła je.

Belizar, czarny od napływu krwi do głowy, zerwał się.

— Na miłość Boga! — zawołał — przestań! Masz słuszność.

certainement.. masz

zupełnie słuszność.

— Tylko?

— Nic!

— A więc?

— Ależ.. houu.. Jestem gotów się ożenić, jeśli mnie zechce jeszcze.

Ale daruj,

że dłużej słuchać nie mogę. Masz słuszność! wszystko to pewnie

prawda, ale...

ale...

Homel powstał.

— Ależ wolę ci być przykrym, niż dopuścić, byś się zmarnował,

zmarnował z

kretesem.

— Jaki ty dobry...

Uściskali się i Belizar podchwycił — Masz indywidualny sposób
mówienia.

Przekonywasz.. Ale to tak przykro dla przekonanego. Zapewne,
certainement, w

skutek tej samotności, tych interesów, tego kawalerstwa wreszcie...

mam może i

bzika...

— Rozróżnmy. Bzik, a bzik to dwa... — podchwycił z werwą Homel,
— ale
najmniejszy bzik jest symptomem nieporządku w mózgu, jest więc
groźnym..

— Ależ zupełnie się zgadzam... Postąpię, jak mi doradzisz... jak
zechcesz —
mówił osłabłym głosem, macając się po głowie, chodząc po pokoju, z
nieopuszczającym go pionową zmarszczką na czole.
Hrabia odetchnął Zwyciężył! Wygrał!
Ale ta wygrana jakże daleką jeszcze była od wygranej projektu. Jakże
daleko był
od tego, co przecież nastąpić musiało, do tego by Belizar jutro
najdalej opuścił
Wybranów i z nim razem pojechał do Warszawy.
Trzeba byto jak najprędzej działać, ale już sił nie miał. Zresztą i bał
się o
kuzyna, odchodzącego od zmysłów. — A może mu noc przyniesie
jaki genialny
pomysł, uwalniający go od tego kucia, jak w kamieniu.
Rozeszli się.
Baron wezwał do siebie ekonoma.
— "Istna zagłada" — mówi! tenże, opowiadając mu straszny bezład,
jaki zapanował
we wszystkich dykasteryach gospodarstwa w Wybranowie z powodu
tych gości —
"Istna zagłada". Dziś stanął z młócarnią, bo mu konie zabrali po sagi.
Konie
były niekute, a tu gruda wzięła w nocy, drugą parę więc posłał po
żelazo na
podkowy, jeśliby znów jutro byt taki rozgoń. Trzecia furmanka
chodziła po węgle
do samowara, bo osobny człowiek nie mógł dodmuchać ognia "Istna
zagłada" taki
pan, co cały dzień potrzebo-

wał samowara. Czwarta furmanka spędziła do pian konie po mięso.
Młynkować kim
nie miał, bo mu dwie dziewczki wzięto do noszenia wody. "Istna
zagłada" nie
słyszał o czymś podobnym, by mężczyzna siedział w wannie pół dnia i
to w
ukropie".
Kłaniał się i przeproszał pana barona, bo słyszał, że to miał być bliski
krewny
dziedzica, ale nie mógł się powstrzymać od wypowiedzenia swego
zdania. Jeśliby
ta wizyta dłużej potrwała, stanął by ze wszystkim. "Pan, jak pan, ale
ten
strzelec w złocie, który od rana jadał bifsztyki, bifsztyki! istna
zagłada!
Sodomija!!!..."
Belizar słuchał i zdawał się być zupełnie zdania ekonoma. Ale
tymczasem trzeba
było dawać radę temu zamieszaniu, jakie sprawił przyjazd dwóch
ludzi. Polecał
cierpliwość i baczność. Nużby mu jeszcze spalili drugą lipę, albo
miało im
brakować na czym?
Nie!
Ale sam myślał w duszy, że hrabia by mógł odjechać. Gdyby on był
wielkim panem,
gdyby miał tak urządzony dom jak w Mikulińcach...
Wszakże był kuzynem jego, człowiekiem tego samego świata, a taka
przepaść ich
dzieliła pojęć, gustów, przyzwyczajień..
Czy i tego, niepowiedziałyby Homel, przyczyną był jego stan
kawalerski, jego
bzik?

Ależ naturalnie, że gdyby Wybranów miał panie domu, składniej
byposzła taka
awantura, jak przyjęcie Homla.
No... ale toż Homel, to raz we sto lat, raz na życie... się trafia.
Rady sobie dać nie mógł. Noc już była późna, a rozczochrany lokaj co
chwila
wpadał i przerywał mu zadumę nad tym ogromem poruszonych w nim
przez kuzyna
wrażen, to żądaniem, to zapytaniem.
Jaj brakło szafarce, bo kucharz ich wziął już czterdzieści do bułeczek
tylko,
które świeże być musiały co rano. To znów coś podobnego.
A tymczasem Homel usypiał. A usypiać on lubił, podczas gdy mu
strzelec opowiadał
różne wypadki dnia. Ten człowiek, bujający zawsze w abstrakcyi,
lubiał czasem w
Mikulińcach pałacowe bajki, kto się żenił, kto kradł, kto co mówił,
które mu
chwilami przypominały, że życie i z takich małości 'się składało.
Strzelec mu prawił o Wybranowie, o nieporządku, jaki w nim
panował, o popłochu,
jaki wzniecił ich przyjazd, o ekonomie prawiącym "że jego pan tego
długo nie
wytrzyma", o oszczędności bajecznej Belizara, o braku wszystkiego,
najzwyklejszego, najprostszego.....

Hrabia słuchał prawie z ciekawością tych plotek.
Czyżby i one nie dały się w tej kampanii zużytkować? czyżby i w nich
nie znalazł
podsytu dla ogniska, które rozdmuchiwał?
— Więc twierdzisz — zapytał — że jesteśmy ciężarem?
— Ależ naturalnie! Jeśliby pan hrabia tak dłużej tu zabawił, toby
wszyscy
ustali. Co to! Ludzie niezwyčajni. Ot! byle im dzień zeszedł. Nie
mają pojęcia,

co to dworska służba. Stary kucharz tak się wścieka, że obiad o szóstej, iż
niewiem, czy się jutro nie upije na zabicie sprawy. A i brak, niedostatek, czy
taki zwyczaj. Rosół robią z funta mięsa, a i to mięso idzie na stół. Gdy powiedziałem, że pan hrabia lubi rosół jak rosół, jak w Mikulińcach, z drobiu i
wołowiny, za głowy się chwytał...
Homel już nie słuchał dalej. Kombinował. Passyami lubiał farsy. Tu się
natrafiała sposobność zrobienia farsy, mogącej mu być pomocną.
Piąte już przez
dziesiąte słuchał, a myślał jakby tu udzielone mu wiadomości wpleść w sieć,
którą plół na złapanie w nią Belizara.
Na drugi dzień rano przywitał kuzyna ze swym uśmiechem enigmatycznym.
— Wiesz drogi. Aby do końca doprowadzić dzieło twego odrodzenia i zbawienia,

postanowiłem nie wyjeżdżać ztąd, aż z tobą. Wyjedziemy razem i pojedziemy prosto
do Warszawy.
Belizar, który po wyspaniu się, wyglądał ochłonięty z wczorajszych przykrych
wrażeń, w jednej chwili przywołał na swe czoło pionową zmarszczkę.
Ale się uśmiechnął z takim wyrazem, iż aż do śmiechu pobudził Homla.
I wysiłkiem ściskając dłoń jego, mówił.
— Houu... ouu... jakże dobrze, comme je suis heureux...
Ale dokończyć nie mógł. Dławiło go.
Jakto? Siedziałby tak długo, aż by on się nie zebrał na wyjazd w konkury?.....
Zimno obiegło mu całe ciało. Wyjechać zaraz absolutnie nie mógł.
Gościć Homla

dłużej, dłużej? może tydzień? Nie miał pojęcia, jakby to było
możliwym. Ludzie
by mu się rozbiegli.
Był poprostu nieszczęśliwy. W ciągu nocy pogodził się był z losem.
Pierwsze
słowa Homla pograżyły go też w wczorajsze apoplektyczne
usposobienie. Co on
pocznie? co on pocznie? W podobnej pozycji był temu kilka
miesięcy, w
Mikulińcach. Uciekł wtedy... Ależ on dziś od siebie uciec nie mógł.
Homel raz, gdy kuzyna poznał, zdefiniował i zanalizował, zdawał
sobie sprawę ze

stanu jego. Widział, jakie męczarnie przechodził ten słaby, bezwolny,
a uparty
charakter, ta powolna inteligencya, ta apatyczna dusza.
Ale sobie z tego nie wiele robił w swym egoizmie sybaryty, w swej
wyższości
człowieka, przywykłego do zginania ludzi, siłą zaczerpaną w poczuciu
ich samych.
Cóż go to mogło obchodzić, iż Belizar od zmysłów odchodził? On za
dwa dni musiał
z nim razem być w Warszawie, jeśli spotkanie z Janiną miało się
odbyć
naturalnie, po jego myśli, nie zmuszając go w niczem do roli, która
dlań by nie
wyglądała dobrze napisaną.
Po śniadaniu zagadnął kuzyna.
— Zawsze się namyśl i powiedz mi jak długo będę na ciebie tu czekał.
Mam
interesa. Potrzebowałbym puścić kilka listów depesz! Mam nawet za
dwa dni termin
w Warszawie,
"Termin w Warszawie" powtórzył w myśli Belizar radosną nutą.
Może go ten termin
zbawi?

— Jeśli masz termin... malheureusement — podchwyci! — ja
sądziłem przecież, że u
mnie dłużej zabawisz... to się umówimy... houu.. i zjedziemy kiedy w
Warszawie.
Homel gwałtownie przerwał.

— O! żadne "kiedy". Nie cofam się nigdy. Powiedziałem ci, że nie
wyjadę, tylko z
tobą. Jeślibym miał nawet termin chybić, to dziś zaawizuje. Dasz mi
posłańca na
telegram.
Każde słowo odbijało się bólem po wnętrznościach Belizara. On
myślał depesze
puszczać z Wybranowa, odległego o mil pięć od stacyi telegraficznej.
Ależ
wszystko było możliwem dla człowieka, który bez namysłu, bez
zastanowienia, w
bezleśnej okolicy, spotrzebowywał do wanny i komina pół saga
drzewa dziennie, po
które się jechało cztery mile, dwoma furami.
— Houu... ouu... — zamruczał prawie groźnie pomadkowy dotąd
baron.
Nie odparł nic, tylko się ujrzał jakby nad jakąś przepaścią, którą
przeskoczyć
musiał, on pięćdziesięcioletni baron Belizar, spokojny,
niezdecydowany, niezdolny
dziś do postanowień, zmian, przewrotów. Mózg jego pracował.
Wymyślić coś musiał,
bo jechać teraz... zaraz... nie chciał, bo Homel nań czekać nie mógł,
bo i on
przymusu nad sobą nie cierpiał.
I bawili dalej razem, rozmawiali — Homel jakby pewny rezultatu,
tylko nieco
nerwowy z powodu jego nienatychmiastowości. Belizar, co chwila
pograżający się w
zadumie nad tą nurtującą go myślą, co wreszcie

znajdzie, by zyskać zwłokę Już przypuszczał, że się zdecydował
ożenić z
Kolońską, już przypuszczał, że się zgodził na wszystko. Chodziło
tylko o
zyskanie zwłoki. On absolutnie teraz jechać nie mógł. Miał interesa,
wyłaty,
terminy. Miał wreszcie choćby tylko doprowadzenie do porządku
domu, po wizycie
Homla.
Ten, całą tę wewnętrzną, skupioną pracę, nurtującą Belizara, widział i
zdziwił
się niepomiernie, gdy podczas obiadu człowiek ten nagle całkowicie
się zmienił i
zwyczajnego samego siebie, pogodnego, spokojnego odzyskał.
Czyżby z właściwością słabych natur poddał się po refleksyi?
Po obiedzie też zaraz zagadnął.
— A więc wyjeżdżamy kiedy?
Belizar najpogodniej, bez namysłu zaczął.
— Powiem ci szczerze, iż wyjechać nie mogę.
Tu zrobił minę prawie figlarną, mówiącą jakby z tryumfem "Widzisz,
bratku, że
znalazłem sposób wymknięcia ci się". I ciągnął.
— Przecież chcesz, bym zaraz zaczął staranie się en règle. Wyjechać
bym więc
musiał na dłuższy pobyt w Warszawie, nieco się wykwipować. A
tutaj na dłuższy
czas, terminy.... houu... koszta zabezpieczyć.
Mówił powoli, jak człowiek, który się mó-

więc zastanawia, który na seryo wziął cały plan Homla.

— Staranie się choćby najskromniejsze — ciągnął — jak w moim
wieku i mojej

pozycji materialne przystoi, pociąga pewne koszta, pewne większej wydatki.....

Homel się zniecierpliwiał tym tonem, tym spokojem.

— A więc? — przerwał

Belizar ani drgnął, tylko mina jego, niemal tryumfująca swym spokojem i pogodą

oblicza bez śladu pionowego zmarszczka, wypogodziła się jeszcze, a głos nabrał

pewności.

— Teraz.. chwilowo. jestem bez grosza. Za jakiś tydzień.. dwa będę miał pierwsze

wpływy — tu zmienił ton, prawie zakipiał radością na widok wyraźnej decepcji na

twarzy hrabiego i pośpiesznie, nienaturalnie prędko, ciągnął:

— Wtedy ci zatelegrafuję, zjedziemy się gdzieś i pojedziemy.

Nastąpiło milczenie

Belizar wstał i przechadza} się po pokoju, posuwając jakby w polonezie, po

posadzce od czasu do czasu, lewą nogą. Homel znalazł to polonezowe pas, udzielające

się nogom barona w chwilach wielkiego zadowolenia. To

zadowolenie go poprostu do

ekzasperacji doprowadzało

Belizar tryumfował. W swem olbrzymim poszanowaniu pieniędzy, które nabył w

ostatnich dziesięciu latach w Wybranowie, w walce o ten grosz trudniejszy na wsi

niż gdziekolwiek, nie widział rady na taki argument.

Nie przypuszczał nawet, by genialny Homel argumentu tego nie uznał, by czołem

przed nim nie uderzył, by środek wyjścia znalazł.

Przecież tu środka nie było Nie miał grosza, cóż więc naturalniejszego, jak że

musiał nań czekać jakieś głupie dwa tygodnie. A żeby zaś hrabia chciał w

Wybranowie siedzieć dwa tygodnie, to mu także w głowie się nie mieściło.

Tryumfujący, tak tryumfujący, iż bezwyraziste jego oblicze było łuną zadowolenia, iż nie spostrzegął, że się zdradza swem polonezowem pas, spacerował

po sali i nie widział, jak głęboko, wyteżajaco myślał Homel.

Dopiero głos hrabiego wyrwał go z zadowolenia ze siebie.

— To głupstwo! — rzekł Homel tonem, zdradzającym wielką przebytą w mózgu walkę —

to głupstwo! — powtórzył.

Belizar stanął jak wryty. Cóż on wymyślił?

Homel ciągnął.

— Nie mogę cię zostawiać po tem, co widziałem. Ten frak mnie seryo nastraszył.

Brak pieniędzy jest głupstwem wobec takich okoliczności. W

Warszawie będę ci

służył jakiemiś dwoma tysiącami rubli. Nie mam ich tylko przy sobie.

Belizar chciał mówić, ale hrabia nie pozwolił.

Przysługę taką przyjąć musisz od tak bliskiego, jak ja, kuzyna. I

proszę cię,

nie krępuj się nią. Czy mi oddasz i kiedy, to mi obojętne. Nie mam

dzieci na to,

by właśnie, w takich poważnych okolicznościach, móżdż pomóżdż

bliskim.

Belizar stał oniemiały. Myśli mu się plątały. Tego nie przypuszczał w swem

poszanowaniu grosza. Jeśli Homel, który bardzo dużo wydawał, który nie był

nababem, który, jak wiedział, nie odkładał, dawał, dawał poprostu od słowa dwa

tysiące rubli, to chyba okoliczności były poważnemi. On był

zagrożony bzikiem,

prawdziwym bzikiem, a Homel bzika kuzyna mieć nie chciał.

Dłużej nie myślał. Taki krok, czuł, paraliżował ostatecznie jego opór.

I z

błyskawiczną decyzją, pospolitą ludziom słabym, do muru

przyciśniętym, odparł.

— Ach! certainement!... nie przypuszczałem byś był dla mnie tak dobry...

— Nie mówmy o takim głupstwie. Jedziemy?

— To mi jedno przeszkadzało. Jestem a vos ordres.. Tylko nie myśl... bo

rzeczywiście...

— Eustachy! obrażasz mnie. Wszakże cię znam i wiem, że możesz być a court,

jeszcze w tych czasach, w takich czasach.

Nazajutrz wyjeżdżali.

Homel już zamyślony nad tem, co i jak dalej działać będzie. Z chwilą, gdy

kampanią przedwstępną ukończył, narzuciła mu się Janina, opanowało go jej pełne

czaru, wspomnienie. Czy ją znajdzie taką samą? W jego wieku

mężczyzna jest tak

wymagającym. Zapały jego niweczy byle co...

Belizar zaś poddany pokornie przemożnej sile.....

Cały personel Wybranowa wyległ przed dwór, gdy mieli wsiadać do powozu. Każdy w

tym wydmuchu, był ciekawy tego hrabiego, co żył w wannie i to w wannie, która

się mieściła w kufierku.

"Istna zagłada" szeptał ekonom, przypatrując się Homlowi i usiłując sobie wbić w

pamięć rysy tego człowieka, który go przez trzy dni pozbawiał sutej jajecznicy u

szafarki, a mógł tak łatwo dalsze jej spokojne spożywanie, rujnując Belizara,

podminować.

W dwadzieścia cztery godzin później, sta-

nęli w Warszawie. A wkrótce potem zameldowali się Kolońskiej.
Wybiegła na ich spotkanie wbrew miejskiej etykiecie, rozrzucana,
promienna,
szczęśliwa i w swem szczęściu, siać szczęście pragnąca.
— Les beaux esprits se rencontrent — były jej pierwsze słowa —
Janyna
przejeżdża dziś wieczórrr...
I w swem szczęściu zapomniała się aż do utraty subtelności zmysłu
etyki,
wrodzonego każdemu, a przecież nawet w high-life pospolitemu.
Czem prędzej
uprowadziła Homla do przyległego salonowi buduaru i podnosząc doń
swą główkę
Greuza, a wspinając się na palcach do olbrzyma, szepleniała:
— Gdy dostałam wczorra pana depeszę, zatelegrafowałam do Janiny
zaraz "modystka
od jutra wolna cię czeka". Prawda, że doskonale? Tadeusz zje diabła,
nim się
domyśli, kto to ta modystka.
Homel uśmiechnął się swym wyrazem cynizmu i ironii, pokrytej
niesmakiem.
Mogła się obejść bez tej informacji.
On tak nienawidził braku poczucia piękna i etyki u ludzi. On za nich
cierpiał.
— Dos... konale... — wycedził z przymusem.

XII.

Pierwsze spotkanie Homla i Janiny miało miejsce nazajutrz wieczór u
Kolońskiej.
W jej saloniku utworzyły się dwie pary w przeciwległych kątach.
Siedząc na

niskich kanapkach, za stolikami, na których stały dwie jednakowe lampy przyćmione prawie zupełnie tak modnemi wówczas abat-jourami, szeptali. Szepty te, niezdradzające tonu mowy, przerywały tylko głośniejsze wybuchy swady Belizara i śmiechu Kolońskiej. Hrabia, który z trwogą przed chwilą wchodził do tego mieszkania, z trwogą zaznania rozczarowania, wlepił swój wzrok w naiwne oblicze młodej kobiety i z radością i z przestraczem, najwyraźniej odbijającym się na jego obliczu, sprawdzał, że nie tylko Janina go nie rozczarowywała, ale że jeszcze więcej niż kiedykolwiek go pociągała. Przestracz go ogarniał, który z właściwą mu łatwością przypatrywania się samemu sobie, doskonale odczuwał i rozumiał.

Jeśli ta kobieta, pod wpływem jego, uległa takiej metamorfozie, że tutaj w Warszawie z nim się zjeżdżała, pozostawiając w Bonarce w błogim spokoju "kochanego Tadeuszka", jeśli więc z tem rozpromienieniem na obliczu rzucała się w kręte drogi zakazanej miłości, to chyba dalszy przebieg dziejów tego romansu, będącego właściwie u swej pierwszej etapy, od niego tylko zależał. A jeśli od niego zależał, to zaiste nie miał się ograniczyć na herbatce u Kolońskiej, ani na pozorach romansu, zadawalniających pewne kobiety i pewnych mężczyzn. Musiał przejść wszystkie swoje fazy i paroksyzmy, bo tak on, jak i ona, rzucali się w ten labirynt romansu wzbronionego, by tych, a nie innych

wrażeń zażyć.

Dla niej były one upragnione, te nieznane wrażenia. Dla niego, jakkolwiek nie miały uroku świeżego i nieznanego owocu, miały jeszcze potężniejszą moc, zaczerpniętą w namiętym pragnieniu przeżycia jeszcze raz tych kilku momentów, które według niego właściwie życie stanowiły. Przestrasch i radość gościły w jego sercu. Miał ja już, miał ja bezsprzecznie, miał moralnie całą tę Janinę. To mu na razie aż nadto wystarczało. Nie będzie młodzikiem i nie będzie przyśpieszał chwili, tak podobnej delikatnością swego smaku do dojrzałego

owocu. Niechby ona jak najpóźniej przysłała, niechby ich zobopólnie rzuciła sobie w objęcia, ją rozkochaną tak, jak nigdy, jego, jakkiedyś. A więc jeszcze mógł kochać i być kochanym. Ale ta chwila nadejść musiała, jak musi wyrosnąć na łądydze kwiat. A ta chwila stanowiła jądro jego trwóg. Gdzie go zaprowadzi to uczucie, które w jego wieku ogarnia dopiero wszechwładnie i szalenie niemal mężczyznę, w chwili, gdy posiadzie ukochaną kobietę? Gdzie ono zaprowadzi Janinę, należącą do tej niebezpiecznej kategorii kobiet, co w szale tylko upaść mogą? Jakże on się wywiąże z obowiązku, który względem niej wcześniej, czy później zaciągnie, on kochający tem uczuciem głębokim, tak częstem w małżeństwie, co w większej ilości wypadków, robi się podobnem do wygasłego wulkanu, o istniejących przecież w jego głębi lawach.

Co ona pocznie, gdy szal minie, czar pryśnie, gdy w swej kobiecej,
niepopsutej
światem uczciwości, zobaczy się w Bonarce ze swym Tadeuszkiem,
oburzającym ją
tem właśnie, że jej upaść pozwolił.
Gdyby tyle tylko.
Ale przestrach mieniący uśmiechniętem obliczem hrabiego szedł dalej
jeszcze.
Ileż to romansów widział tak się zaczynających od posie-

dzenia na kanapce pod różowem światłem lampy, a wkrótce potem
druzgoczących nie
serca jednostek, lecz egzystencje rodzin i domów.
Jego żona nie należała do kobiet, co się godziły z zasadą wolności
mężczyzn.
Tadeusz Bonar zaiste nie należał też do mężów, jakich w świecie
spotyka się
często, a w Bonarkach rzadko. On by nie wyrozumiał Janiny, bo by
mu trudno było
tylko uwierzyć w możliwość jej występku.
To komplikowało pozycję,
I Homel wpatrzony w naiwne, młode, szczęśliwe oblicze Janiny,
patrzące nań
duszą, którą on pierwszy popsuł, prawiając jej oszołomiające ją,
umiejętną
modulacją głosu, a potężniejsze jeszcze uczuciem, komplementy, miał
ochotę i
urwać i krzyknąć:
— Kobieto! Jeszcze czas! Nie wiesz nawet, po jaki ręką wyciągasz
kwiat. Kwiat,
który ci się zdaje łatwo dosięgnąć i zerwać, a ten kwiat przecież niema
łodygi
ani korzenia i z przepaści wychyla do ciebie swój złudny choć barwny
i wonny
kielich...

Ale jej tego nie powiedział, tylko jej dalej prawił, jak bez niej w Mikulińcach
żyć nie mógł, tylko ją osidlał coraz gęstsza i misterniejsza pajęczyna złotej
sieci miłości. Tę pajęczą siatkę, tem silniejsza, im pozornie cieńszą,
tem
misterniejszą, im na kanwie głębszej znajomości ko-

biety osnutą, umiał ją ongi zarzucać. Zarzucał ją niejednokrotnie i z powodzeniem, gdy serce jego nie wzbierało ogniem uczucia, gdy omotywał kobiety,
umiejące jak ryby wyslizgiwać się pomiędzy oczka najgenialniejszych sieci.

Czyż choćby chwilę mógł wątpić, że nie usidli Janiny?

Ta pewność siebie, której naturalnie głos jego nie zdradzał, sprawiała tylko, że

złotą siatkę mógł snadniej zarzucić.

Janina słuchała. Słuchała jak on ją kochał. Ona nie miała pojęcia o takim

uczuciu, które odgaduje tajne myśli, przebija odległości i ściany, które potrafi

taką błogością napełnić serce kobiety, tak zadowolnić jej miłość własną, które

tak łatwo jej pozwoli ujrzeć się na piedestale.

Jakże on ją kochał, by rozumieć i tłumaczyć własne jej psychiczne zagadki, by

tak się w nią wżyć, by znać, godzina po godzinie, minuta po minucie, wrażenia,

jakiemi w ciągu tych dwu miesięcy w Bonarce żyła.

Cóż wobec tego uczucia znaczyło uczucie Tadeusza, który nigdy nie odgadł żadnego

jej pragnienia, który czasem jeszcze jej nie rozumiał, gdy doń wyraźnie mówiła,

jeśli to, co mówiła, wchodziło w sfery jej kobiecości.

Ależ, gdyby ona nie była go spotkała, tego Homla, byłaby nigdy nie zaznała uczuć

które takim pełnym melodyjnym koncertem grały teraz w jej duszy,
wyobraźni i
zmysłach.

Słuchała tylko, a on się z łatwością belletrysty przerzucał z tematu na
temat, a

każdy temat logicznie musowo i konsekwentnie prowadził do
rezultatu, że ona się
w nim kochać codziennie silniej musiała.

Nie przeczyła nawet.

— A teraz — podchwycił hrabia ze swym enigmatycznym uśmiechem
na ustach —

przystąpmy do tego przedmiotu, który nas tu sprowadził.

Janina spojrzała zdziwiona. On ciągnął.

— Mówiła mi panna Kolońska, żeś przybyła do Warszawy pod
pozorem remontowania
toalety...

— Pod pozorem? — przerwała czerwieniąc, pomieszana do
niewypowiedzianego
stopnia pani Bonar.

Czyżby ją ta waryatka zdradziła? Tobo było...

Homel parsknął śmiechem i zawołał.

— Przecież przybyłaś, bo modystka pani, która dotąd była zajęta —
od wczoraj
ukończyła swe obstalunki.

— Tak! — szepnęła Janina, wlepiając badawczy, podejrzliwy wzrok
w Homla. Ją ten

wyraz enigmatyczny jego szczerze trwożył i zastanawiał.

— A więc — podchwycił hrabia — poz-

wólże pani, bym ci dał kilka rad. Sztuka ubierania się, jest sztuką i
wchodzi w

zakres sztuk pięknych. Znam się więc na niej. Znam podwójnie, gdy
chodzi o

panią. Całym tajnikiem, którego żadna nie posiada kobieta, jest sztuka ubierania

się odpowiednio do swego indywidualizmu. Strój ma nie tylko harmonizować z

ciałem, ale musi uzupełniać artystycznie duszę, charakter, indywidualizm, musi

je stroić odpowiednimi barwami i materiałami, odpowiednim krojem i fasonem.

— Ależ mówiłeś pan, że tego talentu żadna nie posiada kobieta, a przecież

spotykasz pan kobiety dobrze ubrane?

— Tak pani! Spotykam, ale mimo to, powtarzając tę rzuconą tezę, nie zaprzeczam

sobie. Przecież dobrze ubrana kobieta może mieć rzadko męża rozumiejącego ją

jako dzieło sztuki, częściej kochanka.

— A więc te tylko mogą być dobrze ubrane — podchwyciła Janina.

— Ja więc, która...

Homel nie pozwolił jej dokończyć, przerywając.

— Ale bywają jeszcze wyjątkowo kobiety dobrze ubrane, bez jednego, ani drugiego

z tych pomocników. Te kobiety są bardzo rzadkie. Są to kobiety, które podobnie,

jak niektóre wybredne i pierwszorzędne rośliny,

rodzą się z instynktem tego, czego potrzebuje ich piękność i czarująca wyjątkowa

indywidualność. W swej wyższości, w swem przeświadczeniu o swej doskonałości

piękna, bez szukania trafiają na te właśnie akcesorya, którychby im tylko

mistrz dopasować umiał.

Nie rozumiesz mnie pani?

A czy wiesz, naprzykład, że trudno sobie wystawić piękniejszej kombinacji barw,

jak złotożółtej z szafirem.

— Za... pewne...

— Otóż bujna i zdrowa dorodna pszenica wiedząc o tem, pozwala przez wrodzona

kokieteryę jedynie, bławatom wzrastać pomiędzy swymi złotymi kłosami. Taka

kobieta, jest taką pszenicą, czy inną szlachetną rośliną. Natura jej to dała, ta

największa mistrzyni.

.....

Pani do tych kobiet należysz. Ręczę, że się długo nie namyślałaś, gdy dziś - tu

oczami i ręką wskazał kwiat, tkwiący w jej sukni na piersi — przypinałaś ten

bukieciak, będący jakby wypływem kwiatowym całego twego indywidualizmu. Ten

pączek różowy, ale mającej być kiedyś, czerwoną, róży z tą gałązką modrej

niezapominajki.

Janina słuchała, choć urwał, więc on też ciągnął.

— Pomyśl tylko. A jeśli znasz siebie co-

kolwiek, jeśli znasz język kwiatów, nie ten, który im banalny świat przypisuje,

tylko ten, którym one do tak wyjątkowych istot, jak pani, przemawiają, to mi

przyznasz, że bez namysłu z intuicji, uchwyciłaś te kwiaty, które jedynie tu

przypięte, mogą barwami i gatunkiem i myślą, harmonizować z twą indywidualnością.

Zamilkł. Janina myślała nad tem co powiedział i widziała w tem, jak we

wszystkiem, co on jej mówił, jakieś schlebiające jej wnikanie w nią, w te

tajniki jej kobiecości, których nikt dotąd nie tykał, których ona sama nie

znała.

— Być może — rzekła — że w tem, co pan mówisz, jest trochę prawdy. W każdym jednak razie jest wiele odczucia kobiety...

— Wierzę! — przerwał z udaną zarozumiałością Homel — od czegoż bym był tą modystką, do której przyjechałaś?

Pani Bonar drgnęła, objęła go wzrokiem strwożonym. W jednej chwili straciła

wyraz rozmarzony, który dopiero co był pokrył jej oblicze.

Zarumieniona po białka ocz, z wzbiegającą w sercu złością na kuzynkę, a jeszcze

w domysłach nieutwierdzona, choć je potwierdzał enigmatyczny uśmiech Homla,

szepnęła urażona:

— Nie rozumiem pana...

— Janino! odpart hrabia szeptem i tym głębokim tonem, jakim jej był w Ujazdowie prawił te właśnie rzeczy, które ją do niego przykuły — Janino! pocóż ta komedia?

— Komeę — dya?

— Przecież od kilku godzin słuchasz mnie mówiącego. Słuchasz, jak ci mówię, że cię więcej dziś kocham, niż kiedykolwiek. I wierzysz mi. I odczuwasz całą gamę uczucia o wiele silniej, niż dotąd jeszcze we mnie drgającego.

I wiesz, czemu zawdzięczasz to uczucie, które nową falą ku tobie uderza?

Zawdzięczasz je temu, żeś tu przybyła dla mnie, li - tylko dla mnie...

— Ależ...

— Ach! nie przecz! Bo przeczenie tak ci nie do twarzy. Czyżbyś chciała należeć

do tych zimnych istot, które się wstydzą miłości, które się szczycą, że serca

swe poddały realizmowi życia? Bronisz się! A przecież przez cały
czas naszej
rozmowy, pałałaś chęcią powiedzenia mi, żeś przyjechała dla mnie i
do mnie i w
tem właśnie byłaś tą istotą, którą w tobie ubóstwiam:..
Tu ręce ich się spotkały pod stołem i hrabia naciskając małą dłoń
kobiety,
ciągnął namiętym szeptem — tą Janiną, całą z jednej sztuki, tak
umiejącą
kochać, że niezdolną tego nie pokazać, tą Janiną, która

tem właśnie podbiła człowieka, niewierzącego już, by się znalazła
kobieta, coby
u schyłku naszego wieku, rozumiała uczucie dla uczucia, widziała w
niem to, czym
ono jest jedynie, to jest kwiat życia...
Ach! Gdybyś wiedziała, jak potężną, metody i siły pełną gamą,
zagrałaś fibrami
mego uczucia, gdy się dowiedziałem, że dla mnie wreszcie zdradziłaś
się przed
Kolońską z twą tajemnicą, że dla mnie miałaś siłę w Bonarce opuścić
dom i wsiąść
do wagonu.
Gdybyś to wiedziała, tobyś wielbiła niedyskrecję twojej kuzynki,
choćby za to
tylko, że ona jest przyczyną zagrania pewnej nuty uczucia, którą
zagrać w sercu
mężczyzny, mało której danem jest, kobiecie. Kochałem cię zawsze,
kochałem cię
od pierwszego naszego spotkania Sądziłaś tak zapewne? I myliłaś się.
Kocham cię
dziś dopiero. Gdyś mężowi twemu pokazywała depeszę, donoszącą o
pogotowiu
modystki, gdyś ją pokazywała mężowi, który za to samo tylko, że cię
wtedy nie

zabił, zasługuje na utracenie cię, gdyś mu ją pokazywała, blada i
drżąca,
wycieńczona walką, pokonana uczuciem, przeistoczona narodzeniem
się w tobie
samej innej i nowej istoty, wtedy ja cię nic a nic nie kochałem, jeśli tę
chwilę
mamy porównać z tą... teraz...
Tu gniótł prawie w swej dłoni rękę ko-

biety i wlepił w nią pytający, magnetyzujący, płomienny wzrok.
— No! zaprzecz? — pytał.

Janina milczała, ale cierpienie malowało się wszystkimi tonami
wyrazu jej
oblicza.

Hrabia puścił jej dłoń Pociągnął dłonią po czole i szepnął — Ach?
Jakże ja cię
kocham...

W tejże chwili odsłonił oblicze, siłą woli uczynił je zwyczajnym i
przywołując

ten zdawkowy podbijacza serc wyraz, zawołał.

— Skoro do modystki przyjechałaś, posłuchajże mnie pani, jakie
toalety jedynie

potrafią nie szkodzić czarowi rozlanemu w całej twej osobie, potrafią
harmonizować z tak trudną indywidualnością kobiecą, jak twoja
oparta cała nie na

klassycznej piękności, tylko na nieokreślonym uroku ciała i duszy,
płynącym z

twej najzupełniejszej kobiecości.

I mówił, a ona słuchała.

Słuchała mimo iż on ją dopiero co był właśnie oprzytomnił i rzucił w
najgłębszą

zadumę na pastwę wyrzutom i postrachom, żalom i trwogom.

Widział to Homel i myślał, jakim by to niewidzianym owocem była ta
kobieta,

gdyby normalnie i powoli w promieniach słońca, na bujnej glebie dla
miłości

dojrzała.

I nie żałował, że snopem zbyt jaskrawych promieni, podmuchem zbyt silnej wichury
zmusił to oblicze do pokrycia się pomroką smutku i trwogi.
Wszakże owoc i bezwzględnej cierpkości swego klimatu potrzebuje do dojrzenia.

XIII.

Homel i Janina bawili w Warszawie.
W dzień spotykali się w mieście, na wystawach obrazów, w sklepach,
w jakich pani
Bonar robiła sprawunki, a z których ją hrabia wyprowadzał, by jej
przez kilka
ulic towarzyszyć.
Wieczór u Kolońskiej, we czworo z Belizarem, bo każdemu z tej
czwórki prócz
baronowi, zależało na tajemnicy. Lub też wypadkiem schodzili się w
teatrze.
Janina ze swoją kuzynką, u której bawiła, panią Dowgiałło, lekko
zdziwioną, gdy
po raz trzeci hrabia się znalazł w krzesłach obok nich lub za nimi.
— Cóż za dziwny i miły wypadek — szepnął za trzecim razem w
Teatrze Rozmaitości
hrabia, witając się z poważną i jak Litwinki, godną damą.
— Rzeczywiście — odparła pani Dowgiałło, obejmując go tym
wzrokiem, nieumiejącym
ukryć swych tajemnych wrażeń, ale też i nieumiejącym z nich
wyciągnąć niezbitych
wniosków.

Nazajutrz spotkali się w hotelu Europejskim na wystawie obrazów Krywulta. Janina się spóźniła, przyszła o pół godziny później po wyznaczonym terminie schadzki.

— Wiesz! — mówiła po powitaniu — w teatrze już spotykać się nie możemy.

Dowgiałowa coś wacha...

Była piękną w swym kostiumie, pod woalką zdradzającą tylko białą zdrową płeć jej

twarzy, igrającej błyszczącymi oczami.

Wyglądała na dziewczynę, tyle było młodości w jej figurze, w jej ruchach, tyle

wdzięku w tym odrębnym sposobie zachowania się kobiety strwożonej tem, co robiła.

I dla tego może, te niewinne schadzki przedstawiały jej niewypowiedziany urok

owocu zakazanego. Serce jej biło. Drżała cała, nie zdając sobie sprawy z

okoliczności, iż spotkanie jej z Homlem w publicznym miejscu, w biały dzień, nie

mogło nikomu się wydawać dziwnem, tem więcej w dużym mieście, w którym jej nikt

nie znał, w którym setki par, jakie mijali, mogły również dzięki podobnym

okolicznościom się tu znajdować.

Hrabia miasto odpowiedzi, odparł, uprowadzając ją.

— Jesteś dziwnie uroczą w miejskim spacerowym kostiumie. Nie sądziłem nigdy, byś

we wszystkich strojach nie traciła nic

na wdzięku i typie. Widując cię w Ujazdowie, w twych letnich perkalowych

sukniach, sądziłem, iż one właśnie pasują najlepiej twej indywidualności, pełnej

prostoty i sielskiego wdzięku.

Szeptał jej to, gdy niby oglądali obrazy, idąc obok siebie i zatrzymując się przed płótnami.

Janina nic nie odpowiadała. Ona tak lubiła słuchać, gdy mówił o niej.

Ale Homla

wkrótce porwało amatorstwo dzieł sztuki. To tu, to owdzie przystawał, i

znajdował pewną przyjemność w wtajemniczaniu Janiny w tajniki malarstwa. Jeśli

się na niem tak jak on, nie znała, to miała dużo trafności w ocenieniu przedmiotu, a doskonałe oko w poglądzie na wykonanie.

Słuchała go i wtedy uważnie. Czowała się pod tyłoma względami kultury od niego

niższą. Z tą wyjątkową zdolnością kobiet, gdy chodzi o intelektualne doświadczenie kochanego mężczyzny, chwytowała jego myśli i motywy ich.

Hrabia to odczuwał i często tak się zapalał w swej roli umysłowego cicerona, iż

zapomniał, objaśniając ją, iż ma przed sobą kobietę, której pożądamy jego

zmysły, a widział w niej tylko wdzięczną i pojętą uczennicę.

Ale jak zwykle, tak i tym razem nie trwało to długo. Mina wsłuchana Janiny, jej

oczy wpatrzone weń, budziły w nauczycielu

i artyście mężczyznę, tą miną właśnie i tym wzrokiem, rozmarzonego i

oszołomionego.

Nagle, jakby zmęczony, opuszczając portret Podwalskiego z którego wziął assumpt

do kompletnego wykładu na temat portretu, usiadł na pierwszej kanapce i

pociągnął za sobą Janinę tą siłą magnetyczną, jaką nań wywierał.

— Czy ty myślisz? — zapytał — że tak długo jeszcze każesz mi odegrywać tę rolę

studenta, kochającego się w dzierlatce, zupełnie zadowolonego, gdy się przed swą lubą wygada z swych młodych i rozpierających mu piersi poglądów? Pani Bonar udawała więcej zdziwienie, niż to wywołały słowa hrabiego. On ciągnął:
— Zdajesz się zupełnie seryo przypuszczać możliwość ograniczenia naszych stosunków na tych schadzkach w teatrze, na ulicy i w zgiełku wystaw?
— pytał poważnie swym głębokim tonem.
— Nigdy nie myślałam — podchwyciła filuternie kobieta — byś ty przypuszczał możliwość czego innego.
Hrabia się zaśmiał.
— Mówisz to tak naiwnie, iż gotówbym był sądzić, że jesteś szczerą.
— Ależ..
— Być może. Nie przeczę — przerwał prędko Homel. — Możesz nią być w twej nad-

ziemskiej prostocie, młodocianej egzaltacji i wielkiej nieznajomości życia i serca ludzkiego. Ale, bym ja nim był, bym ja wierzył w możliwość...
— Wszakże przyrzekłeś mi... — podchwyciła z lekkim oburzeniem pani Bonar — przyrzekłeś...
Hrabia prędko przerwał.
— Przyrzekłem i jeśli ci o to chodzi, dotrzymam. Dotrzymam! — tu zniżył głos i szeptał — Przyrzekłem dziecku, a dotrzymania żądać odemnie nie będzie kobieta.
Przyrzekłem, widząc, jak naiwnie pojmowałaś romans, jak wierzyłaś w możliwość, byśmy inaczej nim pokierowali, niż wszyscy.
Ależ, moja najdroższa, gdyby to było możliwem, toby wszyscy szli w większej

części wypadków tą drogą, w skutkach zbawienniejszą.
Mówił przekonywająco, ze smutkiem w głosie, obejmując ją
ogarniającem
spojrzeniem pełnem gorąca tłumionej namiętności.
Janina wtrąciła.

— Przecież widujemy podobne stosunki.

— Ha! ha! — zaśmiał się cicho Homel — wierzaj mi, że są one czystą
chimera,

możliwą w okolicznościach od których jesteśmy oboje daleko.

Wierzysz mi ślepo,

twierdzisz, a pod tym względem patrzysz na mnie jak na tuzinkowego
lowelasa,

chciwego wymow-

nych dowodów swej donżuaneryi. Gdyby to było możliwem, taka
nieskończona między

nami studencka sielanka, byłbym pierwszy, którybym jej pragnął
może.. o ilebyś

na mnie tak jak teraz, nie patrzała, o ilebym nieznał już czaru twego
pocałunku...

Janina drgnęła, jakby przerażona, by ich kto nie podsłuchał, by treści
słów jego

z jego oblicza, pałającego namiętnością, się nie domyślił.

Hrabia odsunął się i przywołując inny wyraz na oblicze, ciągnął:

— Przytoczę ci jedno słynne powiedzenie, które pod tym względem
reasumuje całą

mądrość zagadnień, którebyś chciała inaczej, niż świat cały rozwiązać.

Któraś

piękna kobieta, tak, jak by ty mnie twierdziła, że między taką, jak my
parą,

przyjaźń jest możliwą, że między przyjaźnią, a miłością leży przepaść.

"Och!

odparł zagadniony, tak! przepaść! ale z mostem przez nią rzuconym".

— Otóż ten most tylko. I wiesz co ci powiem, wiesz? Gdybym chciał
ci dotrzymać

przrzeczenia, które ci dałem, gdy kosztem jego okupywałem twój
ostatni
pocałunek, który teraz czuję onieprzytomniejący swym czarem,
gdybym je chciał
dotrzymać i dotrzymać je miał siłę, tobyś ty pierwsza na tym
"przerzuconym
moście" pierwsze zrobiła

kroki... to konieczność nieubłagana, jeśli mnie kochasz.
Janina pomieszana, zarumieniona wstała.
Mówił to, co czuła, ale czego sobie przyznać nie chciała, przed czym
drżała, ile
razy jakaś realna ręka uchylila jej na ich przyszłość zasłony.
— No! lepiej pokaż mi, co tu jeszcze jest pięknego?
Homel wstał, rozejrzał się po salach i zawołał:
— No, chodź! Jeszcze widzę może najpiękniejszą tu rzecz...
Uderzona podnieconym wyrazem jego twarzy, szła za nim prawie
zaciekawiona.
Stanąła, gdy on nagle stanął i ujrzała siebie w wielkim lustrze
— Ot jest! Ty! — szepnął hrabia — przypatrz się temu obrazowi i
pomyśl tylko, za
jakiego dumnia i profana pierwsza byś miała tego idiotę, któryby
takiego obrazu
posiąść nie chciał.
Janina chwilę przypatrywała się sobie samej ze zdziwieniem niemal,
bo pierwszy
raz wydała się jej ta postać, odbita w szybie, rzeczywiście pełną
wdzięku i
uroku..
Wkrótce potem opuścili salę, obiecując się spotkać wieczorem u
Kolońskiej.
Pani Bonar śpieszyła do domu.

Była niemal złą na siebie. Homel prawil jej różne rzeczy, na które teraz miała trafne odpowiedzi, ale których nie znajdowała wtedy, gdy wsłuchiwała się w melodye jego głosu. Oburzała ją ta pewność siebie hrabiego, to przeświadczenie, że mu się ona wcześniej, czy później oddać musi. Czyżby to przeświadczenie miało jakąkolwiek podstawę? Biorąc na uwagę rozum i doświadczenie Homla..... Ależ nie, nigdy! Nigdy! Onaby pierwsza robiła pierwsze kroki na tym moście, przerzuconym nad przepaścią, dzielące ich uczucie dzisiejsze od namiętności zmysłów? Oh! nie! On ją obrażał tem przypuszczeniem. Ona się nie uspokoi, dopóki się z nim wieczór nie rozmówi, dopóki mu... Ale co ona mu powie? Wszakże ona dotąd robiła to, co tylko żywnie chciał. Gdyby jej był ktoś przed rokiem powiedział, że się dziś znajdzie w Warszawie sama, oczekująca z biciem serca godziny, w której ujrzy Homla.... Ależ on przyrzekł. Przyrzeczenia dotrzyma, on tak idealnie, subtelnie pojmujący miłość... Ani wiedziała, kiedy minęła całą przestrzeń, dzielący Europejski hotel od Alei, w których mieszkała pani Dowgiałto.

Tymczasem Homel, który pozostał w hotelu i tylko opuścił sale Wystawy, dla swego apartamentu, myślał nad tą zagadką psychiczną, dla czego dotąd poprostu nie zechciał skłonić pani Bonar, przybywającej chętnie na te rendez-vous, by zrobiła

kilka kroków dalej i znalazła się w jego mieszkaniu.
Dla czego? Bo on poprostu tego dotąd nie chciał. Nigdy jej tego nie zaproponował. Nigdy! choć był pewny, że by ją swą siłą, którą czuł, hipnotyzującą kobietę, pociągnął.
Dla czego nie chciał?
Wszakże namiętne pożądanie tej kobiety w nim się z dnia na dzień wzmagalo.
Czyżby był do tego stopnia artystą, iżby i pod tym względem znajdował, że
piękniejszym jest owoc sam spadający, niż zerwany z jabłoni? Czyżby może tak
wielkim był sybarytą, iż chciał przedłużyć tę rozkosz w romansie, będącą jego
zenitem, rozkosz gwałtownego pożądania? Czyżby się w swej znajomości życia i
psychiatryi uczuć, bał szaleń, jakiby ich ogarnął z chwilą, z którą by do siebie
przyłgnęły, pociągające się ich ciała?
Myślał nad tem i nic nie postanawiał, choć nazajutrz mieli się ostatecznie
rozjechać, on i ona do domu.

Myślał długo i wyteżajaco.

.....

— Nie... — szepnął — nie! Za miesiąc się zjedziemy tu znowu na zaręczyny

Belizara. Za miesiąc...

Ale czy on ten miesiąc bez niej wytrzyma? Czyby to nie wpłynęło zbawiennie na

cały ustrój jego moralny, który się stopniowo pogarszał.

Tak! pogarszał się. Od czasu jak poznał Janinę, nie wziął pióra do ręki.

Godziny, które dawniej poświęcał pisaniu, teraz spędzał zatopiony, to w

przypominaniu sobie wrażeń, wyniesionych z różnych chwil obcowania z Janiną, to

na usiłowaniu odtworzenia sobie jej osoby, odległej od niego, od Mikuliniec.

Jak on w takim usposobieniu spędzi ten miesiąc długi, bez konieczności zajęcia, jaką dają obowiązki, bez towarzystwa, choćby żony, którą wyprawił za granicę.

Zadumał się.

Że ją wyprawił, było lepiej dla niego.

Uspodobienie jego anormalne mogło go łatwo zdradzić. A romans ten przecież

musiał pozostać dla niej najgłębszą tajemnicą.

Ta konieczność bezwzględna tajemnicy trapiła go nad wyraz. Jego artystyczny, a

więc wysoce niepodległy i swobodny charakter, nie znosił tego jarzma dla

uczucia. Jego sybarytyzm oburzają się przecież tej tyranii małżeńskiej.

On miał w życiu specjalny pech, jak mówią Wiedeńczycy. Żeby on właśnie trafił na

żonę, mającą tak wysokie, tak przesadzone pojęcia o wierności małżeńskiej. I na

nic się nie zdała jego cała filozofia, ani na odrobinę nie zmieniła pod tym

względem etycznych co do małżeństwa, pojęć hrabiny.

Lekko pobladł i myślał dalej.

Ten romans, jak dotąd niewinny, a musiał pozostać głęboką tajemnicą.

Wanda by mu

nigdy nie darowała, choćby tylko tego zjazdu z Janiną w Warszawie.

Choćby to

tylko, byłoby dla niej wystarczającym powodem do

najradykałniejszych kroków, do

zakłócenia spokoju i status quo ich małżeńskiego pożycia.

To wszystko musiało być tajemnicą I ten mus go męczył. Ten mus był przyczyną, że

ot teraz w Warszawie, przy Janinie, u kresu swych gorących kilkoletnich

aspiracyj, czuł się chwilami, własnym swym postępowaniem
przeżony, a drżący
przed możliwymi jego konsekwencjami.
Wszakże, jak student lub młodzik, nie myślał się zapuszczać z Janiną
w labirynt
jawnego wzbronionego im obojgu, romansu.

Nigdy i dziś jeszcze nawet, żyjący li-tylko pod urokiem pani Bonar,
nie rozumiał
mężczyzn, stawiających na kartę całą swą przyszłość dla
swobodniejszego użycia
na posiadanie kochanej kobiety. Zapewne żeby ją wolał uwieść z
Warszawy, gdzie
się wystrzegał przechodniów i bał wszystkich.
Ale ta myśl mu nie przychodziła, bo zbyt znał życie, by nie wiedzieć
koniecznych
skutków tego rodzaju zapomnień.
Zmarnowałby życie jej i swoje.
Więc dla nich wyjściem był tylko romans, najmisterniej prowadzony,
głęboko
ukryty, romans, w którymby jak sędzia śledczy waży każde słowo,
musiał ważyć
każdą jego etapę.
To wszystko już był sto razy zakonkludował, ale mimo to, wciąż dalej
nad tem
samem się zastanawiał.
To wystrzeganie się własnej swej żony i wszystkich, to liczenie się z
Bonarem,
gospodurującym w Bonarce, go męczyło. Widział się w
najciekawszym psychicznie
zbiegu okoliczności. Gdyby romansopisarze tak umieszczali, na takich
tłach i w
takich okolicznościach swych bohaterów, toby z pewnością mniej
romansów pisali.
Łatwo przeprowadzić konsekwentnie romans markizy, żony markiza,
romansującego z

hrabiną, na tle olbrzymiego Paryża i jego rozluźnienia

pojęć i obyczajów. Gdyby "Bourgetowi dał te cztery typy, to jest:
siebie i

Janinę, swoją żonę i Bonara i kazał mu napisać romans na tle Bonarki
i

Mikuliniec, staroobywatelskich pojęć i parafiańskich polskich
tradycji, toby

zaiste i on nie stworzył tak ślicznie klejącego się romansu, jak wśród
typów i

tła "Cosmopolisu".

I tak myślał, aż się znalazł w saloniku panny Kolońskiej, gdzie wszedł
wraz z

Belizarem i zastał obie kobiety na nich czekające.

Między baronem bowiem a Mańcią wszystko było zdecydowane. Byli
po słowie. Mańcia

promieniała, baron poddawał się swemu fatum i wyglądał rozbudzony
werwą i życiem

przyszłej swojej połowicy. Za miesiąc, to jest w połowie stycznia,
miał Belizar

przybyć do Warszawy na oficjalne zaręczyny, które panna Kolońską
życzyła sobie w

licznem zgromadzeniu krewnych i przyjaciół odprawić.

Dla Homla i Janiny wszystko się doskonale układało. Nic
naturalniejszego, jak

wtóry zjazd w okolicznościach, w których by już niczem wyjazd pani
Bonar z

Bonarki nie raził i motywów nie potrzebował.

A wtedy, wobec pory karnawałowej, obiecywała w Warszawie dłużej
zabawić, co

także w tej epoce byłoby naturalniejszym, niż

najmniejsze dziś przedłużenie pobytu w stolicy.

Jakkolwiek Tadeusz o sto mil był odległy od jakichkolwiek obaw, czy niepokojów
pani Bonar, rzuconej w intrygę, mającą w jej pojęciach olbrzymie
znaczenie,
wciąż się zdawało, iż jeden dzień dłuższego pobytu w Warszawie, niż
tego
wymagały interesy, pod pozorem których dom opuściła,
najniezawodniej by jej
małżonka, myślącego o odstawie buraków, na trop jej winy i
platonicznej
niewierności naprowadził.
Ile razy sobie więc przypomniwała dom, bladła i wpadała w stan
gorączkowy.
I bladą i smutną, jak męczennica wydała się hrabiemu, gdy usiadł
przy niej na
kanapce, za stolikiem, podczas gdy Mańcia obsypywała barona
pytaniami,
starzejącej się panny, nienasyconej w wnikanii w życie przyszłego jej
towarzysza.
— Wyglądasz zafrasowana! — zagadnął hrabia, szukając dłoni Janiny
i wlepiając w
nią wzrok badawczy.
— Bo jestem nią — podchwyciła kobieta.
— Co?
Janina się poprawiła na siedzeniu, opierając się plecami ruchem
nerwowym o
poręcz kanapki, a opuszczając równocześnie abatjour lampy, by tenże
twarz jej w
jak największym półcieniu ukrył.

— Odkąd cię znam — zaczęta — przekonałam się, że z nieubłaganą
prawdą
przepowiadasz przyszłość. Jest to wynik zapewne konsekwencji
wypadków,
znajomości życia i ludzi, pracy myśli u autorów subtelniej
prawdopodobnie

rozwinętej. Gdyś mi raz w Ujazdowie, na ostatniej kolacyi, na której się nieco

upiłam.... pamiętasz?... powiedział...

— Pamiętam, że byłaś śliczną w twej czarnej bareżowej sukni z pączkiem róży u

stanika, przypiętym szpilką, przedstawiającą robaczka świętojańskiego.. I długo

wtedy pamiętam zastanawiałem się, czy tego robaczka tworzył topaz jasny bardzo,

czy un diament du lap. Ale, com powiedział, nie pamiętam, choć prawdopodobnie

nic innego powiedzieć nie mogłem, niż to, że cię wtedy zaczynałem bardzo kochać,

tak kochać, że i wtedy już przeobrażałem się w studenta... Cóżem więc wtedy

powiedział, co dziś jest przyczyną, że uchodzę za znachora, przed którym

usiłujesz ukryć blask twych oczu, nie wiedząc o tem, że oczy takie w półcieniu

silniej jeszcze błyszczą i świecą?

— Powiedziałeś wtedy — podchwyciła po pauzie Janina — że zjadę się z tobą w

Warszawie. Byłam bardzo podniecona winem, ale mimo to, pamiętam, spojrzałam na

ciebie z osłupieniem, chcąc odgadnąć, czy

możesz do tego stopnia posuwać nieznajomość kobiety, jaką się wtedy sobie samej

być sądziłam i zarozumiałość, by seryo myśleć, przypuszczać możliwość tego...

Tu odpoczęła, potoczyła po salonie oczami pokrywającymi się wyrazem zmęczenia,

graniczącego z cierpieniem i ciągnęła:

— Tymczasem to się stało.

— Słowo stało się ciałem — przerwał hrabia żartobliwie, chcąc nadać inny zwrot

usposobieniu kobiety.

Ona podchwyciła:

— Przyjechałam. Jak przyjechałam, jak wyjechałam z domu, jak opuściłam męża...

dzieci... nie wiem. Ale przyjechałam skoro tu jestem..

Westchnęła, poprawiła fałdów swej sukni i kładąc małą dłoń na rękę Homla,

leżącej między nimi na kanapce, mówiła:

— Otóż miałam wyjechać jutro wieczór. Ale po tem, coś mi dziś na wystawie

obrazów powiedział, co znów przyjęłam tak, jak wtedy w Ujazdowie

— tą wróżbą tak

się przestraszyłam, iż postanowiłam wyjechać natychmiast. Tylko perswazyje mej

kuzynki, bym się nie narażała na niezastanie koni na stacyi, na podróż nocną po

złej drodze, wstrzymały mnie do jutrzejszego rannego pociągu.

Hrabia pobladł i nie ukrywał niezadowolenia.

— Wyjeżdżasz wiec jutro rano? — zapytał.

— Jutro rano.

— Stanowczo?

— Nie wiem, coby na świecie mogło mnie powstrzymać. Jestem trawiona niepokojem,

wyrzutami sumienia, pogardą, jakby rosnącą we mnie dla samej siebie i

sprawiającą mi wrażenie czegoś, co nabrzmiewa w mem sercu.

Cierpię... cierpię

okropnie... będąc przecież szczęśliwą...

Urwała, jakby przez zaciśnięte gardło domówiwszy ostatnich stów.

Homel zmarszczył czoło, ściągnął brwi.

— Powodem tego cierpienia — rzekł — jest okoliczność, że wy, kobiety, nie

umiecie nigdy sobie zdać sprawy z tego, co same robicie. Wierzycie w to, w co

wierzyć byście chciały. Ty pierwsza, pod intuicyą tego odcienia
kobiecości,
właściwego wam wszystkim, istota najszczerza, jaką widziałem pod
słońcem,
kłamiesz bez zadrgania w głosie.

— Kłamię?

— Mówisz, że zostałam tylko do tej chwili w Warszawie, ulegając
namowom kuzynki.

A to jest najwierutniejszy fałsz, w który przecież wierzysz. Zostałam,
by tu
jeszcze teraz być, by mi najprzód serce krajać twem cierpieniem,
wyływającym z
twojej egzaltacji.

— Więc myślisz może, że jutro rano nie wyjadę — podchwyciła z
oburzeniem.

— Nie! nie myślę tego! Wyjedziesz. Wyjedziesz, choćby dla tego
tylko, by mnie
napełnić rozpaczą, że cię o dwanaście godzin prędzej utraciłem.

Wyjedziesz, by w

Bonarce cierpieć szalenie na tem, żeś mi przykrość sprawiła, żeś
dobrowolnie

skróciła godziny, które jedynie wliczają się u nas obojga w nasze
życia.

Wyjedziesz, aby się zadość stało nieomyślnej zasadzie, że sami sobie
zawsze

zatruwamy najmilsze życia chwile. Wyjedź! to lepiej dla mnie. Te
kilkanaście

godzin powrócą mi cię o kilkanaście dni prędzej, niż myślisz.

Powrócą mi cię o

tylko goręcej pragnącą życia mojem uczuciem, o ile lekkomyślniej
niem teraz

wzgardzisz.

Janina milczała, pogrążona w zadumie i jakimś wewnętrznym swego
drugiego "ja"

buncie, nerwowo szarpiąc koronki swej sukni.

Hrabia ciągnął.

— Żałuję cię, że tak jeszcze walczysz z sobą, że bezowocnie się szarpiesz,

oplatana cała w jedwabną sieć romansu. Ta sieć jest silna...

Pani Bonar się oburzyła cała czerwieniejąc.

— Ale, jeśli tak jest, jak mówisz, dla

czego mnie to mówisz? Czyż nie czujesz, że zarozumiałość twoja sprawia mi

jeszcze większą przykrość, niż te myśli może...

Hrabia uściśnął jej dłoń silnie i zawołał:

— Zarozumiałość? Jakież ty dziecko! Czyżbyś sądziła, że nie wiem, iż zarozumiałość taka byłaby tylko radykalnym zimnym tuszem na twe dla mnie

uczucie. Jabym się z nią nie zdradził, gdyby ona we mnie pod swą banalną

postać gościła. Czy myślisz, że i ja tak, jak ty, nie cierpię, że i, mnie nie

przeraza jutro, a nie trapią obowiązki, które targam?...

Urwał, a pani Bonar wlepiła weń swój wzrok pełen współczucia. I on cierpiał. I

on ją rozumiał.

Homel mówił.

— Tego przecież nie możesz myśleć. Przecież nie sądzisz się być kobietą, którą,

dla zadowolenia większej czy mniejszej namiętności, zdobyć postanowiłem.

Przecież czuć musisz, że niczem nie przyśpieszam chwili, która, gdybym był

zarozumiałym, jak się wyraziłeś, byłaby już nadeszła. Czyż tego instynktem, tem

czemś nieokreślonem w nas zawsze tkwiącym nie czujesz, że byłabyś już moją,

gdybym tego wyłącznie i banalnie pragnął. Ja tego nie pragnę, ale to nadejść

musi. Musi! rozumiesz? My dziś oboje się szamotamy w sieci, z której się tylko jedną

drogą, jednym oczkiem wychodzi. W sieci, której żadne z nas nie starga, bo w plątaniu się w niej dziwną rozkosz znajduje, rozkosz, stanowiącą życie. I plątać się w niej będziemy, aż jakieś okoliczności ją nie zedrą, lub, coby lepiej było, aż się sama z czasem.. nie rozejdzie.

Czyżbyś sądziła, że sieć naszego romansu jest słabą? Sieć, platająca nas dwoje?

Ciebie? — mówił modulacją głosu, samą przez się, przejmującą kobietę — taką,

jaką jesteś, do wszystkiego raczej, niż do banalnego romansu stworzoną i mnie

będącego w wieku, w którym tylko wielkie uczucie człowiekiem wstrząsnąć może Ty

się mylisz. Ty sobie nie zdajesz sprawy, jak mówiłem. Ty sądzisz, że to romans

między nami, jak pajęczyna się snuje, że zerwać jedną jej nitkę, a obleci cała

przedza. To nie romans, to wielkie i jedyne uczucie naszych dwóch jestestw. To

jedyna nasza miłość. Spotkaliśmy się zapóźno, my jedyni wśród tysięcy, jedyni

może w wszechświecie, ja, który ciebie całe życie szukałem, ty, która mnie

jednego tylko kochać możesz...

Urwał, a po długiej pauzie dopiero Janina, jakby się budząc z rozkosznego snu,

zapytała z przestraczem.

— Więc cóż dalej będzie? cóż dalej z nami będzie? — powtórzyła, gdy hrabia długo

nie odpowiadał, a ona nabierała otuchy w tej spólności z nim w cierpieniu.

— Co będzie! — powtórzył Homel — to, co zawsze bywa, to, co konsekwentnie być z nami musi.

— Cóż wiec to jest? — powtórzyła zniecierpliwiona, jak dziecko pragnąca natychmiastowej odpowiedzi.

Hrabia nie odparł, tylko się zamyślił. Po chwili dopiero, gdy nie zapomniała

pytania i wzrokiem domagała się koniecznie odpowiedzi, rzekł:

— Będziemy się motać, jak się w sieci ciągnionej motają potężne mórz ryby. Czy

wiesz, czytałem niedawno, że nie są one w stanie przerwać sieci.

Takie wód

potwory, przewracające łodzie i bałwaniące morzem, nie są w stanie przerwać

misternych sieci, które przerywa byle gwoźdź łodzi, byle drobiazg...

... Tak samo się ma w romansie. Tę sieć jego, w której się motamy i motać

będziemy, nie zerwiemy sami, ale zerwać ją może byle drobna okoliczność, byle

wypadek, byle coś.

— Ale co?

— Coś, czego żadne z nas nie przeczuje i nie odgadnie Coś niepojętego swą

bezsilą może, swą bezwiedzą i bezwolą. Coś...

— Ale co? — pytała przerażona kobieta na myśl, że coś zerwać może uczucie tego

człowieka dla niej, przed którym uciekała, a o które nadewszystko w tej chwili

dbała, że coś zmienić może stan jej duszy rozkoszujący się trwogami i

cierpieniami ponoszonymi w imię tej zakazanej i tem więcej namiętnej miłości.

— Co! ha! ha! jakieś ty dziecko, moja Janino. Przecież ja tego wiedzieć nie mogę. — mówił swym młodym rozkochanym więcej właśnie w dziecku, niż w kobiecie głosem — Coś! Może katastrofa, zdradzająca nasz stosunek, a może spojrzenie twoje, krótsze od sekundy, w którym odczuję, żeś mnie kochać przestała...

— Oh! to nie — przerwała oburzona samem przypuszczeniem, zapominając o silnem postanowieniu, rano powziętem, niezdradzenia się nigdy przed hrabią z głębokości swych dla niego uczuć.

— A więc — podchwycił Homel — może spojrzenie moje, z którego ty odgadniesz, że cię kochać przestałem.

— To możliwe?

— Możliwe, jeśli dalej lub częściej będziesz mi zatruwać życie troską na twem czole, odkrywając mi nago całą zbrodnię, jaką popełniłem, wyrażając ci bezden mego dla ciebie uczucia. Możliwe, jeśli zechcesz

długo mnie utrzymywać, mnie starego i zmęczonego w oczekiwaniach i trawiących gorączkach, godnych studenta.. Możliwe, jeśli mi ni ztąd, ni zowąd, będziesz wstrzymywać pulsacyę serca, na które cierpię, niespodziankami, jak ta oto, zwiastująca mi dopiero co, że cię stracę o dwanaście godzin prędzej, niż to było przewidziane.

Urwał, bo i mówić dalej nie potrzebował. Janina była zahypnotyzowana już.

Rozmarzone oczy weń wlepiając szepnęła:
— Przepraszam więc... cię, jedyny...

XIV.

Minęło półtora miesiąca

Ten sam salon zgromadził ich znów razem — Homla, Janinę i pannę Kolońską.

Brakowało Belizara. Miał przybyć nazajutrz. Oni bowiem bez porozumienia się, przybyli

o dobę wcześniej niż zamierzali, niż to za ostatnim razem byli ułożyli. Hrabia, gdy wszedł do Mańci, wybiegającej naprzeciw niego, cały spragniony

wiadomości o pani Bonar, po pierwszych słowach przywitania, zapytał:

— Więc wszyscy na cerenonia dopiszą? Panna Kolońska zrozumiała cel zapytania.

I odchylając portyere, a wskazując w głębi salonu stojącą Janinę, odparła:

— Dla pana już wszyscy dopysali.

Homel się rzucił ku salonowi takim ruchem, któryby każdemu zdradził tajniki

stosunku, łączącego go z panią Bonar.

— Ach! — wykrzyknęła Mańcia — Całe życie jestem upośledzona. Dla czegoż Belizar

nie znajduje takiego ruchu, by mnie powytać?

Janina się zmięszała, bo dotąd usiłowała nawet wobec Mańci, okryć tajemnicą

swoje uczucie. Ale to też nie przeszkadzało wykrzyknąć.

— Zazdroszczę ci Janyno! Ten ruch hrabiego, gdy cię zobaczył, to rzucone się ku tobie, mówiło, que vous êtes aimée...

Pani Bonar się mieniła ku największemu zdziwieniu Mańci,
oswojonej w świecie z
tym sposobem traktowania przez przyjaciółki, ukrywanego przed
mężami romansu.

Zwróciła się do Homla i szepleniła:

— Poczerwenała! ha! ha! ha! Oh! święta wsi! Widzisz hrabia?

Poczerwenała! Ona

myślała, że ja jej przyjazdy do Warszawy biorę na swe conto.

Janina wyglądała tak przerażona tem odkryciem, że kuzynka jej pod
żadnym

względem nie była w błędzie, tak zażenowana tem otwartem i
głośnem mówieniem o

tem swoim uczuciu, które sama przed sobą, wśród ciszy ciemnej
nocy, usiłowała

nazwać wszystkim, byle nie romansem, że hrabia widząc to
czempredzej z

łatwością mu właściwą, obie kobiety zagadał.

Wieczór ten miał być w połowie dla niego stracony. Nie mógł się
wyłącznie oddać

Janinie. Musiał bawić wymagającą Mańcię,

dostającą melancholii, gdy widziała się z powodu drugiej kobiety
zaniedbaną.

Prędko więc godząc się ze swym losem, postanowił bawić obie młode
kobiety, a że

zawsze we wszystkim lubiał znajdować swój osobisty interes i tu go
też wnet

znalazł.

Bawiąc Mańcie, łatwo bardzo dającą się oszołomić jego rozmową,
postanowił

podniecić Janinę, którą pocichu posądzał, że nie była w stanie
zrozumieć i

według właściwej wartości ocenić oszołomiającej błyskotliwości jego
rozmowy,

plastyczności, jaką najzwyczajniejsze opowiadania robił pełnemi interesu.

A podniecić panią Bonar dawno już postanowił.

W ciągu półtoramiesięcznej refleksji i tęsknoty w Mikulińcach,
powziął stanowczy
zamiar nadania tej swojej studenckiej miłości, innego kierunku.
Przeszło pół
roku trwała ta platoniczna etapa i wystarczała mu, jako odzyskanie
wspomnieniem
pierwszych młodocianych namiętności.
I dziś obejmując bystrem spojrzeniem panią Bonar uczuł, że to mu już
łatwo
pójdzie, to wzięcie kobiety, zmęczonej wewnętrzną walką,
spragnionej wrażeń, ku
którym ją pociągało jej głębsze niż kiedykolwiek uczucie.
Że było głębsze, widział to. Janina spo-

czywała na nim co chwila tak wymownym wzrokiem, iż on mu
wszystko mówił A ten
wzrok mówił mu szczególnie, że ta kobieta dużo dla niego świeżo
moralnie
przecierpiała, że to cierpienie właśnie jeszcze silniej ją ku niemu, ku
rzuceniu
mu się bez oporu w objęcia, pociągało. Ten wzrok mówił, że siew,
którego
dopełnił na dziewiczym gruncie jej jestestwa, który pielęgnował,
puścił już
bujne pióra. Ten wzrok mówił mu, że ją już swoim uczuciem do
pojęcia romansu
skłonił, że ją swojemi rozmowami do akceptowania go dostatecznie
zdemoralizował.
Ten wzrok, pełen głębokiego uczucia, jakiegoś smutku i uwielbienia,
mówił
wyraźnie, że patrzył oczami duszy zupełnie zahypnotyzowanej jego
czarem i siłą
jego woli, czy namiętności.
Uszczęśliwiony byt temi spostrzeżeniami, jakkolwiek go one pod
pewnym względem

na razie, na sekundę prawie przeraziły, gdy się w nim wzbudził ten drugi w nim tkwiący człowiek, człowiek myśli i etyki. Otrząsnął się jednak i postanowił rozbawić panią Bonar, wyrwać ją z błędnego koła myśli, które ją przez półtora miesiąca w Bonarce, czuł to doskonale i widział z jej bladej i zmęczonej fizjonomii, toczyły. Szło mu to łatwo. Popijając herbatę i zapalając papierosa po papierosie, nie ustawał

w werwie, podminowanej szermierką stów, zwrotów i kalamburów, udających się doskonale z panną Kolońską, posiadającą do zenitu posunięty zmysł ułatwiający rozmowę i dodający jej szumu i musu., Janinie się chwilami zdawało, że była na przedstawieniu jakiejś sztuki, w której autor chciał się zabawić stworzeniem dialogu, porywającego swą werwą i umiejętnością to modulacji głosu, to nacisku na tych, a nie innych szczegółach opowiadania. Podniecony powodzeniem hrabia, widząc w sobie wlepiony i uwielbiający wzrok Janiny, widząc Mańcie to pokładającą się od śmiechu, to wsłuchaną do zapomnienia o bycie, był rzeczywiście interesujący i zabawny. Pierwszy raz Janina widziała w nim człowieka, jakim może esencjonalnie był hrabia, wyrafinowanego obserwatora, subtelного myśliciela, zaprawionego światowcem i jego błyskotliwością i jego złośliwością Ta złośliwość jednak nie

sprawiła przykrego wrażenia, bo płynęła z pewnej indywidualności
obserwacji, a
nie żółciowego charakteru
I słuchając go myślała nad olbrzymią różnicą pozycia z takim
człowiekiem, a
takim jak jej mąż, który przez całe swoje ośmioletnie z nią życie tyle
jej
wyobraźni nie

dał pokarmu, ile to hrabia w tych kilku godzinach.
I czuła się dumną, że została przezeń pokochaną i niemal szczęśliwą,
że go
pokochała.
Ta miłość miała zaród w sobie najniebezpieczniejszej dla kobiety
trucizny,
najsilniej romans podniecającej, jaką jest połechtanie miłości własnej.
Janina kochała w tej chwili siebie, w porywającym ją swą
intelligencją Homlu.
A ten, oszołomiony tem powodzeniem w najwdzięczniejszym, choć z
dwóch osób
złożonym audytoryum, bo składającym się z jednej kochanej, drugiej
bardzo
sprytniej kobiety, zapalał się A prawie się zapominał w swej werwie,
gdy wreszcie
wpadłszy na temat Belizara, z bezwzględnością właściwą artystom,
opowiadał swój
u niego pobyt.
Nie widział rozpaczliwych min Janiny, widzącej, jakie opowiadanie
to, pełne
plastyczności, ale i pełne anatomicznej jędrności, sprawiało na Mańci
wrażenie.
Kładła się ze śmiechu, gdy opowiadał, jak walono w nocy w
Wybranowie lipę na
jego kąpiel, ale w chwili później znów przybierała ten sam przerażony
wyraz

bladej twarzy, z którym słuchała Homla, jak sam przejęty i zdziwiony,
zostawał

Belizara o północy, samego u siebie, w oświeconym, na-

pełnionym staremi pamiątkami salonie, ubranego we frak i biały
krawat. I nie

widział, w swym artystycznym opowiadacza zapale, miny Mańci z
jaką przyjęła do

wiadomości tę anomalie indywidualizmu narzeczonego.

Widziała ją Janina i w części odgadła wrażenie, jakie na niej, sprawiło
to

opowiadanie, tem straszniejsze, im więcej uchylało zasłony na
enigmatyczności

indywidualizmu Belizara, enigmatyczności właśnie, zastanawiające
wysoce pannę

Kolońską.

I słuchała go też dalej bezprzytomnie, śmiejąc się machinalnie już, nie
z

intuicyi, tylko dla ukrycia tego, co się w niej działo.

A burzyło się w niej wszystko, jak się burzy w butelce zepsutego
wina.

A więc ten Belizar miał bzika. Jeśli czego się na świecie bała, to bzika
właśnie. Tar excellence hołdownczyni form i manier, przekładająca

salonową

tuzinkowość nad rozczochraną indywidualność, nienawidziła
oryginałów. Dawno

odczuwała ją w doskonale wychowanym i wymanierowanym

Belizarze. Nieraz wysilała

mózg, by odgadnąć to coś, co ją w nim niepokoiło, co go robiło nie
zupełnie i

wszechstronnie uchwytnym. To coś, to był bzik i to bzik dla niej
najstraszniejszy, bzik salonowy.

Homel opowiadał, a ona myślała, gdy ją łzy dławili.

Toż miała szczęście w życiu. Wreszcie

zdobyła narzeczonego, miała zdobyć męża. I ten mąż miał bzika i to bzika, przed którym czuła jakąś trwogę paniczną, który ją napełniał wzrastającym przestraczem.

W swym stanie, spowodowanym staropanieństwem i życiem światowem, niezmierniej drażliwości nerwów, widziała się już w Wybranowie, sama z Belizarem, chodzącym wśród ciszy nocy, przerywanej wichurą wiatrów, we fraku ku zdziwieniu starych zaproszonych portretów babek.

"We fraku" powtarzała myślą, truchlejąc, czując, że gotowa jest rozwijając genezę tego "frakowego bzika" dostać ataku histeryi. Wolałaby, by baron miał bzika, polegającego w lataniu z nożem w dłoni po pokojach Wybranowa. Wtedyby go leczyła, może chowała, zamykała, ale co ona pocnie z człowiekiem, który ni ztąd, ni zowąd wstawał o północy, stroił się, oświecał dom i chodził po nim ubrany w balowy strój Balowy? Ależ ten strój był i strojem pogrzebowym.

Przy dźwięku mowy Homla, czując przy sobie rozbawioną Janinę, w oświeconym i ciepłym salonie, którego żyrandolem co chwila wstrząsał szalony ruch uliczny, drżała cała i bała się spojrzeć na drzwi, jakby te się uchylić mogły, a w nich miało stanąć widmo zbzikowanego barona.

Nie próbowała walczyć nawet ze swemi nerwami, które nią owładnęły nagle, bo czuła, iż niema argumentów na świecie, któreby się jej pozwoliły pogodzić z tym

właśnie bzikiem barona.

Czuła, że od tej chwili wciąż go widzieć będzie tylko pod tą postacią,
którą

genialnie uzmysłowił jej Homel.

To nie był bzik, to był kardynalny defekt, defekt, który kodeks z
pewnością

wliczał" w przeszkody do zawarcia ważnego małżeństwa.

A ona bzików się szalenie bała. Miała stryja, który u jej rodziców
kilka lat

mieszkał, zanim go ostatecznie zamknięto w Döblingu. Była wtedy
dzieckiem, a bzik

stryja polegał w tym, iż mu się czasami zdawało, że widzi swojego
synka, któremu

w jakiejś menażeryi, tygrysica urwała głowę, podczas gdy mu on ją
właśnie

pokazywał.

Jakże ona się szalenie tego stryja bała, gdy dostawał hallucynacji.

Od tego czasu, od pierwszego dzieciństwa wyniosła ten paniczny
strach do

wszelkiego nieporządku umysłowego. Świat wykształcił w niej,
podwoił ten wstręt

do wszelkich anormalności.

Bezprzytomna, z chaosem w głowie i przed oczami siedziała przykuta
do krzesła,

słyszając tylko szum głosu hrabiego, który spra

wiał nieopisany ból jej podrażnionym nerwom...

Tak dotrzymała do końca wieczoru.

Jako prawdziwa światowczyni, skończona aż do końca paznogi,
potrafiła się nie

zdradzić z niczem z straszego chaosu, który panował w jej sercu i
mózgu, z

nawału uraz, trwóg i zawiści, tak dostępnych jej nerwowej naturze.

Homel zaledwie pod koniec pomiarkował, że opowiadanie jego mogło
się niepodobać

Mańci, ale dalekim był od domyślenia się, do jakiego stopnia
wzburzył swą
przyjaciółkę, nawet w chwili, gdy ta już wyczerpana komedią, uczuła
gwałtowną
potrzebę pozostania samą i oddania się rozpaczom nad swoim losem.
Ta rozpacz ściśle nierozzerwalnym węzłem łączyła się z głęboką urazą
do hrabiego.

Wreszcie wyszli Janina i Homel. Panna Kolońską pierwszy raz, odkąd
salon jej
stał się miejscem ich schadzek, nagle, gdy jeszcze musieli być na
wschodach
domu, zapragnęła bliżej posiąść tajemnicę, wiążącą ich dwa serca.
Podbiegła do
okna, otworzyła jego wewnętrzne połowy i przyłożyła twarz do
zamarzniętej szyby.
Jak oni wyjdą od niej, czy może pójdą razem przez ciemne ulice
miasta?
Patrzała z bijącym i wzbierającym żółcią

sercem. I widziała, jak wyszli, jak postali chwile na chodniku, jak
Homel
zatrzymał pierwszą wolną dorózkę i wsadził w nią Janinę, długo
zatrzymując jej
dłoń w swem ręku.
— Nie wsiedli razem — szepnęła Mańcia przez zaciśnięte zęby, z
wyrazem na
twarzy, jakby ten fakt był dla niej w tej chwili najstraszniejszą
decepcją.
Zaczęła chodzić po pokoju. Wyglądała tragicznie. Nozdrza jej małego
noska
poruszały się namiętnie, pierś falowała wezbranymi uczuciami, oczy
małe, siwe,
błyszczące połyskiwały złowrogo.
— Co się jemu stało? Dla czego on to jej opowiedział? Dla czego
wreszcie

opowiedział przy Janinie, jeśli może opowiedzieć uważał za swój obowiązek? —

szeptala.

Rzuciła się na otomanę, pokrytą wschodnim jedwabnym szalem.

Głowę wsparła na

dłoni, a zapuszczając błędny wrok w palmy i liście dywanu, myślała do utraty

zdolności trzeźwego myślenia.

— Ona za tego człowieka, chodzącego we fraku po nocy, wyjść nie mogła. Nie

mogła! To nie ulegało żadnej wątpliwości.

.....

Ale dla czegoż ona była tak nieszczęśliwą, by jedyny, jedyny

człowiek, który się

z nią żenić chciał, którego Homel do tego

zmuszał, widziała to dopiero teraz jak na dłoni, był bzikiem.

Odchrząknęła, by się nie udusić.

Czuła jedno potężne, dominujące wszystko uczucie, uczucie tak silnego żalu do

Homla i Janiny, iż to graniczyło z jakąś straszną nienawiścią, mającą ją tak

długo nurtować, aż ją zemstą zaspokoi. Jej nerwowa natura

potrzebowała tej

zemsty, bądź co bądź, jako pierwszego radykalnego lekarstwa...

Usiłowała się opanować. Cóż oni byli winni?

Oni?

Odtwarzała ich sobie, siedzących na kanapce pod lampą, widziała ich najwyraźniej

i serce jej wzbierało uczuciem, które bardzo często widok ten w niej obudzał.

Zazdrościła tej kobiecie uczucia, jakie w Holu obudziła. Ona

chciałaby tak być

kochaną i przez takiego mężczyznę.

Ale teraz nie zazdrościła jej, bo ją nienawidziła całą gamą uczuć, składających

namiętność nienawiści. I nie wiedziała, czy ją, czy Homla więcej niecierpiała.

Czy ją za to, że z uśmiechem słuchała, jak hrabia kilkoma niebacznymi słowami walił gmach jej nadziei i złudzeń, czy jego, gdy temi kilkoma słowy, jakby cegła po cegle, wyjmował je z fundamentów, aby runął gmach na nich wystawiony.

Ten gmach już leżał w gruzach, słaby jak gmachy ludzkich ułud, które słowami zwalić można, ale ona pragnęła, by burzyciele jej zapłacili za to rumowisko, pozostałe z jej szczęścia i przyszłości.

I znów zatapiała się w zadumie nad baronem, który miał jutro zjechać. Ona zawsze czuła, że mu czegoś, jako mężczyźnie, niedostaje.

Zawsze, od pierwszej chwili, czuła w nim jakąś nienormalność. Ale któżby mógł przypuścić, by nienormalnością był tego rodzaju bzik?

— Cóż za deryzya losu! — szepnęła ze spazmatycznym śmiechem. Ten frak, dzielący ją od Belizara chińskim murem, ją przepadającą za frakami,

żyjącą od niepamiętnych czasów w ich tylko otoczeniu, nie lubiącą mężczyzn, tylko w tym właśnie stroju.

I ten frak, ten frak, w którym zawsze widziała w swych gorących marzeniach dziewczicy zdenerwowanej czekaniem, pana swego życia, dziś stawał się igraszką jakiejś deryzyi losowej, nieprzepartą zaporą do uchwycenia szczęścia życiowego. Śmiała się do rozpuku nerwami podnieconymi jeszcze refleksyjną inteligencją.

I znów żal straszny wybuchał w jej wnętrzu, żal do tych dwojga ludzi, którzy

bawiąc się wyśmienicie, ostatecznie może zdruzgotali jej życie.
Bo Homel to opowiadał, by zabawić Janinę. Gdyby nie ten cel, byłby
tego nie
opowiedział. Wszakże nieraz z nią o Belizarze rozmawiał, ale nigdy
go jej nie
przedstawił pod tą śmieszną postacią, która konwulsyjnie paruszała
śmiechem
piers Janiny.
Ach! Ona nie znosiła ludzi śmiesznych. Gdyby nawet pogodziła się z
bzikiem
barona, z którym przecież pogodzić się żadna nie mogła kobieta, toby
jeszcze, po
opowiadaniu Homla, nie oddała swej ręki człowiekowi wprost
śmiesznemu.
Więc za cóż oni ją mieli? Jakiem prawem on go forytował, on, co
opowiadał o nim
z takim uśmiechem na ustach, że za ten sam uśmiech, bita by się z
nim, gdyby
była mężczyzna.
Miłość własna, ta nieubłagana mścicielka swych obraz, zaciskała usta
kobiety.
Wstała i zaraz rzuciła się nazad na otomanę. Ręce splotła na oczach i
zamyśliła
się.
.....
Nieruchoma przeleżała długą godzinę.
Przed oczami jej migotały różne obrazy, a uparcie ją drażnił obraz tyle
razy
widziany, przedstawiający Homla i Janinę, siedzących na kanapce w
jej salonie,
promieniejących szczęściem.

— Jakaż ja głupia byłam — szepnęła.

Teraz widziała jasno, że ci ludzie się kochali wzbronioną im miłością.

Mieli

romans... Musieli mieć romans.

.....

Zerwała się nagle, cała drżąca, pałająca, zdecydowana.

Oh! tak! Przejrzała! Homel skłonił Belizara do oświadczenia się jej.

Skłonił go

dla tego tylko, by mieć w jej salonie miejsce wygodne na schadzki z

Janiną, by

mieć pretekst do częstych wyjazdów do Warszawy z Mikuliniec.

Widziała wszystko jak na dłoni. Ale gdzież rozum postradała —

pytała się tylko

siebie — by tego dotąd nie widzieć tak jasno, jak to się jej teraz

przedstawiało?

A więc Homel uważał ją jakby za podporę rusztowania, które

wystawił, by dojść do

Janiny. Jakiem prawem tak bezwzględnie użył ją za materiał

potrzebny mu? Ją?

Tego bzikowatego Belizara? Łączyć ich razem, by dać Janinie

pretekst do wyjazdów

przed Bonarem, sobie przed Wandą. Pani Bonar była potrzebną w

Warszawie, jako

jej kuzynka, Homel jako kuzyn barona.

Wściekała się na siebie tem uczuciem, znanem ludziom sprytnym, gdy

się

sposzrzega, że byli jakiemiś manekinami, potrzebnymi sprytniejszym

od nich, że

zostali bez-

względnie użyci, genialnie w pole wyprowadzeni.

Ale, że ona tej gry się nie domyśliła, ona znająca hrabiego, tej

Homlowskiej gry

sybaryty i egoisty, epikurejczyka i cynika, jakim był.

To ją w tej chwili doprowadzało do szalu żalu. Chodziła po pokoju z

oczami

opuszczonemi w dywan, tłumiąc oddech, dobywający się z szumem z falującej

pełnej, zdrowej, a wzburzonej piersi.

Ach! Przecież im tego darować nie może. Jemu, że ją za bzika wydać chciał, jej,

że w tej grze udział brała.

Ach! Jakże się oni z niej śmiać musieli, z jej zajęcia się Belizarem, z jej

szczęścia zostania mężatką, z tego wszystkiego, co stworzyli, by mieć niewinne i

naturalne miejsce schadzek.

Wydawała się jej ta gra potworną, wołającą pomsty do nieba, którą przerwać,

ukarać było obowiązkiem najprostszej uczciwości.

A tam w Mikulińcach — myślała — siedziała ta głupia Wanda, rozkochaną w swym

potwornym mężu, tak jego pewna, która sądziła zapewne, że bawił w Warszawie dla

wydawnictwa swych romansów. I to lichych romansów..

A tam w Bonarce ujadał się z fernalami ten koronny, piramidalny, jak mawiał

książe Tonio, Tadeusz. Oh! Cóż to za osioł, za idiota! za dureń!!

Siedział tam i

w tej chwili — tu spojrzała na zegar stojący na kominku — zasypiał, przeczytawszy "Kuryera" od początku do ostatnich ogłoszeń, zasypiał snem ciesząc

się, błogim, "że jego kobiecina się w Warszawie rozerwie".

— Ha! ha! ha! — wybuchnęła spazmatycznym śmiechem.

A więc cały świat się składał z oszukujących i oszukiwanych.

Staneła na środku salonu i uderzyła się po czole.

— Ale czy można być tak głupim, jak ten Tadeusz? tak głupią jak ta Wanda?.

.....

Długo stała w miejscu, z oczami wytrzeszczonemi, jakby skamieniała w tem

pytaniu.

Nagle się ruszyła, podbiegła ku drzwiom, uchyliła je i zaczęła wołać głośno.

— Stefko! Stefko! Stef... ko!!!. Zostawiła drzwi otwarte i zaczęła znów

chodzić po komnacie. Wyglądała mniej nieszczęśliwa, ale jeszcze bardziej

wzburzona. Oczy jej świeciły rzadkiemi u niej blaskami. Jej małą postacią, jakby

co chwila podrzuci-

cały naprężone nerwy, robiąc każde jej poruszenie, jeszcze bardziej niż

zwyczajnie, zaakcentowanem i stanowczem.

Wkrótce stanęła we drzwiach zaspana brunetka, której powołanie odkrywał biały

muślinowy fartuszek, spadający w fałdach na granatowej spódnicy.

Choć zaspana, ale sprytnem spojrzeniem swej zmiętej, ale ponętnej twarzy,

spoczęła na swej pani.

— Stefko! Jesteś zaspana!

— Bardzo! Bo też jaśnie pani dzisiaj siedzi... odparła z dąsem.

— No! Zaraz ja cię tu rrozbudzę. Wiesz, co ci powem?

Stefka nadstawiła słuchu, a fizjonomija jej się ożywiła.

Panna Kolońską ciągnęła.

— Jak my dobrze zrobisz to, co ci terraz zrrrobyć każe, to dostaniesz odemnie tę

zieloną suknię. Wiesz? tę, do którrej się dawno umyrgyz.

— Być może? — podchwyciła Stefka z zachwytem niedowierzania w swem zaspaniu.

— Siadaj i pysz! — rzekła Mańcia, wskazując jej swoje biurko i swoją tekę.

— Ja mam pisać? Ja...

— Doskonale pyszesz! Siadaj y pysz, jeśli chcesz mieć zieloną suknię.

W tej że chwili Stefka siedziała przy biurka, z piórem w ręku,
gotowem do
pociągnięcia po lśniącej kartce papieru, którą jej sama pani wybrała,
nie mało
się nad tem namyślając.

Tu Kolońską odsunęła się od niej i obierając sobie stanowisko na
środku salonu,
dyktowała z miną tak ważną i tak skupioną, z jaką pewnie nigdy
Napoleon nie
rozporządzał swych najdonioślejszych korespondencyj.

— Pysz! "Wydzałem pewnego hrabego, który mi mówił, że ma
romans z twoją żoną.

Czyż to być może? Ale podobno się to zdarza głupym mężom, co
same żony. często
puszczają do Warszawy".

Tu poczekała, aż Stefka nie skończyła.

— Bierz drugi papier. Na tym dosyć..

— Ja myślę, że coś nadto.

— Ja cy się nepytam, co ty myślisz — zaśmiała się Mańcia.

Pochodziła po pokoju, przystanała, pomyślała i odezwała się.

— Pysz! "Wydzałam pewną parafijankę, która my mówiła, że ma
romans z twoim

mężem. Czyż to być może? Ale podobno się to zdarza głupym żonom,
co samych mężów
często puszczają do Warszawy".

Upadła na fotel i odetchnęła, jakby po

wysilającej pracy, mówiąc zmęczonym głosem:

— Zamknij w te dwie koperty i adresuj. Co gdy uskutecznione zostało
pod

błyskotliwem okiem, śledzącej zdala Mańci, dalej dyktowała:

— Na liście, co pysze kobeta... tylko się nie pomyl na myłość Boga.

— Ot ten właśnie — odezwała się Stefka, zaklejając kopertę, ten, to
ten co niby
pan pisze.

— Moja Stefko! A czy pan Bonar, albo pani Bonar nie znają twego pysma?
— Zkądże by znali?
— Nie adresowałaś kędy, przypomnij sobie, jakiej paczki, lystu, gdy może kiedy
byłam chora?...
— Nigdy!
— Nigdy? bo gdyby...
— Ale przecieżbym pamiętała — obruszyła się Stefka, przerażona, by
cała
manipulacya w łeb nie wzięła, a z nią i zielona suknia, która już
wypiekami
ubarwiła jej białą twarz.
— Więc adresuj "Jasne Welmożny Pan Bonarr w Bonarrce, poczta
Snegocyn.
Tu Mańcia się zamyśliła.
Anonimów nigdy nie pisała. No tak. Ale też nigdy nie była tak
pokrzywdzoną..

... Głęboko odetchnęła. Zresztą to był jej obowiązek. Ona nie
wiedziała dotąd,
nie zdawała sobie sprawy w swej lekkomyślności, z tego, co się
właściwie pod jej
egidą, pod jej dachem działo. To była ostatnia chwila. Och! Ona się
doskonale
znała na powłoczystości i wilgotności tych spojrzeń, jakimi dziś
Janina
obdarzała Homla. Wszakże Tadeusz był jej kuzynem, jej stryjecznym
bratem. Janina
miała dzieci, była gąską niewiedzącą, co robi. Wszakże ona nie mogła
wprost
pisać do Bonara i uprzedzać go wręcz, ona, co dopiero co depeszą
wzywała Janinę,
co dotąd komedyjkę, mającą na celu, uspić mogącą się obudzić
podejrzliwość męża,

odgrywała. Nie przypuszczała nigdy, by do tego doszło. Któżby mógł
przypuścić by
taka parafijanka, jak Janina, rzuciła się tak prędko w co? w romans! w
romans z
Homlem...

— Dosyc? — zapytała zniecierpliwiona zadumą pani, Stefka.

Panna Kolońską podskoczyła na krześle.

— Ach! Jakże mnie przestraszyłaś!

Jakże ona była zdenerwowana. Ona gotową była wpaść w recydywę
tej choroby w

której omal co lat temu dwa nie umarła, choroby nerwów...

— Jutro będzie się pani strasznie dziwić,

dla czego będzie miała spuchnięte oczy i sine obwódki.

— Co? dla czego?

— Wszakże to blisko dnia.

Kobieta westchnęła, jakby w cierpieniu, i jeszcze nic nie odpowiadała,
jeszcze

była gotową popaść w zadumę.

— Drugi?... — powtórzyła Stefka.

— Drugy — machylnie rzekła za nią Mańcia, podnosząc się na
siedzeniu i

usiłując tym ruchem wyrwać się z ogarniających ją myśli — drugi
pysz! "Jaśnie

Wielmożna... Hrabina Homel w Mikulińcach, przez Ujazdów".

Wstała mówiąc z ożywieniem.

— Masz słuszność! Jutro będę wyglądać jak zmora. Chodźmy spać.

Te lustry jutro

rano zafrankujesz i rzucisz do skrzynki. Zrobysz to rano, aby poszły
rana

pocztą.

Mówiła pośpiesznie, widocznie ze wstrętem, który pośpiechem
zmniejszyć

postanowiła. Mówiła zbierając różne drobiazgi, gasząc lampy. A
wychodząc do

przyległej sypialni, ciągnęła.

— A gdy to załatwysz, będziesz mogła przenieść zieloną suknię z
mojej do twojej
szafy.

Nie czekając odpowiedzi, ani podziękowa-

nia, przeszła do sypialni i zaczęła gwałtownie się rozbierać.

Gdy Stefka zamknąwszy tekę i schowawszy listy, a zgasiwszy świece,
przeszła za

nią, zastała ją już prawie rozebraną.

Jeszcze nie sprzątnęła sukien porozrzucanych na dywanie, gdy jej pani
już leżała

w łóżku i polecała gasić nocną różową lampę.

— Ach! jak my se spać chce..

Stefka wychodziła, gdy panna Kolońską jeszcze się odezwała.

— Ach! żebyś ty wiedziała, jak ja jestem nieszczęśliwą.

Służąca westchnęła i robiąc lekki dyg, rzekła swym przymilającym się
tonem:

— Dobranoc, pani.

Wyszła, nie usłyszawszy zwyczajnej odpowiedzi, jaką zawsze był
jakiś dowcip jej

wesołej pani.

Znalazłszy się u siebie, szeptała:

— Ja myślałam, że ona się kocha w baronie, a ona się durzy w hrabim

Też to

głupie te panie... Dopiero narobi rwetesu...

Uśmiechnęła się i dodała ze złością niemal:

— Chwała Bogu! Byłaby mi nie dała tej sukni inaczej, a małpa już ze
dwa lata je

nie włożyła na siebie. Nieszczęslywa — szeptała udając swadę pani —
nieszczęslywa,

że... Ot! a ja czekam i ziewam do białego dnia, aż się ona wygada,
wyśmieję,

wyromansuje i mam być szczęśliwa... Gdzie tu sprawiedliwość? I
byłaby nie dała
tej sukni. Toż to świat teraz. Nic za darmo. Wszystko ciężko
zapracuj...

XV.

Hrabia wreszcie dopiął celu i malowało się to wyraźnie na jego
fizyonomii
rozpromienionej i odmłodzonej.
W mieszkaniu swem, w hotelu Europejskim siedział na fotelu przed
stołem, na
którym się palił kandelabr pięcioramienny.
Tyłem obrócony do stołu, a twarzą do drzwi wchodowych, czytał
książkę, będącą,
sądząc po żółtej okładce, francuzkim romansem.
Ale czytał ją z najwyższem roztargnieniem, to opuszczając ją co
chwila na
kolana, to odkładając na stół, z miną, jakby nadślusłuchiwał
dyskretnego, wciąż
się odbywającego ruchu, na wysłanym dywanem kurytarzu wielkiego
hotelu
Czasem serce mu bić przestawało w piersi, sprawiając mu ból
formalny i wtedy,
cały drżący i gotów do zerwania się, wlepił wzrok w drzwi i czekał,
namiętnie
dyszając czy nie stanie w nich — Janina!

Gdy kroki przezeń śledzone mijały jednak drzwi jego mieszkania,
oddychał głęboko
i spoglądał na zegarek. Wskazówki tegoż, zdawało mu się nie
posuwały się wcale,

lub też posuwały się anormalnie. Stały wciąż na kilku, czy kilkunastu minutach

po dziewiątej.

Przykładał zegarek do ucha i konstatował, że ten szedł, znacząc miarowo pochód

czasu, swym dźwięcznym i misternym tiktakiem remontoir'u od Pateck'a.

Wszakże miała przyjść około dziewiątej.

A gdyby nie przyszła, gdyby jej odwagi w ostatniej chwili brakło, gdyby...?

Nie przypuszczał tego i przypuszczać nie chciał. Sam już był zdenerwowany do

najwyższego stopnia tą namiętnością, w jego wieku,

niezaspokojeniem tak długim,

zdenerwowaną. Czuł, że Janina postanowiła też zadośćuczynić jego prośbom z

jednej strony, a z drugiej uledez własnym swym, meczącym ją, uczuciom.

Dlaczegoż nie przychodziła? Dlaczegoż, gdy godzina, wskazująca jej oddanie się,

wybiła już na zegarze ich romansu, niczem nie przyśpieszona, a odwlec się już

przecież, jak każda godzina, nie dająca.

Już romans ich, jakby okręt wszedł w tę zaklętą cieśninę, z której wyjście jedno

tylko możliwe było, jedno przez upadek kobiety.

Pragnęli się wzajemnie i już od kilku dni o niczem ani myśleć, ani mówić nie

mogli, jakby czekając nieodwołalnego wybicia tej godziny, w której on ją wiaść

postanowi, a ona, zmęczona męczarnią obrony, bronić się nie potrafi i nie

zechce.

Czuli to od kilku dni i wzajemnie w swych źrenicach czytali swe nieuniknione i

najbliższe losy, z trwogą w nie patrząc, azali nie zmienia ich
zobopólnych, a
rozkoszą ich napełniających, uczuć.
Hrabia nie doznawał wyrzutów, a więc się cieszył, że artystycznie "nie
spartaczył" swego romansu. Przez łakomstwo, nie zrywał
niedojrzałego owocu. A
tego jednego by sobie nie darował, jako wielbiciel natury.
Przez pośpiech nie kończył nigdy przedwcześnie powieści, bo tego by
sobie nie
pozwolił, jako zwolennik formy i artystycznej całości.
— Ale czemuż ona nie przychodzi?
Aby sobie skrócić momenty oczekiwania, aby raz jeszcze setny tego
wieczoru,
wytłómaczyć sobie, że ona bez zawodu nadejść musiała, przebiegał
myślą
wspomnienia ostatniego i decydującego z nią spotkania. Umiała tyle
mu nadać
uroku i czaru, iż ją teraz tu oczekiwał z gorączką, której już się
zdolnym nie
przypuszczał, która w jego

żyłach puruszała krew tempem, jakim je obiegała, gdy liczył lat
dwadzieście.
Jakże to było?
Zeszli się w południe w Saskim ogrodzie. Dzień był pochmurny, śnieg
padał
grubemi płatkami. W części dalszej ogrodu od ulic, łączących
ruchliwe okolice
miasta, było prawie pusto.
Za teren tej przechadzki wybrali sobie całą niedużą przestrzeń,
roztaczającą się
między Saskim pałacem, a pierwszym mało uczęszczanym
przechodem między
Królewską, a pałacem Brühlowskim.
To zgniłe powietrze, ten śnieg, tający pod nogami, to przejmujące
zimno polskiej

odwilży, tak go usposobiło, iż był smutny i zły jeśli nie wściekły.
Usposobienie jego musiało być anormalne, skoro nie tylko
zastanowiło ono, ale
wysoce zaniepokoiło Janinę, Najprzód sądziła, że jest cierpiący i
chciała wracać
do domu. Potem w tej tak go podbijającej w niej naiwności, strwożyła
się cała,
azali go już nie znudziła, azali jej nie kocha, azali jej mniej nie kocha?
Tak był zły, iż pozwolił jej mówić, na pytania nie odpowiadał, prosić
się kazał.
Wreszcie, pamiętał, zastanowił się. I podczas, gdy ona coś
szczebiotała,
usiłując go rozchmurzyć, on się skupił i zapytał siebie,

azali już nie położyć kresu tym studenckim romansu preludium, azali
one w ogóle
dłużej trwać mogły, ratując kobietę od upadku, jego od
odpowiedzialności, której
się bał.
Nie! one dłużej trwać nie mogły. Bo choćby w sobie znalazł jeszcze
siłę
stawienia oporu codzien więcej go nurtującej pożądliwej namiętności,
choćby
Janina, jakkolwiek daleka od zasad Putyfarowej, jakkolwiek
wyczerpana
platonizmem uczuciem, nie narażała go na rolę Józefa, to przecież nie
widział
celu w utrzymaniu na tej etapie wiążących go z tą kobietą stosunków,
muszących
doprowadzić do finału, nie dającego się uniknąć w ich rolach.
Tak postanowiwszy, postanowienie jej swoje wygłosił.
Był za starym, by dłużej odgrywać rolę, któraby à la longue do
rozpaczy
doprowadziła jakiego Dorpatczyka, lub pierwszego lepszego
akademika. Sam był
postanowił nie wpływać na jej wolę, sam się bał, by kiedyś zbiegiem

nieszczęśliwych i nieprzewidzianych okoliczności, nie zostać w
wspomnieniach
Janiny, gdy go dzisiejszym uczuciem kochać przestanie, jakimś
widmem z
przeszłości, masakrującem jej życie.
Ale i stan ten dłużej trwać nie mógł. Był starym, ale przecież na taki
układ z
ko-

biętą, jak ona piękną, jak ona go indywidualnie pociągającą, był za
młodym.
To mu szkodziło, to wstrząsało jego wadliwym, jak u wszystkich
artystów ustrojem
nerwowym, to zagrażało jego twórczości i paraliżowało jego talent.
Janina go słuchała z uwagą, krocząc przyśpieszonym krokiem, patrząc
przed
siebie, podnosząc tylko ukradkiem czasem wzrok na Homla, by
sprawdzić, że mówił
z rozpaczą na obliczu, z głęboką refleksją w tonie.
On też dalej ciągnął i z właściwą sobie siłą i trafnością argumentował
i
dowodził.
Zresztą i ona nie była dziewczynką. I ona, jeśli go prawdziwie
kochała, jeśli
była tym ideałem normalnej kobiety, za jaką ją miał, musiała
koniecznie i
konsekwentnie dójść do chwili, w której, ulegając niepohamowanej
potrzebie,
kochającej i zdrowej istoty, do niego ciałem należeć zapragnie.
Mówił bardzo długo, przeplatając komplementami, jakie tylko on
układać
dyskretnie a jaskrawo umiał, to ją przekonywając logiką argumentów,
to ją
oszołomiając gorącem i głębokością uczucia, to ją zmuszając do
litości i
poddania się nieubłaganym żywiołom, ogarniających ich uczuć.

Wreszcie westchnął i urwał.

Szli razem, jakby bezmyślnie w milczeniu, czasem się odzywając z okoliczności,
spoty-

kanych na drodze, by znów popaść w zobopólne zadumy.

Nagle znaleźli się pod Hotelem Europejskim. Hrabia prawie się zdziwił. Nie

wiedział, jak i kiedy wyszli z ogrodu i minęli przekątną Saski plac.

Janina przystanęła u wejścia mniej uczęszczanego, od placu.

Zatrzymali się.

Kobieta miała jakieś słowa na ustach, które się cisnęły, a które, by przytrzymać, ostatnią staczała z sobą walkę.

Odczuł to Homel

— Zostawisz mnie tak? — zapytał szeptem — zostawisz na resztę dnia, na pastwę

mym myślom, tęsknocie za tobą, temu straszemu uczuciu

niezadowolonego

pragnienia ciebie.

— Nie jeszcze! — podchwyciła drżącym, dławiącym się głosem

Janina, oblewając się

na obliczu szkarłatem rumieńca — zdaje mi się, że wchodząc do

hotelu tędy, można

wyjscie główną bramą. Odprowadzę cię więc a może...

Urwała i weszli

Mijali długi i ciemny kurytarz.

— Pokażesz mi twoje mieszkanie — szepnęła kobieta.

— Ot jest... — odparł po chwili przystając — ale nic więcej nie

zobaczysz. Mój

strzelec, widzę, w nim się znajduje — dodał wskazując wzrokiem na klucz utkwiony

w zamku.

Szli dalej. On mówił.

— Jak widzisz za starzy jesteśmy na studenckie romanse. Gdy byłem bardzo młody,
kochałem się szalenie w małej aktorce małego teatru. Przychodziła do mnie często
i nie bała się nigdy zastać u mnie choćby lokaja, bo go nie miałem.
Raz przyszła
i zastała moją matkę. Tej powiedziałem, że to kolega mój odsyła mi książkę. Moja
matka zrobiła minę, jakby uwierzyła, bo pewnie i uwierzyła.
Kobiety cnotliwe...
Urwał. Spojrzał na Janinę z przestraszeniem i podchwycił.
— Spuśćże woalkę.
— Czyż to nie wypada nam iść tym kurytarzem razem. Właściwie mam znajomą
mieszkającą tutaj. Wracam od niej, lub idę do niej, spotykam... ciebie.
Hrabia nie odparł, tylko zagadnął.
— Zabawna rzecz, że kobiety zawsze są przebieglejsze w labiryncie romansu od
mężczyzny. Kobieta, przebiegająca go pierwszy raz, będzie sprytniejszą od
mężczyzny, znajomego, zdawałoby się, wszystkie jego wykręty.

Nagle ujrzeni się u celu swych kroków przed schodami, prowadzącymi do głównej bramy.
— Nie możesz mnie teraz opuścić. Nie możemy błąkać się po tym kurytarzu. Ach!
ten cymbał! — dodał ze złością.
— Kto?
— Strzelec mój!
— Chodźmy więc na wystawę obrazów.
— Ach! Jakże mi ona obrzydła — zawołał Homel.
— Obrzydła?
— Nie inaczej! Ile razy już jesteśmy tam byli. Każdy obraz tam zna moje męczarnie, te

straszne męczarnie uczucia, buchającego, a trzymanego na wodzy
oczami obojętnych

ludzi, ścianami obojętnych murów...

— Chodź! — szepnęła.

I wkrótce szli razem wzdłuż ścian, pokrytych płótnami, które się
wszystkie

wydawały Homlowi potworami sztuki.

— Jestem chory! — zagadnął — ja wyjadę, ja wyjadę dzisiaj... albo...

— Albo? — zapytała Janina stając i wlepiając wzrok w płótno, które
jej się

wydawało masą szarych barw.

— Albo dziś będziesz moją — odparł wyraźnie, z taką siłą woli w
modulacyi głosu,

iż ta może skłoniła Janinę do podchwycenia.

— Dobrze więc..... — Tu głosu jej brakło. Chrząknęła i ciągnęła. —

Moja kuzynka

dziś idzie na wieczór. Ja z nią nie pójdę, pod pozorem zmęczenia, ale
wyjadę

jutro rannym pociągiem. Inaczej moje zmęczenie byłoby taką
anomalią, iżby jej

dużo dało do myślenia. Powiem jej jednak, iż wieczorem odwiedzę
moją dawną

przyjaciółkę, kanoniczkę... — tu zniżyła głosu, urwała, obejrzała się
po za

siebie i kończyła — Około dziewiątej więc przyjdę do ciebie..

Hrabiemu serce się ścisnęło. Podniósł oczy, by widzieć to oblicze,
które z taką

trudnością wyrzucało to wezwanie pierwszej, mogącej być winną,
schadzki.

Ale Janina już była o kilka kroków od niego. Jakby uciekała od
miejsca

popętnienia zbrodni, jaką, jej się zdawało, były te słowa.

Zrównał się z nią i szepnął.

— Dziękuję.... Ale czy dożyję? Nie masz pojęcia, jak długimi są
czasem godziny,

jak te długimi będą. Nie masz o tem pojęcia.

— A może i mam? — odparła, spoglądając mu w oczy przez woalkę, która przecież

nie ukryła rumieńca, jaki pokrywał całą jej twarz niemal.

Rozeszli się. Ona opuściła hotel. On powrócił do siebie, by tu w tych ścianach,

z tą

książką, na tym krześle przebyć te długich dziewięć godzin.

I wciąż widział jej twarz, jak mu w oczy spojrzała i wciąż czuł gorąco jej

rumieńca, oblewającego go tchnieniem i wciąż słyszał brzmienie tych trzech słów,

wzbierających mu serce "A może i mam!"

Ach! miała, miała to pojęcie. I za to ją szalenie kochał, za to, że go kochała i

mu to wręcz, z prostotą swej naiwności, mówiła.

Ale czemuż ona nie przychodziła?

Jeśliby nie przyszła, on by chyba zwaryował pod ciosem zawodu w tej ostatniej

wielkiej jego życia namiętności.

Ostatniej? Jakże on ją szanować musi, jakże się nią rozkoszować winien, jakże,

kropla po kropelce pić ten nadziemski nektar, którego pełny puhar wyciągnęła doń

dobroczynna jego gwiazdy bogini.

Bo czuł, że kochał, że kochał raz ostatni. I czuł, czuł doskonale, że był raz

ostatni kochanym, raz ostatni tem młodocianem uczuciem, w którym wyobraźnia i

zmysły ręce sobie z wzajemną otuchą podają.

.....

Jakże on był szczęśliwym.....

.....

Wtem zdało mu się, że kurytarzem szmer

jedwabiu szybko biegł i zbliżał się do jego drzwi.
Zapał oddech, wyteżył słuch.....
I podnieść się z krzesła nie mógł, gdy w tych drzwiach stanęła
przestraszona,
blada, niemogąca tchu uchwycić, zawoalowana postać niewieścia —
Janina!
— Janina!... — szepnął, nie mogąc poprostu się z miejsca ruszyć,
uszcześliwiony
tym objawem, z którego sobie sprawę zdawał, tym objawem
zdrętwienia z nadmiaru
oczekiwanego, upragnionego szczęścia.
— Ja... obie... całam... jestem.
I pierwszy raz, gdy hrabia zamknął za nią drzwi i dobrze spróbował
czy
zamknięte, znaleźli się zobopólnie w swych objęciach, ona tuląca się
do niego w
trwodze szczęścia i niepokoju występku, on pokrywający jej włosy i
ręce
pocałunkami z sercem bijącym młotem i mówiącemu mu każdym swem
uderzeniem, że był
jeszcze młodym, a więc nad wyraz szczęśliwym.
I byli oboje bardzo młodzi, on w tem artystycznym pojęciu romansu,
ona w tej
swojej naiwności lat ośmnastu z której świat, którego nie znała jej nie
ogołocił.
I w tej młodości swojej, dziwny urok czerpali w tym przestachu i
zdziwieniu, w
jakie ich rzuciła ta pierwsza schadzka.
Ochłaniali nadśluchując kroków na kury-

tarzu, jakby mógł się znaleźć ktoś, coby miał prawo im przerwać to
ciche
posiedzenie we dwoje.

— Jesteśmy oboje śmieszni — podchwycił hrabia, spoczywający u nóg siedzącej na fotelu Janiny — śmieszni gorzej od młodzików. Oto, co z dojrzałych ludzi robi prawdziwe uczucie.

Drżysz cała, mnie serce bije młotem, straszą nas kroki kelnerów i gości hotelowych W naszym oglupieniu, spowodowanym tem długim czekaniem, nie możemy sobie zdać sprawy, że nam tu żadne nie grozi niebezpieczeństwo, że trudnoby znaleźć w Warszawie człowieka, któryby miał prawo uchwycić za klamkę tych drzwi.

Zaśmiał się, obejmując spojrzeniem jej oblicze, a splatając jej dłonie na swojej szyi, ciągnął.

— Ale ty drżysz cała Czuję uderzenia twego zastraszonego serca. Ty! w tej olbrzymiej naiwności, która mnie swoją drogą tak w tobie zachwyca, ty może myślisz, że policja ściga schadzki zameżnych kobiet? Ty gotowaś to myśleć, w to wierzyć.

— Nie! — szepnęła Janina głosem cichym jaki jej ściśnione i pulsujące serce jedynie wydać pozwalało. — Nie, ale co chwila bezwiednie straszą mnie te kroki i zdaje mi

się, że we drzwiach, które się nagle otworzą, stanie Tadeusz.

— Który w tej chwili myśli właśnie — dokończył Homel, — jak skrzyżować holendry z szwajcarami, by zdwoić wydajność mleka.

— Więc sądzisz, że nie myśli o mnie? A Homel w odpowiedzi przycisnął ją do

siebie i tonem popsutego dziecka, ściągnając brwi i marszcząc myślące
czoło,

szepnął:

— Pocóż ty mi przypominasz, że nie jesteś wyłącznie tylko moją?

— Pytałeś? wszakże sam pytałeś — odparła ze smutkiem. — Gdybym
sama zapomnieć
mogła...

Nie mówili prawie więcej, chyba, że usta ich, zmęczone pocałunkami,
domagały się

równowagi w swych posłannictwach.

.....

Nie mówili więcej, chyba by się upewnić wzajemnie, że on ją kochał i
że ona go

kochała, by sobie przysięgać, że to uczucie, z minuty na minutę,
wzrastało, że

ich jakim szalonym jakby wód wirem, unosiło.

Nie mówili więcej, chyba by sobie namiętym szeptem udzielić
wrażeń swych

zobopólnych szczęść płynących z tego jednego, że byli wreszcie sami
z sobą.

Mijały kwadranse.

.....

Nagle zerwali się jakby z najgłębszego snu i bezprzytomni znaleźli się
na środku

pokoju, bladzi i drżący. Usiłowali błyskawicznie odzyskać zmysły,
czując, że

przytomność ich była gwałtowną potrzebą chwili.

Ktoś trzymał i próbował klamki drzwi z kurytarza. Równocześnie
usłyszeli znajome

im głosy, prowadzące następujący dyalog.

— Mój mąż stoi tutaj. Pan?

— Ja dostałem numer na pierwszym piętrze...

— Zaczekaj pan, aż mi mój mąż otworzy.

— Dziwna rzecz! Świeci się w numerze... Poznali głosy Bonara i
hrabiny Wandy.

Klamka poruszała się dalej. Poruszała nią pani Homel, usiłując w ten sposób obudzić męża, o którym sądziła, że śpi w numerze, skoro klucza nie było u portyera. Jeśli zresztą jego nie było, to musiał się znajdować strzelec. Tymczasem Janina i Homel stali na środku pokoju z zapartym oddechem. Ona obumierająca z trwogi, on usiłujący nadludzkim wysiłkiem odzyskać siłę wyobraźni i wymyśleć coś genialnego w swoim rodzaju. Czuł, że tylko coś genialnego może uratować jego i tę chwiejącą się kobietę. Stali oniemiałi. Janina wlepiła swój wrok w hrabiego

peprzytomna, czując tylko instynktem, że jeśli on jej nie wyratuje, nic jej nie ocali. A on milczał, bledniejąc tylko jak ściana. — Zabij mnie — szepnęła — zabij! — powtórzyła z taką gorącą prośbą w słabym głosie, iż sekundę Homlowi się zdało, że to, a nie co innego pozostawało mu jedynie do zrobienia. Ale w strasznych chwilach, okoliczności, anormalnie mózg wyęzające, rodzą niebywałe pomysły. Homel wstrząsnął bezprzytomną Janiną i szepnął. — Ubierz się. Pomagał jej w zarzuceniu futerka, w włożeniu kapelusza, w odszukaniu porzrzucanych po pokoju drobiazgów, co wszystko się działo z tym bajecznym w takich okolicznościach, bezwiednym pośpiechem. A tymczasem hrabina konferowała z kelnerem nadbiegłym. Informował on ją. Hrabia musiał być w domu, bo w zamkach, od obojga drzwi, od obu numerów tkwiły od

wewnątrz klucze. Gdyby nie to, możnaby zapaśnym hotelowym
kluczem, otworzyć
numer. Jeśli zaś hrabia nie był w domu, to znajdował się w numerach
strzelec,
który musiał ciężko zasnąć.....
Hrabia nie słuchając, słyszał, a fizyonomią

jego znacznie się uspakajała, choć przybierała jakiś twardy,
rozpaczliwy wyraz.
Uprowadził Janinę do drugiego pokoju, i prawie szorstko, nic nie
mówiąc, z
pośpiechem umotywowanym chwilą, obliczoną na sekundy i muszącą
mieć koniec,
wepchnął ją do niewielkiej szafy na ubranie.
Gdy już tam była, szepnął.
— Bóg wie! Może mi się uda. Tylko panuj nad sobą.. na Boga!
Zamknąwszy szafę i a klucz i tenże wyjąwszy, przystanął. Sekundę
zamyślił się
nad tem, co robił, nad tem, co jego, ją czekało
Ta sekunda mu wystarczyła.
W jednej chwili zrzucił ze siebie prawie całe ubranie i wsunął się do
łóżka,
którego pościel kilkoma ruchami pomiał.
A tam u drzwi na kurytarzu zaczynano na dobre szturmować. Raz,
gdy była pewność,
że ktoś w numerach się znajdował, chodziło tylko o obudzenie go.
Hrabia mimo
całej gorączki, w jakiej pozostawał, miał czas na zwrócenie myśli
dziękczynnej
do Opatrzności.
Gdyby był wyjął klucz z zamku, co byłoby zresztą naturalnem, co
zrobić myśl mu
nawet była przyszła, byłby teraz, przed przeprowadzeniem swego
planu, został
przydybany za pomocą zapaśnego hotelowego klucza.

Pociągną} nawet ręką po włosach, bo mu się zdawało, że czuje, jak
siwieje na
myśl, coby się stało z Janiną, gdyby ją tu zastała jego żona i jej mąż.
— Co to? kto tam? — zakrzyczał donośnym głosem, niby się nagle z
twardego snu
budząc, wściekłym a zaspanym tonem.
— To ja, ja! — tłumaczyła hrabina.
— Pani hrabina przyjechała! — informował kelner.
— Co? kto? co za hrabina? — huczał Homel, wyskakując z łóżka i
otwierając
wreszcie drzwi.
Był ocalony. Odegrał genialnie rolę w genialnym pomysle.
Hrabina się witała, rozglądała, rozbierała, a on czuł, jak go włosy
bolały w
nasadach od wysiłku mózgu, pytającego, co dalej robi.
Co dalej będzie?
Ale mówił.
Uczuł się zmęczony. Postanowił się zdrzemnąć przed kąpielą...
Zasnął. To miasto
nużyło. Ten ruch uliczny. Ta masą fizyonomij.
Zerwał się ruchem, pełnym naturalności, podbiegł do dzwonka,
nacisnął długo
guzik.
Pytał już.
Co ją niespodziewanie sprowadzało do Warszawy? Dla czego tym
pociągiem? Dla

czego go nie uprzedziła? On miał jutro wracać...

Wtem kelner stanął we drzwiach.

— Czy kąpiel gotowa?

— Może być zaraz gotowa.

— Proszę! zaraz! natychmiast!!! — rozkazywał, myśląc, że jeśli ta
kąpiel go nie

wyratuje, to nie wie, co pocznie z Janiną, duszącą się tam w szafie.
Gdyby jego
strzelec był przynajmniej, toby mu polecił uwolnienie kobiety. Ale go
uwolnił,
uwolnił do północy.
— Będiesz się kąpał? — spytała pani Wanda.
— I tobie to radzę uczynić. Nic tak nie odświeża po zmęczeniu
podróży.
— Kto wie? Może cię i usłucham...
— A więc gotuj się. W gabinecie tym są dwie wanny...
Odetchnął głęboko. Był ocalony. Jeśli tam zrobią kąpiel natychmiast,
jeśli żona
jego nie zmieni projektu jeszcze niepowziętego stanowczo, jeśli
przedtem tam w
szafie nie zemdleje Janina i nie runie z głuchym jękiem i upadkiem
ciała, to był
może... ocalony.
O siebie mu nie chodziło, ale o Janinę.
Mijały sekundy, czy minuty, które mu się wydawały wiekami, tak
długimi wiekami,
że ich rozmową zapęłnić myśli nie miał, tak

straszonymi swą grozą, że nie znajdował słów, choćby na to tylko, by
zagłuszyć
ciszę, mogącą ułatwić zdradzenie tajemnicy. Zapukano.
— Entrez. — Kąpiel gotowa.
Wstał i zdawało mu się, że uszedł śmierci, że niby tonąc, dobił na
jakiejs
deszczulce do jakiegoś brzegu.
Wstał i uczył dopiero, jak go ten wysiłek myśli i czynu zbił z nóg,
drżących pod
nim, że zbrakło mu sił, które ulatały z ciała, pokrywającego go
zimnym potem.
— Chodźmy! — zabelkotat z wysiłkiem języka.
— Zaczekaj jeszcze... minutę.

— Minutę... — powtórzył przez zęby hrabia i zachciało mu się płakać z rozpaczy.

"Minutę" mówiła ta kochająca go i droga mu istota, najnaturalniej, nie wiedząc,

że ta minuta rozstrzygała o całym ich życiu może" o życiu tak drogiej mu

drugiej, kochającej go istoty. Ta straszna igraszka losu, zawieszająca jakąś

deryzą, na jednej minucie, szczęścia czworga istot, pochłonęła go swą

psychiczną siłą na chwilę.

— Chodźmy! — powtórzył kapryśnym, naturalnym u niego tonem, niegdyś popsutego

dziecka, nieznoszącego zwłoki i oporu.

I wyszli, rozebrani, w szlafrokach, by przejść

dzielący ich tylko kurytarz od hotelowych łaźni.

Janina tymczasem, stojąca w szafie, czuła, że powoli ale stopniowo traci

przytomność.

Nie słyszała słów rozmowy, odbywającej się w drugim pokoju. Nie wiedziała, co

się z nią dalej stać miało. Pragnęła tylko wreszcie stracić względną przytomność, która zanadto jej dokuczała.

Nie myślała, co dalej z nią, pozostającą w tej najdziwaczniejszej pozycji się

stanie, ale myślała nad tem, że mąż jej przyjechał, że przyjechał niespodziewanie jakimś zbiegiem nienaturalnych okoliczności z

niespodziewaną też

żoną Homla.

Myślała nad tem, że w tej chwili prawdopodobnie znajdował się już w Alejach i

nie zastawał jej w domu i dowiadywał się, że nie poszła na bal z kuzynką. A więc

czekał na nią.

.....

A ona..

Ona?

I gdy stawała jej ta konsekwencja w oczach, nogi odmawiały posłuszeństwa i zginały się w kolanach. Upadłaby już była dziesięć razy, gdyby ściana szafy ciasnej, zgiąć się kolanom pozwoliła. Wreszcie nie myślała nic. Zdawało się jej, że się dusi. I możliwość tej ewentualności wtała prawie z uczuciem szczęścia. Oby

tylko w ostatecznej chwili rozłąki z życiem, nie porwało ją uczucie samozachowania. Oby nie krzyknęła, nie zdradziła się. Jeśliby znaleziono w szafie jej trupa, to przecież by ten rumieniec, któryby oblał oblicze tego

trupa, ją nadludzko nie bolał, bo by już nie żyła.

W tej chwili właśnie szafa się otworzyła i buchnęło do niej świeże powietrze, a

potem dopiero stanął Homel.

— Wychodź i uciekaj! — szepnął — wychodź i uciekaj!! — powtórzył.

Ale Janina zaledwie zdołała wysunąć się z szafy i zawisnąć u jego ramienia.

Hrabia zrobił rozpaczliwy ruch rękami.

Spotrzegła to i szepnęła błagalnie, opierając się nań.

— Nie mogę! nie mam siły...

Homel zdrętwiał ale na sekundę. Ochłonał prędko. Wszakże miał względnie

czas. Żonę pozostawił w wannie, opuszczając ją pod pozorem zapomnienia

papierosów.

Ale sam był rozebrany, w szlafroku, pantoflach. Cóż zrobić mógł, jeśli ta

chwiejąca się istota zemdleje.

Złożył ją na krześle. Podał jej szklankę wody, a sam wybiegł ku drzwiom. Chciał

szukać wybawienia w jakimś cudownym wypadku. Na kurytarzu
łatwiej mu było,
sądził, o cuda niż tu, samemu z nią.

Spotkał się z powracającym swym strzelcem.

— Jesteś! — zawołał — jesteś!! — głosem, który ludzie miewają w
zbawczych
chwilach.

Odetchnął, jakby życie odzyskiwał z tym pierwszym pełnym
oddechem. Wskazując
słudze Janinę, rzekł mu.

— Poznajesz?

Strzelec zmiarkował już z miny pana, że się rozegrywał tu jakiś
straszny dramat.

Ale połapać się nie mógł. Głową tylko kiwnął.

Homel położył rękę na jego ramieniu i mówił — Pani hrabina w
kąpieli

naprzeciwno. Pan Bonar w tym hotelu. Rozumiesz?

Strzelec głową kiwnął.

— Wyprowadzisz, zaniesiesz panią do doróżki...

To powiedziawszy, wybiegł.

Był ocalony, ale doznawał większego wewnętrznego niepokoju, niż
kiedykolwiek,

jakby z przecucia większego jeszcze niebezpieczeństwa

Powrócił do łaźni.

— Cóżżeś tak długo szukał tych papierosów? — zapytała pani Wanda.

Homel nie odpowiedział, ale mu się zdało, że w tonie tego pytania,
mieściły się

jakieś atomy podejrzenia.

I w swej bujnej a innej zawsze u autorów, niż u zwykłych
śmiertelników,

wyobraźni, widział potęgę takich atomów, jeśli się złożą i skupią na
dnie

małżeńskiej podejrzliwości.

— Czyżby mogła czegoś się domyśleć?

I badając to pytanie doszedł dopiero do drugiej, ważniejszej, w jednej chwili go

ogarniającej swą kombinacją, zagadki.

— Dla czego przyjechała? Jakim zbyt dziwacznym zbiegiem okoliczności, zjechała się z Bonarem?

I dalej był nerwowy, nie swój, to zamyślony, to budzący się już to z odrętwienia, już to ze zmęczenia wyczerpanych, a pracujących dalej nerwów.

XVI.

W nocy Homel się zbudził ze snu niespokojnego i męczącego.

Oślupiał ze zdziwienia, gdy ujrzął swoją żonę ubraną, siedzącą w zamyśleniu przy

blasku dwóch palących się na stole, świec.

Rzucił się do zegarka. Wskazówki jego stały na siódmej.

Była to wiec godzina siódma rano. Ponure światło z wąskiej ulicy, dochodzące do

komnaty przez zapuszczone story nie pozwoliłoby się było późnego zimowego dnia

domyślić.

Zanim sobie zdał sprawę z położenia rzeczy, zanim sobie przypomniał wypadki

też nocy, które go, zmęczonego nimi, powaliły jak kłodę na posłanie,

zastanowił się czuwaniem pani Wandy.

— Co to? Nie śpisz? Co się stało? — pytał gorączkowo pod wrażeniem tych

wzruszeń, których wspomnienia kilka godzin snu nie zdołało złagodzić.

— Czekam, aż się obudzisz — odparła hrabina tonem, który sam przez się podniósł na łożu Homlem i rozbudził go zupełnie, natychmiastowo, jego potrzebującego zwykle godzin i kąpieli do odzyskania trzeźwości zmysłów przytępionych snem.

— Cze... kasz?

— Czekam!

Hrabiemu serce bić przestało. Uczuł instynktem, a z fizjonomii żony, której

profil, oświecony bladem świec światłem widział, poznał, iż się znajduje przed

katastrofą, której możliwość napełniała go była nieraz trwogą.

Pani Wanda, która już oddawna czekała jego przebudzenia, która przez całą noc

ani oka nie zmrużyła, która wszystko to, co teraz miała mu powiedzieć, dawno

obmyśliła i przygotowała, nie kazała mu długo czekać.

— Czekam — zaraz podchwyciła swym stanowczym, a zbolałym głosem — tylko

powodowana uczuciem delikatności, mniej dla tego, by ci oszczędzić kilku

przykrych chwil, niż dla tego, by sobie oszczędzić kilku raczej możliwych, a

śmiesznych momentów.

Obudzwszy się, a nie zastawszy mnie mógłbyś się od razu nie połapać, o mnie

pytać, coby tylko niepotrzebnie przyśpie-

szyło i komentowało skandal, o którym i tak dość wcześnie świat się dowie.

— Tłumacz się jaśniej, bo nic nie rozumiem, a wzruszenia takie rano mi szkodzą.

Hrabina wybuchnęła sarkastycznym, wymuszonym, dźwięczącym boleścią śmiechem.

— Szkodzą ci? Daruj — zawołała — że tym razem tej drażliwości nerwów pozwolę sobie nie uwzględnić.

Homel rzeczywiście nadmiernie nerwowy, uczuł taką przykrość w tej sytuacji, iż

na razie pragnął tylko jak najrychlejszego jej wyjaśnienia.

— Mówże więc — rzekł niecierpliwie.

— Przyjechałam — podchwyciła pani Wanda, której najwidoczniej też pilno było

skończyć — wezwana anonimem, donoszącym mi, że dalej prowadzisz w Ujazdowie

rozpoczęty, niewinny, jak mi nieraz tłumaczyłeś flirt z panią Bonar.

Przyjechałam z Bonarem, z którym się zjechałam w Baralyi i który, teraz to

dopiero widzę, musiał być podobną jak ja pobudką kierowany.

Zaśmiała się i ciągnęła.

— Jak widzisz, parafianki nie są ostrożne w romansach. Mało brakowało, byśmy

oboje, ja i Bonar nie zastali was oboje, niewinnie flirtujących. Ha ha!

Dziwne

chodzą po ludziach wypadki...

— Zwaryowałaś! Nic nie rozumiem! — podchwycił Homel, który znał swój talent maskowania fizjonomii, a nie znając rozciągłości katastrofy, liczył, że jej

jeszcze uniknąć potrafi.

— Zaraz zrozumiesz! — podjęła pani Wanda. — Wczoraj wieczór, gdy ja i Bonar,

znajdowaliśmy się tu pod temi drzwiami i naturalnie nie

przypuszczaliśmy nawet

by tu znajdowała się jego żona...

— Oszalałaś!

— Poczekaj, Ani ja, ani on tej możliwości, mimo anonimów, nie przypuszczaliśmy,

powtarzam, choć oboje niby po to, tuśmy się znaleźli, na tym hotelowym kurytarzu. Bo i któżby mógł przypuścić, że takie parafianki w danym razie, przybierają zwyczaje i obyczaje kobiet drugorzędного półświata — zaśmiała się i poprawiła — ostatniorzędного? że się nocami włóczą po hotelach. Homlowi krew uderzyła do głowy. — Głupstwa, które mówisz — zawołał, nie wierząc jeszcze, by jego żona mogła mieć dowody na to, co twierdziła, z zasady zresztą, że przeczenie jest jedyną bronią, którą się tylko w ostateczności wypuszcza — kładę na karb twej znanej mi egzeltacyi. — Ha! ha! Cóż za hipokryzya! Zlitujże się nademną i oszczędź mi tego upokorzenia, jakie ztąd wyniosę. Upokorzenia mienia

meża jakby najzwyczajszego hultaja, próbującego kłamstwem mnie otumanić.

— Doprawdy...

— Pozwól-że mi skończyć. Oceńże moją wyższość, która ci pozwala nie odegrać śmiesznej i upokarzającej roli.

Zgnębiony Homel opuścił się na poduszki. Miała więc dowody. Hrabina ciągnęła.

— Gdy tu wreszcie weszłam, gdy wreszcie ukryłeś tę kobietę publiczną...

— Przestań! — zahuczał wściekły hrabia, zrywając się na łóżku w jednym z tych napadów furji, u niego rzadkiej i krótkiej.

— Nauczyłeś mnie sam zawsze — podchwyciła pani Wanda — nazywać wszystko po nazwisku. Or, une femme, qni court la nuit les hôtels...

— Przestań!

— Gdyś ją więc ukrył w szafie, a mnie otworzył, po mistrzowsku,
zresztą,
odegrywając rolę zaspanego apatyka...
Homel westchnął. Jakże on cierpiał w tej chwili, on, unikający
śmieszności i
bojący się jej jak ognia.
Wiedziała o tem pani Wanda i może dla tego dłużej i dokładniej
mówiła, ciągnąc.
— Gdyś mi więc otworzył, uderzyła mnie odrębna woń, wiesz, jak
mam delikatne
powonienie, które cię nieraz zastanawiało. Ale!

ha! ha! ha! tak genialnie grałeś twą rolę. Ta kąpiel tak była
scenicznym,
odpowiednim charakterowi bohatera sukursem, iż na chwilę zostałam
obałamucona.
Homel, który już ochłonął, pogodziwszy się z faktem, że żona
wiedziała wszystko,
przerwał i zapytał.
— Nie mogłabyś odrazu przejść do rezultatu?
— Nie! wszakże jestem żoną powieściopisarza i nie mogę ci odmówić
tych przejść
moich psychicznych, które ci się mogą do romansu nadać i które cię
muszą
interesować. Daruj zresztą jeśli moje sprawozdanie jest za długie, lub
za
szczegółowe. Nie naprózno się jest lat dziesięć żoną belletrysty.
Zresztą te
rzeczy, wchodzące w dziedzinę obserwacyi, zawsze cię interesowały.
Zmieniła lekko ton i ciągnęła.
— Ta kąpiel mnie obałamuciła. Ale później muszę ci przyznać, nie
bardzo zgrabnie
zwlekałeś z wejściem do wanny, a już jak najgorszy aktor powróciłeś
blady i
drżący po uwolnieniu tej parafianki z szafy. Co się takiej parafiance w
szafie

dziać musiało? ha ha! ha! ha! ha!!!

Homel nawpół słyszał. Kto go zdradził? pytał. Strzelec? to było niemożliwe. On przez sen zwyczajnie mówić nie miał. A może,

w tej gorączce, w takich wyjątkowych okolicznościach...?

Ale zastanawiać się czasu nie miał, bo pani Wanda mówiła dalej.

— Położyłam się myśląc nad tem, usiłując zastosować raz wreszcie metodę

obserwacyjnie psychicznie dedukcyjną, którą tak w książkach wojujesz. Udało mi

się to wybornie.

Doszłam w nocy jeszcze, tylko na mocy tej metody, której teorią raz mi byłeś

wyłożył, do przekonania, że w chwili, w której, ja i Bonar byliśmy za drzwiami,

ta parafianka była tutaj. Inaczej nie dałyby się były wytłómaczyć takie obserwacje, jak twoje wczesne uśnięcie, uśnięcie przy świetle pięciu świec w

kandelabrze, stojącym na stole, a nie przy łóżku... nieobecność strzelca, bez

któregobyś sobie nie potrafił rozwiązać krawatki... nieobudzenie się na silne

stukanie, ciebie, którego budzi mysz, ocierająca się o portyerę... zapomnienie w

kąpieli wreszcie portcigaru, który widziałam, jak kładłeś do kieszeni szlafroka.. powrót w końcu i zbyt długie chwile namysłu nad

odpowiedziami na

moje pytania... A uśnięcie zbyt pośpieszne...?

Podczas, gdy to mówiła, Homel nabierał otuchy. Jeśli wiedziała tyle tylko,

myślał, to partya nie była straconą. Zapewne, że w me-

tożsamość obserwacyjno dedukcyjnej spostrzeżenia te były poważnymi danymi, ale

można je było łatwo zbić tą samą metodą.

Na każdy z tych argumentów miał już argument odporny, również wypływający z jego własnej fizjologii.

— Dalej? — podchwycił niedbale głosem pewniejszym i jakby zwiastującym replikę.

— A więc, tak przekonana, uczułam potrzebę dowodów namacalnych, któreby

stwierdziły d'une manière palpable trafność moich dedukcyj.

Wstałam! Zaświeciłam

świecę i wybrałam się na poszukiwania do szafy. Tu mnie uderzył zdemodowany

zapach verveiny, który faworyzuje ta dama.. Więcej dowodów ja nie potrzebowałam... Żadna demimondaine dziś się już verveiną nie perfumuje.

Zaśmiała się i kończyła ze śmiechem.

— Ha ha! Ale musiała długo tam bawić, by tak całą szafę napęścić tym odorem...

— Widzisz, jaki błąd popełniłeś, ty! niemogący żyć minuty bez obsługi,

uwalniając strzelca na czas tej schadzki. On byłby ją wypuścił, podczas gdyśmy

tutaj rozmawiali, zanim wpadłeś na genialny koncept kąpieli. Rendons à César, ce

qui est à César...

Homel westchnął pełną piersią. Był ocalony. Zapach, jako rzecz lotna, nie mógł

być dowodem winy, zbrodni, jaką w oczach jego żony był jego postępek. Nie

musiało

być już jego śladu w szafie. A choćby był to mogła go po sobie zostawić

poprzednia lokatorka. Perfumy mają właśnie to do siebie, że powoli wnikają, a długo trwają.

— Dalej? — zapytał wyzywająco.

— Jeszcze chcesz dalej — podchwyciła zaraz hrabina, jakby tylko tej zachęty czekała.

— Jest i "dalej. " Nie poprzestałam na zapachu, który mi wszakże wystarczał i

któryby mnie był sam skłonił do robienia tego, co zrobię.

Tu urwała, sięgnęła ręką do stołu, i zdejmując z niego jakiś przedmiot, podniosła go do góry w kierunku łóżka Homla,

— Ale znalazłam — cedziła — tę oto szpileczkę. Poznajesz ją?

Noszono takie we

włosach temu lat osiem, właśnie gdy Bonar się żenił. Widziałam ją przez cztery

tygodnie w Ujazdowie w towarzystwie trzech takich samych,

wstrzymujących sploty

zachwycających cię włosów...

Jeśliby więc inna dziś prócz tej, na świecie kobieta używała verveiny, to

niepodobieństwem jest, by ta sama używała takich samych, bardzo oryginalnych

szpilek. Zresztą, należą one do kompletu. Wystarczyłyby sędziemu śledczemu.

Poznajesz je?

Homel milczał. Poznawał ją doskonale. Bardzo je nawet lubił we włosach Janiny,

te niemodne szpilki, robiące jej uczesanie się,

więcej indywidualnem. Poznawał ją doskonale, tę szpilkę z szyldkretu z główką o

trzech złotych patkach naśladowujących listek koniczyny, czy bratek.

— Poznajesz ją? — pytała jeszcze hrabina sarkastycznym, choć przez dławiające ją

łzy, głosem.

Homel milczał w bezmiernym osłabieniu, które ogarniało gwałtownie jego stargane nerwy. Ta boleść tej kobiety, którą kochał, ta boleść, którą czuł w każdej intonacji, jej dykcji pełnej, zdawałoby się tylko sarkazmu, dobijała go moralnie.

Na razie zapomniał o Janinie, zapominało sobie, a widział się tylko sprawcą nieszczęścia, jakie spadało na tę kobietę, która mu życie całe z nieograniczonym oddała zaufaniem, którą poprostu kochał tem odrębnym uczuciem, możliwym tylko w dobranem choć ostygłym małżeństwie i może tem głębszem im chłodniejszym. Znał ją. On ją musiał utracić, wiedział to i ta świadomość go druzgotała. Na pół przytomny, tak zmiażdżony, iż pragnął tylko, by się ta scena tak, czy owak na razie skończyła, opuścił się na poduszki i zwrócił ku ścianie. Nie przychodziła mu myśl nawet ułagodzenia żony, odroczenia decyzji, którą już powzięła, wiedział. Przywykł oddawna, do znamienego rysu

jej indywidualizmu, polegającego w bezgranicznym apoteozowaniu małżeństwa.

Widział się na dnie katastrofy, której możliwość przypuszczał od chwili, jak

Janina tak silnie zmysłami jego zawładnęła.

Hrabina po długiej przerwie podchwyciła.

— Domyślasz się zapewne, że z tobą pod jednym dachem żyć nie będę... że

oszczędzę tobie grania smutnej komedyi, sobie rozpaczliwego widoku... Miałam

jedno od dzieciństwa credo i w niem zostałam zawiedziona.
Pojmujesz, iż
potrzebuję czasu, wiele czasu, by się zorientować, by tobie się
spokojnie
przypatrzeć, by wiedzieć, co dalej z mojem złamanem życiem zrobię..
Urwała i po pauzie, opanowawszy cisnące się łzy, podjęła.
— Ale też zapewne, znając mnie, wiesz, że drugiego życia zakładać
nie myślę, na
fundamencie takich w małżeństwie rozczarowań. Wyjadę, wyjadę dziś
jeszcze. Czy
wrócę kiedy, czy nie, nie wiem. Nic nie wiem. I na razie nic
decydować nie
chcę..
Tu znów łzy głos jej zdławiły. Opanowała się i kończyła.
— Majątku mojego, który w większej części w twoich Mikulińcach
umieściłeś,
odbierać ci nie myślę. Jeśli straciłam do ciebie zaufanie, jako do
małżonka, mam
je jako do człowieka. Zresztą nie mam prawa, ani

potrzeby rujnowania cię materyalnie z tej przyczyny, żeś miał zły gust
zakochania się w tej parafijance. Proszę cię jednak, całą moją osobistą
kobietą
własność, jaką zostawiłam w Mikulińcach, odesłać do Kolońskiej.
Osiem tysięcy
rubli zaś rocznie będziesz w kwartalnych ratach, z góry deponował u
Kohna.
Wyniesie to nie całe trzy procent od mego majątku. Będzie ci to
zapewne
ciężarem..
Westchnęła i mówiła.
— Gdybym pod tym względem zmieniła projekta, to cię zawsze
zawczasu uwiadomię.
Znasz przecież moją pod tym względem lojalność..
Tu wstała, zadzwoniła i zaczęła się przechadzać po pokoju. Zgasła
świece, które

już biały dzień robił zbytecznymi i rzucała zażawione dokoła siebie
spójrzenia,
jakby żegnając to miejsce, dla tego już drogie, że w niem pożegnała
ubóstwianego
ongi człowieka.

Oblicze jej wyrażało decyzję tak stanowczą, tak obmyśloną i
obliczoną, że nic by
jej nie potrafiło naruszyć.

Homel nie potrzebował nawet w tym wypadku śledzić wyrazu jej
twarzy. Ta kobieta
nie miała przez lat dziesięć, w stosunku z nim swojej woli. Dość znał
charaktery, by wiedzieć, że gdy taka kobieta wolę znaj-

duje i ją wygłasza, to tej woli nie potrafiłby złamać, ani rozbroić.
Zmiażdżony, leżał nieruchomy. Co będzie dalej, nie wiedział. Pomyśli
nad tem,
gdy odzyska zmysły, jeśli je odzyska. Teraz jak ciężko chory, w
gorączce,
dochodzącej kulminacyjnego punktu, pragnął tylko końca, tylko
końca swego
skomplikowanego cierpienia.

W uszach mu szumiało. Serce, na które cierpiał było nienormalnie,
sprawiając mu
tem niedotkliwy, ale tak nieznośny ból, w którym marzył o
dobrodziejstwie,
jakiem by dlań było, gdyby ktoś ostrym nożem to serce mu z piersi
wykroić
chciał.

Prawie, jakby przez sen, słyszał jak wszedł kelner i otrzymał rozkaz
jego żony,
wyniesienia spakowanych rzeczy i włożenia ich na doróżkę.
Jakby w letargu czuł, jak ta kobieta wyszła, jak drzwi za nią się
zamknęły, jak
się w nim coś rozdarło, coś, coby mu straszny sprawiło ból, coś przed
czem by

się bronił do ostatniej krwi kropli, gdyby miał jakąkolwiek odporną siłę, gdyby ten ból w sercu nie osłabiał cierpienia wszystkich innych jego fiber. Nastąpiły minuty, kwadranse, godziny, w których słyszał, czuł, myślał, lecz wszystko jakby w letargu, w jakimś połowicznym

śnie, jakiego pierwszy raz w życiu doznawał. Zdawał sobie sprawę, ze swego istnienia i z wypadków, jakie zaszły, ale tak mdło i spokojnie, jakby one go już mało dotyczyły, jakby i on tuż po nich w nicość się miał obrócić.

Szum tylko w uszach mu się powiększał, w oczach coraz się bardziej mgliło.

Uczepił się bukietu kwiatów na papierze obicia pokoju, chciał te kwiaty nazwać i rozpoznać. Nie mógł. Oburzyło go to na chwilę. Chciał użyć siły woli. Nie miał jej już.....
...Usnął...

.....
Spał kamieniem tak długo, aż go zaspokojonego snem niezbudziło pukanie, a

wreszcie otwarcie się drzwi do pokoju.

Był to baron o pomieszanych rysach twarzy, z pionowym głębokim zmarszczkiem

przez czoło, widocznie wzruszony na swem bezwyrazistem zmatowanym obliczu.

Gdy Homla uderzyła gra tej trudnej do uchwycenia fizjonomii, gdy nagle

zbudzonemu ze snu, ukazała się postać barona, uprzytomniły mu się przebyte

przezeń wypadki

Aby ukryć niepokój ogarniający go z sekundy na sekundę, sprawiając mu wypo-

czę temu snem okrutne cierpienie, zagadnął barona bezwiednie w sposób, który zachęcił tegoż do natychmiastowego przystąpienia do treści swojej wizyty.

Zaczął więc opowiadać.

Ale Homel nie słyszał absolutnie nic. Wezbrane jakby w burzy morskiej, gwałtowną falą, uderzały weń niedalekie wspomnienia kolejno jedno po drugim, stawała mu w

pamięci to ta, to owa chwila z ubiegłej nocy i poranku. Chwilami pytał, czy to

mogło być prawdą to wszystko, czy to nie był sen. Wszakże to wszystko było za

straszne, by nie być snem. Ale to nie był sen, widział to pewniej w miarę jak

przytomniał, jak wyraźniej słyszał głos powolny i monotony barona.

Belizar jakże stasznie powiększał jego cierpienie, ale jakże też i robił je

możliwszem do zniesienia tym przymusem, jaki zadawał, ukrycia go i prędszego

objęcia.

Baron opowiadał jak przybył, jak go Kolońska nie przyjąła, jak później dostał

list od niej zrywający, jak później znów go wezwała i obsypała wyrzutami, nie

wiedział o co i za co. Ach! jakże to wszystko było obojętne Homlowi.

Świat mógł

się walić w trzęsieniu ziemi, które mogło grozić hotelowi, w którym leżał na pół

przytomny, a on by ani drgnął, by się ocalić, owszem powitałby z radością to

wyzwolenie, choćby tylko z tych

cierpień, które go teraz w najbliższych chwilach czekały.
Ah! Jakże szaloną ochotę miałyby wyrzucić Belizara za drzwi i oddać się wyłącznie
przeżywaniu swego nieszczęścia, co mu się wydawało w tych okolicznościach
jedynym zbawieniem.
Niechżeby jak najprędzej objął, zrozumiał, ogarnął całą rozciągłość i subtelność
swej niedoli, w której nic go nie gniołło wyłącznie, a wszystko równomiernym
ciężarem spadało mu na barki i wzbierało chorem sercem.
Wszystko mu było obojętne i Janina może w tej chwili jak on nieszczęśliwa i
Wanda odeń nieszczęśliwsza.
A ten człowiek tu, ten Belizar, co się we frak ubierał sam dla siebie,
prawił mu
o swej niedoli. Jakaż niedola mogła się przytrafiać amfibiom. Ostrygi
nie
wydawały głosu, gdy je połykano. Czyż ten dureń, prawiąc mu te głupstwa o
histeryczce i sobie, nie wiedział, co się w nim działo.
On tracił równocześnie namiętnie kochaną kochankę i uwielbianą żonę, on tracił
całe życie! i milczał, a ten tu się rozwodził nad utratą narzeczonej, którą on
mu sam dał.
Nie słuchał go, tylko myślał z tą nieubłaganą konsekwencją myśli nad wypadkami,
które go czekały, gdy uwierzył w te, które go już spotkały.

Co się działo z Janiną? Jakiej treści były te anonimy? Gdzie była teraz jego
żona? Co zrobić myślała?
Tysiące, tysiące pytań.
I kołysany usypiającym i kojącym jego bóle szumem głosu Belizara, jakkolwiek nie

był zdolny do żadnej analizy, spostrzedz musiał, że go więcej
obchodził los
hrabiny, niż pani Bonar.
Myśl do niej wciąż powracała. Ją widział wyraźnie z tym wyrazem
cierpienia na
bladym i matowym obliczu, a nie dawała się uchwycić i odzmysłować
oszałała z
przestrachu twarz Janiny, gdy ją z hotelu ze strzelcem wyprawiał.
Nie słuchał, ale słyszeć musiał to to, to owo z jeremiady Belizara.
On miał do niego urazę, że go naraził na kosza, na wydatki, na utratę
czasu, na
śmieszna wreszcie i upakarzająca pozycję. On mu do zrozumienia
dawał, że znał
już pobudki, które jego, Homla, skłoniły do urządzenia tego
niefortunnego
małżeństwa.
Milczał jednakże, by nie przerywać rozpaczliwego wątku swych
myśli.
Usiłował co rychło objąć wszystko, cały rozmiar katastrofy. W tem
tylko widział
możliwość przyjścia do siebie, odzyskania swych władz umysłowych,
przecież nie
poślednich. A tak był zdruzgotany, iż myślał

tylko przeważnie o sobie, o odzyskaniu się, o odzyskaniu swego
człowieczeństwa.
Jęknął z rozpaczą, gdy baron domagał się odeń odpowiedzi, na
pytania, które mu
zadał już dziesięć razy i na które odpowiedzi uzyskać nie mógł.
Jęknął tak rozpaczliwie, że Belizar się zmieszał, wstał i zagadnął.
— Ale widzę, sam jesteś w tej chwili czemś innym zbyt zafrasowany..
Tu się dopiero ocucił Homel z silnym postanowieniem, wyrwania się
z odrętwienia.
Człowiek jego pokroju, nie powinien dać się pokonywać wypadkom.
Był zwolennikiem

hartu duszy, pozwalającego znosić cierpienia ze światowym uśmiechem na ustach.

Nienawidział u mężczyzn przygnębienia i zwątpienia.

Artyzm mu wrodzony uratował go, zrobił to, czego refleksya na jego naturze

wymódz nie zdołała.

By się Belizarowi nie przedstawić pod postacią, której u mężczyzn nie znosił,

aby zatrzeć już wywarte wrażenie, opanował się w jednej chwili.

Podnosząc się na łożu zagadnął.

— Nie jestem bynajmniej zafrasowany, chyba tem, co mi opowiadasz.

— Słuchałeś? — podchwycił z radością i niedowierzaniem baron.

— Słuchałem. Ale byłem zaspany. Ja się bardzo trudno budzę..

— Musiałeś nie spać w nocy... przepraszam cię, ale o tej godzinie.. sądziłem.

Hrabia rzucił się do zegarka. Ten stał.

— Czyżby było tak późno? — zapytał.

— Czwarta będzie...

— Czwarta - powtórzył machinalnie zastanowiony tym fenomenem, jakim mu się

wydała być okoliczność, że pierwszy raz od pierwszej młodości, w której lubiał

taniec, spał, jak po balu.

Podrzucił właściwym mu ruchem głowę i zaczął.

— Żałuję cię bardzo! żałuję! Tem więcej, jeśli panna Kolońska właśnie zaczynała

ci się podobać. Wspominałeś coś o moim w tem wszystkim jakimś udziale... Możesz

mi wierzyć, że udziałem moim było tylko gorące pragnienie, byś się ożenił i byś

znalazł w tym związku szczęście. Okoliczności, o których mi pierwszy donosisz,

inaczej pokierowały.. Nie wiem, co zaszło. Na żaden domysł nie wpadam. Tego co

ci panna Kolońska mówiła, nie mogę brać w rachubę. Kobiety, a szczególnie ona, takie jak ona, miewają swoje dziwne myśli... Zmęczony, jakby ciężką pracą w kopalniach Syberyi, oblany potem, urwał, nie

mogąc dalej mówić. Przerachował się. Ocierając czoło, szepnął.

— Nie wiem, czy będę chory, czy co, ale jestem.

... Belizar wstał pomieszany. Wysiętek kuzyna nie uszedł jego uwagi.

Zmiarkował

wreszcie, że w tym dniu i w jego życiu zaszło coś może

przykrzejszego, od tego,

co go spotykało.

Homel odgadł myśli barona. Chrząknął, zebrał siły umysłowe w

ostatecznym wysiłku

i kończył.

— Wstanę. Jeśli będę miał siły... jeśli osłabienie, jakie czuję z powodu tego

anormalnego snu może minie... to wieczór, dziś jeszcze rozmówię się

z

Kolońską... dowiem się. Zwaryowała! zwaryowała stanowczo...

Belizar wyszedł. Homel został sam i opuszczył się na poduszki,

obejmując dłońmi

głowę. Jeśli wszystko dotąd rozumiał, to postępuku Kolońskiej nie

rozumiał.

Ale zastanawiać się nad nim nie miał czasu, ani chęci. Czempredzej

rozproszył te

myśli i zerwał się z łóżka.

Kapiel przyszła mu do głowy, narzuciła się jego nerwom. Ona może go ocali.

Tak! ocali! Bo czuł się w stanie, któryby nazwał groźnym, gdyby tyłoma

wstrząśnieniami nie był umotywowany.

W kilka minut później leżał w wannie, a

nad nim stał strzelec, mniej może przerażony wyglądem pana, niż
zaciekawiony
wypadkami, które wietrzył.
Hrabia go od czasu do czasu to o to, to o owo pytał i znów pogrązał
się w
zadumie, w której poprostu tracił poczucie samoisnienia.
Ale kąpiel, to lekarstwo indywidualne jego organizmu, któremu może
zawdzięczał
ten długi i zbawienny przy jego nerwowym ustroju sen, działała
dobrze.
Myślał trzeźwiej i bystrzej.
Katastrofa układała się w jego głowie ze swymi motywami,
przyczynami i wynikami.
Rozwikłując ją, wnet doszedł do autora anonimów, który tyle narobił
nieszczęścia. Wyobraźnia, wyćwiczona w obserwacji psychicznej,
rozwinętej mniej
lub więcej u każdego współczesnego powieściopisarza, wzorującego
się na
Bourgecie i Prevost'cie, raz puszczona w wir badania, doszła też do
odgadnięcia
przyczyny, która skłoniła Kolońską do puszczenia anonimów.
Westchnął i szepnął tragicznie.
— Ha! jakich anonimów! Anonimów, które wiedział, że druzgotały
może nazawsze dwa
już życia. A co się działo z Janiną?
A gdyby był wczoraj nie wpadł na ten genialny manewr. Bonar i jego
żona byliby
zastali ich oboje...

Zadrzał w ukropie, a oblicze wykrzywiło mu się takim skurczem, że
strzelec
podbiegł i zawołał:
— Pan hrabia chyba chory?
Homel się obudził.
— Chory? nie! nie jeszcze. Ale chyba będę chory.

Wyprostował się i wyciągnął w wannie. Jeszcze musiał być zdrów, a przynajmniej przytomny.

— Słuchaj! — zawołał — Ja dziś nie wyjdę. Położę się nazad lub.. W każdym razie nie wyjdę. Zadzysponuj herbatę, mocniejszą niż kiedykolwiek... Sam zaś zaraz przebierz się po cywilnemu. Udaj się w Aleje Jerozolimskie pod numer . Tam mieszka pani Dowgiałło.

Urwał, bo mówić nie mógł. Po chwili dopiero podjął.

— Dowiedz się, czy jest jeszcze pani Bonar. Dowiesz się, co będziesz mógł się

dowiedzieć. Pan Bonar stanął tu w hotelu.

Urwał i znów myślał.

Gdyby ta katastrofa ograniczyła się tylko na nim i na jego żonie, gdyby ocalała

Janinę i Bonara. Ale czyż to było możliwe z Kolońską? Zamyślił się, jak

poprzednio i nad tem samem. I to on był bezpośrednim sprawcą nieszczęścia. Gdyby

się był wtedy wieczór nie dał porwać swej autorskiej swa-

dzie. Jakże on mógł, on! on! nie wiedzieć, że taka Kolońska nie pogodzi się

filozoficznie z tym "frakiem" Belizara.

Czyż to było możliwe, by to jego opowiadanie, którego barwnością, zachęcony

śmiechem kobiet, dał się porwać, było jedyną przyczyną tej katastrofy.

Było możliwe, widział to teraz dopiero, analizując chory organizm tej kobiety

końca wieku, zgangrenowanej życiem highlifu.

Zresztą, to nie pierwszy raz miał dowody niebezpieczeństwa tej broni, którą

wojował, broni będącej warunkiem tworzącym belletrystę.

Nieraz już przeraził, do paniki doprowadził ludzi, zmuszając ich do
przy patrzenia się bez okular, sobie czy innym.
Znał tę charakterystykę pewnych licznie rozrodzonych indywiduów,
którzy nie
wybaczą tym, co im ukazują rzeczy, takimi, jakimi są, a nie
takiemi jakimi
je widzieć pragną.
On sobie sam tego narobił.
Ale czy tylko sobie?
O Belizara mu nie chodziło. Pocieszy się łatwo w Wybranowie. Ani o
tę waryatkę.
Ani o siebie w tej chwili, bo jeśli przeżyje te wypadki, to z nich i
wybrnie.
Ale Janina? Wanda?
Serce mu bić przestało. Znow się obudził.

Strzelec stał i wpatrzony w jego fizjonomię, wyrażającą tę głuchą
burzę jego
duszy, czekał dalszych rozkazów.
— Ty? — spytał.
— Pan hrabia by lepiej wezwał doktora. Homel drgnął cały. Ta
propozycja znow
mu przywróciła zmysły i pozwoliła się opanować.
— Potem pójdziesz i dowiesz się — ciągnął — co robi pani hrabina.
Musiała stanąć
u swej siostry.. u pani...
— Wiem! — podchwycił sługa, widząc z jaką trudnością panu
przychodzi przypomnieć
sobie nazwisko.
Przymknął oczy i szepnął.
— Idź!
Chciał mu jeszcze polecić ostrożność, by się nie zdradził, że on go
wysłał,
by... ale już nie miał siły. Liczył na jego spryt. Przecież wiedział, że
on
dużo mówić nie lubiał, rozkazów drobiazgowych nie wydawał.

Zresztą on na słowa siły nie miał. Czuł niepohamowaną żądzę skupienia się w sobie ze swemi myślami.
Myślał.

.....

Gdy strzelec wrócił, zastał go jeszcze w wannie. Inny byłby w niej, w tym ukropie osłabł do zemdlenia. Homel odzyskał się po części.

— Jesteś! — zawołał głosem prawie swoim. Właściwie dopiero się obudził.

— Pan hrabia już trzy godziny... Homel wyskoczył. Zdawało mu się, że był sobą.

Świat mu się inaczej przedstawiał.

Katastrofy były rzeczami ludzkimi. I ludzkim było z niemi się borykać. Czuł w

sobie początek reakcyi i pragnął jej dopomódz.

Nie pytając o nic, ubrał się i przystąpił do ostatecznego otrzeźwienia się

herbatą.

— Mów!

— Państwo Bonarowie wyjechali popołudniowym pociągiem do domu.

Homel odetchnął.

— Pani hrabina — ciągnął strzelec — wyjeżdża wieczornym.

— Gdzie?

— Nie wiem! Pewnie do Mikuliniec.

Homel się zamyślił i zoczył dopiero na stole list adresowany do niego pismem

siostry jego żony.

— Zkąd ten list?

— Nie wiem! Musiał go portier przynieść, gdy pan hrabia się kąpał.

Rozerwał kopertę. Pani Marya pisała.

"Co się stało? Wanda, która przybyła dziś rano, wyjeżdża wieczór za granicę.

Jest w stanie, który mnie przeraża, choć nic nie chce mi powiedzieć.
Dowiaduję
się w tej

chwili, że jesteś tu. Uspokójże mnie, bo nic nie rozumiem."
Homel znów zapadł w zadumę, która się tem tylko od snu różniła, że
po głowie mu
się plątały wspomnienia rzeczywistości, a nie fantazyje snu.
Jak kąpiel jednak przywróciła mu fizyczne siły, tak herbata powracała
wyobraźni
jej trzeźwość i sprężystość.
Myślał długo.

.....
Wysłał strzelca, by nie widziany, starał się zobaczyć na Wiedeńskiej
drogi
dworcu, azali jego żona wyjechała.
Pozostawszy sam, uczuł, że znów go ogarnia rozpacz, której poprostu,
a nie czemu
innemu, ulegał.
Wstał więc i chodził po pokoju.
Usta jego wykrzywiały się co chwila nieopisanym bolem.
Ten sybaryta bał się życia. Całą przeszłość poświęcił urzędzeniu sobie
wygodnej
i spokojnej egzystencji.
A teraz czyż przed nim była choćby egzystencja, bez tej kobiety, z
którą się
zżył, która właściwie stanowiła jego drugą połowę.
Poświęcił ją dla Janiny. Czy dla Janiny. Czy nie dla usubtelnienia
swego
sybarytyzmu? Czy on ją pokochał jako kobietę, czy też jako
urzeczywistnienie tej
mary jego

ostatnich lat, wypływającej wprost z epikureizmu jego natury.

Chciał być młodym...

Zaśmiał się i jakby otrząsnął głową myśli ją mordujące.

Jakkolwiek miał zdolność patrzenia w siebie, czuł, że teraz nie dojdzie do

żadnej konkluzji, że nie dojdzie nawet do pewności, czy kochał jeszcze Janinę,

czy ją kiedy kochał. Że nie pojmie, czy cierpiał cierpieniem Wandy, czy drżał na

myśl jej utraty, czy na myśl zawichrzenia swego ułożonego, jak w podróży

necessairze, życia.

Po raz setny stwierdził fakta. Żona go opuszczała. Janina powracała pod strzechę

domową z mężem, który co najmniej, w najszcześniejszym razie, miał nosić w sobie

straszny jad trucizny, jaką jest podejrzenie.

O Belizarze i Kolońskiej, tych także ofiarach swych projektów, zrodzonych może

tylko w beczynności jego wyobraźni, nie myślał.... Westchnął....

— Gdyby tylko tyle. Gdyby tylko tyle...

Wtem wrócił strzelec. Jego żona wyjechała. Wyglądała jak zwykle...

Oh! jakże ją poznawał tę szlachetną istotę, unikającą, by nie zmięknąć, by nie

widzieć litujących się nad jej niedolą, by nie być zmuszoną dzielić z nim życia,

z nim,

którego tem samem dziesięcioletniem, pełnem ślepej wiary i zaufania czystem

małżeńskim uczuciem, kochać już nie mogła.

Miał ochotę płakać, dziką ochotę, ale czuł iżby ani jedna łza mu z pod powiek

nie spłynęła.

Spojrzał na stolik przy łóżku. Tam leżał rewolwer. Rewolwer dużego kalibru.

Jedna kula wystarczała na przecięcie tego pasma niepokoju i wyrzutów, które dopiero się swemi forpocztami zaznaczało. Przystanął z wzrokiem, pełnym decyzji, odwagi, utkwionym w miejsce, gdzie spoczywało to dziwne, kojące bole narzędzie, a którego się mózgi ludzkie tak przecież bały. — Czas! czas — szepnął, ważąc, że chyba tylko ci mogą sobie odbierać życie, którzy nie dość myślą, by zrozumieć potęgę czasu, wszystko układającego, wszystko pokrywającego rdzą, czy pleśnią, czy puchem pod jakim bledną najżywsze obrazy mistrzów. — Czas? — powtórzył rozpaczliwie. Ale jeśli kto się strzela, to by uniknąć właśnie tej pracy czasu, tak strasznej dla serca i zmysłów. Jeśli kto, to on powinien sobie w łeb palnąć, on tak subtelnie odczuwający żywioły życiowe... tak się bojący ich huraganów, jak się nerwowi ludzie boją wiatru. Ruszył z miejsca. Uchylenie się przed ciężarem życia było tchórzostwem, a uchylenie

się przed katastrofami własnych swych postępów, było podłością. Wszakże to, co się działo, przeczuwał, że się stać mogło? Że się stało wcześniej, że nie użył na Janinie...? Przypomniał mu się dziwny paradoks, który w sobie mieścił deryzyjną prawdę. "Wszystko, co ma koniec, właściwie już jest skończone. " Usiadł znacznie uspokojony, by napisać te kilka wierszy do siostry żony.

"Sam wyjeżdżam do domu. Listownie cię objaśnię. Głupstwo, które tak wzięła do

serca Wanda w egzaltacji swej szlachetności, którą znasz...."

Długo myślał, co więcej napisać, ale nic nie dodał i wreszcie podarł papier.

Położył się na sofie i rozkazał tonem wysilonym ze zmęczenia, wyciągając się jak

po ciężkim śnie z taką siłą, że kości mu zatrzeszczały w stawach.

— A teraz pakuj! Wyjedziemy nocnym.

— Wyjedziemy do...

— Do Mikuliniec.

— Dzisiaj? — pytał jeszcze strzelec niedowierzająco, by ten człowiek, którego

oblicze pałało wewnętrzną gorączką, który co chwila musiał obejmować dłońmi

czoło, by skupić jako tako myśl, mógł wytrzymać choćby najkrótszą podróż.

On czekał rozkazu wezwania doktora, czekał chwili, w której jego pan upadnie i

ulegnie kryzysowi sercowemu, jakiemu raz uległ, temu lat kilka, w Mikulińcach, i

omało nie przeniósł się do wieczności.

Zdziwienie strzelca zastanowiło Homla. Musiał wyglądać strasznie.

Ale też musiał

odchorować te przejścia. Znał swoje zdrowie i kompleksy. Nogi pod nim drżały i

cierpły co chwila jak nigdy.

— Wyjadę! — szepnął — tu w hotelu nie chcę chorować, ani...

XVII.

Minęło półtora roku.

Wspaniałe słońce majowego poranku, co już zielenią pokryło
Mikulinieckie lipy, a
przecudnym błękitem muskało po wodach parku, rzucało pełnymi
snopami ciepła na
werandę zamkową.
Do tego ciepła plecami, na słomianym fotelu siedząc, obrócił się
Homel i pytał
czy prawdą jest ta cała teoria o odżywczej sile słońca, w promieniach
którego
kąpiele, mają przywracać zdrowie, koić bole i uspokajać nerwy.
Jakże on był słaby.
Rzeczywiście hrabia zmienił się do niepoznania. Wysoki wzrost jego
przy
chudości ciała, występował jeszcze wyraźniej, sprawiając prawie
dysharmonią
swoją, niemiłe wrażenie. Oblicze, które tak pielęgnował, by się nie
skurczyło
zmarszczkiem przedwczesnym, by nie straciło młodocianej, koloro-

stycznej zdrowej cery, dalekim już był od tego, które pokochała pani
Bonar.
Zmarszczki, idące od kończyn nozdrzy do końców ust, te zmarszczki,
które
cierpieniu przypisują, że je na twarzach ludzkich modeluje, wystąpiły
i
uwydatniły rozlewające się policzki, które już niepoprawnym owalem
zbiegały ku
szyi.
Od siwych włosów się jeszcze uratował, ale kanty nad czołem się
powiększyły i
ulatały, a oczy pełne zawsze myśli i obserwacji nie śmiały się już, jak
ongi do
życia z swych zagłębin, w których oprawie, pod dużymi brwiami,
sprawiały raczej
ponure wrażenie, odbijając cierpienia moralne i fizyczne, które
dręczyły duszę i

ciało przez nie, na ten śliczny, majowy świat, patrzące.
Homel, czuły tak na naturę, której sam w tym zamku, oddany na
pastwę niewesołym
myślom i cierpieniom nerwów z taką niecierpliwością wyczekiwał
wiosny, dziś
nadstawiając pleców promieniom pierwszy raz gorącego słońca, nie
uczuwał ulgi,
jakiej się od tego mocarza wszelkich ciał i dusz, spodziewał.
Owszem. Był przygnębiony i więcej niż wczoraj jeszcze, gdy wiatr
szumiał
straszną skargą w drzewach parku, niespokojny.
Cóżby to było? Czyżby stan jego duszy

był tak opłakany, że nie mógł go podniecić ten cudowny powiew
wiosny?
Przypomniał sobie, iż w młodości, gdy się uczył, gdy podobne dni, w
których
obowiązkiem człowieka pierwszym, zdawało by się było witać wiosnę
i słońce,
musiał spędzać nad jałową nauką, doznawał napadów melancholii.
Później one
ustały.
Dziś się odzywały. Czyżby one były apanażem młodości,
nieumiejącej właściwie
używać życia i starości, nie mogącej go używać?
Oh! Jakże on był starym. Jakże się zestarzał w tym przeciągu półtora
roku, który
go moralnie i fizycznie pochylił.
Zestarzał się tak, tak straszliwie, iż nie pragnął już nic, że piosnka z
"Ptasznika z Tyrolu" ani razu od tego straszego dnia w hotelu
Europejskim, nie
przemknęła mu po wargach.
Opuściły go wszystkie mrzonki i creda, wszystkie namiętności ciała i
duszy,
wyobraźni i nerwów, którym przecież tak hołdował, że mu się
samemu zdawało, że

nim jeszcze, na łożu śmierci, w przedsekundzie ostatniego tchnienia,
poruszać
będą i śmierć artystyczniejszą uczynią.
Opuściły go wszystkie...
Zadrżał. Jakby mrowie przebiegło mu po ciele, świdrując aż do mózgu
zimnem
ukłóciem. Zadrżał przed tem, co w sobie dziś

czytając, widział. Zadrżał zimnym dreszczem przed tem jednym, że on
już dziś
niczego nie pragnął.
Tak! Niczego!
Nie pragnął właściwie dzisiaj już nawet powrotu żony, o który żebrał
co tydzień
od półtora roku listami rozpaczliwymi, adresowanymi to do niej, to do
siostry,
to do przyjaciół, widujących hrabinę w Paryżu.
I w pragnieniu tego jednego, co przetrwało kryzys jego życia, co
trwało do
wczoraj, dziś plecami obrócony do słońca grzejącego, nagle ostygł.
Czyżby się zbliżał dlań ostateczny koniec wszystkich pragnień?
Czyżby to uczucie
jak u starców w nim gasło? Czyżby może wydelikaczone jego nerwy,
miały lada
chwila się pomotać, jak jedwabne nitki w jakiś ostateczny węzeł, z
którego by
już nikt jednej całej nici nie zdołał wyciągnąć.
Zkonstatował, że nie pragnął już nawet powrotu swej żony.
Ale co ona robiła? Mieszkała w Paryżu. Czy dla tego, że lubiała duże
miasto, czy
by dalej być od niego? Ale ten upór, ta siła woli? Wszakże wiedziała,
wiedzieć
mogła, jeśliby jemu nie wierzyła, że od fatalnego dnia tego, nie
widział Janiny.
Janiny?
Nie widział jej. Ba! On nie wiedział nic

zgoła, co się z nią stało. Nic zgoła! Bo przecież nie znaczyło "coś"
wiedzieć,
że raz, gdy wracał z Warszawy, raz jedyne, co ot fatalnego dnia
wyjechał do
miasta dla poradzenia się na te swoje nerwy, lepszych od
Ujazdowskich doktorów,
jechał w przedziale wagonu z jakimiś dwoma panami, którzy sobie o
Bonarach
opowiadali, jakby Bonarka była ich sąsiedztwem. I wtedy dowiedział
się, to jest
raczej wymiarkował z ich min i intonacji głosów, że katastrofa,
druzgocąca jemu
życie, nie obita się żadnym głośnym skandalem o mury
Bonarkowskiego dworku.
Wzruszenia wtedy doznał tak silnego, że nie pamiętał, co mówili.
Mówili coś o
gospodarstwie Bonara, i zdawało mu się też, że mówili o zmianie
zaszłej w
Janinie. Czy ta zmiana dotyczyła jej ciała, czy duszy... nie pamiętał.
Pamiętał tylko, iż wiadomość ta pokrzepiła go moralnie.
Przypuszczenie na
jakotakiej podstawie, że i tej kobiecie, którą wyobraźnia jego
przywoływała
chwilami zmysłom, jakby senne, a urocze marzenie, nie zwichnął
życia, napawało
go jakimś zadowoleniem, o ile zadowolenie przystęp do jego duszy
przez powłokę
apatyi miało.
Cóż mu więc tak dalece wybaczyć nie mogła ta kobieta, głucha na
jego listy, nad
którymi by łzy ronіły niewiasty, gdyby je

w analogicznej pozycji, w jednym ze swych romansów, był kiedyś umieści!

Umieścił? Ha! Czy też on kiedy pisać będzie, czy co jeszcze napisze?

Tej zimy próbował być wzięść pióro do ręki, aby zagłuszyć te głosy, które wciąż

dokoła siebie słyszał, pytające "Gdzież ona?"

Pytały go oto ściany, obrazy na nich łaknące światła, którego nikt, tak jak ona,

to opuszczając, to podnosząc story nie umiał im dopasować.

Pytały o to wazony w salonach, japońskie i saskie, berlińskie i majoliki, którym

ona co rano, od tej właśnie poczawszy pory dobierała barwami kwiaty.

Pytały go o to psy i koty, osieroczone od półtora roku, smutnie obiegające puste

komnaty i skarżące się przed nim, że pozostawały, one faworyty tej duszy i pani

domu, na łasce sług.

Pytały go o to, ot teraz, tuż pod werandą pnące się liście caprifoliuni, któremu

ona ułatwiała co wiosna pełzanie po drutach i zaglądnienie do wnętrza tych komnat,

które swym zapachem napełniać było ich celem i obowiązkiem.

I Homel załkał i zalał się łzami.

Nie było jej. Raz drugi była nie przy nim o tej porze roku, którą się nigdy dość

nacieszyć nie mógł, która go rozkoszami, zna-

nemi wielbicielom natury napełniała, na którą rok czekał, by ją wraz z nią, z tą

tak upartą w obrazie kobietą, a tak, jak on śpiew słowika oceniającą i rozumiejącą, przeżyć...

Płakał jak dziecko.

I zalanego łzami zastał go doktor, znany dyrektor zakładu

Ujazdowskiego.

Homel zerwał się na równe nogi, tak przestraszony, jak gdyby go przychodząco zabrać na rusztowanie. Zwrócił oczy pełne żalu do strzelca, że go nie uprzedził o tej zresztą oczekiwanej wizycie. Wszakże sługa wiedział, że on niczyjego, prócz jego widoku nie znosił, że pod tym względem z dnia na dzień, robił się drażliwszym.

— Hrabio! — zawołał medyk, — który spostrzegł ten objaw niszczącego działania chorych nerwów. — Doprawdy nie wiem, po co mnie wzywasz. Jedno i to samo powtarzam. Kuracją! kuracją seryo i bez zwłoki...

Urwał, ujął Homla już siedzącego za puls, objął go swym bystrym, niedbałym doktora wprawnego i znudzonego klientelą, wzrokiem i podchwycił z pewną irytacją.

— Wpakujesz się hrabia w jakie licho. Z nerwami, gdy dojdą do tego stadium, nie żartuje się. Jesteś jak stara panna histeryczka.

— Opowiadał mi strzelec, nie rób mu wy-

mówek za niedyskrecyi że popadasz w formalną mizantropię. Służby własnej się boisz...

— Zawsze byłem pod tym względem wrażliwy.

— Wrażliwość! wrażliwość! — fuknął doktor, gładząc siwą brodę i zasiadając na drugim słomianym fotelu. Tu niema mowy o wrażliwości! Pan jesteś poważnie chory. Potrzebujesz radykalnej, systematycznej kuracyi, potrzebujesz zmiany miejsca, powietrza, wrażeń. Potrzebujesz zimnej wody zamiast gorącej, potrzebujesz poddać

się systemowi. Cały twój organizm jest zachwiany. Nabawisz się strasznej choroby, jeśli dalej tę, którą już masz, tak troskliwie pielęgnować będziesz. Bo pan pielęgnujesz swoje nerwy, ten cały zaatakowany system nerwowy. Rozwijasz go w złym kierunku. Homel przerażony milczał, wlepiając błędny wzrok w doktora, który też jego wyraz rozumiał.

— W zimie już byłeś pan zagrożony. W zimie już byłeś poważnie chory. Nie mówiłem ci o tem, nie chcąc powiększać choroby, a wiedząc, że wszelkie kuracje w zimie djabła warte. Teraz wiosna. Ciepło pewne. Jedź pan zaraz. Jedź dzisiaj.

— Gdzie?

— Do Kaltenleitgeben, do Fürstenhofu, do..... wszystko jedno, do zakładu wodoleczni-

czego. Po drodze poradź się jeszcze w Wiedniu, tylko nie odurzaj doktorów swoją wrażliwością i indywidualnością, Jaktó znami czynisz. To żadna wrażliwość.

Indywidualność, która dostaje ataku, gdy lokaj wchodzi, to indywidualność z gruntu chora.

— Wierzę, wierzę ci zupełnie, kochany doktorze! — przerwał Homel, robiąc alluzję do tej porady zasięgnięcia zdania zagranicznych doktorów.

— Owszem, podchwycił dyrektor — poradź się w Wiedniu. My tutaj jesteśmy sławni, znakomici, ale my w głowach nie mamy tyle doświadczenia, rutyny, wiedzy, ile oni

tam w jednym palcu. Darmo! Zachód pozostanie zachodem. Od
wieków nam przoduje...
Poradź się hrabia koniecznie jakiej specjalnej znakomitości. Jesteś
bardzo
chory. To wiem, ale wiem, że masz nerwy porwane jak postronki.
Wiem, że masz
serce wadliwe. Wiem, że masz żołądek naturalnie w nieporządku. Ale
oni tam na
wszystko, oni, co częściej spotykają takie, jak pan okazy końca
przecywilizowanego wieku, mają nowsze i wczoraj wypróbowane
środki.
Homel omdlewał słuchając. Dowiadywał się, że był bardzo chory, on,
co to
wprawdzie czuł, ale sądził, że-to tylko drażliwsze po tych przejściach
nerwy
jego tak go osłabiały.

Obiecał wreszcie dyrektorowi, że wyjedzie bezwzględnie, gdy tenże
mu ostatecznie
zdeklarował, że może uleść rozstrojowi umysłowemu.
Byłby może jeszcze się nie zdecydował opuścić Mikulińce, te
katakumby swej
boleści, gdyby nie nagle zapytanie dyrektora, dające mu więcej do
myślenia, niż
całe długie posiedzenie, przeplatane pytaniami i radami.
— Wszakże hrabia teraz nie piszesz? — zapytał go nagle.
— Nie.
— Naturalnie!
— Jakto? naturalnie!
— Przecież byś pan wiersza nie był zdolen złożyć.
Zadrżał Homel. Jeśli jeszcze mu co na świecie pozostawało, to świat
myśli i
umysłowej pracy. Ona liczył, pozwoli mu wegetować i czekać końca,
gdy
ostatecznie sobie powie, że zmarnował życie.

— Wyjadę zaraz, może jutro... — szepnął po długim rozpaczliwym milczeniu.

I wyjechał.

Wyjechał do Kaltenleitgeben, strwożony do najwyższego stopnia tą chorobą, która go czekała, może długą, pozbawiającą go jedynej rozrywki, jaką jeszcze używał, pracy mózgu, wrażeń sztuki, obrazów wyobraźni, obserwacji i refleksji.

Wszakże w nich tylko się zatapiając, zdołał skrócić te długie dni półtoraletnia, przebytego w Mikulińcach, w tym domu, który teraz dopiero widział, jak był okrutnie pusty bez swej pięknej i szlachetnej duszy. Jakże cierpiał ten chory sybaryta, gdy go pociąg unosił daleko od jego gniazda, do którego ze zwierzęcą już, odkąd był nieszczęśliwy i chory, przywiązał się namiętnością. Jakże jasno sprawdzał, gdy go do rozpaczny doprowadzał zgiełk ludzi na stacyach, dzwonki i świsty, że zmizantropiał, że nagle z oryginała, jakim może zawsze był, przerodził się w dziwaka może już nic uleczalnego. I serce mu wzbierało gorzkim żalem do tej kobiety, która nie wiedziała, czym dlań była, która nie wierzyła jego pełnym żalu i tęsknoty wykrzykom, jakie słał wciąż do Paryża. Ostatni list jej wprawdzie rzucał mu snopem światła, przysyłał jakby mdłe jutrzni promienie. Oh! pamiętał go na pamięć i kołatany męczącym śmiertelnie jego nerwy, ruchem

wagonu, by nie czuć fizycznego bólu, jaki się udzielał jego członkom,
powtarzał
sobie te słowa, w których tkwiła dlań nadzieja odzyskania życia

"Daruj! — pisała — Ale do poświęcenia się jeszcze nie czuję się
zdolną. Potrzeba
mi jeszcze czasu, który wszystko zaciera, a więc i zatrze może okrutne
wspomnienia, które zmroziły moje serce, przecież ongi. tak gorąco dla
ciebie
tylko bijące. Niemowie "nie". Ale dziś jeszcze jestem za młodą, by
namiętności
nie brały udziału w mych postępkach. Mogłabym tylko z mojem
usposobieniem
zaszkodzić ci w stanie, w jakim piszesz, że się znajdujesz. Gdy czas
kiedyś uko
żał mój, gdy m pozwoli, wyobrazić sobie ciebie, jako przyjaciela, a
nie męża,
którego wszystkimi zmysłami ubóstwiałam, powrócę spełnić drugą
połowę
posłannictwa żony".
Obolały stanął w Kaltenleitgeben i nazajutrz zameldował się u
słynnego
Winternitza. Tego szorskiego w obejściu, zbywającego chorych byle
czem, zbyt
zajętego, by się udzielać przeważnie histerykom, jakich leczył
zastanowiła
myśląca twarz, pańska postawa, bijąca choć w schorzałym ciele łuną
świętego
ognia, fizyonomią Homla.
Rozgadał się z nim, mniej, jak z chorym cudzoziemcem, a raczej jak z
pokrewną mu
potęgą talentu i myśli intelligencyą.
Bo ludzie, ludzie, znający pracę myśli i jej rozkosze, poznają się
zobopólnie
przy pierwszych słowach.

Zamknięty w sobie Winternitz, mający zdawkową monetę dla
wszystkich, zaczął
opowiadać Homlowi naukowo, a obrazowo genezę takich, jak jego
chorób, i
komentował je przykładami, które jakkolwiek go to pocieszały, to
przerażały, ale
zawsze jako człowieka, pracującego mózgiem, wysoce interesowały.
Przystąpił wreszcie do chorób, które podobnie jak jego rozstrój, nie
mający
przyczyny w żadnym nieporządku, ani defekcie organizmu, uchylały
się nawet
wynikom obserwacji i skalpelowi takiego, jak on, eskulapa.
— Ot! — mówił opowiem panu jeden z najfenomenalniejszych
wypadków rozstroju, o
jakim mówimy, a z którym się przed kilku dniami i to na osobie
rodaczki pana, w
każdym razie osoby z Rossyi, spotkałem.
Zapalił papierosa i zakładając nogę na nogę, ciągnął z tą niezrównaną
werwą
ludzi poważnej pracy, gdy w werwę wprowadzić się pozwolą.
— Przyjechało do mnie z Warszawy jakieś młode małżeństwo. On
zdrów jak Herkules.
Ona od roku zjedzona dziwną chorobą, kobieta zbudowana jak
Wenus, mająca troje
dzieci, prawie piękna jeszcze. Atawizm nieprzypuszczalny. Żaden
organ nie
zaatakowany. Żaden wypadek z przeszłości, nie

tłómaczy choroby, która tę kobietę pochłania, a małżonka jej trapi.
Wystaw pan
sobie. Ta kobieta, wyglądająca zdrowo i zdradzająca za ledwie
charakterystyczną
bladością oblicza, stan nerwowy z histeryą spokrewniony, a
wycieńczeniem zwykle

się kończący, budzi się nagle w nocy, budzi męża, budzi dom cały, bo jej się zdało, że złodzieje dobijają się do drzwi jej sypialni, próbują klamki, wsadzają klucz w zamek od wewnątrz zamknięty. Po takiej hallucynacji nie śpi już naturalnie do rana.

Nie pomaga okoliczność, że mąż sypia przy niej, że sama drzwi co wieczór zamyka, że nigdy złodzieja w życiu nie widziała. Ni ztąd, ni zowąd, nagle, zrywa się na łóżku i budzi męża, szepcząc w rozpaczliwej trwodze: "Idą, otworzą! otworzą!!"

Winternitz nagle urwał, i chwytając za rękę hrabiego, zapytał trwożnie.

— Ale co panu?

Hrabia odetchnął po chwili dopiero

— Nic. nic... — bąknął i opanowując się, ciągnął. — Zajęła mnie ta fenomenalna choroba... Któż to ta nieszczęśliwa? może znam, jeśli...
— Jakaś polka... Nazwiska nie pamiętam. Znajdziesz ją pan w dzisiejszej kurliście. Mieszka w zakładzie pod numerem siódmym.

... Przyjechali onegdaj. Sam ją wziąłem pod swoją opiekę Bo powiedz mi pan, co za fenomen nerwowy Gdyby się kiedy byli dobijali złodzieje, gdyby był ślad choroby mózgu, gdyby w rodzinie było kiedy waryactwo... Ale nie! Mąż mnie zapewnia, że raz tak go obudziła, i odtąd regularnie tak, coraz częściej budzi... a w oczach niknie i zniknie. ... Miła pozycja małżonka..
Homel jeszcze posiedział chwilę, by nie zdradzić stanu, w jaki go to opowiadanie

doktora wprowadziło, by przetrzymać drzenie w nogach, które czuł gwałtowne, jak zwykle w silnych wzruszeniach.

A Winternitz go obejmował wzrokiem, tym odrębnym wzrokiem genialnych eskulapów, co w duszy szukają poznak chorób ciała.

— Pan masz coś pokrewnego, coś w tym rodzaju.

— Być może — odrzekł z wymuszonym uśmiechem hrabia, wstając i żegnając doktora.

Znalazłszy się za drzwiami, uczuł taką sprężystość w swych dopiero co

drętwiejących nogach, jakiej nie przypominał sobie dawno.

Krokiem elastycznym, młodym prawie pobiegł do swego mieszkania, którego nie

zamknawszy drzwi jeszcze, nawoływał strzelca.

— Leć! leć! — mówił gorączkowo, jakby" w przestachu — i dowiedz mi się, kto

mieszka tu w tym zakładzie, pod numerem siódmym.

Drżał cały i trzął się jak osika. Biegał po pokoju czekając powrotu sługi. Coś

anormalnego w nim się działo, coś, czego nie rozumiał sam, jakiś przestach ze

wzruszeniem pomieszany, przyśpieszał pulsację serca, uderzał mu krwią do głowy.

Strzelec wrócił i szepnął sam zdziwiony.

— Państwo Bonar.

Hrabia pobladł.

— Pakuj rzeczy... wyjeżdżamy zaraz.

I nie czekając, by sługa wziął się do pracy, zaczął sam, zaledwie się trzymając

na drżących nogach, zbierać swe manatki.

Nie myślał prawie nic. Tylko wiedział, że ztąd uciekać musi. Uciekać!

Uciekać

przed Janiną, ta Janiną, którą mu opisał doktor, bo nie wiedział, coby się z nim

stało, gdyby ją zobaczył.

Byle jej nie zobaczył, choćby na kurytarzu hotelu, na ulicy przez okno, na gościńcu z powozu. — Zapaść story! — szepnął do strzelca, rzucając błędnym wzrokiem w okno, za którym przesuwały się ludzkie przechodniów

głowy, a obstalujesz do kolei zamkniętą karetkę...

— A czy ten numer siódmy na tym może kurytarzu, na parterze? — pytał w

bezmyślnej trwodze.

— Nie, na piętrze.

Homel odetchnął, jakby to mu było jakąś rękojmią, że się ocali.

— Pojedziemy do Fürstenhofu — szepnął, jakby w obłędzie, rzucając rzeczy jak

groch w kufer, on systematyk i nieznoszący, by spodnie nosiły

niewłaściwy ślad

zgięcia ich przy opakowaniu.

KONIEC.